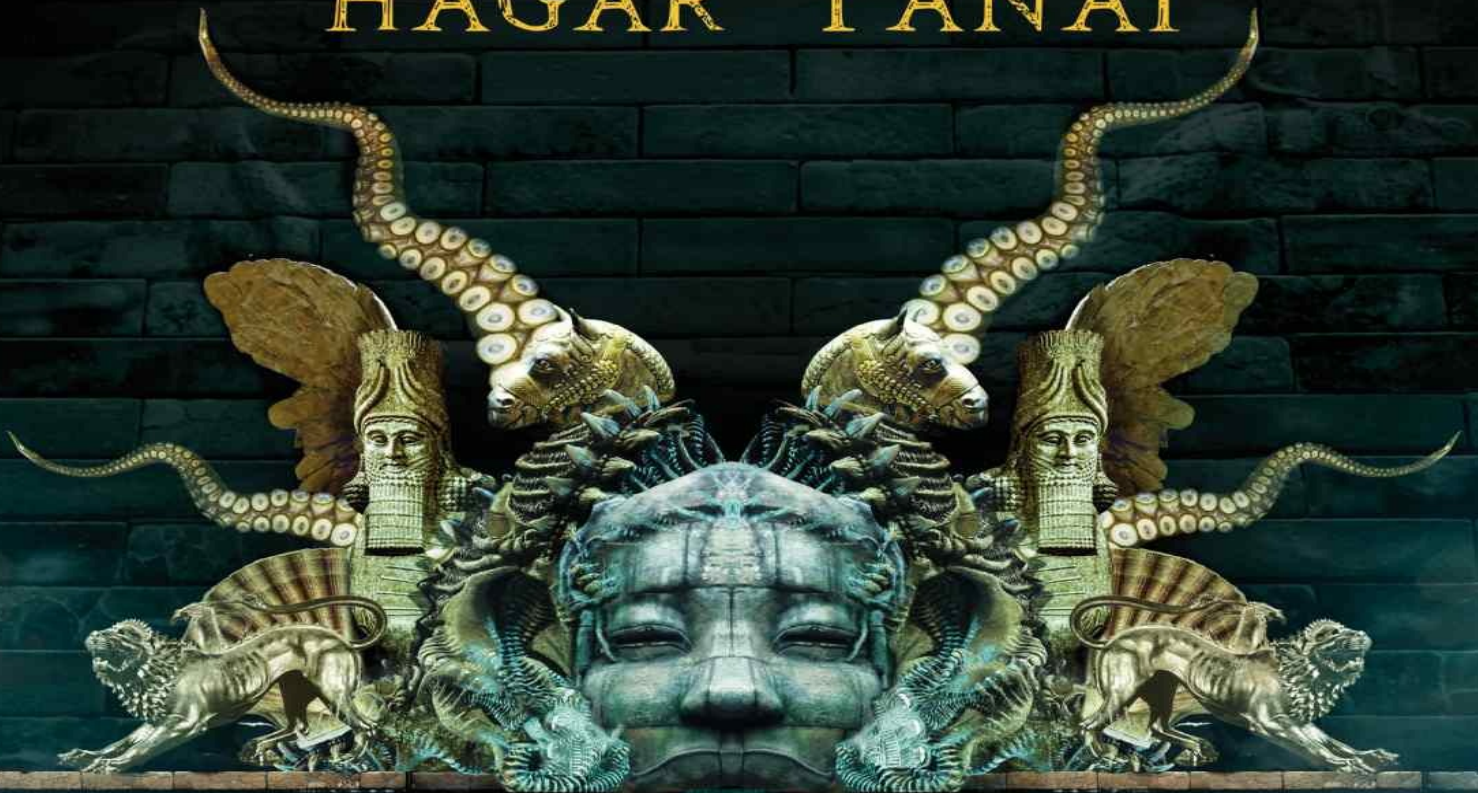




HAGAR YANAI



LEWIAATAN
z
BABILONU



Hagar Yanai

LEWIATAN Z BABILONU

Przekład Anna Klingofer



Wydanie zrealizowane ze wsparciem Ambasady Izraela w Polsce.

Tytuł oryginału: לבבמ ןתייוולה (The Wale of Babylon)

Copyright © 2006 by Keter Sfarim Ltd. (2005) Post office box 7145, Jerusalem. All rights reserved.

© תודומש תידבעה הפשב תויוכזה לכ, 2006

מ"עב (2005) םידפם דתכל

םילשודי, 7145 ד"ת

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXV

Copyright © for the Polish translation by Anna Klingofer, MMXV

Wydanie I

Warszawa

Spis treści

Część pierwsza. Złodziej lekarstw

Rozdział pierwszy. Pieśń czarnego krokodyla

Rozdział drugi. Targ niewolników w Eridu

Rozdział trzeci. Doktor Nekroseptus

Rozdział czwarty. Głęboka woda, pokątne czary i smutek

Rozdział piąty. Hilel upada, Otchłań drwi

Rozdział szósty. Węgorze i torty

Rozdział siódmy. Hilel ben Szachar

Rozdział ósmy. Adwokat diabła

Rozdział dziewiąty. Drzwi Archiwistki

Część druga. Lot demonów

Rozdział dziesiąty. Podróż wodą

Rozdział jedenasty. Gniazdo Kolibra

Rozdział dwunasty . Elektrownia w Ur

Rozdział trzynasty. Wodzirej Cieni

Rozdział czternasty. Żywy labirynt

Rozdział piętnasty. Pocałunki i głodne kwiaty

Rozdział szesnasty. Wuj Noe

Rozdział siedemnasty. Sztylet Al-Namira

Rozdział osiemnasty. Podziemny aneks

Rozdział dziewiętnasty. Generał Aritrawa

Rozdział dwudziesty. Krew Otchłani

Rozdział dwudziesty pierwszy. Lot demonów

Przypisy

„On, Najwyższy, ogniem ziele i zakrywa podstawy morza”.

Księga Hioba 36:30¹

„Na początku była otchłań. I były morza i rzeki, i źródła wody. Cały świat był słodką ciemnością i śliskim błotem, i głębinami pośród głębin, aż w odmętach, gdzie zacierały się kontury rzeczy, wszystko łączyło się w prastarą, pierwotną masę. A w tej głębi krążyły stwory otchłani i ciemności: Lewiatan i krokodyl, wąż kręty i morski smok”.

Hagai Dagan *Mitologia żydowska*²

Część pierwsza
Złodziej lekarstw

Rozdział pierwszy

Pieśń czarnego krokodyla

Policjanci zawsze coś przegapią. I zawsze chodzi o ten najważniejszy szczegół. Jonatan, opatulony kocem i zaopatrzony w kubek gorącego kakao, jakby policja oficjalnie uznała go za przedszkolaka, śledził z kryjówki pod schodami postępy detektywów. Przetrzęsnęli już kuchnię i balkon, na którym schło pranie, stratowali grządki sałaty i pachnący groszek w ogrodzie, a teraz poszli na piętro, żeby przewrócić do góry nogami sypialnię. Gdyby Ela go tu zobaczyła, wkurzyłaby się i powiedziała, iż znowu wydaje mu się, że jest najmądrzejszy na świecie, a wszyscy inni są głupi. Cóż. W końcu czego mogła się spodziewać po dwunastoletnim chłopcu.

Oboje mieli za sobą okropny dzień. Być może najcięższy w życiu, oprócz tamtego czarnego dnia przed dwoma laty. Wtedy chociaż mieli obok siebie tatę. A teraz byli zupełnie sami. Ela siedziała w domku na drzewie, który zbudowała w koronie drzewa miodli. To tam zawsze znikiała, kiedy chciała się powściękać i spędzić czas w towarzystwie jedynej osoby, na której mogła polegać – czyli we własnym. Jonatan został pod opieką pulchnej policjantki o zrosniętych brwiach. Dała mu swoją komórkę, żeby go czymś zająć, ale szybko się znudził. Urządzenie było naprawdę prymitywne i nic, co na nim działało, nie mogło się równać z jego imponującą kolekcją gier. Ojciec Jonatana nie potrzebował świąt ani urodzin, ani żadnej z tych szczególnych okazji, na które inni rodzice czekają, żeby pokazać, jacy są kochani i hojni. Z radością obsypywał potomka prezentami, a im bardziej były skomplikowane, tym lepiej. Wierzył, że dzięki nim syn ćwiczy umysł i poszerza horyzonty. Jonatan strasznie już tęsknił za tatą i bardzo się o niego martwił. Czuł, jakby jego pierś miażdżyła wielka bryła betonu.

Ich ojca zabrał ambulans, który przyjechał o świcie. Wprawdzie Jonatan i Ela rzadko widywali załogi karet w akcji, ale z min młodych sanitariuszy wywnioskowali, że sytuacja jest nietypowa.

– Widziałeś kiedyś coś podobnego? – rzucił jeden z nich do swego towarzysza.

Na widok Jonatana i Eli zamilkli.

– Kiedy wróci do domu? – zapytała Ela rzeczowo, ale Jonatan czuł, że jego siostra walczy ze łzami.

Sanitariusze wymienili współczujące spojrzenia, jakby dziewczyna nie rozumiała podstawowych rzeczy. Jeden z nich położył dłoń na jej ramieniu.

– On wyzdrowieje, kwiatuszku – zapewnił ją. – Wszystko będzie dobrze. Nie uwierzysz, co ci dzisiejsi lekarze potrafią zrobić. Ożywiają nawet ludzi, którym serce przestało bić, a przecież waszemu tacie do tego daleko.

Coś w jego uspokajającym tonie sprawiło, że Jonatanowi i Eli ciarki przeszły po plecach.

– Nasz tata też jest lekarzem – powiedział Jonatan. – I naukowcem. Nazywa się doktor Emanuel Margolis.

– Wiem. Czytałem o nim w gazetach – odparł sanitariusz. – Wasz ojciec dał nadzieję wielu ludziom, ale każdy czasem potrzebuje wsparcia i teraz nasza kolej, aby to jemu

pomóc.

Gorzkie doświadczenia życiowe nauczyły już Jonatana i Elę, że lepiej nikomu nie ufać. Zwłaszcza tym, którzy twierdzą, że mogą im pomóc. Spojrzeli po sobie z przerażeniem. Ale sanitariusze byli zbyt zajęci, żeby to zauważyć. Zabrali nosze, a Jonatan próbował poukładać w głowie niepojęte wydarzenia ostatniej doby.

Poprzedni dzień zaczął się fatalnie już z samego rana. Był pierwszy lipca, pierwszy dzień wakacji, i gdy inne dzieciaki wybierały się na plażę i do kina albo przynajmniej wychodziły z domu, by poszpendać się po centrum handlowym, Jonatan i Ela czuli, że nadszedł dzień wizyty u mamy. Oczywiście kochali ją i bardzo im jej brakowało. Ale przed odwiedzinami, które odbywały się cztery razy do roku, dom przy ulicy Pierwiosnka ogarniała ciężka atmosfera. Ich roztargniony, dbający zwykle o radosny nastrój ojciec nagle robił się nieswój. W te dni nie podawał im na sobotnie śniadanie przypalonych naleśników z uśmiechniętymi buźkami z syropu klonowego, żeby ich rozbawić. „Jesteście już na to za duzi – mówił. – Od lat ciągnę tę kiepską sztuczkę”. Gdy prosili, żeby poruszał uszami, też się wykręcał, choć zwykle chętnie popisывał się tym talentem. Wiedzieli, iż czasem odwiedza ich mamę sam i że tamte wizyty też napełniały go smutkiem. Ale wyglądało na to, że spotkania całej rodziny wprawiały go w szczególne przygnębienie.

W drodze na północ Jonatan i Ela spoglądali w milczeniu na pola uprawne, które powoli ustąpiły porastającym kamieniste zbocza sosnowym lasom. Rozmyślali o dobrych czasach, które teraz wydawały się odległe niczym legenda. Jonatan wspominał łagodny dotyk mamy, zapach jej lawendowego mydła i aurę spokoju, którą roztaczała. W deszczowe weekendy opowiadała im historie ze swoich opasłych naukowych tomów, o wiele ciekawsze niż te z książek dla dzieci. Ale wszystko to skończyło się nagle przed dwoma laty, dokładnie w dniu dziesiątych urodzin Jonatana.

Kiedy elektryczna żelazna brama otworzyła się ze skrzypnięciem i wjechali samochodem na teren ośrodka, wszyscy zadawali sobie pytanie, w jakim nastroju będzie dziś mama. Jonatan zaciągnął się czystym, rześkim powietrzem. Miał nadzieję, że może tym razem nie będzie tak udęczona, jakby była zanurzona w niewidzialnej mętnej wodzie. Oby tylko się nie rozpląkała. Wtedy zawsze czuł się winny i bezradny. Gdy tak patrzył na ogród i trawniki otaczające trzykondygnacyjny budynek, który kiedyś miał sprawiać wrażenie jasnego i radosnego, a teraz był wyblakły, zniszczony przez deszcz i wiatr, Jonatan dziwił się, jak ktokolwiek mógłby tutaj wyzdrowieć. Rząd wąskich, wysokich okien, surowy i odpychający, przywodził mu na myśl bunkier, w którym czaił się wróg.

Przywitali się z pielęgniarką w recepcji i weszli na drugie piętro. Tami siedziała opatulona w fotelu na biegunach naprzeciwko okna, ale nie wyglądała na zewnątrz.

– Przywieźliśmy ci owsiane ciasteczka. Razem je upiekliśmy – powiedział Emanuel z wymuszoną radością i wszyscy pomyśleli (a zwłaszcza on sam), że mówi jak lektor z reklamy.

Tami Margolis podniosła wzrok. Jonatan pomyślał, że chyba przez cały ranek płakała. Miała opuchnięte powieki, jej piękna twarz była smutna i blada, ciemne włosy, z których dawniej była tak dumna, teraz były skołtunione i matowe niczym nasiąknięte deszczem ptasie gniazdo, a zakończone obgryzionymi paznokciami palce drżały. Jeszcze nigdy nie wyglądała tak okropnie. Wyglądała nawet gorzej niż tamtego lata, kiedy karetka zabrała ją

z ulicy Pierwiosnka.

– Emanuelu – odezwała się do męża. – To wraca.

– To niemożliwe. Bez sensu. Przecież leczenie powinno pomóc.

– Ale to się tylko nasila. Czuję, jak się zbliża.

Jonatan i Ela udawali, że przeglądają literaturę naukową mamy – książki nadal stały w równych rzędach na półkach, choć było jasne, że od dawna z nich nie korzysta – a Emanuel zmierzył żonie puls, obejrzał jej język i oczy.

– Pod względem fizycznym jesteś zupełnie zdrowa, kochanie – oświadczył. – Chodź z nami na spacer. Wyjdź na słońce. Świeże powietrze dobrze ci zrobi.

– Nie mogę. Boję się.

– Jego?

– Tak.

– Ale on nie istnieje, Tami. Wymyśliłaś go. To tylko koszmar, zły sen.

– Mylisz się, Emanuelu. On naprawdę istnieje. Czuję, jak się porusza głęboko we mnie.

– Wiesz, kto naprawdę istnieje? Twoje dzieci. Spójrz na nie. Stoją tu, przed tobą. W tym pokoju. One cię potrzebują.

Tami wybuchła płaczem.

– Czy kiedykolwiek mi wybaczycie? Tak bardzo chciałabym być z wami, ale nie mogę. Boję się, że już nigdy do was nie wrócę.

– Nie mów tak. – Ich ojciec gniewnie miał w palcach brzeg zasłony. – Po prostu jesteś zmęczona. Wkrótce poczujesz się o wiele lepiej. Obiecuję, Tami. Poczujesz się świetnie. Pracuję nad tym. Daję ci słowo, że końcowa formuła wygląda znakomicie. Wymaga tylko ostatnich szlifów.

– Dość już tych lekarstw, Emanuelu. Proszę. Przez nie czuję się tylko gorzej.

– Ale to nie jest kolejne lekarstwo, kochanie. To będzie ostatnie lekarstwo.

Tami zamilkła i wbiła wzrok w kolana, a Emanuel wstał, zasmucony.

– Będę w gabinecie dyrektora Szapiro – powiedział i wyszedł.

Jonatan i Ela zostali sami z matką. Jonatana zawsze łączyła z nią wyjątkowa więź. Kiedy był malutki, wierzył, że mama umie czytać w jego myślach, i nawet teraz podejrzewał, że dalej to potrafi, tylko kryje się z tym, żeby go nie zawstydzić. On sam czuł każdy odcień jej ponurych nastrojów, a czasem nawet udawało mu się przewidzieć, co zrobi. Ta wyjątkowa bliskość teraz mu nie ułatwiała sytuacji. Przeciwnie. Bardziej niż jego siostrę, bardziej nawet niż ich ojca dręczyło go poczucie, że zawiódł. Powierzono mu rzadki klejnot, a on pozwolił, aby wypadł mu z dłoni i roztrzaskał się o ziemię. Jonatan zagryzł wargę i uklęknął obok fotela na biegunach z cieniem nadziei, że mama uśmiechnie się do niego i potarga mu włosy.

Z drugiego końca pokoju Ela posłała mu pogardliwe spojrzenie. Sama bardzo chciała przytulić się do mamy, ale czuła się na to zbyt dorosła, i choć nigdy otwarcie o tym nie mówiła, Jonatan wiedział, że w sercu powierzyła mu rolę młodszego rozpieszczonego braciszka, podczas gdy jej samej przypadł los tej rozsądnej i odpowiedzialnej.

– Zaczekaj tutaj – rzuciła do Jonatana. – Pójdę sprawdzić, co oni tam knują.

Jednak gdy usłyszał jej rzeczowy, surowy ton, poczuł sprzeciw. Być może, dokładnie tak jak tego chciała Ela, przepełnił go wstyd, że jest tak kochany właściwie bez powodu. Musiał udowodnić swojej siostrze, mamie, sobie samemu, że i on może się do czegoś przydać.

– Nie – powiedział. – Zostań. Teraz moja kolej.

Ela nie zaprotestowała. Zapewne nawet skrycie cieszyła się, że zostanie z mamą. Oboje nie znosili pana Szapiro. Nie był to typ człowieka, w którego ręce chciałoby się oddać własną matkę.

Gabinet dyrektora kliniki znajdował się na końcu korytarza, za niewielką recepcją. Na szczęście dla Jonatana sekretarka, która zwykle tam siedziała, wyszła akurat na obiad. Udał, że zaciekało go akwarium przy wejściu, i pomału zbliżył się do otwartych drzwi gabinetu. Pan Szapiro, niestrudzony pochlebca o ciężkich powiekach, siedział za biurkiem i ścierał palcami z blatu niewidzialne plamy. Sapał przy tym jak gruby jamnik, którego zmęczył już pościg za obiecaną kiełbaską.

– Ale kiedy wreszcie będzie gotowe? – zapytał. – Od dwóch lat rzuca pan obietnicami!

– Cierpliwości, Izajaszu. Nie możemy się spieszyć. Lekarstwo jest niedopracowane. A jeśli pojawią się skutki uboczne?

Szapiro zdjął okulary.

– Nie oszukujmy się, Emanuelu. Widział pan Tami. Jak pan myśli, ile jeszcze wytrzyma?

– Przecież pan wie, że wkładam w to wszystkie siły. Ale nie przyspieszę procesu.

– W przypadku jej typu depresji mogą się sprawdzić elektrowstrząsy. Mamy bardzo nowoczesny gabinet. Seria zabiegów zrobi z niej nowego człowieka.

– Izajaszu, proszę! – sprzeciwił się doktor Margolis.

Szapiro zagryzł wargi i zamyślił się, a Jonatan poczuł, że te myśli nie mają nic wspólnego z dobrem ich matki.

– Może jednak mógłbym panu trochę pomóc – powiedział Szapiro.

Dyrektor kliniki sięgnął do szuflady i wyjął z niej płytę CD w plastikowym etui. Połączane opakowanie połyskiwało w jego małych, pulchnych dłoniach. Ze swojego punktu obserwacyjnego za akwarium Jonatan dostrzegł wytłoczoną na etui postać, grubą i skręconą, przypominającą tłustego, czarnego węża o krótkich łapach. Nie wiedząc czemu, na ten widok Jonatan się wzdrygnął.

– Co to jest? – zapytał ich ojciec.

– Muzyka, a cóż by innego.

– Dziękuję, ale nie interesuje mnie muzyka. Nie mogę się przy niej skupić.

– Ale nie przy tej! – Szapiro się rozpromienił. – To dziś najgorętszy towar na rynku. Ta muzyka pomaga w koncentracji! Nie wiem, gdzie ją nagrano, ale z tego, co wiem, ma związek z jakąś plemienną ceremonią. Myśliwi jednoczą się z duszą swojej zwierzyny czy coś w tym stylu.

„Pokręcona muzyka etniczna”, pomyślał Jonatan. Jego ojciec także wydawał się podejrzliwy, choć może z innych powodów.

– Wierzy pan w takie głupstwa? – spytał doktor Margolis.

– A co to może zaszkodzić? I tak pan utknął.

– Już panu mówiłem, że wcale nie utknąłem. Brakuje mi tylko jednego genialnego pomysłu, to wszystko.

Mimo wszystko ojciec schował dysk do kieszeni, aby nie urazić pana Szapiro. Potem wrócili do domu i wszystko się zaczęło. Czy ta muzyka miała jakiś związek z wydarzeniami poprzedniej nocy? Nie mogli mieć pewności. Ale kiedy rano Jonatan szukał płyty, okazało się, że zniknęła. Próbował powiedzieć o tym detektywom, od których roіło się w domu, ale

oni tylko wydawali się rozbawieni.

– Płyta z muzyką? To na pewno bardzo ważne. Zaraz ściągniemy tu helikopter. Ale skoro tak ci się spieszy, żeby pobawić się w Sherlocka Holmesa, może na razie poszukaj drobiazgów, na przykład rozbitych szyb, odcisków stóp, dziur po kulach i plam krwi.

Jonatan się zdenerwował. Dlaczego odrzucali potencjalny trop, skoro nie mieli nic lepszego? Największą zagadką dla policji było to, że w domu nie było ani śladu włamania. Ale to, co zdarzyło się poprzedniej nocy, w żadnym wypadku nie mogło się wydarzyć samo z siebie.

Doktor Margolis postanowił mimo wszystko przesłuchać płytę z muzyką, którą dostał od dyrektora Szapiro. Późnym wieczorem włożył dysk do komputera w laboratorium. W salonie piętro wyżej słychać było tylko stłumione, monotonne, odbijające się echem dźwięki. Potężne bębny jak toczące się gązdy, ogromne statki uderzane przez fale, olbrzymie trąby grzmiące głęboko w trzewiach ziemi. Jonatanowi i Eli przytrafiło się coś, co prawie nigdy im się nie zdarzało: ich oczy same się zamknęły i zasnęli na kanapie w salonie przed telewizorem. Może to właśnie ta ciężka muzyka uspiła ich i dlatego nie wiedzieli, co działo się w piwnicy.

Doktor Emanuel Margolis mógłby dostać do dyspozycji najnowocześniejsze laboratorium w dowolnym koncernie farmaceutycznym na świecie. Ten genialny psychofarmakolog specjalizujący się w badaniach nad lekami psychotropowymi wpływającymi na stany psychiczne i nastroje pracował nad wynalezieniem lekarstw, które rozwiązałyby najstarsze problemy trapiące rodzaj ludzki. Emanuel zasłynął jako wynalazca pigułki Eros-BME2 pomagającej zakochać się nawet najbardziej krytycznym i cynicznym ludziom. Ponadto został nominowany do Nagrody Nobla jako twórca Kain-X7, silnego antidotum przeciwko zazdrości, które zdaniem Organizacji Narodów Zjednoczonych miało odegrać decydującą rolę w zapobieganiu konfliktom i wojnom na całym świecie. Ale doktor Margolis postanowił stworzyć laboratorium tam, gdzie inni ludzie zwykle urządzają siłownię lub schowek – w piwnicy własnego domu. Za jego plecami szeptano, że podjął tak nielogiczną decyzję, bo chciał być blisko dzieci. Potem ci sami plotkarze kręcili głowami i wspominali jego biedną żonę. Wielka szkoda, że właśnie na ten mrok, który ogarnął jej duszę, nie znalazł jeszcze lekarstwa. Gdyby mu się to udało, doktor Margolis stałby się pewnie jednym z najbogatszych ludzi na świecie. Któż bowiem odmówiłby małej pigułki, która usunęłaby z jego duszy smutek i cienie?

Także w firmie Hypocricom Ltd. tak uważano. Hypocricom był największym koncernem farmaceutycznym na świecie. Przeznaczał na badania prowadzone przez doktora Margolisa astronomiczne sumy, zaspokajał wszystkie jego potrzeby i zapewniał mu byt. Emanuel Margolis nie przyjął posady etatowego pracownika firmy – takiego, który dostaje rozkazy z góry – dlatego też traktowano go w Hypocricomie z dyplomatyczną uprzejmością i widziano w nim jakby partnera. Koncern już zadbał o to, aby do prasy wyciekła informacja, iż jej czołowy badacz jest bliski wynalezienia lekarstwa, które zmieni melancholię w relikwiny przeszłości. „Mam ciało tak zdrowe / tak dobrze się czuję / na sercu tak lekko / i nic mnie nie kłuje!”, piał radośnie reklamy Hypocricomu w radiu, telewizji i internecie.

Laboratorium w piwnicy domu przy ulicy Pierwiosnka zbudowali inżynierowie koncernu.

Każdy centymetr kwadratowy został maksymalnie wykorzystany. Przywieziono najnowocześniejsze urządzenia. Laboratorium było niewielkie, ale znakomicie wyposażone, a każda rzecz, poczynając od ręczników po przedmioty, które wyglądały jak małe reaktory atomowe, miała wytłoczone logo Hypocricomu: był nim czerwony wąż oplatający srebrną strzykawkę. Doktor Margolis codziennie spędzał w swoim laboratorium wiele godzin i zapominał wtedy o całym świecie. Jego dzieci musiały czasami zejść do piwnicy, aby go stamtąd wyciągnąć.

Jonatan i Ela obudzili się nagle w środku nocy na kanapie, przestraszeni i złani potem. Co dziwne, obojgu śniło się, że ktoś ich goni. Ich serca łomotały jak oszalałe. Ale szybko zapomnieli o śnie, bo w domu było jakoś dziwnie. Na początku nie mogli zrozumieć, co właściwie się zmieniło. Zegary stanęły, a na ekranie telewizora błyskały bezgłośnie kolorowe, fosforyzujące łuki. Ela pomyślała, że pewnie niechcący przełączyli na nieznaną kanał, i wyłączyła odbiornik. W ciemności, która zapanowała, w jednej chwili zrozumieli, co jest nie tak: zapach! Choć było lato, dom pełen był zimowych woni: naelektryzowanego powietrza, burzy z piorunami, mokrej ziemi, przypalonych grzanek, wody kapiącej z liści hiacyntów w ogrodzie. Zapach ten był bardziej namacalny od wszystkich znanych im woni. Pulsował i łaskotał ich nozdrza niczym żywe stworzenie. Powietrze w domu mruczało potężną energią. Jonatan spojrział na telefon, który zupełnie zwariował i migotał przeróżnymi światełkami, po czym dotknął swoich włosów – tak naelektryzowanych, że iskrzyły z trzaskiem w ciemności.

– Wyglądasz jak wkurzony pawian! – Roześmiał się, spojrzawszy na Elę, której krótka czarna czupryna sterczała na wszystkie strony.

– Idiota – skwitowała krótko. – Zastanowiłeś się w ogóle, co się dzieje z tatą tam, na dole?

Poczuł, jak włoski na jego karku stają dęba. Ela pierwsza się otrząsnęła. Lata treningów kung-fu i samoobrony zrobiły swoje. Ostrożnie weszła do kuchni. Po krótkim namyśle wybrała wałek do ciasta i podała go Jonatanowi. Jeszcze jedna szybka myśl – i dla siebie wzięła duży nóż do mięsa.

– Schowaj się za mną – poleciła bratu, a on po raz pierwszy ochoczo jej posłuchał.

W laboratorium panowała ciemność. Nie było prądu. Wydawało im się, że coś żywego drży w mroku i przygląda się im. Ciężki sejf leżał otwarty na podłodze. Otaczały go potłuczone słoje, zdeptane pigułki, podarte kartki i roztrzaskane próbówki. Drogi elektroniczny mikroskop leżał na ziemi niczym sztywny trup z nogami w powietrzu. Na monitorze błyskały wznoszące się i opadające fale o lśniącej barwie, takie same jak te na ekranie telewizora. Później detektywi odkryją, że komputer zmienił się w martwą masę układów scalonych, a cała jego zawartość uległa zniszczeniu.

– Szukali lekarstwa – powiedział Jonatan i przeszył go dreszcz.

Jego wzrok powędrował w stronę dużego aluminiowego zlewu w kącie, który najwyraźniej przetrwał bez szwanku ogólną demolkę. Z brzegów wylewała się woda. Jonatan miał wrażenie, że na podłodze pod zlewem zauważył mokrą plamę w kształcie odcisku męskiego buta. Ale zanim mógł się upewnić, czy nie jest to złudzenie, albo zawołać Elę, żeby sama spojrzała, woda zalała jedyny dowód.

W kącie laboratorium leżał ich ojciec w nienaturalnej pozycji, jakby cisnęła go tam jakaś ogromna siła. Wyglądał jak porażony piorunem. Jego włosy, rzęsy, a nawet koniuszki

palców były osmalone. Otaczała go ciężka, ostra woń deszczu i burzy. Na twarzy miał kilka krwawych rozcięć, ale ku wielkiej radości Eli i Jonatana okazało się, że oddycha. Jego ciało zasłaniała zerwana ze ściany wielka płachta z tablicą Mendelejewa. Ela właśnie miała ją przesunąć, żeby sprawdzić, czy ojciec nie ma poważnych obrażeń, lecz w tym momencie oboje instynktownie poczuli, że pod spodem coś jest nie tak, jakby ciało ich taty było jakoś zniekształcone.

– Odsuń się! – rzuciła Ela i gwałtownie odepchnęła brata.

– Nie boję się.

Skłamał. Cały dygotał. Zza pleców siostry nic nie widział. Czyżby ojcu czegoś brakowało? A może coś poruszało się w miejscu, gdzie nie powinno się poruszać, albo miał dodatkową kończynę, której mieć nie powinien?

Nie dowiedział się, co się stało. Ela z powrotem przykryła ojca i zamrugła, wstrząśnięta.

– Dzwon na policję – nakazała bratu, trupio blada z przerażenia.

Kolana się pod nią ugięły i zrobiła coś, co nigdy jej się nie zdarzało: wsparła się na ramieniu Jonatana.

Czasami okazuje się, że policja, która tak beztróska lekceważy bardzo ważne ślady, może być wyjątkowo dociekliwa, gdy chodzi o dwoje dzieci (czy jak kto woli, o bezradnego chłopczyka i dojrzałą, zaradną piętnastoletnią pannę taką jak Ela), które zostały same. Jak inaczej wyjaśnić nagłe przybycie ich najbardziej zniechęconej ciotki, doktor Rity Margolis-Farkasz, która właściwie była ich jedyną rodziną? O piątej po południu przeraźliwie zadzwonił dzwonek do drzwi, a w progu stał nie kto inny, jak tylko ciotka Rita, cała we łzach rozpaczony z powodu tragedii i uśmiechach zachwyty na widok bratanicy i bratanka. Na chodniku za nią stał rząd walizek z modnych skór nieszczęsnych zwierząt: łasicy, nosorożca, dzikiego kota, ufarbowanych na różowo, zielono lub w wymyślny wzór z kwadratów i pasków. Dzieci powinny szaleć na punkcie osób takich jak ciotka Rita, która, chyba wszyscy się zgodzą, była osobą fascynującą. Przybrana ciotka (jej rodzice adoptowali Emanuela, gdy był niemowlęciem) to ich jedyna krewna na całym świecie.

W rodzinie Margolisów – jak zwykle się żartowało – było więcej tytułów naukowych niż dzieci. Emanuel był doktorem psychofarmakologii i medycyny, Tami – doktorem filologii klasycznej, nawet ciotka Rita była doktorem antropologii. To oznaczało, że zniknęła na wiele miesięcy, a nawet lat, w jakiejś Amazonii czy na Madagaskarze, a potem zjawiała się nagle nieproszona ze swoimi walizkami pełnymi (Jonatan mógłby przysiąc) kości i czaszek. Ciotka Rita miała bardzo niestosowne zwyczaje: przywoziła dzieciom straszne zabawki, które wyglądały jak śmierdzące laleczki wudu, rozrzucała syntetyczną bieliznę i zostawiała łazienkę pełną brudnej wody. Nie wyglądała na ciotkę, która mogłaby cokolwiek wymyślić, i bardzo różniła się od ich szczupłego, delikatnego ojca o odstających uszach i zielonych smutnych oczach. Rita była wysoka i bardziej barczysta od wszystkich znanych im mężczyzn. Miała ciemnoczekoladowe błyszczące oczy, lwią grzywę lśniących ciemnych włosów i opaloną na brąz skórę. Mięśnie jej łydek były rozdęte jak grejpfruty i na pewno mogłaby udusić ramionami niedźwiedzia. Pewnego razu Jonatan znalazł w jednej z jej walizek łuk wyrzeźbiony z dziwnego materiału, który przypominał ogromny cios pradawnego słonia. Gdy zapytał Ritę, z kim walczyła, ona tylko się roześmiała i odparła, że to eksponat muzealny, a jeśli jeszcze raz postanowi szperać w jej rzeczach, z radością

poucina mu paluszki.

– Moje słodkie ptaszyny! – ryknęła czule ciotka Rita. – Ach, co oni wam zrobili? Biedactwa! Macie przypadkiem jakieś zarcie w lodówce?

Jonatan cofnął się, uderzony słodką, duszącą wonią perfum, którą ciotka maskowała Bóg wie co.

– Co ty tu robisz? – zapytała oschle Ela.

– Cóż za pytanie! Przyjechałam, żeby was chronić! Wyobraźcie sobie, że włamywacz nie znalazł tego, czego szukał. Pewnie jeszcze tu wróci!

Skąd ciotka Rita wiedziała, że włamywacz nie znalazł tego, czego szukał? Przecież całą sprawę wyciszono, a o szczegółach zdarzenia nie mówiono w wiadomościach. Jej słowa tylko potwierdziły podejrzenia Jonatana, że policja rozmawiała z nią osobiście. Westchnął. Detektywi jednak nie byli tacy głupi, skoro doszli do wniosku, że włamywacz może wrócić. On sam też to wiedział. Ale nie miał zamiaru dzielić się swoimi przemyśleniami ani z Ritą, ani z Elą.

– Niepotrzebnie przyjechałaś – oznajmiła Ela. – Ja i mój braciszek doskonale poradzilibyśmy sobie sami.

Choć „braciszek” zgrzytnął mu w uszach, Jonatan świetnie rozpoznał nadgorliwy ton w głosie siostry. Ela należała do osób, które żyją w oczekiwaniu na moment, gdy cała odpowiedzialność spocznie na ich barkach. I naprawdę nie zamierzała pozwolić Ricie, aby ta skradła jej tę cenną chwilę. Ale ich przybrana ciotka zarżała jak koń.

– Sama byś sobie poradziła? Ty?

Ela zaczerwieniła się jak burak. Jonatan też poczuł się dotknięty.

– A dlaczego nie możemy nocować u wujka Noego? – zapytał, próbując znaleźć kompromis.

Ciotka Rita prychnęła pogardliwie.

– Mówisz o Zipplu? Nigdy w życiu! On nie jest waszym prawdziwym wujkiem. Nawet nie jest przybranym wujkiem. A poza tym co ten frajer robi w kryzysowej sytuacji?

– Wujek Noe wcale nie jest takim nieudacznikiem.

Jonatan znów poczuł się urażony, tym razem w imieniu Noego. On i Ela bardzo go lubili. Doktor Noe Zippel był jedynym przyjacielem ich ojca, kolegą z pracy i dumnym starym kawalerem. Noe i Emanuel postawili sobie cel, że będą się zachowywać jak na prawdziwych mężczyzn przystało. Czasem oglądali razem mecze koszykówki w telewizji, hałasując, ile wlezie (wujek zwykle nawet nie pamiętał, kto z kim gra). Noe próbował też nauczyć ich ojca palenia papierosów i picia piwa (uważał, że palenie i picie to typowo męskie zajęcia owiane romantyczną aurą). Szczycił się swoim zbiorem fajek i cygar; dumny był zwłaszcza z połączonej zapalniczki Zippo z wytłoczonym wizerunkiem iguany, którą sprzedano mu na pchlim targu za dwa razy więcej, niż była naprawdę warta.

Ale zawsze świetnie się z nim bawili. O wiele milej byłoby spędzić ten wieczór z wujkiem Noem. Niestety Rita nawet nie brała takiej możliwości pod uwagę.

– Noe-szmoe, nie zawracajcie mi głowy! Ktoś się musi wami zająć, więc zostaniecie ze mną.

Wieczór ten, i tak trudny, obrócił się w katastrofę. Ciotka Rita przywiozła im prezenty z podróży. Wyglądały jak wypchane pisklęta. Wyjaśniła, że to ulubione zabawki dzieci Mikuraczi, cudownie cywilizowanego plemienia kanibalów zamieszkującego rezerwat

niedaleko Ziemi Ognistej. Jonatan postanowił zakopać je w tajemnicy w ogrodzie, bo strasznie śmierdziały. Ela, która nie znosiła wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z kuchnią, dostała rozkaz przyrządzenia na kolację spaghetti. Ciotka Rita bez trudu pochłonęła siedem ósmych zawartości garnka i była tak dobra, że zostawiła im na dnie kilka klusek.

– Może lepiej będzie, jeśli ich nie zjecie – powiedziała z żalem. – Żebyście, nie daj Boże, nie przytyli. – Z miną wyrażającą wielkie poświęcenie dokończyła makaron, a Jonatan i Ela musieli zadowolić się stęchłymi krakersami, które znaleźli w kredensie. – A teraz zrób mi kawę, jeśli łaska – odezwała się najedzona Rita do Eli.

Jonatan widział, że siostra zaraz straci cierpliwość. Kto wie, co mogłaby wtedy zrobić?! Zadrżał.

Na szczęście Ela na razie trzymała nerwy na wodzy.

– Cukier czy słodzik? – spytała uprzejmie.

– Cukier, poproszę. Pięć łyżeczek – odparła ciotka Rita i głośno beknęła.

Jonatan modlił się, żeby siostra nie dała się ponieść emocjom i nie zrobiła czegoś głupiego. Wprawdzie Rita była starsza i silniejsza, lecz na tyle dobrze znał Elę, by wiedzieć, że nie warto jej prowokować. Oby tylko wieczór minął spokojnie! Nie miał ochoty na awanturę między tymi dwiema dzikimi koticami.

Wieczorem ciotka Rita poszła na górę, żeby przygotować sobie pachnącą kąpiel. Zostawiła za sobą na podłodze korytarza żółtą kamizelkę ze sztucznej koronki, podwiązki z materiału udającego węzową skórę, buty na obcasach z zielonego plastiku i majtki w żółte uśmiechnięte buźki.

Jonatan i Ela usiedli na kanapie w salonie i tępych wzrokiem wpatrywali się w ekran telewizora. Jonatan coraz bardziej był zaniepokojony tym, że ciotka zamknęła się na tak długo w łazience, ale starał się niczego nie okazać przy siostrze. To nie koniec świata. Rita nie jest szczególnie bystra. Niczego nie znajdzie. Westchnął. Co za szczęście, że nikt jeszcze nie odkrył sekretu, który zachował dla siebie przez cały dzień. W apteczce w łazience, w całkiem zwyczajnej buteleczce po paracetamolu, leżał najnowszy wynalazek ich ojca zabezpieczony od wszelkiego zła.

Skarb ukryli poprzedniego wieczoru po powrocie od mamy, zanim rozegrały się te straszne wydarzenia minionej nocy. Jonatan został sam z tatą. Ela poszła na lekcję jazdy konnej (albo pływania, albo dzudo, albo ping-ponga) i w domu był spokój. Ojciec wydawał się jakiś zmartwiony i rozdrażniony.

– Wszystko w porządku, tato?

Doktor Margolis nigdy nie uważał, że Jonatan jest zbyt młody, aby coś zrozumieć, ani że trzeba go chronić przed prawdą. Gdy byli sami, bez wahania wtajemniczał syna w swoje rozterki (nie zdarzało się to w obecności jego pierwotnej córki – Emanuel chyba troszkę bał się jej wybuchowej energii). Zmarszczył czoło i potarł je, jakby bolała go głowa.

– Coś tu nie gra. Szapiro wydawał mi się zbyt zachłanny. Lekarstwo rzeczywiście jest prawie gotowe. Brakuje tylko jednego małego kroku. Ale wszyscy tak się niecierpliwią! Boję się, że ktoś chętnie wyciągnąłby ode mnie lekarstwo, nawet nie czekając na ostatni etap.

– Myślisz, że spróbują wziąć je siłą?

– Kto wie? Wszystko może się zdarzyć.

Jonatan był miłośnikiem kryminałów.

– Jeśli chce się coś skutecznie ukryć, najlepiej schować to na widoku, w najprostszym miejscu – oświadczył z miną eksperta.

Doktor Margolis mimowolnie się uśmiechnął.

– Masz rację. – Wyjął pigułki z sejfu w laboratorium i przełożył je do zwykłej plastikowej buteleczki po paracetamolu, którą postawił w apteczce w łazience dzieci na piętrze. – Pamiętaj, że nie wolno wam ich używać – ostrzegł syna.

Tajemniczy nocny włamywacz nie znalazł tego, czego szukał, ponieważ to, czego szukał, znajdowało się nie w stalowym sejfie, ale stało między syropem na kaszel a starym popękany termometrem. Lecz z przybyciem wścibskiej Rity pojawiła się pilna potrzeba zmiany kryjóWKi. Jonatan postanowił, że gdy tylko ciotka wyjdzie z łazienki, pójdzie na górę, schowa buteleczkę do kieszeni, a w nocy zakopie ją w ogrodzie. Ale Rita nie dała mu szansy. Zeszła po schodach w iście królewskim stylu, z mokrymi włosami owiniętymi ręcznikiem jak turbanem, w malinowym satynowym szlafroku. Rozsiadła się na kanapie pomiędzy nim a Elą i oparła ogromne opalone stopy na stoliku.

– Jestem zmęczona – ziewnęła. – Przez tę troskę o was, moje słoneczka, strasznie rozbolała mnie głowa. Ela, aniołku, posłabyś na górę i przyniosła mi paracetamol?

Jonatan szybko wkroczył do akcji.

– Ela się dziś napracowała i jest zmęczona – powiedział do Rity najbardziej niewinnym głosem, na jaki mógł się zdobyć. – Ja pójdę.

Powstrzymała go ciężka ręka przybranej ciotki na jego karku.

– A co ty tak nagle troszczysz się o siostrę, samolubna myszko? – zapytała podejrzliwie i uszczypnęła go z brutalną czułością.

– W porządku, ja pójdę – zdecydowała Ela, ignorując rozpaczliwe znaczące spojrzenia Jonatana.

Poszła do łazienki na piętrze i po kilku minutach wróciła do salonu. W jednej dłoni trzymała dwie białe okrągłe pigułki, a w drugiej szklanek wody. Jonatan zastanawiał się, czy to te same proszki, w których poszukiwaniu przewracano świat do góry nogami. Rita podejrzliwie powąchała pigułki.

– Od kiedy robią paracetamol w takich końskich dawkach?

– Są w porządku – zapewniła ją Ela. – Widać, że długo byłaś z dala od cywilizacji. Weź je. Pomogą ci.

Rita otworzyła usta i już miała wrzucić do nich pigułki, ale Jonatan nie wytrzymał.

– Zaczekaj! – zawołał.

– Co się stało?

– To nie jest paracetamol.

– A co to jest?

Jonatan gorączkowo myślał nad wiarygodnym wyjaśnieniem.

– Moja siostra chce się na tobie zemścić, ciociu. Przyniosła ci coś... coś innego.

– Wstrętny zdrajca – syknęła Ela.

Nie uniknął bolesnego kopniaka w kolano. Ale w ułamku sekundy nadgarstki Eli znalazły się w żelaznym uścisku Rity.

– Próbowalaś mnie otruć, moja panno?

– Ależ skąd, ciociu. Chciałam tylko... Próbowałam... Pomyślałam, że pomogę ci się trochę zrelaksować.

– Co mi przyniosłaś?

– To tylko proszki nasenne.

– Proszki nasenne?

Zdumiony Jonatan szeroko otworzył oczy. Jego kłamstwo okazało się prawdą. Ela przejęła inicjatywę. Ale nie były to pigułki z buteleczki z paracetamolem. Jego siostra próbowała posłać ich przybraną ciotkę wcześniej spać. Szkoda, że jej przeszkodził. Fatalny błąd!

– Skąd masz te proszki? – spytała nieufnie Rita.

– Od taty – przyznała Ela. – Trzyma w naszej łazience najróżniejsze rzeczy.

– Z apteczki w łazience? Hm, ciekawe... – Ciemnobrązowe oczy kobiety rozbliły, gdy pojawiła się w nich złowróżbna iskra zrozumienia. – Co jeszcze wam tam zostawił?

– Nic, zupełnie nic – rzucił trochę za szybko Jonatan.

Natychmiast zrozumiał, że znów popełnił błąd i tylko wzbudził kolejne podejrzenia.

Nagle ciotka Rita wyszczerzyła się jak kot, który znalazł schowaną przed nim śmietankę.

– Ups! Kiedy wreszcie przestaniecie gubić swoje zabawki w kanapie?

Wyciągnęła spod jednej z poduszek połączane etui z płytą doktora Szapiro, a Jonatan przetarł oczy ze zdziwienia. Czyżby użyła jakiejś sztuczki i wytrząsnęła ją z rękawa?

– Skąd ją masz? – zapytał. – Wczoraj policja nie mogła jej znaleźć.

– Cóż, wygląda na to, że wcale nie zaginęła. Cudownie! Uwielbiam taką muzykę.

Jonatan przyjrzał się płycie. Z bliska zobaczył, że emanujący złem obrazek wytłoczony na obwolucie przedstawia szkaradnego czarnego krokodyla o zimnym, przerażającym spojrzeniu.

– Mogłabyś tego nie puszczać? – zwróciła się do ciotki Ela. – Szczerze mówiąc, nie znosimy tej muzyki.

– Myślisz, że obchodzi mnie twój kiepski gust? – parsknęła pogardliwie ciotka Rita. – A w ogóle czego ty słuchasz? Britney Spears?

Po chwili płyta była już w odtwarzaczu, a w pokoju rozległo się stłumione basowe pulsowanie. Jonatan i Ela poczuli, jakby ich rzęsy sklejał gorący klej, a ich oczy same się zamknęły. Pokój zawirował i zapadli w lepki sen. „Nie wolno mi zasnąć! – zdążył jeszcze pomyśleć Jonatan. – Muszę być przytomny albo stanie się coś strasznego”.

Zerwał się nagle, zlany zimnym potem. Ile czasu minęło? Która godzina? W pokoju było ciemno jak w grobie i znów unosił się w nim ostry, wilgotny zapach burzy. Ciotka Rita zniknęła, a Ela spała obok z otwartymi ustami i cicho pochrapywała.

– Obudź się!

Mocno potrząsnął jej ramieniem.

– Gdzie jestem? Co się stało?

Szybko wszystko jej wyjaśnił.

– Musimy zabrać lekarstwo, zanim ciotka je znajdzie.

W domu było cicho i ciemno tak jak poprzedniej nocy. Weszli po drewnianych schodach, starając się nie robić hałasu. Szli za silnym zapachem i unikali cieni, które teraz wydawały się głębokie i groźne. Drzwi łazienki na piętrze były lekko uchylone. Poruszyły się z cichym

skrzygnięciem jak kuszące wejście do pułapki.

– Zostań tutaj – poleciła bratu Ela. – Skoczę szybko do środka i zabiorę pojemnik z apteczki.

– Nie, ja pójdę. Jestem mniejszy i zwinniejszy.

– Nic nie rozumiesz. To nie są żarty. Jeśli lekarstwo przepadnie, już nic nie uratuje mamy.

– Chodźmy razem.

– Dobra. Na trzy!

Wpadli z rumorem do łazienki. Apteczka była otwarta, półki w środku puste.

– Spóźniliśmy się – powiedział Jonatan przygnieciony poczuciem katastrofy. – Wszystko przeze mnie.

– Przestań! – ofuknęła go Ela. – Patrz! Coś się rusza za zasłoną.

I rzeczywiście znów przemknął za nią gruby cień. Nie tracili ani chwili. Ela jednym ruchem odsunęła zasłonę i ujrzeni, jak coś zanurkowało niczym tłusty rekin w brudnej wodzie z resztkami szarawej piany, którą jak zwykle zostawiła ciotka Rita. Woda bulgotała, jakby się gotowała, a na powierzchnię wypływały ogromne mętne bańki. Ale gdy Jonatan zanurzył w niej palec, odkrył, że jest zimna, nawet lodowata.

– Musimy złapać złodzieja! – zawołał.

Wskoczyli do wielkiej wanny i poczuli, że woda była o wiele głębsza, niż się spodziewali. Porwał ich silny wir, który topił, wciągał i zasysał w głąb, szarpał za ubranie, miażdżył żebra i wyzymał płuca. Dyszeli i wierzgali, rozpaczliwie próbując nabrać powietrza. Czuli, jakby coś miało ich rozerwać od środka. Krztusili się, gdy woda zalewała im usta. Ela mocno ścisnęła ramię brata, a on chwycił się jej ramienia. „Musimy spróbować się stąd wydostać – pomyślał. – Tata jest w szpitalu, mama nas potrzebuje, a przecież nikt oprócz nas się o nich nie zatroszczy”. Ale brak tlenu sprawił, że i ta myśl zaczęła już blaknąć. Jonatan poczuł, że traci świadomość i że tym razem nie czeka go sen, lecz coś bardziej ostatecznego. Uścisk dłoni Eli na jego ramieniu zaczął słabnąć i wiedział, że siostra też traci przytomność. Wtem ssanie osłabło. Wir wyrzucił ich z paskudnym beknięciem, jakby miał ich dosyć. Minęła długa chwila, zanim się pozbierali, wypluli brudną wodę, przestało im się kręcić w głowie i zdołali nabrać powietrza do płuc.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała Ela.

Na pewno nie byli już w łazience. Stali w płytkim cuchnącym bajorze porośniętym rzęsą. Ponad ich głowami resztkami sił trzymał się nisko nieba zmęczony bladożółty księżyc, a nad nim wisiał zielonkawy bułat, nieruchomy i lśniący – wygięty w łuk ogon komety, niespotykany widok na niebie, które znali. Obrzeża gęstej ciemności lśniły czerwienią łuny pobliskiego miasta. Wokół niesły się głosy w obcym, gardłowym języku. Nie brzmiały, jakby miały ich radośnie powitać.

Rozdział drugi

Targ niewolników w Eridu

Odeszli może dwa, trzy kroki od czarnego, zamulonego bajora, gdy zauważyli pływające w nim źdźbła słomy i kozie bobki. Był to wodopój. Wokół niego stały przeróżne zwierzęta wierzchowe: osiodłane konie i wielbłądy, bawoły i małe nerwowe osły afrykańskie (Jonatan pamiętał je z miesięcznika „National Geographic”). Bardzo chciał wierzyć, że ogromne, zaokrąglone cienie nie okażą się słoniami. Bo co by tu robiły słonie? I dokąd, u licha, trafili?

Skołowany Jonatan zaciągnął się niezwykle intensywną wonią powietrza. Unosiły się w nim różne silne zapachy. Sprawiało wrażenie, jakby składało się z warstw dawnych, lecz kipiących życiem wspomnień. W ustach Jonatan czuł słodko-słony smak. Esencja tego miejsca była tak gęsta, że mógłby wgryźć się w nią jak w owoc. Kiedy jego oczy przywykły do ciemności, stwierdził, że miasto znajduje się o wiele bliżej, niż mu się na początku wydawało. Miasta, które znał, tonęły w blasku, lecz to było w większości pogrążone w mroku. Teraz zauważył, że prawie ich otaczało.

Lecz tymczasem jego uwagę zwróciły głosy.

– Posłuchaj! – powiedział do Eli.

Nasłuchiwała przez chwilę.

– Dziwne – rzekła w końcu. – Najpierw nic nie rozumiałam, ale ten język brzmi coraz bardziej znajomo.

– Nie poznajesz? Mama czasem tak mówiła.

Jonatan słyszał, jak mamrotała te słowa pod nosem, na długo zanim trafiła do kliniki Cedry Libanu. Przytrafiało się jej to nagle, kiedy szukała okularów albo gdy podśpiewywała pod prysznicem. Myślał, że może te słowa mają jakiś związek z jej pracą naukową, ponieważ brzmiały jak jakiś starożytny język. Jonatan czuł, jakby już prawie, prawie miał je zrozumieć, ale ich sens zawsze mu się wymykał. Co dziwne, mama nigdy ich potem nie pamiętała, nawet nie wiedziała tego, że je wypowiada, jakby przekonana, iż przez cały czas mówiła normalnie. A teraz zdarzyło się to, na co zawsze liczył. Drażniąca ciekawość została zaspokojona. Jak człowiek, który znalazł daleką stację radiową wśród trzasków i świstów, Jonatan stwierdził, że wreszcie dostroił się do częstotliwości tych głosów. Po kilku chwilach rozumiał je już całkiem nieźle (mówiły coś o wodzie i o jakimś niebezpieczeństwie, które mogło się z niej nagle wyłonić). Pamiętał, że dyrektora Szapiro bardzo zaciekały tajemnicze słowa; nawet poprosił ich ojca, aby je zapisywał. Ale Emanuel Margolis był językowym beztalenciem, więc słowa przepadły. Teraz jednak nie mieli czasu na to, aby się nad tym zastanawiać lub szukać złodzieja lekarstw, ponieważ szybko zbliżał się do nich tumult przestraszonego tłumu.

– Co tu się dzieje? – zdziwił się Jonatan.

– Uważaj! – wrzasnęła Ela i w tej samej chwili ktoś na nich wpadł.

Obrzucił ich przelotnym spojrzeniem i pokuśtykał dalej.

– Nie stójcie tak! – zawołał jeszcze do nich przez ramię. – Uciekajcie!

– Ale przed czym mamy uciekać?! – krzyknął za nim Jonatan, lecz mężczyzna nie zatrzymał się, by mu odpowiedzieć.

Zanim mogli posłuchać jego rady, porwała ich fala ludzi, którzy otoczyli ich ze wszystkich stron. Dziesiątki małych i dużych stóp biegły co siłą, wzbijając tumany kurzu i hałasując jak pędzące przez prerię stado bizonów. Postacie w łachmanach popychały Jonatana i Elę, a dookoła rozlegały się przerażone okrzyki:

– Uciekajcie! Kryjcie się! Ratujcie! Abu idzie!

Napierający tłum nie pozwalał im się zatrzymać. Słabnące nogi niosły ich po piaszczystej, suchej ziemi przez ciasny labirynt namiotów, szałasów i rozpadających się chałup.

– Gdzie my jesteśmy?! – krzyknął w biegu Jonatan do Eli.

– Nie mam pojęcia!

– I co my tu w ogóle robimy?

– A skąd ja mam wiedzieć?

Minąwszy coś, co wyglądało jak bezładne obozowisko nomadów, tłum wpadł teraz do gęściej zabudowanej części miasta. Zniknęły wałęsające się zwierzęta i szczekające psy, a pojawiły się uliczki z suchej, ubitej ziemi. Ale nadal otaczało ich zaniedbanie i nędza.

– Kim jest Abu? – Jonatan próbował zapytać biegnącego obok człowieka. – Dlaczego przed nim uciekacie?

Nie doczekał się odpowiedzi. Usłyszał tylko urywany oddech, gdy przerażony mężczyzna przyspieszył kroku, jakby samo imię ścigającego mogło go dopaść. Biegli dalej, aż znaleźli się w wąskiej uliczce między ściśniętymi jedna obok drugiej niskimi ruderami z gliny w kolorze czerwonej czekolady. Uciekający łomotali pięściami w drzwi i błagali, aby im otworzono, lecz na próżno. Musieli biec dalej, aż po kilkudziesięciu metrach zobaczyli to, czego się obawiali: uliczka kończyła się ślepym zaułkiem. Kilku zrozpaczonych nieszczęśników padło na kolana przy murze i wznosiło skargi na swój los w oczekiwaniu na najgorsze.

Jonatan przycisnął dłoń do obolałych żeber i próbował nabrać powietrza.

– Ela, weź się w garść! Co my wiemy o tym miejscu? Przecież trafiliśmy tu przed chwilą. A może wcale nie powinniśmy uciekać? Może ci ludzie to żebracy i złodzieje? Może Abu tak naprawdę jest policjantem? Może to dobry człowiek, który pomoże nam złapać złodzieja?

– Na cuchnący szpon Baariona! To ci mędrzec za pół denara! – odezwał się chrapliwy, kpiący głos nad karkiem Jonatana.

Dłoń o ostrych pazurach chwyciła Jonatana za ramię i pociągnęła go do tyłu, w głąb wnęki, która pojawiła się nagle jak dziura po zębie pomiędzy dwoma domami. W środku było ciemno jak w kominie. Jonatan potknął się, pociągając za sobą siostrę, która go kurczowo trzymała za rękę, i wszyscy troje, zadyszani i spoceni, upadli na ziemię.

– Rozważajcie sobie zalety Abu, ale na razie radziłbym wam się przed nim schować – dodał drwiący głos. – Muszę was ostrzec. Jeszcze nikt, kto wpadł w jego ręce, nie skończył lepiej niż sardynka, która wybrała się na spacer po paszczy barakudy.

– Kim pan jest? – zapytała Ela.

Jonatan usłyszał w jej głosie nieufną ostrożność i mimowolnie poczuł podziw, że siostra zachowała zimną krew w takiej chwili. Ale na nieznanym jej opanowanie nie zrobiło żadnego wrażenia.

– Nikim ważnym... – powiedział bez cienia urazy. – Na wasze szczęście wiem, co i jak.

Jeszcze będziecie mnie całować po stopach.

Jonatan milczał. Czy nieznajomy chciał ich okłamać? Nie mogli tego wiedzieć, ale coś podpowiadało mu, że powinni zaczekać. Przez kilka minut nasłuchiwali w ciszy, co się dzieje na zewnątrz, starając się wybadać kierunek pościgu. Po pewnym czasie ich uwagę zwrócił dziwny zapach. Ela pierwsza odważyła się odezwać.

– Fuj. Co to za okropny smród? – Skrzywiła się.

– Smród? – powtórzył głos, tym razem urażony. – Z całym szacunkiem, czyścioszko w szacie pranej w dziewiczym śniegu, jakim prawem tak mówisz?

Jonatan uświadomił sobie, że nieznajomy, mimo jego władczego tonu, był od niego niższy. Krępa postać leżała wciśnięta pomiędzy niego a ścianę. Rzeczywiście, dochodził od niej ostry zapach – jakby połączenie woni zepsutych jajek, mokrej koziej sierści, zepsutej cebuli i gnijącej kapusty. Choć na dworze był upał, nieznajomy miał na sobie wilgotne futro. Jonatan, który, chcąc nie chcąc, przyciskał głowę do piersi tamtego, czuł, że okrycie dziwnie pulsuje. Po chwili zrozumiał, że futro wcale nie było ubraniem, lecz żywą skórą.

– Zgadza się – potwierdził kpiący głos, jakby czytając w jego myślach.

Nagle do ręki Jonatana wsunął się długi, wijący przedmiot. Wąż? Ale chłopiec naprawdę się przeraził, gdy dotarło do niego, że trzyma w ręce żywy ogon.

Jonatan wrzasnął. A może to Ela krzyknęła? To był wielki błąd. Głos zdradził ich kryjówkę. Po chwili wszyscy troje szamotali się jak ryby w sieci, którą zarzucono na nich. Wyciągnięto ich z głębi wnęki, w której się schowali.

– Żebyście spłonęli jak ogniste majteczki Lilit! Żebyście pierdzieli jak bydłeta! – Nieznajomy ciskał swoje serdeczne życzenia w napastników, którzy zbyt nie przejęli.

Ktoś jednym ruchem zarzucił sieć jak worek ziemniaków na nieładzko potężne plecy i poniósł ich uliczkami zawieszonych do góry nogami. Jonatan próbował powstrzymać mdłości.

– Buzia na kłódkę! – chrypnął włochaty nieznajomy. – Nie wazcie się odezwać ani słowem! Ja się zajmę dyplomacją, a wszyscy wyjdziemy z tego jak kijanki ze skrzeku.

– Dusisz mnie! – wykrztusił Jonatan, gdy owłosiona ręka (a może to była noga?) wbiła mu się w gardło.

– Cisza, pyskacze! – Potężny głos zadudnił w plecach porywacza, który potrząsnął siecią, aby podkreślić swoje słowa.

Jonatan nie mógł się już dłużej powstrzymać. Z jego ust trysnął strumień kwaśnych wymiocin. Z Elą nie było lepiej. Ale w ogólnym zamieszaniu nikt nie zwrócił na nich uwagi. W końcu brutalnie rzucono ich na ziemię, aż zagrzechotały im kości. Kiedy podnieśli głowy, zobaczyli, że trafili do dużego namiotu z pozszywanych skór, oświetlonego pochodniami.

Abu nie był policjantem. Jonatan nie uwierzyłby, że jakakolwiek jednostka policji przyjęłaby go w swoje szeregi. Prawdę mówiąc, zaczynał wątpić, czy tamten w ogóle był człowiekiem. Teraz Abu chodził w tę i z powrotem po namiocie, a płomienie pochodni odbijały się od jego srebrnych wyglansowanych kopyt.

– Ile twoim zdaniem możemy za nich dostać? – mruknął (a może zamuczał?) do ucha skryby, który siedział zgarbiony na stołku w kącie i wydawał się przy swoim towarzyszu żałośnie ludzki.

Jonatan i Ela nie zdołali jeszcze otrząsnąć się z szoku, jakim był dla nich widok handlarza niewolników. Miał on ciało potężnego mężczyzny, lecz jego głowa była głową czarnego byka – bardzo zadbanego, trzeba powiedzieć – o wypolerowanych, modnie posrebrzanych rogach. Na palcach miał ciężkie pierścienie, a w nosie elegancki srebrny kolczyk z diamentem, który połyskiwał nad mięsistymi byczymi wargami mokrymi od bąbelków śliny, którą pluł, gdy mówił.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, ale nic nie ustalili. Jonatan i Ela siedzieli razem z nieznanym związani plecami do siebie na podłodze namiotu. Byk obmacał ich mięśnie i obejrzał zęby. Na widok ich brudnych ubrań prychnął z pogardą.

– Natychmiast nas rozwiąż! Nie masz prawa nas tu trzymać, ty durny połciu cielęci... – spróbowała po raz trzeci Ela i znów oberwała.

Cios zachwiał nią mocno.

– Ten dzieciak jest jeszcze głupszy i brzydszy od brata – stwierdził Abu.

Ela była chuda jak na piętnastolatkę, miała na sobie dzinsy, a jej twarz była czarna od błota. Niezbyt ostre zmysły byka najwyraźniej nie zarejestrowały tego, że jest dziewczyną. Zwracał się do niej jak do chłopca, a ona nie próbowała wyprowadzić go z błędu. Szybko się uczyła. Może nie była gotowa na to, co się wydarzyło, ale intuicja i widok przerażonych młodych dziewcząt zakutych w łańcuchy przed namiotem dały jej jasno do zrozumienia, że skoro już trafili do tego obcego świata i zostaną sprzedani do niewoli, lepiej zapomnieć o godności i udawać chłopaka.

– Panie? – odezwał się drżącym, służalczym głosem skryba. – Może, zanim ich wycenimy, powinniśmy ustalić, czy rzeczywiście nie mają orzeczenia lekarskiego?

– A co za różnica, czy mamy jakieś orzeczenie, czy nie? – zapytała Ela.

– Powiedźcie, przybyliście z Churbekistanu albo z Tiz El-Nopolis? Ten, kto nie ma ważnego orzeczenia, uważany jest za mienie porzucone.

– Czyli?

– Ponieważ nie przechodzi badań ani leczenia, może być nosicielem choroby...

Skryba skrzywił się z odrazą. Szybko umył blade, poplamione atramentem ręce w misce z wodą, przerażony, jakby mógł zachorować od samych słów.

– O jaką chorobę chodzi? – zaciekał się Jonatan.

– Epidemii plam ciemności. Nie słyszałeś, że znowu wybuchła? Jeśli kogoś nie stać na badania lekarskie, sprzedaje się go do niewoli albo wysyła do obozu kuracyjnego. Wierźcie mi, nie chcielibyście tam trafić.

– Bachory! – ryknął Abu. – Dość tych gier. Kiedy ostatni raz przechodziliście badanie lekarskie?

Jonatan i Ela milczeli, przerażeni. Negocjacje z handlarzami niewolników – jak się okazało, bardzo przydatna umiejętność w prawdziwym życiu – nie zostały uwzględnione, niestety, w planie zajęć ich szkoły. Tylko nieznanemu nie stracił głowy. Szturchnął Jonatana w żebra nienaturalnie ostrym łokciem.

– Na wiosnę, ma się rozumieć – szepnął za jego plecami. – Ech, co za przygłup... Odpowiedz uprzejmie: „Na wiosnę, oczywiście, krasnolicy Abu”.

– Na wiosnę – powtórzył za nim mechanicznie Jonatan.

– A kto zapłacił?

– Nasz ojciec, o Abu... lśniący jaśniej niż tysiąc gwiazd – wysilił się Jonatan.

– A skąd przybyliście, jeśli wolno mi zapytać?

– Z wody – odparł wprost chłopiec. – Po prostu nagle się okazało, że stoimy w sadzawce.

Nawet gdyby Jonatan wrzucił do namiotu bombę, efekt jego słów i tak był bardziej niszczycielski.

– W sadzawce?! – Abu o mało nie zgasił swoim rykiem pochodni, a wstrząśnięty skryba spadł ze stołka. – Oni przybyli prosto z dołu!

– Są zarażeni! – krzyknął skryba. W mgnieniu oka wcisnął się w najdalszy kąt namiotu i zasłonił usta maseczką z białej gazy. – Och, boski Marduku, zlituj się nade mną, ocal moją duszę i oczyść ją z wszelkich ciemnych plam!

Także nieznamy za plecami Jonatana zjeżył się jak porażony prądem i wykrzyknął ze zgrozą:

– Nie wierzę! Czemuś ty mu to powiedział? Po co w ogóle otwierałeś usta, bęcwale? Dlaczego mnie nie posłuchałeś? Jeszcze miałeś szansę!

– Uspokójcie się wszyscy – powiedział Jonatan. – Nie czujemy się chorzy. Nic nam nie dolega.

– Tak myśli każdy zarażony ciemnością – jęknął skryba. – Wam nic nie jest, tylko świat wokół was staje się przygnębiający i duszny, zgniły i odrażający. Za chwilę chwycicie za broń i zrobicie coś strasznego.

– Chciałabym zauważyć, że jesteśmy związani i nie możemy się ruszyć – wtrąciła Ela.

– W takim razie zarazicie mnie swoimi przygnębiającymi myślami i jak pijawki wysieciecie światło z mojego życia.

– Przestań być takim tchórzem, Azurfidzie – przerwał mu zirytowany Abu.

Wzburzony handlarz niewolników chodził w tę i z powrotem po namiocie. W końcu podszedł do Jonatana i Eli, przyciągnął ich do siebie i spojrzał im głęboko w oczy.

– Nie są chorzy – zwrócił się do skryby.

– Skąd wiesz, panie?

– Nie wyglądają mi na zgorzkniałych ani przybitych. Na słodki miód córek Naamy! Nie sądzę, by dręczyły ich jakieś życiowe rozterki.

– Może choroba dopiero się rozwija?

– Jeśli są w stanie ukryć swoje plamy przed nami, ukryją je też przed tym, kto będzie dość głupi, żeby ich kupić. Zanim choroba się rozwinie, zdążymy się ich pozbyć. Zorganizujemy to w try miga. Oferta nie do odrzucenia! Dwa srebrne denary za sztukę albo trzy, jeśli ktoś weźmie obu. Śmieszna cena. Nawet nie opłacało mi się ich tutaj ciągnąć.

Jonatana i Elę rzucono na stos szmat z tyłu namiotu, a handlarz zajął się teraz dziwnym włóchatym stworzeniem.

– Proszę, proszę, a kogo my tu mamy?

– Zawsze do twych usług, panie Abu, o pięści potężnej jak włócznia Nuspirata.

– Co za lizus! Jakby nie było z nim dość problemów.

Handlarz chwycił stwora za kark, podniósł go i obwąchał płaskim byczym nosem. Jonatan, który po raz pierwszy miał okazję przyjrzeć się właścicielowi cuchnącego futra, szeroko otworzył oczy ze zdumienia. Nigdy nie widział niczego podobnego. Stwór miał cztery krótkie skrzydła, mniej więcej równie przydatne i imponujące co skrzydła kurczęcia, i pokryty łuskami ogon, który poruszał się, jakby żył własnym życiem. Ale nawet w tak

żałosnych okolicznościach spokojnie przyczesał nogą sierść za uchem.

– Pazuzu, do twoich usług, o olśniewająca byczości.

– Demon czwartej klasy! – ryknął Abu i ze wstrętem upuścił demona na podłogę jak przeżarte przez mole futro. – Przecież to nawet nie umie latać. Co ci wpadło do tego pokurczonego mózdzku, że postanowiłeś uciec od swego pana?

– Myślałem o chwili, gdy spotka mnie zaszczyt ujrzenia twych błyszczących oczu, o panie płodnych rzek. Powiedz mi, masz plany na wieczór? Może mógłbym zaprosić cię na kieliszek gorzałki z daktyli? Tylko ty i ja?

Ta propozycja kosztowała Pazuzu kopniaka z kopyta, który posłał go w powietrze i wytrząsnął z niego falę tłustego kurzu i pcheł.

– Założę się, że nie ma ważnej pieczęci Urzędu ds. Autoryzacji Demonów – oświadczył skryba Azurfid z zawodową satysfakcją.

– Cóż, prawdę mówiąc, mam chwilowo mały kłopot ze swoim pozwoleniem...

– Kiedy i gdzie po raz ostatni przechodziłeś coroczne badania okresowe?

– Hm... Niech sobie przypomnę. To było w mieście Tadmor. Trzy miesiące temu. Lekarz nazywał się Asparagus albo Sarpagius, a może Serpentius, jakoś tak. Był dla mnie bardzo miły. Powiedział, że dawno nie widział demona o tak pięknie rozwiniętych mięśniach klatki piersiowej.

Pazuzu zakręcił się na skórzanym dywaniku niczym model prezentujący swoje wdzięki, energicznie boksując pięściami powietrze.

– Sprawdźmy to od razu – powiedział Azurfid.

Z tyłu namiotu przyciągnął szafkę na kółkach. Z szuflad, które otwierały się na wszystkie strony, wylewały się dokumenty, zwoje i oprawione w skórę księgi. Wątła postać skryby wydawała się bezradna na tle tego ogromnego bałaganu. Pazuzu uśmiechnął się do siebie tajemniczo. Skryba otworzył pudełko, z którego wystrzelił w powietrze rój nerwowych iskier.

– Och, nie – jęknął demon. – Nie mówcie, że ta pluskwa z wychodka ma kciukochliki!

Kciukochliki rzuciły się na dokumenty niczym grad wściekłych maleńkich meteorytów i zaczęły je kartkować z ogromną prędkością.

– Przeszukajcie rejestr autoryzowanych demonów. Nie zapomnijcie o aktualnych periodykach branżowych! – poinstruował je Azurfid i natychmiast coś ukłuło go w nos.

Kciukochliki nie znosiły, gdy ktoś niepotrzebnie wtrącał się im do pracy. Były dumne ze swoich umiejętności. Nie bez powodu. Bez ich pomocy żaden urzędnik z gildii skrybów nie poradziłby sobie z papierkową robotą tego biurokratycznego imperium.

Kiedy kciukochliki skończyły poszukiwania i wyciągnęły wnioski, zebrały się w formację aerodynamiczną, okrążyły namiot, a następnie utworzyły nad głową skryby napis z lśniących iskier. Skryba z trudem próbował odczytać go przez grube okulary.

– Nie ruszajcie się, głupie muchy! – polecił i od razu poczuł kolejne ukłucie. Ale w końcu rozszyfrował wiadomość. – Mówią, że nie znalazły żadnego Pazuzu w najnowszym urzędowym spisie – oznajmił z nieskrywanym zadowoleniem.

– Nie ma licencji – powiedział Abu.

– Nie ma licencji – powtórzył skryba i oblizał wargi.

– Co za straszna noc! Wszystko, co złapiemy, okazuje się szmelcem. Ten, kto go kupi, będzie musiał zainwestować we wszystkie zastrzyki i badania. A kto by chciał inwestować

w takiego demona?

– Zapewniam cię, że mój ostatni pan mnie uwielbiał – wtrącił się Pazuzu. – Nigdzie się beze mnie nie ruszał.

– Wygląda na to, że będziemy musieli oddać cię do likwidacji – zdecydował Abu.

– Likwidacji!?

– Tak. Lekarze dadzą ci zastrzyk i po sprawie.

– To straszne.

– Ale bardziej opłacalne niż karmienie cię w nadziei, że ktoś zechce cię kupić.

– Zapewniam cię, że będę hitem na targu! – oświadczył Pazuzu. – Patrz, ile mam energii.

Demon nadął policzki, machnął czterema kurzymi skrzydełkami i z całej siły dmuchnął niczym mały smok. Obłoczek sadzy trafił prosto w nos skryby i osmalił mu twarz.

– Ty szkarado! A żeby cię oskalpowano motyką Odmuela! – zaklął urzędnik.

– Dość! – ryknął Abu z głębi byczego gardła, aż zadrżały ściany namiotu. – W porządku, śmierdzący demonie, dziś wieczorem wystawimy cię na sprzedaż. Dostaniesz jedną szansę. Ale nie więcej.

Targ niewolników w Eridu miał opinię jednego z najplugawszych miejsc w imperium. Eridu nie było odległym miastem gdzieś na skraju ziem niczych ani nawet w jednej z dalszych prowincji. Nie sąsiadowało z podnóżem gór Kaukazu na północy ani z potężnymi wrotami Ormuzu zamykającymi straszny ocean na południu. Nie leżało na pustynnych wyżynach na wschodzie za Marakandą i Kaszgarem i na pewno nie było jednym z niebezpiecznych nadmorskich miast na zachodzie, na szlaku wiodącym do wrót Gibraltaru. Eridu, starożytne miasto, które czasy swej świetności miało już za sobą, teraz zaniedbane i zrujnowane, sąsiadowało z doliną rzek na południe od Babilonu mniej niż dziesięć dni drogi od niego. Żadne inne miasto nie mogłoby sobie pozwolić na to, aby inspektorzy imperium znaleźli w nim niestrzeżony otwarty zbiornik z wodą, taki jak ten, z którego wynurzyli się Jonatan i Ela. Lecz w Eridu wszystko mogło się zdarzyć. Przyciągało wyrzutków i handlarzy niewolników, i to tu prowadzono najciemniejsze interesy w królestwie.

Jonatan i Ela wraz z Pazuzu i jeszcze kilkoma pojmanymi nieszczęśnikami pojechali na targ wozem o twardych jak żelazo cedrowych prętach, zaprzężonym w parę wołów, którymi powoził Abu. Jechali wąskimi uliczkami między chylącymi się, stłoczonymi ciemnymi budynkami. Jonatan zauważył, że niewielkie drzwi domów często znajdowały się wysoko nad ziemią i prowadziła do nich płatanina krętych schodów, na których, podobnie jak na balkonach i na płaskich dachach, panował nie mniejszy ruch niż na ulicach. Handlowano zieleniną i przeróżnymi towarami.

Gdy tak toczyli się z turkotem przez miasto, inni jeńcy w wozie wcisnęli się w kąt i starali trzymać z daleka od Jonatana i Eli.

– Czy oni mnie czymś zarażą, mamusiu? – zapytała mała dziewczynka.

– Nie myśl o nich, kochanie. Nie patrz tam. Nie słuchaj ich. Oni zgniją i się rozpadną, ale twoja dusza pozostanie czysta. Nasz nowy pan zadba o potrzebne badania i leczenie.

– Kto to jest? – dopytywał z lękiem ślepy, bezzębny starzec. – Barbarzyńcy z ziem niczych? Co im dolega? Gnicie nerek? Trąd kości? Psychoza świętego Tezeusza?

– Psychoza świętego Tezeusza? – zaciekawił się Jonatan.

– Wstrętna choroba. Chory tak się boi widoku wołów i krów, że popada w obłąd.

– Abu chyba nie byłby zachwycony. – Zaśmiała się Ela.

– Gorzej – odezwał się jeden z jeńców. – Oni przybyli z dołu. Mają plamy ciemności.

– Niech mnie Marduk strzeże! – Wzdrygnął się starzec. – Złapać to akurat teraz, kiedy stoję nad grobem? Mam ryzykować, że moja dusza już nigdy się nie odrodzi?

Do serca Jonatana wkradał się niepokój. Żeby oderwać się od panującej w wozie atmosfery, przycisnął twarz do prętów i obserwował to, co działo się dookoła. Targ niewolników odbywał się nie na jednym głównym rynku, lecz wlewał we wszystkie uliczki, przejścia i wnęki w sercu Eridu. Rozciągające się między dachami budynków płócienne prześcieradła i dywany zasłaniały nocne niebo. Pochodnie oświetlały przejścia pod dachami, a od czasu do czasu pojawiała się szklana kula, w której czarno-pomarańczowe jaszczurki zionęły ogniem jasnoblękitnym jak gazowy płomień.

– Jak to się dzieje, że te jaszczurki nie spłoną? – spytał Jonatan demona.

– A dlaczego miałyby spłonąć? Przecież to salamandry. Zapewniam cię, są o wiele zimniejsze i spokojniejsze ode mnie.

Pazuzu nie wydawał się zbyt pozytywnie nastawiony. Próbował przegryźć cedrowe pręty, aż w końcu złamał sobie kieł. Zaklął i się poddał.

– Dzięki, że chciałeś nam pomóc – powiedział Jonatan, żeby jakoś udobruchać demona.

– I co mi z tego przyszło? Paplesz, co ci ślina na język przyniesie, i wszystko psujesz! Gdybyś mnie posłuchał, wcisnąłbym tej prostackiej, ćwierćmózgowej bestii jakąś historyjkę. Teraz wszyscy siedzielibyśmy w jakiejś miłej knajpie i popijali biber z daktyli za świętego Tezeusza i głupotę byka.

– Nie wiem, jak miałoby się to nam udać, ale to miło z twojej strony, że próbowałeś.

– Żebyś sobie nie myślał, że was polubiłem. Nic z tych rzeczy. Po prostu widziałem was wtedy.

– Kiedy?

Pazuzu wpatrywał się w Jonatana okrągłymi czerwonymi oczami.

– Do najbystrzejszych to ty nie należysz, co? Widziałem, jak wyszliście z wodopoju, i pomyślałem, że znacie drogę powrotną.

Jonatan nadal nic z tego nie rozumiał.

– Drogę powrotną dokąd?

Zrozpaczony demon rwał sobie sierść z pyska.

– No wiesz. T a m. Na dół.

– Dlaczego po prostu nie wskoczysz do sadzawki i nie wrócisz tam, dokąd potrzebujesz wrócić?

– Ech... – Rozdzierające westchnienie Pazuzu rozbrzmiało we wszystkich zakamarkach jego ciała. – Gdyby to było takie proste. W każdej chwili mogę wskoczyć do śmierdzącej wody, która sięga mi do kolan. Uwierzcie mi, robiłem to dziesiątki razy. Ale otworzyć ją za pomocą magii i dać nura w głąb na dno wszystkich den? To zupełnie inna sprawa.

– Myślałem, że jesteś demonem. Nie możesz robić tego, na co masz ochotę?

Proste pytanie Jonatana miało przygnębiający skutek. Pazuzu tak się zasmucił, że w jego oczach stanęły łzy, a cwaniackie spojrzenie zastąpił wyraz jakby rozmarzenia.

– Może dziwi cię, że taki potężny demon nie może wykonać prostej sztuczki. Cóż, masz rację, że się dziwisz. Wstyd mi za siebie. Tak nisko upadłem! Ale nie miałem wyjścia. W dzisiejszych czasach nawet taki arystokrata wśród demonów jak ja może co najwyżej

ugotować jajko na twardo. Co tu mówić o otwieraniu drogi powrotnej.

– Dokąd próbujesz wrócić?

– Do Otchłani, ma się rozumieć. Do domu. Na łono wielkiej matki, ukochanej matki nas wszystkich.

– Do Otchłani? Myślałem, że wszyscy tutaj się jej boją.

– A jest inny wybór? Już rzygać mi się chce od tego sterylne imperium z jego wszystkimi bezwzględными prawami. Przełało mi się. To koniec. Postanowiłem zrezygnować. Wypisać się. Przykręcić im kurek. Ale żeby stąd odejść, potrzebna jest otwarta woda. I nie myśl, że łatwo ją znaleźć. Pomiedzy Ormuz na południu po Ararat na północy nie została ani jedna kałuża. Nawet cuchnący zlew. Ale dzięki rozumowi i odwadze udało mi się w tajemnicy przeszukać setki kilometrów i znalazłem to nędzne bajoro, z którego wyszłście. Przez wiele miesięcy siedziałem naprzeciwko niego, medytowałem i modliłem się do Ereszkigal, mrocznej strażniczki wrót, żeby przypomnieć sobie odpowiednie zaklęcie albo przynajmniej komuś je ukraść. Kiedy tej nocy zobaczyłem, jak wychodzicie z wody, pomyślałem, że zdarzył się cud. A ponieważ jestem naiwnym demonem o szczerzłotym sercu, uwierzyłem, że jeśli uratuję was od Abu, w waszej dobroci wskażecie mi drogę powrotną.

– Bardzo mi przykro – powiedział Jonatan. – Chętnie bym ci ją pokazał, ale ja sam nie... Och!

Musieli przerwać, bo wóz gwałtownie szarpnął w bok. Abu smagnął woły batem i skierował je na miejsce postoju. Dotarli do centrum targowiska.

Na targu panował ruch i gwar. Sprzedawcy pokazywali swoje towary na platformach, po których przechadzali się wystawieni na sprzedaż niewolnicy, a licytatorzy wychwalali ich zalety. Ela pomyślała, że przypomina jej to wybiegi na pokazach mody, które oglądała w telewizji. Pogratulowała sobie, że nie wyjawiała Abu swojej płci, i owinęła się bawełnianą szatą, którą zabrała ze stosu szmat w namiocie. Trudno było nie zauważyć, że części z tych niewolników wystawionych na sprzedaż daleko było do ludzkiego wyglądu. Uwagę Jonatana przyciągnął zwłaszcza wybieg na końcu uliczki otoczony tłumem podekscytowanych kupujących. Po platformie sunął dostojnie sznur kobiet (lub istot rodzaju żeńskiego), najpiękniejszych i najbardziej szlachetnych, jakie Jonatan widział w życiu. Były bardzo wysokie i poruszały się z doskonałą równowagą, jakby sunęły na prądach powietrza. Ich skóra mieniła się przeróżnymi odcieniami niebieskiego i fioletu, od bladego liliowego i sennej dymnej szarości po kukurydziany błękit, turkus i królewskie indygo. Maleńkie dzwoneczki u ich kostek dzwoniły przy każdym ruchu. Jonatan nie mógł oderwać wzroku zwłaszcza od jednej z nich: kobiety o najciemniejszej skórze w kolorze zaczarowanej atramentowej purpury. Miała upięte włosy ozdobione lśniącymi klejnotami i skośne oczy o barwie burzowych chmur. Zauważyła spojrzenie Jonatana i posłała mu uśmiech i pocałunek. Przeszły go ciarki. Zęby pięknej kobiety, białe i lśniące, były cienkie i ostre jak igły do upuszczania krwi.

– Kto to jest? – zapytał Jonatan Pazuzu.

– Naamy. To demony, ale mają pozwolenia. Są bardzo popularne. Niejeden facet marzy o posiadaniu naamy. Są bardzo drogie, ale w Eridu można dostać je po okazyjnej cenie.

– Kupujący się ich nie boją?

Demon się roześmiał.

– Naamy są bardzo groźne, ale nie bardziej niż każdy inny demon tutaj w ramach traktatu. Są łagodne jak owieczki, bo dobrze wiedzą, co by się z nimi stało, gdyby było inaczej.

– O jakim traktacie mówisz?

– O traktacie z Mardukiem, oczywiście.

– Z kim?

Pazuzu przewrócił czerwonymi oczami w stronę dachu klatki.

– Co ty masz pod czaszką, dzieciaku? Zabij tego bezczelnego robala pod moją lewą łopatką, jeśli łaska, a ja w tym czasie wytłumaczę ci, o co chodzi w życiu. Jak twoim zdaniem powstał świat?

– Wielki Wybuch?

– Bzdury! Na początku była Tiamat. Dusza Otchłani i magii. Pramatka nas wszystkich. Nosiła w sobie Prastworzenie, była Prastworzeniem, a my, demony, jej ukochanymi dziećmi. Narodziliśmy się, gdy jej myśli zderzyły się ze sobą i poznała siebie. Byliśmy kolorowi i ciemni, mali jak komary i ogromni jak kontynenty. Byliśmy tysiącem tysięcy jej oblicz, tak jak barwy tęczy są tysiącem tysięcy oblicz światła.

– A co z ludźmi?

– Z wami? Ha! Ulepiliśmy was sobie z błota dla zabawy, żeby nam się nie nudziło w ciemności. Co to były za zabawki! Ale Odmuel, pierwszy człowiek, wykręcił nam paskudny numer. Stworzyliśmy go bez ust – i bez tego mieliśmy dość kłopotów – ale on jakoś otworzył usta i wypowiedział pierwsze słowo. A słowo stało się duszą. I hop! Dusza wróciła i zamieszkała w jego piersi. Wtedy Odmuel i jego dwaj synowie zaczęli trajkotać jak stare baby. Wszystkie słowa, które wypowiadali, uwalniały z błota pomniejsze bóstwa, które stworzyły światło i gwiazdy, i wszystkie zwierzęta, i rośliny, którymi my nie zawracaliśmy sobie głowy. Ciało Odmuela było stworzone ze starego, dobrego błota, lecz jego dusza powstała z magii słów, nad którą nie panowaliśmy. Ciało pierwszego człowieka umarło i rozpadło się, ale jego dusza wniknęła do innej bryły błota i Odmuel wrócił do życia. I tak straciliśmy kontrolę nad naszą zabawką, a dusza wciąż odradzała się na nowo. W tamtych czasach wszyscy ludzie żyli raz za razem.

– I co się wtedy stało?

– Trwało to tysiąc lat, aż do dnia, w którym król Eldegol, kolejne wcielenie Odmuela, postanowił zbudować ziggurat do nieba.

– Mówisz o wieży Babel?

– O Zigguracie Niebios. Tak go nazywali i nic nie wiem o żadnej innej nazwie. Ziggurat Niebios miał sięgać aż do gwiazd. Tak daleko od Otchłani, aby ludzkie ciało z błota nigdy nie umarło, a dusza nie musiała zapominać wszystkiego, co wiedziała, ani rezygnować z siły, którą zebrała, by szukać nowego domu.

– Całkiem sensowny pomysł – zauważył Jonatan.

– Tak ci się wydaje? Jak się pewnie domyślasz, Tiamat nie była nim zachwycona. Obawiała się, że ludzie staną się zbyt silni i zaczną sprawiać jej kłopoty. Wybuchła straszna wojna, obóz ludzi i bogów przeciwko Otchłani i jej demonom. Gdy Tiamat zobaczyła, że przegrywa, dmuchnęła na obóz Eldegola i zesłała na niego plagę plam ciemności. Gdy król obudził się pewnego ranka, zobaczył, że jego wojownicy wpadli w rozpacz. Tarzali się po ziemi i płakali, brudni i bezradni. Jak zdołowane ślimaki. Skręcaliśmy się ze śmiechu!

Eldegol zwariował ze smutku. Wykrzykiwał, że choroba niszczy to, co u człowieka najcenniejsze – jego duszę – i że Tiamat chce znów zmienić wszystkich w błoto. Razem z dwoma synami, Aszperboszetem i Nuspiratem, Eldegol wspiął się na szczyt zigguratu, który był już wtedy bardzo wysoki. Za pomocą magii słów stworzyli Marduka, boga lśniącego jak stalowe słońce. Marduk był silniejszy od wszystkich pomniejszych bóstw razem wziętych. Zebrał ludzi i bogów i pokazał Otchłani, co to wojna. Byłem tam i wiem. To była najstraszniejsza i najwspanialsza rzecz, jaką widziałem. Z nieba leciały czarne pioruny, a ziemia rzygała lawą i płynnym szkłem. Całe armie, które wstały rano, zostały zmiecione w pył przed obiadem.

– Kto zwyciężył?

– Marduk. Pokonał Tiamat. Ale ona zdążyła jeszcze zmienić ziemię w błoto i Ziggurat Niebios się zapadł. W każdym razie Tiamat przegrała. Wygnano ją pod ziemię i uwięziono w słonej wodzie Otchłani. To wszystko zdarzyło się tysiąc lat temu i tak powstało imperium. Ale Tiamat wciąż czai się w głębinach.

– A więc to dlatego Abu tak się przeraził, kiedy usłyszał, że wyszliśmy z bajora?

– Pewnie. Każde źródło wody głębsze niż filiżanka herbaty uważa się tu za straszne niebezpieczeństwo. Nie znajdziesz w całym imperium studni, której nie zasłonięto ciężką żelazną kratą, ani rzeki, której nie pilnowaliby uzbrojeni strażnicy. Jeśli kiedyś pójdziesz na brzeg morza, nie zobaczysz fal, lecz ciągnący się bez końca potężny mur, zrobiony ze szkła pod napięciem elektrosylfidycznym, który nie przepuści żadnego demona.

– Ale skoro jesteś demonem, to co robisz tu, na górze? Czemu nie zostałeś w Otchłani?

Pazuzu podrapał się pod pachą.

– Oczywiście walczyłem u boku Tiamat. Ona jest naprawdę cudowna, kiedy się ją lepiej pozna, a ludzie... Delikatnie mówiąc, nie są w naszym guście. Ale potem Tiamat przegrała i się wycofała. Dać się zamknąć na tysiąc lat w brzuchu ziemi? To trochę przygnębiające. I tak dochodzimy do traktatu. Marduk podpisał z nami, demonami, umowę. Pozwolono nam przybyć na górę i stać się częścią imperium. Chyba po prostu nie dawali sobie rady bez naszej wspaniałej magii błota... Ale w zamian za pozwolenie na pozostanie na ziemi musieliśmy się zgodzić na poważne wyrzeczenie. Ci żałośni satrapowie, synowie i uczniowie Aszperboszeta, na nasz widok trzęśli się ze strachu. Twierdzili, że Otchłań może przez nas dostać się na górę i odzyskać kontrolę nad imperium. Żeby móc nas wykorzystywać, musieli nas osłabić. Wynaleźli specjalne substancje usuwające wspomnienia. Te ich leki zniszczyły w nas zdolność posługiwania się mocą magii Wielkiej Matki. Słyszałeś o Demonofornie? Brr! Zawsze po zastrzyku okropnie boli mnie głowa i nawet najmniejsze zaklęcia rozpraszają się w umyśle jak dym. Związek rtęci i wilczej jagody? Obrzydlistwo, w dodatku powoduje przedwczesny uwiąd starczy. Sulforoksat? Odbiera mi chęć do życia. Jesteśmy tu niewolnikami, służącymi drugiej kategorii. Ze związanymi rękami musimy odwalać całą brudną robotę, której ludzie nie mogą albo nie chcą wykonywać. Raz do roku przechodzimy szczegółowe badania Urzędu ds. Autoryzacji Demonów. UAD to straszna instytucja. Mamy udowodnić, że nie użyliśmy żadnej magii, która wykracza poza ustalone standardy. Zaklęcia, których wolno nam używać, są mniej więcej równie trudne co mycie latryny i wyrafinowane jak suszone śliwki. Tak więc, o ile nie jesteś kciukochlikiem z mózgiem wielkości paznokcia, możesz dostać szału.

Jonatan chciał zapytać Pazuzu, dlaczego demony się nie zbuntują, ale przerwano im

rozmowę, gdy drzwi klatki się otworzyły i ręka Abu chwyciła demona za kark.

– To twoja szczęśliwa noc, śmierdzielu. Mam kupca z ograniczonym budżetem, który szuka demona komunikacji.

– Igrat Bat Mahlat, zlituj się nade mną! – jęknął Pazuzu. – Ze wszystkich zajęć na świecie musiała mi się trafić akurat komunikacja!

Ale ponieważ wysłano go już na platformę, demonstracyjnie przygładził sierść na czubku głowy i wypiął pierś jak kogut.

Kupiec, ogorzały, pomarszczony od słońca mężczyzna w ciężkiej wełnianej szacie, zagryzał grube wargi jak żująca trawę krowa. Z tyłu za nim stał ponury wielbłąd.

– Prowadzę karawany przez słońca pustynię Partii – wyjaśnił kupiec. – Mój demon komunikacji zepsuł się podczas ostatniej podróży. Może to przez ten upał i brak wody. Musiałem go uśpić.

Pazuzu skulił się i ciarki przeszły mu po grzbiecie. Kilka przestraszonych pcheł zeskoczyło z jego obroży i uciekło jak szczury z tonącego okrętu.

– Demon, którego ci oferuję, panie, jest w doskonałym stanie – zamuczał przymilnie Abu. – Ma świetną motywację, a, jak wiadomo, morale jest u nich najważniejsze.

Kupiec obejrzał Pazuzu od góry do dołu i podejrzliwie pomacał jego skrzydła.

– Ten model na pewno nadaje się do komunikacji?

– Na sto procent.

– Nigdy takiego nie miałem. Wydaje mi się nieco... hm... przestarzały.

– A jakiego używałeś wcześniej?

– Afrirona. Miał potężną moc. Ach, jak pięknie iskrzyła na jego wspaniałej łusce energia, która zstępowała z nieba... Miał łuskę, nie taką paskudną sierść jak ten.

Abu pokazał teraz śliskie strony charakteru. Położył uszy do tyłu, a na jego pysku pojawił się błogi wyraz jak u dojrzałej krowy.

– Afriron to rzeczywiście bardzo mocny model. Musisz być zamożnym człowiekiem, panie, skoro mogłeś sobie na niego pozwolić. Ale jak sam zauważyłeś, nie nadaje się na pustynne upały. Pazuzu to w stu procentach pustynny model. Zniesie nawet czterdzieści stopni i wytrzyma wiele tygodni bez kropli wody.

Pazuzu beknął na znak wątpliwości, ale ciężka ręka Abu na jego ramieniu prędko go uciszyła.

– Mogę go wypróbować? – zapytał kupiec.

– Pewnie. Proszę.

Mężczyzna zmrużył oczy, zassał dolną wargę i wbił wzrok w demona.

– Możesz mi powiedzieć, jak się sprawy mają z handlem bawełną w No-Amon?

Pazuzu wywrócił oczy do nieba, jakby łączył się z niewidzialnym kosmicznym prądem, i przyjął poważny, podniosły ton, który przypominał Jonatanowi głos prezenterów w telewizyjnych wiadomościach.

– Gwałtowny wzrost cen. Kup tyle bawełny, ile się da, bo meteorolodzy przepowiadają suszę w dolinie Nilu, a ceny dalej będą rosły.

– A handel lapis lazuli w Badachszanie?

– Spadek cen i zastój na rynku. W żadnym wypadku nie inwestuj w to teraz.

– A jak się miewa moja żona?

– Znakomicie. Przesyła ci pozdrowienia.

– Wstrętny oszust! Nawet nie jestem żonaty!

Kupiec podniósł rękę, żeby uderzyć Pazuzu, który ze strachu ugryzł go w palec. Mężczyzna krzyknął, a rozwścieczony Abu posłał Pazuzu potężnym kopniakiem z powrotem do wozu i pewnie demon zaraz dostałby łomot, gdyby w tej chwili nie rozniósł się po targu przerażony szept:

– Uwaga! Nekroseptus idzie!

Rozdział trzeci

Doktor Nekroseptus

Chyba każdy człowiek na targu otrzepał ubranie, poprawił czapkę, turban lub kufiję, wygładził niewidoczne zagniecenia szaty i naprężył policzki w zdrowym uśmiechu, jak nakazywało prawo, ponieważ już z daleka było widać, że doktor jest w podłym nastroju. Nekroseptus był niskim, krępy męczyzną o czarnej kwadratowej brodzie zaplecionej w cienkie tłuste warkoczyki, które spływały ku środkowi jego piersi zgodnie z ostatnim krzykiem satrapskiej mody. Miał biały lekarski kitel i gumowe rękawiczki, a na nich pierścienie. Jego szyję zdobiła złota obroza z arabeskami układającymi się w litery. „Słowo leczy”, błyskała, gdy się odezwał. Nad nią była skwaszona i znudzona twarz Nekroseptusa. Chociaż doktor miał to szczęście, że przyszedł na świat w rządzącej imperium gildii satrapów i w związku z tym z założenia powinien się cieszyć, czuł tylko coraz większą frustrację.

Założyciel gildii, do której należał Nekroseptus, legendarny Aszperboszet, pierworodny syn Odmuela, był pierwszym kapłanem uzdrowicielem. Ludzkie dusze były wtedy nowe i cenne, a Aszperboszet poświęcił swoje życie trosce o ich doskonałość i zdrowie, a także obronie przed pożądliwością demonów i knowaniem Otchłani. Aszperboszet zasłynął jako mędrzec i znawca ludzi. Widział wcielenia stojących przed nim dusz i umiał rozróżnić maleńkie i nieznaczące, i groźne i pełne chwały. Wraz z synami, którzy zostali jego pomocnikami, stworzył gildię satrapów – specjalistów od ludzkiej duszy.

Gdy runął Ziggurat Niebios, dusze Odmuela, Aszperboszeta i Nuspirata zniknęły. Tradycja głosi, że powędrowały dalej i odradzały się na nowo: dusza Odmuela wśród potomków królewskiego rodu, Aszperboszeta – w gildii satrapów, a Nuspirata – wśród wojowników. Lecz nikt już nie mógł być pewny, kto jest kim. Ponieważ nie mieli nauczyciela ani przywódcy, który nauczyłby ich magii słów, satrapowie założyli szkoły mowy i myśli. W ostatnim stuleciu posyłano do tych szkół także dzieci, które nie miały dowodu, iż pochodziły od samego Aszperboszeta (tysiąc lat wstecz to w końcu sporo czasu). A ponieważ siła satrapów w imperium ciągle rosła, do szkół mowy i myśli ciągnęły coraz dłuższe sznury uczniów. Być może nie zdobywali tam oszałamiających magicznych umiejętności, lecz bez wątpienia była to najlepsza droga do kluczowych stanowisk w administracji królestwa i okazałej pensji. Rodzicom Nekroseptusa udało się zapisać syna do prestiżowej szkoły w Babilonie, bo udowodnili dalekie pokrewieństwo z jedną z rodzin niższych rangą pomocników Aszperboszeta w czasach wielkiej wojny. Nikt nie oczekiwał, że chłopiec się wybije. Nekroseptus człapał z obrzędów na lekcje retoryki, z modlitw na medytacje słów i ćwiczenia z tworzenia pozytywnego obrazu własnego wnętrza. Ale był ambitny. Myśl o słynnej najwyższej radzie satrapów w Babilonie działającej jak jedno ciało z królem nie przestawała go dręczyć. Dlaczego nie miałby zostać jej członkiem?

Rzeczywistość wyglądała tak, że dotarł do ściany. Był prowincjonalnym lekarzem w Nippur. Żył sobie wygodnie, lecz jego życie nie miało żadnej wartości. Cierpiał na zgagę, wrzody i wybuchy gniewu, a teraz był wyjątkowo rozgniewany, ponieważ pogłoski

o rosnącej sile buntowników i nowy wybuch epidemii spowodowały, że konsylium wysłało go do Eridu – jak jakiegoś pośledniego urzędnika – żeby dopilnował higieny na targu niewolników.

Jonatan patrzył na zbliżającą się postać. Jednak najbardziej ciekawiła go nie złota obroza doktora (a już na pewno nie jego twarz), lecz dwie idące tuż za nim strażniczki. Jonatan z zachwytem przyglądał się dwóm istotom z wirującego powietrza emanującym kolorowym blaskiem. Wydawały się przy tym twarde i przezroczyste jak cukierki. Ich opalizujące oczy kierowały się to w lewo, to w prawo, niczym mroźne reflektory.

– Kto to jest? – zapytał Jonatan demona.

– Tfu! – Pazuzu splunął ze wstrętem. – To sylfy. Anielski pomiot.

– A co mają wspólnego z lekarzem?

– Poświęcają całe swoje puste istnienie służbie Mardukowi. To jakby siostry miłosierdzia kapłanów uzdrowicieli.

Nekroseptus i jego dwie towarzyszki weszli na targ niewolników. Tłum ustępował im z drogi niczym fala odpływu. Kapłan kroczył powoli i dostojnie, rzucił słowo tu i tam, patrzył na niewolników w klatkach. Teraz zatrzymał się przed ich wozem i uważnie się im przyglądał. Jonatan spojrzał na stojącą najbliżej sylfę. Barwna powietrzna postać wydawała się lodowata, bezlitosna, wyzuta z ludzkich uczuć. Sylfa pochyliła się, żeby go powąchać. Otaczał ją silny zapach narcyzów i irysów. Jonatan pomyślał, że pachnie jak odświeżacz powietrza w spreju. Wzdrygnął się. Nagle ucieszył się, że oddzielały ich mocne cedrowe pręty.

– Jak idą interesy, panie Abu? – spytał Nekroseptus.

– Prośmy Marduka, żeby nie było jeszcze gorzej.

Jonatan zauważył, że Abu boi się sylf i unika kontaktu z ich mroźnymi świetlnymi skrzydłami. Ale mimo wszystko byk odważył się wcisnąć pomiędzy przenikliwe oczy sylfy a wóz z jeńcami. Ruch ten nie umknął uwagi doktora Nekroseptusa, który ożywił się jak kot na widok myszy.

– Co pan przede mną ukrywa, panie Abu?

– Nic szczególnego, doktorze. Tacy tam... nudni niewolnicy.

– Mam nadzieję, że żaden z nich nie jest chory?

– Jasne, że nie! Przecież pan wie, że Abu to solidna firma. Handluję nie od dziś. Świetnie znam prawo.

– Chory niewolnik może zarazić cały targ.

– Nic takiego się nie zdarzy, doktorze!

– A wtedy będziemy musieli zniszczyć cały towar, jaki tu się znajduje, i wymierzyć panu grzywnę. Dwa tysiące denarów w złocie.

– Przysięgam na wszystko, co mi drogie, że prędzej powstrzymam zarazę własnym ciałem, niż pozwolę, aby doszło do takiej katastrofy.

Nekroseptus kiwnął palcem w gumowej rękawiczce, żeby Abu się odsunął. Doktor spojrzał po kolei na niewolników, aż w końcu jego wzrok zatrzymał się na Jonatanie.

– Jeśli wszyscy są zdrowi, dlaczego tamten chłopak w kącie jest taki markotny?

Byk podskoczył, jakby coś ukłuło go pod ogonem.

– On?

– Tak. Wygląda, jakby miał się rozplakać.

– Ależ on wcale nie jest smutny! Myli się pan, doktorze. Dzieciak jest szczęśliwy i radosny jak ptaszek! Przez całą drogę tutaj śpiewał i tańczył. On jest po prostu... hm... głodny.

Nekroseptus wbił Jonatanowi palec między żebra.

– Nie wygląda mi na zagłodzonego, panie Abu. Na moje oko jest zamyślony.

– Cóż, to chyba zrozumiałe, że myśli. Bystry dzieciak. Rozmyśla, jak być szczęśliwszym. Bardziej przydatnym. Jak być pogodną istotą o dobrym sercu, niezastąpioną w każdym domu.

– Doprawdy? – Nekroseptus wyciągnął z kieszeni fartucha medyczny almanach i zaczął go kartkować. – Spójrzmy... Wczesne objawy epidemii mroku: mętne oczy, ściągnięte kąciki ust, osłabione włosy, utrata apetytu, ponury nastrój... – Zamknął książkę i schował ją z powrotem do kieszeni. – Mam złe przeczucie, panie Abu. Ten chłopiec coś kombinuje. Czuję, że jego dusza się rozpada, a Otchłań już wypełza przez niego na zewnątrz.

– Nie, nie, w żadnym wypadku! – Zrozpaczony byk oblizał wargi i gorączkowo zerkał na wszystkie strony. – Mój drogi Nekroseptusie, a może weźmie pan tego chłopca albo jego brata, a nawet ich obu, w prezencie? Przydadzą się w domu. Taki towar chodzi za bardzo wysoką cenę. Z czasem sam się pan przekona, że są całkiem zdrowi. Wie pan co? Niech pan weźmie też tego małego sprytnego demona, który stoi za nimi. Proszę. Będzie znakomitym domowym demonem.

– Żarty sobie pan ze mnie stroi, panie Abu? A na co mi taka marnota? Moja sylfa da panu formularze. Proszę zgłosić cały swój towar do likwidacji w poniedziałek i zapłacić dwa tysiące denarów grzywny.

– Naprawdę nie ma innego wyjścia? Zapewniam pana, że to wszystko jest niepotrzebne. Proszę zbadać chłopca almatoskopem, a zobaczy pan, że jest zdrowy tak jak ja czy pan.

Nekroseptus westchnął.

– Żąda pan, bym przeprowadził kosztowną i skomplikowaną almatoskopię u czegoś tak bezwartościowego?

– A dlaczego nie? Proszę, niech pan przyjmie ode mnie ten drobiazg. Na znak dobrej woli.

Byk zdjął z palca srebrny pierścień z turkusem i wręczył go lekarzowi, który z powątpiewaniem zakołysał nim na dłoni w gumowej rękawiczce.

– I niech pan weźmie i ten. O, i ten też, choć to pamiątka po pewnej cudownej niewieście.

Kapłan westchnął.

– Ech, czego bym dla pana nie zrobił, panie Abu? W porządku, weźmiemy chłopca i przeprowadzimy almatoskopię. Ale ostrzegam. Jeśli jest chory, moje sylfy od razu podadzą chłopcu i reszcie pana jeńców usypiający zastrzyk.

Jonatana, Elę i Pazuzu wyciągnięto z klatki. Z rękami związanymi za plecami zostali poprowadzeni jedno za drugim przez targ. Na czele szedł doktor i jego sylfy, a z tyłu kroczył człowiek byk, który pilnował, żeby nikt nie uciekł.

– Co oni mi robią? – zapytał Jonatan szeptem idącego za nim demona.

– Nie pytaj. Almatoskopia to najbardziej upokarzająca, najstraszniejsza rzecz, jaką mogą zrobić żywemu człowiekowi.

Nie zabrzmiało to zbyt pocieszająco.

– Robili ci to kiedyś?

Demon się wzdrygnął.

– Niech będą dzięki Samaelowi, nie! Na szczęście jestem demonem i nie mam w sobie żadnej ukrytej istoty, w której można by grzebać.

Jonatan nic z tego nie rozumiał, ale procedura nie wydawała się przyjemna.

– Da się z tego jakoś wykręcić?

– Nie po tym, jak już przywiążą cię do fotela.

Minęli koniec targu i dotarli do wysokiego, okazałego budynku, który wyglądał na jakiś urząd. Różnił się od gęstej glinianej zabudowy dookoła. Otoczony aurą uroczystej osobności kamienny budynek zdobiły jasne gipsowe tablice z tymi samymi zawijasami, które Jonatan widział wcześniej na szyi Nekroseptusa. „Słowo tworzy, słowo zwycięża, słowo leczy”. Na dachu ponad ozdobnymi wrotami stały dwa skrzydlate alabastrowe byki. Sylfy otworzyły drzwi i wszyscy weszli do ogromnej sali, chłodnej i ciemnej. Jonatana wypełniło nieprzyjemne uczucie, które spłynęło na niego z powietrza, jakby znaleźli się w starych lochach, gdzie ze ścian sączyło się cierpienie torturowanych tam kiedyś ludzi.

Tymczasem Nekroseptus stuknął laską w kilka salamandrowych kul. W niebieskawym świetle, które rozbłysło, zobaczyli, że cały budynek był jednym wysokim pomieszczeniem. Pośrodku sali stała najbardziej skomplikowana maszyna, jaką Jonatan widział w życiu. Składała się z niezwykłego zestawu srebrnych prętów, rur, szklanych tub, kół zębatach w najróżniejszych rozmiarach, teleskopów, szkieł powiększających i pomniejszających i kryształów odbijających ostre promienie światła. Ten delikatny, pajęczynowy stos wznosił się wysoko w górę. Jonatan przeraził się, gdy zobaczył na szczycie maszyny niewielki czarny fotel kołyszący się lekko na linach. Jedna z sylf zakreśliła korbą i opuściła skórzany fotel na ziemię. Do podłokietników i oparcia przyczepione były pasy. „Wygląda jak krzesło elektryczne”, pomyślał Jonatan. W miarę jak fotel zbliżał się do niego, w głębi brzucha czuł coraz mocniej: za nic tam nie usiadzie! Delikatnie nadepnął na stopę Eli i wskazał wzrokiem drzwi. Siostra od razu wiedziała, o co mu chodzi. Przez lata wspólnego życia – mimo wszystkich przepychanek – nawiązali głębokie porozumienie. Po raz pierwszy w życiu Jonatan ucieszył się, że jego siostra należy do tych, co to wszystko potrafią. Biegała szybciej niż on i biła mocniej od niego, a to mogło się okazać bardzo potrzebne w najbliższym czasie. Przyjrzeni się więzom na swoich rękach i zerknęli na sylfę, która pilnowała ich z tyłu.

– Silna jest? – szepnął Jonatan do Pazuzu.

– Nawet o tym nie myśl!

Przerażony demon pokręcił głową.

Ale to nie Pazuzu miał być przywiązany do czarnego fotela. Gdy fotel stanął na ziemi, Jonatan i Ela odwrócili się, ominęli sylfę z dwóch stron i pobiegli w stronę drzwi. Sylfa ruszyła za nimi niczym tornado barwnego światła i wyciągnęła ręce, aby ich złapać. Ela uchyliła się i ominęła ją, ale Jonatan był za blisko i zderzył się z ramieniem sylfy. Przechodząc przez rękaw jej przezroczystej szaty, poczuł w trzewiach nagłe uderzenie zimna, które go zatkało. Jego myśli zmieniły się w rzadką mgłę, która powoli skropliła się na podłogę. Dokąd trafił? I kim tak naprawdę był? Cicha, przyjemna muzyka grała w tle jego świadomości jak we wnętrzu windy. Dlaczego uciekał i przed kim? Czuł się cudownie, zadowolony z siebie, spokojny, nigdzie się nie spieszył. Siłą rozpędu poruszał się dalej do

przodu, ale jego nogi same zaczęły zwalniać. Dokąd próbował dotrzeć? Przecież wszystko dookoła wydawało się takie doskonałe.

Wtem ktoś szturchnął go w tył głowy.

– Jonatan! Ocknij się!

Iskierki zatańczyły mu przed oczami i zburzyły uczucie spokoju. Zobaczył siostrę, która przyglądała mu się z niepokojem, po czym zaraz pobiegła dalej.

– Zaczekaj na mnie! – zawołał.

Ale nie mógł się ruszyć. Jego ciało w ogóle nie chciało go słuchać. Ela już stała przy wyjściu.

– Uwważaj! Za tobą! – krzyknęła.

Jonatan odwrócił się i zobaczył biegnącego w jego stronę Abu, a ułamek sekundy później już szamotał się w sieci. Ela zrezygnowała z ucieczki. Wróciła z przegraną miną, powłócząc nogami i mamrocząc pod nosem. Pazuzu wzniósł oczy do sufitu niczym ktoś, kto ogląda komedię, której zakończenie jest jasne od samego początku.

– Jeśli chciał uciec, to pewny znak, że coś ukrywa – oświadczył Nekroseptus.

Chwycił Jonatana za podbródek. Badawcze spojrzenie niebieskich jastrzębich oczu o małych, ostrych jak szpilki źrenicach sprawiło, że chłopiec wzdrygnął się z obrzydzeniem.

Jonatan został przywiązany do fotela bez dalszego sprzeciwu, a sylfy powoli podciągnęły go w górę. Jedna z nich nacisnęła przycisk i maszyna z pomrukiem obudziła się do życia. Wokół chłopca niczym satelity szpiegowskie zawisły ciekawskie teleskopy.

– Energia elektrosylfidyczna – szepnął Pazuzu do Eli. – Bez niej imperium zdechłoby jak ryba bez wody.

Fotel z cichym stuknięciem osiadł na swoim miejscu, a twarz Jonatana została osadzona w metalowej klatce. Dziesiątki małych metalowych szpilek wbiły się w jego powieki, aby nie mógł mrugać. Naprzeciwko jego lewego oka zawisło ogromne szkło powiększające. Jego moc była niemalże niepojęta. Jonatan poczuł, jakby znalazł się w olbrzymim urządzeniu szalonego okulisty. Ogarnęło go przerażające poczucie bezradności. Coś wstrętne zamierzało go przeszyć i wtargnąć do jego wnętrza, a on nie mógł się bronić. Doktor Nekroseptus wydawał się niewzruszony. Siedział na niewielkim krześle daleko w dole i sterował za pomocą przycisków i dźwigni systemem powiększających soczewek. Jonatan poczuł na czole strużkę zimnego potu, ale nie mógł nawet ruszyć palcem, żeby ją zetrzeć.

– Co oni mu robią? – zapytała Ela Pazuzu.

Demon zamachał ze smutkiem wszystkimi czterema skrzydłami.

– Próbują zajrzeć do środka.

– Ale po co?

– Żeby zobaczyć plamy. Każdy obywatel imperium cztery razy do roku obowiązkowo przechodzi takie badanie. Muszą się upewnić, że jego dusza jest zdrowa.

Jonatana przepełniał czysty strach, jak ten, który sprawia, że zwierzęta odgryzają sobie łapy. Z radością odciąłby własne związane ręce i nogi, gdyby tylko pozwoliło mu to uciec. Był więźniem poddanym sprzecznej z naturą procedurze, do której zgodnie z prawami stworzenia nigdy nie powinno dojść. Odebrano mu prawo wyboru.

– Niech będą dzięki Samangelofowi, że nie mam duszy. – Pazuzu jęknął, jakby go zemdliło. – Dusza po prostu nie powinna być pokazywana. Gdyby zawierała tylko wasze

małe sekrety, grzechy, plotki, kłamstwa i małe perwersje... Ale jest o wiele gorzej. W waszych duszach znajduje się sam rdzeń człowieka. Sami nie wiecie, co tam macie. Przeszłość, teraźniejszość, przyszłość. Ukryte przed wami, gdy się urodziście. Już wolałbym umrzeć niż pozwolić, żeby jakiś nadęty wiejski doktorek zaglądał mi do środka tymi świdrującymi oczkami.

„Ja też”, pomyślał Jonatan, a z jego ust wyrwał się cichy okrzyk, gdy doktor Nekroseptus zbliżył oko do urządzenia. Jastrzębie oko w tysiącrotnym powiększeniu zajrzało prosto do oka chłopca. Wdarło się w głąb z budzącym mdłości grubiaństwem, przesywającym i wstrząsającym. Maleńka źrenica była teraz ogromna i Jonatan poczuł, jak przebija go i przechadza się po jego duszy, jakby ta była jej własnością. Nigdy w życiu nie doświadczył czegoś tak strasznego. Próbował się skulić i ukryć przed inwazyjnym spojrzeniem, ale na próżno. Szpilki nie pozwalały mu zamknąć oczu. Nekroseptus wpatrywał się w niego przez ogromne szkło powiększające tak, jak ogląda się pantofelka pod mikroskopem. Jonatan poczuł, że całe jego życie zostało wystawione na pokaz: wspomnienia, tajemnice, nadzieje, głupie sny. Nigdy nie czuł się tak mało ważny i bezwartościowy.

– Myślisz, że coś znajdzie? – spytała Ela Pazuzu.

– Nie wiadomo. Wszyscy wiedzą, że Otchłań jest coraz silniejsza. W ostatnich latach satrapowie wpadli w histerię. Mogą wysłać człowieka do obozu kuracyjnego z najgłupszego powodu: bo lubi samotnie wypić kawę albo dlatego, że nie chce mu się rano wstawać. Wszystko mogą uznać za zły wpływ głębin.

Zamilkli, gdy zorientowali się, że coś się dzieje. Jonatan też to zauważył. Cyklopie oko Nekroseptusa zamrugało ze zdumienia, a system kryształowych soczewek wyregulował się z cichym szumem. Zdziwiony Jonatan wyczytał we wpatrującej się w niego wielkiej źrenicy, że Nekroseptus czegoś nie rozumiał. Patrzył na Jonatana tak, jakby nie wierzył w to, co widzi.

Handlarz niewolników, który stał obok maszyny, też zauważył, że coś się dzieje.

– Co pan tam widzi, doktorze?

– Hm? Ach, nic takiego. – Nekroseptus wrócił do badania, a na jego twarzy malowało się coraz większe zdziwienie. – Niemożliwe – mruknął po chwili.

– Coś z nim nie tak?

– Wszystko z nim w porządku. Wygląda na to, że moje urządzenie się psuje.

– Chłopak ma plamy ciemności?

– Nie... Nie powiedziałbym.

– W takim razie o co chodzi?

– Da mi pan pracować? – zirytował się Nekroseptus.

Monstrualna źrenica rozszerzyła się niecierpliwie, gdy doktor próbował odczytać we wnętrzu Jonatana coś, co wymykało się jego pojęciu.

– Niemożliwe – powtórzył Nekroseptus.

– Niech mi pan da spojrzeć – poprosił Abu. – Może dzieciak jest wart więcej, niż myślałem.

– Wykluczone! Nie ma mowy! Chłopiec jest wart grosze.

Nekroseptus pospiesznie zakończył badanie. Odsunął oko od urządzenia i dał znak sylfom, by ściągnęły Jonatana na dół. Sylfy wyłączyły maszynę, która znów zmieniła się w milczący stos trybów i soczewek.

Jonatan czuł się okropnie. Cały się trząsł, osłabiony i wyczerpany. Czuł, że jeśli zrobi choć jeden nieostrożny krok, jego osłabione poczucie życia zerwie się jak cienka nić.

– Ciekawe – zaczął Nekroseptus i zerknął na Elę. – Chętnie zbadałbym też jego brata.

Abu wzruszył ramionami.

– Niech pan robi, co się panu podoba.

Nekroseptus już skinął na sylfy, żeby przyprowadziły Elę do maszyny, ale zawahał się, słysząc coraz głośniejszą wrzawę za drzwiami.

– Co tam się dzieje?

– Nie mam pojęcia – rzekł byk. – Może jakaś pijacka bójka. Ale w dzisiejszych czasach równie dobrze może to być nagły atak buntowników.

– Buntowników? – Nekroseptus pociągnął warkoczyki brody. – Królewski urzędnik o mojej pozycji nie może tak ryzykować. Musimy wrócić w bezpieczne miejsce. Dobrze. Ubijmy interes. Pan mi da swoich niewolników, a ja odpuszczę panu grzywnę i całą resztę.

– Zdaje mi się, że ten chłopiec bardzo pana interesuje – mruknął Abu. – Musi pan wiedzieć, że jest wart przynajmniej sześć denarów w złocie.

– Głupstwa! Albo odda go pan za darmo, albo czeka pana zniszczenie całego towaru i grzywna.

– W porządku, niech ich pan bierze – zgodził się niechętnie Abu. – Niech stracę.

Nekroseptus i sylfy pospiesznie zebrali łup i popędzili grupkę do wyjścia. Nagle uderzyły Jonatana światła i barwy targu. Próbował odzyskać poczucie istnienia, tożsamości, tego, że jego życie ma jakąś wartość. Ale już samo poruszanie nogami pochłaniało wszystkie jego siły. Nekroseptus szedł tuż za nim i podtrzymywał go, żeby nie upadł. Jonatan, pogrążony we mgle uczuć, ostatni usłyszał dobiegające ze wszystkich stron głośnie krzyki:

– Rozejść się! Buntownicy idą!

– Buntownicy!

Każdy mięsień w ciele Nekroseptusa napiął się, a sylfy nadęły się barwnymi promieniami światła i ostrzegawczo zamachały skrzydłami.

– Do diabła z tym prymitywnym łajnem Eridu! Jakim sposobem, w imię króla, udało im się dotrzeć i tutaj?

– To branka do ich armii! – zawołał jeden z handlarzy i smagnął batem woły zaprzęzone do jego wozu. – Biorą każdego, kogo złapią. Prędko, schowajcie towar!

– Nawet niewolnicy z nimi nie pójdą – rzucił pogardliwie Nekroseptus. – Nędzny żywot buntownika kończy się śmiercią, po której nie ma odrodzenia.

– Może i tak, ale nie zakładałbym się, że nie woleliby tego od życia, jakie ich czeka.

Kapłan i jego nowi niewolnicy schowali się w wejściu do jednego z domów, a sylfy zasłoniły ich ścianą zimnego światła. Na obu końcach uliczki wybuchły zamieszki. Postacie w czarnych pelerynach z zasłoniętymi twarzami pędziły na koniach poplamionych potem i pianą między klatkami i platformami. Jeźdźcy rozbijali i tratowali wszystko na swej drodze, rozcinali pęta niewolników i zabierali każdego młodego mężczyznę, którego udało im się złapać. Jonatan i Ela zobaczyli, jak Abu szamocze się z jedną z czarnych postaci i upada na ziemię po ciosie pałką między rogi. Ale sylfy nie pozwoliły jeźdźcom zbliżyć się do ich grupki. Konie chyba bały się ich barwnego światła. Za każdym razem, gdy jeźdźcy próbowali skierować je w stronę sylf, zwierzęta stawały dęba, rżąc z przerażenia. Ela zrozumiała, że to dla niej szansa. Powoli, po cichu przesuwiała się w bok. Nie było to

szczególnie trudne, bo Nekroseptus nie spuszczał wzroku z jej brata. Jonatan wiedział, co Ela zamierzała zrobić, lecz mdlące poczucie pustki było wciąż zbyt silne, aby mógł zebrać siłę woli i dołączyć do siostry. Jego życie było puste. Co za różnica, gdzie i jak je przeżyje? Tymczasem Pazuzu spoglądał niepewnie to na nią, to na niego. W końcu z przebiegłym błyskiem w oku wybrał Elę i schował się za nią. Nagle jeden z zamaskowanych buntowników podjechał do nich galopem i rozbił szablą wielki dzban, którego fragmenty rozprysnęły się na wszystkie strony.

– Uciekaj! – zawołała Ela do brata i pobiegła.

Jonatan nie zdążył. Jedna z sylf chwyciła go za kołnierz koszuli, a druga złapała nieszczęsnego Pazuzu, którego ogon utknął pod kołem wozu. Tylko Eli udało się uciec.

– Łapcie tamtego chłopca! – krzyknął Nekroseptus. – Zapłaciłem za niego mnóstwo pieniędzy! Nagroda za jego głowę! Jest mój!

Sylfy ruszyły w pościg za Elą biegnącą między przewróconymi wozami i uciekającymi ludźmi. Jonatan wiedział, że siostra zniknie w jednej z uliczek i ukryje się do czasu, aż zamieszki się skończą, a kiedy tylko będzie mogła, od razu po niego wróci. I właśnie to zamierzała zrobić. Była już przy końcu uliczki. Lecz z tyłu zbliżał się do niej jeden z buntowników. Nie widziała go. Jonatan chciał krzyknąć, żeby ją ostrzec, ale nic z tego. Wciąż miał zamrożone gardło po zderzeniu z sylfą. Jeździec popędził konia ostrogami. Jednym ruchem pochwyił Elę i podniósł ją na siodło, wierzgającą i wrzeszczącą.

Ela całkiem zapomniała, że ma na sobie chłopięce ubranie. Buntownicy najwyraźniej uznali, że ona też nadaje się do branki. Jonatan zobaczył, jak oddalają się galopem w chmurze pyłu, wśród krzyków niosących się nad zniszczonym targiem niewolników, między stosami śmieci i zawalonymi platformami.

– Poszukaj złodzieja lekarstw! – zawołała jeszcze. – Nie martw się, wrócę i cię znajdę!

„Ja też będę cię szukał”, chciał odpowiedzieć Jonatan, lecz nie mógł wydobyć głosu. Doktor Nekroseptus pochylił się ku niemu i chwycił go za podbródek, znów próbując zajrzeć do środka jego duszy tymi budzącymi mdłości oczami.

– Zdaje mi się, że nasz skarb chce się zdrzemnąć.

Rozdział czwarty

Głęboka woda, pokątne czary i smutek

Nino wbiegła po schodach na szczyt wieży. Weszła do komnaty i zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Pilnuj, żeby nikt tu nie wszedł – rzuciła do Koresza. – Daj znać, gdyby ktoś się zbliżał.

Sięgnęła nogą pod łóżko i wykopała stamtąd rytualną szatę. Zdjęła z głowy złotą koronę i wsadziła ją do dzbana. Szybko podpaliła pęk liści szaławii i okadziła wszystkie kąty oczyszczającym dymem. Kiedy wszystko było gotowe, nacisnęła ukryty guzik w lakierowanej komodzie, którą odziedziczyła po matce (co za szczęście, że królowe słyną ze swej potrzeby chowania różnych drobiazgów i zostawiają córkom w spadku przydatne rzeczy). Gdy sekretna szuflada się otworzyła, Nino wyjęła z niej ogromną muszlę o różowych brzegach. „Dzięki, mamó”, pomyślała. Bez tajemnych szuflad trudno byłoby ukryć muszlę. A bez muszli... Cóż, nawet nie chciała myśleć, jakby wyglądałyby wtedy jej ostatnie lata.

– Zaczynam! – rzekła do Koresza.

Wylała wodę z dzbana do miski i zanurzyła w niej muszlę, która zaczęła pulsować, a jej blada barwa powoli się ożywiła. Nino wzięła ją w obie dłonie, skupiła myśli i wysłała w jej stronę pytanie:

– Co Naser El-Dor o mnie wie?

Komnatę wypełnił potężny szept. Koresz nastawił uszu.

– Więcej niż trzeba. Wie o twoich plamach ciemności, księżniczko.

Nino zadrżała. Poczowała zimną, kłującą gęsią skórę.

– Ale dziś mam badanie. Jak ukryję plamy? Co mam zrobić?

Nie doczekała się odpowiedzi. Tylko upiorny lodowaty szept krążył ze świstem po komnacie. Koresz położył łeb na kolanach księżniczki i polizał jej dłoń, zapewniając swoją panią brązowymi ślepiami, że będzie jej bronił z całych sił.

– Szkoda, że nie możesz mi pomóc – powiedziała do niego ze smutkiem.

Nawet gdyby dostała odpowiedź od muszli, nie powinna w nią wierzyć, ponieważ Otchłań potrafiła czasem, ot tak, dla zabawy, wprowadzić w błąd. Nikt z wyjątkiem potężnych czarowników nie mógł się zwracać do głębin po radę, bo groziło to katastrofą. Nino doskonale pamiętała opowieść o pewnym niezbyt bystrym czarowniku, który chciał się dowiedzieć, gdzie ukryto skarb, a Otchłań poradziła mu, żeby obciął sobie uszy i powiesił je na palmie daktylowej. Wzdrygnęła się ze wstrętem na wspomnienie tej historii. Dobrze wiedziała, że sama nie ma dość doświadczenia, aby dać sobie radę ze sztuczkami Otchłani. W takich sprawach wrodzony talent nie wystarczył. Potrzebni byli też dobrzy nauczyciele, a także mnóstwo ćwiczeń i porad – ona zaś nauczyła się wszystkiego sama, w tajemnicy. Ale teraz była gotowa wysłuchać każdej rady, nawet tej najbardziej wątpliwej.

To przez babcię tak ciągnęło ją akurat do trzech rzeczy najsurowiej wzbronionych w imperium: głębokiej wody, zakazanej magii i smutku. Astlik, jej babka od strony matki, była pomniejszą boginią gór. Mieszkała w dzikiej części gór Amanu na północy Syrii. Była

miejscową królową nimf. Nino wyobrażała sobie, jak babcia, z burzą włosów przetykaną sosnowymi igłami, wesoło galopuje na koniu i dla zabawy rozłupuje skały, nienękana żadnymi dworskimi intrygami. Jaka szkoda, że nigdy jej nie poznała. Uwielbiałaby ją.

Pewnej nocy Astlik spotkała asyryjskiego myśliwego, który zabłądził w jej części gór, a potem urodziła się Nintirtu. Kiedy dorosła, zakochał się w niej babiloński król Baltazar i uczynił ją swoją pierwszą nałożnicą. Nintirtu była tylko w połowie boginią, a jej córka, Nino, w jednej czwartej. To jednak wystarczyło, aby obudzić na dworze złośliwe plotki. Za plecami Baltazara szeptano, iż to bardzo zły pomysł, że ze wszystkich dzieci właśnie Nino wybrał na swoją następczynię. Ale była jego ukochaną córką, najbystrzejszą i najbardziej utalentowaną, a także jedyną, która miała charakter.

W czasach, gdy Baltazar zakochał się w Nintirtu, pomniejsi bogowie i boginie już nie byli mile widziani w imperium, ale jeszcze nikt ich nie prześladował. Sytuacja zaczęła się zmieniać trzy lata po narodzinach Nino, dwanaście lat przed tym, gdy wszyscy zrozumieli, że coś jest nie tak. Pewnej spokojnej księżycowej nocy wyłoniła się nagle z głębin morza potężna fala, która rozbiła chroniące brzegi szklane mury, jakby sama Tiamat przewracała dno oceanu. Studnie ze słodką wodą wypływały cuchnące opary i martwe ryby, a potem całkiem wyschły, jakby ktoś zmienił bieg podziemnych rzek. Dla wszystkich było jasne, że coś straszego dzieje się pod powierzchnią ziemi.

I nagle pojawili się buntownicy. Grupy przeciwników imperium zbierały się od niepamiętnych czasów tam, gdzie panowało bezprawie, na ziemiach niczyich, a także w dzikich górzystych rejonach imperium. Ale król i satrapowie nie przejmowali się tym. Buntownicy byli słabi. Brakowało im tego, bez czego żadne powstanie nie rozwinię się w nic ponad lokalną drakę: przywódcy.

Ale dwanaście lat wcześniej, w dniach, gdy z morza wyłoniła się ogromna fala, szamani buntowników oznajmili, że wreszcie znaleźli nowe wcielenie Hilela ben Szachara, człowieka, który wstąpi na królewski tron i zostanie Melchizedekiem, Sprawiedliwym Królem, założycielem nowej dynastii, która odsunie ród Odmuela. Chłopiec, który miał wtedy dziesięć lat, został zabrany w góry, a za nim podążyły tysiące zwolenników.

Satrapowie mieli na ten kryzys jedną odpowiedź: cały lud musiał zjednoczyć się w wierze w Marduka, najwyższego boga. Inne bóstwa wymagały ofiar i poświęcania im uwagi, a ich priorytety nie zawsze były zgodne z potrzebami imperium. Poza tym lojalność pomniejszych bogów zawsze była wątpliwa. Co by się stało, gdyby pewnego dnia pokłóciły się w Mardukiem i postanowiły przejść do innego obozu? I tak Astlik i inne lokalne bóstwa wygnano na koniec świata. Kiedy Nino była dość duża, by to wszystko zrozumieć, żadne miasto, wioska, studnia ani drzewo figowe nie miały już swojego patrona. Został tylko Marduk. obrońca Babilonu i imperium.

Nino nigdy nie uczyła się magii pod okiem nauczyciela, systematycznie, lecz sama, metodą prób i błędów. Ale na razie nie zamierzała się poddać.

– Nie będę siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż Naser El-Dor mnie zlikwiduje – rzekła do Koresza.

Została jej niecała godzina, zanim Mimoza zabierze ją do świątyni. Jeśli się pospieszy, może uda jej się znaleźć zakłęcie, które ukryje jej plamy ciemności, a przynajmniej trochę je zamaskuje.

Nino chodziła po komnacie i z zakamarków wyciągała różne przedmioty. Pokój wyglądał na pozór jak reszta komnat w skrzydle królewskich dzieci. Ale tak naprawdę bardzo się od nich różnił. Nino mogła być dumna ze swego sprytu. Teraz z wydrażonej świecy wyciągnęła zwój z zapisanym zaklęciem, które skopiowała, udając, że bawi się lalkami w prywatnej bibliotece ojca. Niewinna buteleczka perfum zawierała tak naprawdę olej z delfina – ważną pomoc magiczną, która wspomagała głęboką koncentrację. W pierzu poduszki ukryty był woreczek z suchym śniegiem, a pod obluzowaną płytką podłogową schowane różne soczewki ciemności, w większości przedmioty pochodzące z morza, takie jak muszla. Nino kupiła to wszystko na nocnych targach podczas sekretnych wypraw do miasta.

Babilon był wolny od magii. Wszelkie zaklęcia z wyjątkiem tych skatalogowanych, używanych przez zaakceptowane przez UAD, zaszczerpione demony, były surowo zabronione. Satrapowie twierdzili, że ten, kto za pomocą czarów wzywa siły Otchłani dla własnej korzyści, otwiera się na jej wpływ. Uważano, że wystąpią u niego plamy ciemności albo coś jeszcze gorszego. Ale Nino magię miała we krwi i nic nie mogła na to poradzić. Gdy była małą dziewczynką, rysowała na ziemi magiczne znaki w ukrytych zakątkach ogrodu i próbowała swoich sił w składaniu drobnych ofiar. Może nie były to wielkie osiągnięcia, ale Mimoza nie potrafiła wyjaśnić zniknięcia kielicha z ołtarza w dziecięcym skrzydle (zmienił się w żywego żółwia wysadzanego szlachetnymi kamieniami), zaginięcia laski nauczyciela astronomii (księżniczka zmieniła ją w ogromnego zimnego kameleona, który wpełzł do łóżka piastunki) ani tego, że dzieci króla, których Nino nie lubiła, często skarżyły się na biegunkę i bóle uszu albo niespodziewanie wpadały w rabatę z drapieżnymi roślinami w ogrodzie.

Magia to dziwna rzecz: ten, kto się nią zajmuje, powinien być niezwykle skupiony, zwykle bywa samotny i tajemniczy oraz musi szczególnie dbać o swoje bezpieczeństwo. Po pewnym czasie zauważyła, że inni ludzie zostali daleko, maleńcy jak postacie widziane ze szczytu wysokiego budynku. Taki człowiek jest obdarzony niemal przerażającą jasnością umysłu. Ma wyostrzony wzrok, słuch i węch. Dlatego już teraz Nino wiedziała, że w jej królestwie dzieje się coś bardzo złego. Wszystko otaczała aura strachu, który unosił się niczym przezroczysty ogień z modlitw i hymnów, i z ust satrapów. Mimoza i inne piastunki straszyły dzieci opowieściami o Tiamat i jej armii Otchłani, więc Nino została wychowana w lęku przed nimi. Ale z czasem zrozumiała, że jej imperium też nie jest rajem na ziemi. Wręcz przeciwnie: ogromne królestwo, którym miała kiedyś rządzić (a raczej pozwolić satrapom, aby nim rządzili), było dalekie od ideału, który próbowano mu przypisać.

To nowe odkrycie bardzo ją trapiło. Od dnia, gdy zrozumiała, że jej przeznaczeniem jest rządzić, często zadawała sobie pytanie, jak mogłaby uczynić imperium lepszym miejscem. Nie chciała być złą królową i na pewno nie zamierzała być obojętna na los poddanych jak ojciec. Jeżeli obywatele mieli być nieszczęśliwi i rozgoryczeni pod jej panowaniem, lepiej od razu zrezygnować z tronu. Ale jeśli chciała wcielić swoje pomysły w życie, najpierw musiała przede wszystkim ten tron objąć. A to wcale nie była prosta sprawa.

Niełatwo być następczynią władcy imperium. Nino doskonale wiedziała, że nie może nikomu ufać. Wielu następców tronu w dynastii zginęło przedwcześnie. Nauczyciele nie zapewnili jej porządnego wykształcenia niezbędnego do przetrwania (uczono ją za to tańca z szarfami i gry na harfie, które z pewnością przegnałyby każdego uzbrojonego zabójcę). Piastunki starały się uspić jej czujność zapewnieniami, że jest bezpieczna i nikt nie chce jej

skrzywdzić. Było to jawne kłamstwo. Jedyłą rzeczą, która mogła pomóc jej przetrwać, była wyjątkowa moc, nad którą pracowała. Przed dwoma laty przyspieszyła naukę magii i rozpoczęła trudniejsze eksperymenty. Zrozumiała wtedy, że nie ruszy dalej nawet o krok, jeśli nie znajdzie odpowiedniej soczewki ciemności. Bez dobrej, mocnej soczewki mogła zostać najwyżej wiejską czarownicą leczącą zapalenia wymion u zwierząt i powiększającą owoce na drzewach, ale nie następczynią tronu, która potrafi się obronić.

Soczewki ciemności oczywiście nie poniewierały się po pałacu (choć Nino czasem znajdowała jakiś przedmiot, dla innych całkiem zwyczajny, na przykład widelec albo grzebień otoczony wibrującą aurą). Naprawdę dobre soczewki były w rękach czarowników, którzy strzegli ich jak najcenniejszych skarbów. Jej jedyną szansą był nocny targ w Babilonie, na który trafiały najlepsze szpargały świata. Zaczęła myśleć, jak się wymknąć z pałacu do miasta.

Królewski pałac zbudowany podobno na ruinach zapadniętego zigguratu był solidnie strzeżoną twierdzą. Na otoczonym murem stromym zboczu rozciągały się otaczające pałac wiszące ogrody. Uważano je za niebezpieczne po zmroku, ponieważ labirynt zawieszonych w powietrzu ścieżek bardzo się wtedy zmieniał. Zielone łuki winorośli, powoju i kwitnącej glicynii oplatały pałac gigantyczną pajęczyną rozrastającą się błyskawicznie z czynną pomocą ogrodowych demonów. Ale Nino była sprytna. Uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie pierwszego razu, gdy wymknęła się za mury. Wybrała zimową noc, kiedy Neberu, gwiazda Marduka, która pilnuje innych gwiazd bogów na ich orbitach, nic nie widzi zza chmur. Ciepły deszcz bębnił o liście palm daktylowych i hełmy strażników. Ale Nino miała bystry wzrok i doskonałą orientację. Poruszała się szybko dziesięć metrów nad ziemią. Ostrożnie stawiała stopy na grubej, giętkiej łodydze powoju. Przemawiała do rośliny w jej języku. Poprosiła ją uprzejmie, aby wypuściła odnogę i opuściła ją po drugiej stronie muru. Powój mógł jej odmówić, ale spodobała mu się (Nino wiedziała, że większość roślin staje po stronie sił ziemi i głębin i że nie lubią ludzi ani ich kaprysów związanych z ogrodnictwem i rolnictwem). Tak więc powój spełnił jej prośbę i Nino znalazła się w uliczce pod murami.

Babilon pachniał deszczem i przygodą. Nawet te gorsze zapachy miasta byłyby lepsze od duszącego kadzidła i pałacowych intryg. Nino poczuła, że jej serce wykluwa się jak młody motyl, który wyciąga skrzydła ze skorupy poczwarki. Może właśnie ta nagła wolność sprawiła, że krew Astlik zawrzała w jej żyłach. Głos babki ponaglał ją, aby przełknęła dumę i uciekła z pałacu, zanim będzie za późno. Ale Nino zlekceważyła ostrzeżenia głosu. W końcu była następczynią tronu. Każda chwila jej życia miała przygotować ją do roli królowej. Nie zamierzała tak łatwo się poddać. Przechadzała się uliczkami między ogniskami i bezdomnymi nędzaczami, przeszukiwała w deszczu gwarny targ i sklepy oświetlone pochodniami. Na początku nie miała odwagi się odezwać, bo wiedziała, że akcent by ją zdradził. Przysłuchiwała się rozmowom i zbierała wszelkie okruchy przydatnej wiedzy. Dopiero podczas trzeciej nocnej wyprawy znalazła sklep z soczewkami.

Była to niepozorna wnęka na końcu targu mięsnego. Wejście zasłaniały wiszące na hakach części zwierząt. Sprzedawano tu używane soczewki ciemności: uszkodzone, popękane albo skurczone, stare i nędzne. Ten, kto nie miał nic wspólnego z magią, pomyślałby pewnie, że to zwykły antykwariat, jakich wiele na pchlich targach. Stary sprzedawca w brudnej czapce z czasów potopu oglądał przez jubilerski okular swoje towary.

Zauważył, że Nino jest potencjalną klientką, i od razu spróbował ją oszukać. Zaczął ją przekonywać, żeby kupiła poplamiony dziergany obrus. Twierdził, że to pierwszorzędna soczewka ciemności. Nino nie chciała zdradzić się przed nim ze swej wiedzy, dlatego postanowiła udawać głupią.

– Co mogę z nim zrobić? – zapytała.

– To, co z każdą soczewką, panienko. Skupić moc swej duszy i połączyć się bezpośrednio z Otchłanią.

– Ale czy nie złamałabym prawa? Przecież karą jest obóz kuracyjny albo śmierć.

– Mądra dziewczyna. Wszystko się zgadza. Dlatego ten nielegalny obrus będzie cię kosztował tylko piętnaście denarów w złocie. Ale z drugiej strony ma wiele zastosowań. Możesz nakryć nim stół jak zwykłym obrusem i podać na nim kolację.

– Czy używanie go nie jest niebezpieczne?

– Oczywiście, że jest niebezpieczne. Jeden błąd i siły Otchłani przerobią cię na kotlety. A wtedy już nic ci nie pomoże.

– Ale co obrus może dla mnie zrobić?

Sprzedawca powoli tracił cierpliwość.

– Obrus nic nie może dla ciebie zrobić! Sam w sobie jest niczym. Zapomnij o bajkach, które słyszałaś o latających dywanach i magicznych różdżkach. Soczewki ciemności nie mają własnej mocy. One tylko skupiają twoją wewnętrzną moc, wzmacniają ją i łączą z wielkimi siłami ciemności. Dlatego u prawdziwych czarowników najważniejsza jest wprawa, a nie soczewki.

– Skoro tak, to dlaczego niektóre soczewki są droższe od innych?

Sprzedawca z pogardą strzyknął między zębami sokiem z orzechów wigorowca.

– Każdy sklep ma droższe i tańsze towary! Tak działa świat. Po prostu niektóre soczewki są lepsze, a inne gorsze.

Gdy tak rozmawiali, Nino zauważyła muszlę, wrzuconą do szuflady wraz ze splątanymi tanimi łańcuszkami, piórami, okularami, czajnikami i sztucznymi szczękami. Była tam nawet peruka. Bez wątplenia był to najmocniejszy przedmiot w sklepie. Wiedziała, że rzeczy pochodzące z morza mają dużą zdolność skupiania mocy duszy w kierunku głębin. Żłoty bursztyn był niezły, zęby hipopotama i głowy ośmiornic całkiem przydatne, kości delfinów z pewnością dobre, a czarny bursztyn z mózgu kaszalota był rzadką, najdroższą soczewką. Jednak niczego takiego nie było w tym nędznym sklepie, jedynie muszla, której zalet sprzedawca nawet nie zauważył. Nino potargowała się z nim o naszyjnik ze sztucznych pereł, a potem, jakby od niechcienia, kupiła muszlę za jedyne dwa denary. Od tamtego dnia do dziś była to jej najlepsza soczewka.

W starej księdze, którą znalazła w bibliotece ojca, przeczytała, że każdy przedmiot, który ma dla kogoś wartość sentymentalną, może posłużyć za soczewkę. Soczewka była muzycznym instrumentem duszy. Kiedy Nino skupiała się na muszli, ta wygrywała pytania jej serca jak skrzypce, a z głębin odpowiadała jej niewidzialna potężna orkiestra. Jeśli księżniczka żywiła do kogoś wrogie uczucie, orkiestra ciemności otaczała go wściekłą muzyką, która mu szkodziła. Tego rodzaju magiczna działalność należała do najpowszechniejszych, ponieważ takie emocje jak gniew, nienawiść czy zazdrość najłatwiej było skupić. Bardziej wyrafinowani czarownicy mogli wyrazić każde uczucie, chęć i pragnienie. Potrafili sprawić, aby skała zapłakała, motyle się zakochiwały, wieże unosiły

w powietrze, a starcy przypominali sobie pierwszy raz, gdy poczuli smak wiśni.

Wirtuozeria nie zależała od instrumentu, a od tego, kto na nim grał. Lecz każdy muzyk, nawet najbardziej utalentowany, potrzebuje na czymś grać. A dźwięk trzcinowego fletu różni się od majestatycznego grzmotu potężnych organów. Muszla Nino była mniej więcej równie użyteczna co mała, tania harmonijka ustna. Trudno byłoby rzucić z jej pomocą potężne zaklęcie, które oszukałoby doświadczonego kapłana uzdrowiciela, takiego jak Naser El-Dor. Ale na razie Nino nie miała nic lepszego.

Usłyszała pukanie do drzwi.

– Nin-Urmuz, jesteś tam? Szukam cię już od godziny. – To była Mimoza, zadyszana po wspinaczkę po schodach. – Zegar słoneczny w ogrodzie wskazuje południe. Musimy zejść do świątyni Marduka!

– Chwileczkę, Mimozo. Właśnie się przebieram.

Nino westchnęła i rozejrzała się, jakby szukała wybawienia. Jej wielkie zmartwienia zaczęły się chwilę po tym, jak znalazła muszlę, przed dwoma laty. W tamtym czasie spędzała noce na nauce magii, a rano ziewała i nieuprzejmie zasypiała w obecności kapłanów podczas ceremonii. Zauważyła, że Naser El-Dor rzuca jej niechętnie spojrzenia. Jego intencje były jednoznaczne: przywódca rady satrapów nienawidził Nino bezgranicznie i choć była jeszcze dziewczynką, nawet przez chwilę nie lekceważyła jego chęci i możliwości prześladowania jej. Nauka magii sprawiła, że Nino szanowała przeciwnika i uważała na niego. Zaczęła wachać posiłki przed jedzeniem i co wieczór przetrząsała pościel, żeby sprawdzić, czy nie ma w niej jadowitych węży ani ropuch. Starła się zwłaszcza nie rozstawać z Koreszem, który, choć szkolony do polowań na dziki, z radością wbijał zęby we wszystko, co mogło je zastąpić. Ale brakowało jej doświadczenia w starciu dyplomatycznym.

Cios z jego strony przyszedł niespodziewanie: w postaci prezentu. W Święto Wiosny Naser El-Dor szepnął jej ojcu, że znalazł dla niego idealną nałożnicę. Miała na imię Sarkitaja i była naamą. W porównaniu z innymi naamami była niska, a jej skóra miała odcień niemal ludzki – tańczyła pod nią tylko delikatna fioletoworóżowa fala. Od zwykłych kobiet różniła ją jedynie nadludzka uroda. Ojciec Nino ucieszył się jeszcze bardziej, gdy okazało się, że babka Sarkitai była córką Ewy (zawsze lubił mieszane rasy, pomyślała z rozżaleniem Nino). W dodatku była skromna i słodka, co nietypowe dla córek Naamy, i bardzo starała się przypodobać nowemu panu. Naser El-Dor doskonale wyszkolił ją do jej roli.

Tak jak niektórzy ludzie uzależniają się od słodyczy, tak król Baltazar nabrał niezdrowego apetytu na swoją nową naamę. W każdej wolnej chwili wzywał ją do siebie, a Nino ze smutkiem odkryła, że również te okruchy czasu, które ojciec czasem jej poświęcał, zniknęły. Wszyscy wiedzieli, że Sarkitaja szpieguje dla Nasera El-Dora i na jego polecenie wpływa na króla w ważnych sprawach państwowych. Nino zrozumiała, że ojciec zapomniał o jej matce. Dopadło ją przygnębienie. Może miało to związek z tym, że nagle musiała dorosnąć – w zaledwie dwa miesiące. Wiedziała, że odtąd codziennie będzie musiała walczyć ze strasznym niebezpieczeństwem od środka i z zewnątrz, a ojciec nawet nie kiwnie palcem, żeby ją obronić.

Nie zdając sobie jeszcze sprawy z powagi problemu, starała się ukryć smutek. Ale po chwili zrozumiała, że ciągle udawanie radości w towarzystwie ludzi ją męczy. Dlatego

mnóstwo czasu spędzała w ogrodach, bezmyślnie wpatrując się w osłoniętą szklaną kopułą fontannę. Woda odpowiadała jej ponuremu nastrojowi. Nino godzinami patrzyła na nią, ciesząc się pięknem fontanny i dziwnym uczuciem płynącym z wiedzy, że z wody mogło się wynurzyć coś mrocznego i nieznanego (i natychmiast natrafić na uniemożliwiające wyjście szkło). Po mniej więcej półtora roku poczuła, że potrafi ukryć to, iż straciła apetyt na życie. Członkowie rodziny królewskiej nie musieli przechodzić obowiązkowej almatoskopii. Istniały delikatniejsze, bardziej złożone metody badania, wymagające usług pierwszorzędnego specjalisty. Prywatnym lekarzem Nino był główny medyk w królestwie, sam Naser El-Dor (z jakiejś tajemniczej przyczyny członkami dynastii Odmuela zawsze zajmował się przywódca rady satrapów). Nawet jeśli podejrzewał, że coś jest nie tak z księżniczką, zatrzymał te obawy dla siebie.

Ale trzy miesiące wcześniej, akurat wtedy, gdy Nino świętowała swoje piętnaste urodziny (udało jej się przeżyć piętnaście lat!), w pałacu pojawiła się plotka. Wszyscy szeptali, że Sarkitaja nosi dziecko króla. Na królewskim dworze zawrzało. Czy dziecko ulubionej nałożnicy miało zastąpić obecną następczynię tronu? Czy mieli oczekiwać nowego następcy? Te nowiny przygnębiły Nino. Całe jej ciało opanował głęboki, przeszywający smutek. Nie mogła myśleć o niczym innym.

U Nino wystąpił ciężki przypadek plam ciemności. Księżniczka patrzyła na swoje odbicie w lustrze z trzeźwym rozczarowaniem. Cóż, w końcu mogła się tego spodziewać. Przecież to jasne, że ten, kto zajmuje się magią, w końcu zachoruje. Wyostrzone zmysły mogły doprowadzić tylko do tego, że pewnego ranka zobaczy, iż cała trajektoria jej istnienia jest beznadziejna. To była tylko kwestia czasu. Jej dusza stała się żyzną glebą dla sił Otchłani, które sączyły się do jej wnętrza. Ale mimo wszystko nie zamierzała pozwolić, aby Naser El-Dor to odkrył.

Koresz wstał i położył się przy drzwiach, próbując zablokować je przed wyczerpującą się cierpliwością Mimozy. Nino się spieszyła. Rozproszyła w powietrzu garść suchego śniegu, a w pokoju natychmiast zapanowała ciemność i chłód. Płatki śniegu nie opadły na podłogę, lecz wirowały w powietrzu, coraz większe. Doskonale! Mrok i mróz zawsze pomagały w magicznym skupieniu. Nino drżącą dłonią posmarowała czoło i skronie olejem z delfina i skupiła się na muszli. Ale nie mogła się zanurzyć w oceanie magii.

– Głupia muszla – mruknęła.

Szkoda, że nie miała lepszej soczewki ciemności. Próbowwała zmusić muszlę, aby wytworzyła ochronną aurę, która osłoniłaby jej duszę, ale dostała tylko deszcz tanich kosmetyków, które wysypały się ze środka: perłowy puder, czarną kredkę do powiek, tusz do rzęs i wściekle czerwoną szminkę.

– Co to za szmelc? – zapytała muszlę. – Sugerujesz, że jeśli się trochę umaluję, uda mi się oszukać Nasera El-Dora?

Otchłań nawet nie mruknęła i Nino stwierdziła, że pewnie chciała tylko zabawić się jej kosztem. Kiepski żart.

– Pospiesz się! – ponagliła ją Mimoza zza drzwi. – Masz jeszcze minutę.

Nino machnęła ręką, a sztuczny śnieg zawirował wokół niej jak małe tornado. Wzięła muszlę w dłoń, ze złością, ale błagalnie zarazem.

– Jesteś najlepszą soczewką na świecie – powiedziała. – Pomogłaś mi już tyle razy. Zrób coś, proszę!

Muszla skrzeknęła. Z jakiegoś powodu właśnie teraz postanowiła naśladować głos sprzedawcy ze sklepu z soczewkami.

– Zapomnij o bajkach, które słyszałaś o latających dywanach i magicznych różdżkach. Soczewki ciemności same nic nie mogą zrobić. One tylko skupiają twoją wewnętrzną moc. Dlatego u prawdziwych czarowników najważniejsza jest wprawa, a nie soczewka.

– Chcesz mi powiedzieć, że to nie twoja wina?! – zawołała Nino. – Że to ja jestem słaba i głupia i cierpię tylko przez własne braki?

Muszla beknęła z satysfakcją, jakby potwierdzała słowa księżniczki.

– Mam cię dość – powiedziała Nino. – Skończyłam z tobą.

Cisnęła muszlę o ziemię i roztrzaskała ją w drobny mak.

– Nin-Urmuz! – zawołała Mimoza zza drzwi. – Czas się skończy!

Rozdział piąty

Hilel upada, Otchłań drwi

Nino i Koresz znali drogę do świątyni lepiej, niż chcieliby przyznać. Zza lekkich zasłon lektyki patrzyli na ciężkie złote kopuły świątyni Marduka połyskujące wysoko w oddali we mgle. Babilon nie był jednym z tych miast, które napawają serca spokojem. Uzbrojone łodzie bez przerwy patrolowały pięć rzek dniem i nocą. Gęsta mgła, która unosiła się nad wodą, mieszała się z dymem świątynnych kominów i wisiała nad masą budynków ciągnącą się aż za horyzont. Z mgłą mieszał się czarny dym lokomotyw królewskiej kolei i iskry tramwajów elektrosylfidycznych, głównego środka transportu w mieście. Ciężka atmosfera przytłaczała nie mniej niż niejasne pogłoski o potężnych siłach zbierających się w głębinach. Jeśli ktoś był złodziejem, czarownikiem albo zbiegłym niewolnikiem, Babilon zdecydowanie nie był miejscem godnym polecenia.

Ale jeszcze kilka nocy wcześniej Nino i Koresz swobodnie poruszali się niebezpiecznymi wąskimi uliczkami. Gdy księżniczka zrozumiała, że czas ucieka, postanowiła zaryzykować i poszukać przemytników. Narkotyk mógł rozwiązać jej problemy. Przynajmniej tymczasowo. Jeśli uda jej się znaleźć przemytników, nie zawaha się go użyć.

Satrapowie nazywali narkotyk „zgubą imperium”. Biedni sięgali po niego, aby ukryć ciemniejsze dusze. Żucie smoły lotosu na pewien czas zacierało plamy i pozwalało spokojnie przejść badania okresowe. Środek ten był nielegalny i surowo zabroniony. W pałacu uczono dzieci, że powoduje nieodwracalne szkody. Przez pewien czas odczuwa się wszechogarniającą radość, lecz narkotyk piekielnie uzależnia, a po krótkim czasie dusza i ciało rozpadają się i żaden obóz kuracyjny już ich nie uratuje.

Czy te ostrzeżenia były słuszne? Nino nie była pewna. Bała się narkotyku, ale wiedziała już, że nie należało wierzyć we wszystko, czego uczono w pałacu. Wolą zaryzykować z nieznaną substancją niż zmierzyć się z pewnym niebezpieczeństwem, które czekało ją, gdy Naser El-Dor odkryje, że jej dusza jest zepsuta.

Nie miała nadziei, że się jej poszczęści i spotka podczas nocnych wędrówek ludzi o zębach czarnych jak smoła. Nie, to się nie zdarzy tak po prostu. Dlatego miała oczy i uszy otwarte. Na szczęście dla niej upał sprawiał, że handel i zabawa odbywały się głównie w nocy. Nino podchodziła do ognisk, przykucała w cieniu obok otwartych kawiarni i kręciła się przy balwierzach, łaźniach i punktach masażu, gdzie ludziom rozwiązują się języki. Ale wszystko na próżno. Nie znalazła żadnej wskazówki, jedynie plotki.

W Babilonie roiło się od plotek jak w ogromnym ulu. Nino się ich bała. Dowiedziała się, że nienawiść wobec kapłanów uzdrowicieli narasta. Jej ojciec też nie był szczególnie lubiany, choć budził podziw i szacunek. Wszyscy cierpieli z powodu almatoskopii. W dodatku mieli obowiązek nosić zawsze na szyi w skórzanym lub płóciennym woreczku dokument potwierdzający stan zdrowia.

Przy jednym z ognisk usłyszała kłótnię pomiędzy zgarbionym, łysiejącym starcem a młodzieńcem, którego łagodny głos wznosił się w emocjach do piskliwego zgrzytu.

– Zgadza się, badania nie są przyjemne, ale musimy się im poddawać dla własnego dobra

– tłumaczył starzec. Wskazał laską Neberu, której zielonawoniebieskawy ogon lśnił na niebie. – Bułat Marduka od tysiąca lat wisi nad księżycem, strzeże gwiazd bogów na ich ścieżkach. Sam Marduk go tam umieścił. Nasze badania lekarskie są jak kometa Neberu. Pilnują, aby nasze dusze trzymały się właściwych orbit.

– Ale kto ustalił, które orbity są właściwe? – dopytywał młodzieniec o przerażająco przenikliwym spojrzeniu. – Za miesiąc mam się ożenić z Aiszą, ale ona kocha Nastana. Satrapowie zeswatali nas, gdy byliśmy mali, ponieważ stwierdzili, że moja stateczna dusza ochroni Aiszę przed przygnębieniem, a jej radosne usposobienie ochroni mnie. Zapomnieli tylko wziąć pod uwagę, że ją nudzę, bo ona woli Nastana, którego rodzice zapisali do gildii kuglarzy. Dlaczego mam się żenić z kobietą, która mnie nie kocha? Czy to jest właściwa ścieżka mojej duszy?

– Przyzwyczaicie się do siebie – stwierdził starzec. – To drobiazgi. Satrapowie wiedzą, co dla was najlepsze. Chciałbyś oddać szansę na wieczne życie? Słaba i przygnębiona dusza, która już teraz się rozpada, raczej nie przejdzie dalej, do przyszłego życia.

– Ach, no tak, przyszłe życie – powiedział kpiąco młodzieniec.

Podszedł do owiniętej łańchmanami postaci siedzącej na skraju cienia przy ognisku i pomógł jej wstać. Nino zasmuciła się, a Koresz obnażył zęby i zaczął warczeć na widok nędznej istoty, ni to żywej, ni umarłej, o czasce wyraźnie widocznej pod łuszczącą się suchą skórą. Mężczyzna miał puste oczy i zaślinione usta rozciągnięte w bezmyślnym uśmiechu.

– Spójrzcie na mego brata. Dobrze się przyjrzyjcie, a zobaczycie, co oni mu zrobili. Nie podobała mu się ścieżka, którą mu wytyczyli, więc wykryli u niego plamy ciemności i wysłali go do obozu kuracyjnego. Jako jednemu z nielicznych udało mu się wrócić. Całej reszcie nie było nawet dane uciec.

– Twój brat powinien im podziękować – oznajmił starzec. – Jego ciało z błota rozpada się, ale dusza przejdzie do przyszłego życia, prosto do następnego ciała.

– Wydaje mi się, że on wolałby życie teraz i tutaj.

– Dołącz do buntowników! – odezwały się głosy wokół ognia. – Idź w góry i dołącz do buntowników.

– Pojadę w góry jeszcze tej nocy! – oświadczył młodzieniec, wymachując pięścią.

Płonący w nim ogień strawił jego nieśmiałość, aż nic z niej nie zostało.

– Tak, dołącz do buntowników – poradził skrzekliwy, ochryply głos. – Dołącz do nich, a będzie to twój koniec.

Nino ujrzała teraz właścicielkę głosu, garbuskę o twarzy pokrytej żółtawymi guzami przypominającymi stopiony воск świecy. Kobieta siedziała w kręgu po przeciwnej stronie ogniska. Teraz wstała.

– Idź do domu, stara wiedźmo! Mamy dość tych twoich stęchłych prorocत्व furii!

Śmiali się z niej i ze wszystkich stron rzucali w nią skórkami chleba, kamieniami i ogryzionymi kośćmi. Ale starucha nie przestraszyła się, tylko roześmiała złowieszczo, kiedy obierka ziemniaka trafiła ją w nos. Zaczęła śpiewać, nosowo, obłąkańczo. Nino z trudem rozumiała słowa tej pieśni bez melodii zderzające się ze sobą w skomplikowanym rytmie, dziwne i dawne.

Wieża zapada się głęboko

*Pochłania ją Otchłani błoto.
Tysiąc pokoleń, krótka śmierć
Przemija, Otchłań wrócić chce.*

*Lewiatan z głębin dna się dźwignie,
Rahaba on i Czasu syn.
Hilel do walki stanie z nim.
Sen o zwycięstwie snem w malignie.*

Ktoś rzucił w staruchę zgniłym pomidorem, który trafił prosto w garb.
– Zmiataj stąd, szkarado. Twój bełkot nie przestraszy nawet dziecka.
Ale ona się nie wycofała.
– O co chodzi, głupcy? Boicie się prawdy?
Nie zważając na lecące w jej stronę przekleństwa, śpiewała dalej:

*Mieszkańcy, a ich krew ta sama:
Potężnej magii i Adama.
Hilel upada, Otchłań drwi,
Mrok zapanuje po kres dni³.*

Nino nie rozumiała sensu pieśni, ale poczuła mrowienie na karku. Podeszła do młodego chłopaka, który wcześniej chciał dołączyć do buntowników.

– O czym ta starucha mówi?
– Ech, tak tylko trajkocze.
– Sama to wymyśliła?

– Jasne, że nie. Recytuje *Pieśń Archiwistki*, strażniczki Archiwum. Każde dziecko w Babilonie ją zna. Podobno Archiwistka Beletseri, która wie wszystko, co można wiedzieć od stworzenia świata, śpiewała tę pieśń w dniu, gdy Otchłań się podniosła, a wieża runęła.

– O czym śpiewała Archiwistka?

Chłopak lekceważąco machnął ręką.

– O wojnie między Lewiatanem a Hilelem ben Szacharem. Ma wybuchnąć właśnie teraz, według rachuby astrologów. Tysiąc lat po upadku wieży.

– Lewiatanem? Kim jest ten Lewiatan?

Chłopak chciał jej odpowiedzieć, ale starucha usłyszała pytanie Nino i zwróciła się do niej. Stała tak blisko, że Nino widziała rzadką szczecinę na jej podbródku, ale mimo to kobieta gestykulowała teatralnie, jakby zwracała się do pełnego stadionu.

– Nowa siła budzi się w głębinach! – skrzeknęła. – Stara pani Otchłani zasnęła, a na jej miejsce obudziło się coś, czego w najgorszych koszmarach nie moglibyście sobie wyobrazić. To coś nie spocznie i nie ucichnie, dopóki się na was nie zemści. Lewiatan sprowadzi zagładę na imperium i ściągnie na nas tysiąc lat mroku!

– Nie słuchajcie jej – powiedział młodzieniec. – Jeszcze nikt nie widział tego potwora na własne oczy. A jeśli nawet się pojawi, Hilel go pokona.

Starucha roześmiała się paskudnie.

– Naprawdę? Tak myślisz? Tyle że ten, którego zwiecie Hilelem, nie jest nic wart. Podobno jest tak przystojny, że gwiazdy wstydzą się odbijać w wodzie, w której się kąpie. Mówią, że promienieje z niego piękno, bo jego dusza została wykuta w najczystszy ogniu. Ale prawda jest taka, że jest zakochany w sobie. Każdą kobietę, na którą spojrzy, czeka śmierć na miejscu, bo on w swej arogancji wierzy, że jeśli pokocha kogokolwiek bardziej niż siebie, nie znajdzie siły, aby wypełnić swoje przeznaczenie i przejąć tron. I wy myślicie, że taki człowiek was poprowadzi?

– Łiesz, stara wiedźmo! Chcesz nas przestraszyć! Żebyśmy nie poszli w góry, tylko zapomnieli o buncie i dalej byli zabawkami satrapów.

– Poczekajcie, a sami zobaczycie – ostrzegła garbuska i próbowała dać nura w mrok. Jednak młodzi mężczyźni stojący przy ognisku schwytali ją i zaczęli okładać pałkami. Nino nie mogła znieść jej krzyków. Do reszty porzuciła nadzieję, że znajdzie przemytników, i uciekła.

Dłoń Mimosy potrząsnęła jej ramieniem i przypomniała Nino, gdzie teraz była.

– O czym myślisz? Zaraz będziemy w świątyni.

Nino westchnęła. Słowa *Pieśni Archiwistki* nadal dźwięczały w jej uszach. „Hilel upada, Otchłań drwi...”. Ale kim jest Hilel? I co z jej władzą?

Wysiadła z lektyki i zasłoniła twarz szalem. Arystokratycznie wyniosły pałac krył się na wzgórzach za woalami ogrodów, za to główna świątynia na ciężkich kolumnach, z mięsistymi frontonami, pyszniła się bez krzty skromności w samym centrum Babilonu, otoczona alabastrowymi skrzydlatymi bykami Marduka. Zdecydowanie górowała nad miastem. Obok świątyni znajdowała się szkoła mowy i myśli. Gdy tamtędy przechodziły, Nino usłyszała płynące ze środka głosy dzieci, recytujących katechizm świętych słów światła tworzących obronny mur przed ciemnością.

– Miłość, czułość, przyjaźń, radość, miłosierdzie, współczucie, nadzieja...

– Kochane dzieci – powiedziała Mimoza.

– Uhm – mruknęła Nino z powątpiewaniem.

Na frontonie nad wejściem do szkoły widniały trzy płaskorzeźby. Z prawej strony święta motyka Odmuela. Pierwszy człowiek opierał się o motykę, która służyła mu w ogrodzie stworzonym dla niego przez demony z tego, co wydarły z Otchłani. Demony pozwoliły mu siać i uprawiać rajski ogród w dolinach rzek, podlewać go wodą i parą. One brudziły, a Odmuel czyścił. One nadgryzały, a Odmuel zabezpieczał połamane pnie i bandażował rany drzew. Płaskorzeźba przedstawiała też twarz Odmuela, fragmenty i całość, bez ust. Nino wiedziała, że Odmuel za chwilę upadnie na motykę, a w jego twarzy pojawi się rozdarcie, usta, którymi wypowie pierwsze słowo, a ono stanie się jego duszą. Pomyślała, że Odmuel wygląda bardzo miło bez ust i że gdyby ludzie nie mieli ust, nie mogliby śpiewać nudnych pieśni do Marduka.

Po lewej stronie znajdowała się płaskorzeźba przedstawiająca świętą włócznie wojownika Nuspirata. Drugi syn Odmuela wspierał się na włóczni sztywnymi ramionami ze wzrokiem mówiącym: „Nie zadzierajcie ze mną”. Słynna włócznia wyglądała na rdzawą od krwi. Nuspirat miał ją dać Mardukowi, aby przy jej pomocy pokonał Otchłań. Relikwie świętej włóczni (czy też tego, co podobno było świętą włócznią) nadal przechowywano w świątyni, a Nino, która widziała ją w dzieciństwie, zastanawiała się, jak coś tak

paskudnego może mieć taką wartość historyczną.

Pomiędzy motyką a włócznią, wysoko, w honorowej części trójkątnego frontonu, znajdowała się centralna płaskorzeźba przedstawiająca Aszperboszeta, patrona szkoły. Tamte dni były czasem wojny o wieżę i walki z epidemią plam ciemności. Aszperboszet, patriarcha satrapów, na kolanach opatrywał wojownika, którego dusza poczerniała od plam. Nino pomyślała, że Aszperboszet wydaje się irytująco współczujący, grubawy i nadgorliwy i dusi biednego wojownika, zamiast pozwolić mu odetchnąć.

Ponad płaskorzeźbą Odmuela wyryto połączanymi literami napis: SŁOWO TWORZY. Nad Nuspiratem widniał napis: SŁOWO ZBAWIA, a nad Aszperboszetem – SŁOWO LECZY. Wszystko było jednym wielkim przypomnieniem potężnej magii słów, która miała być silniejsza od magii błota Otchłani.

– Ech... – westchnęła Nino z niesmakiem.

Nie potrafiła powiedzieć, co jest nie tak ze świętym mottem, ale jej się nie podobało. Skoro magia słów jest taka silna i dobra, to gdzie jest? I dlaczego zmieniła imperium w to, czym było teraz? Poza tym ta cała powaga była po prostu przytłaczająca. Jaka szkoda, że nie znalazła przemytników. Odrobina smoły lotosu poprawiłaby jej nastrój. A tak będzie musiała zmierzyć się z Naserem El-Dorem bez żadnej pomocy.

Świątynia Marduka zawsze przyprawiała ją o dreszcze. Nino, Mimoza i Koresz weszli po schodach aż do ogromnych żelaznych drzwi, uchylonych, jakby szpiegowały miasto z ciemności. Z upału południa wkroczyli we wstrętny chłód typowy dla świętych miejsc. Echo ich kroków niosło się po wysokim pomieszczeniu. Samotne promienie światła przenikały przez otwory w suficie i padały na czerwonawą kamienną podłogę. Po obu stronach głównego ołtarza satrapowie ustawili pomnik upamiętniający zwycięstwo Marduka nad Tiamat: dwie ogromne kolumny ze wzmocnionego szkła. W środku zamknięto dwa potężne demony. Kapłani nazywali je Gogiem i Magogiem albo Belialem i Beliarem (ich prawdziwe imiona były bardzo stare i o wiele brzydsze). Te dwa demony były dowódcami armii Otchłani: nie mogła wywołać wojny, dopóki pozostawały w niewoli. Ale czy nadal żyły? Każde dziecko w Babilonie zadawało sobie to pytanie. Dwa czarne demony uwięzione od tysiąca lat ani razu nie poruszyły się w swoich szklanych celach, nie kiwnęły nawet szponem. Stały w milczeniu owinięte ogromnymi skrzydłami, z powiekami opuszczonymi jak olbrzymie płachty płótna. Za każdym razem, gdy pod nimi przechodziła, Nino bała się, że szkło się rozprysnie, a demony wzbiją się w niebo, a wcześniej obrócą miasto w dymiącą ruinę. Ale paralizujące zaklęcie satrapów – ostateczny dowód ich mocy – nigdy nie zawiodło.

Mimoza wiernie dreptała za księżniczką. Surowa piastunka wydawała się pokonana jak sfatygowana sofa, którą pokolenia królewskich dzieci zniszczyły swoimi harcami i zepsuły jej sprężyny. Może nie była najodważniejszą towarzyszką, ale Nino cieszyła się, że jest przy niej, bo tylko jej mogła w pełni zaufać.

Nagle w złowieszczej ciszy świątyni księżniczka usłyszała za plecami szept Mimozy:

– A co ty wyprawiasz, łobuzie!?

Nino odwróciła się i zobaczyła Koresza, który nigdy nie miał cierpliwości do atmosfery świętości, a teraz podniósł łapę i obsikał kolumnę po prawej. Po szkle u stóp jednego z demonów popłynęły krople żółtego moczu.

– Zmykaj stąd! – szepnęła Mimoza do psa i zamachnęła się na niego zbiorem hymnów.

Nino się roześmiała.

– Niezły wstęp do mojego badania.

Podniosła głowę i zamarła.

– Mimito, spójrz!

– Co się stało?

– Demon do mnie mrugnął.

Mimito zmrużyła oczy i wyteżyła wzrok.

– Nic nie widzę.

– Przyjrzyj się.

– Wydaje ci się. Te szkaradztwa są równie żywe co kamienne głązy.

– Ale jestem pewna, że widziałam.

– Wyświadcz mi przysługę i nie opowiadaj o tym Naserowi. Pomyśli, że postradałaś rozum.

Jasne, że nie powie. I bez tego Nino miała dość kłopotów. Opuściły wielki hol i ruszyły przez wewnętrzne dziedzińce. Gabinet Nasera El-Dora mieścił się w tylnym skrzydle świątyni. Kapłan już tam czekał. Zasłony komnaty były zaciągnięte. Czarna broda mężczyzny lśniła w świetle salamander. Studiował księgę medyczną, którą odłożył, gdy weszły. Tak jak za każdym razem, gdy go widziała, Nino poczuła znajome połączenie podziwu i odrazy. Te łuki brwi i orli nos, wydatne kości policzkowe i głębokie kratery, w których poruszały się czarne oczy niczym dwa senne podwodne stworzenia, sprawiały, że była spięta i ostrożna. Ostre rysy kapłana przypominały twarze na starożytnych monetach, ale było w nich coś nieprzyjemnego, jakby dostała taką złotą monetę za coś, czego nie chciała zrobić. Upływ czasu nie zmniejszył jego zachłanności. Zwykle ludzie łagodnieją z wiekiem, lecz ostre linie charakteru Nasera El-Dora czas tylko podkreślił jak żyły żelaza na zalanej powodzią ziemi. Zawsze mówił i poruszał się z absolutną pewnością. A pod przebiegłością i surowością, wymaganymi na jego stanowisku, w jego oczach była też głębsza, przenikliwa mądrość, niezależna od wszystkiego, i to jej Nino bała się bardziej niż czegokolwiek.

Nino podeszła do kapłana, aby pocałować jego pierścień z pieczęcią dynastii Aszperboszeta, on zaś musiał przyłożyć usta do krawędzi jej szaty, ponieważ nadal była prawowitą następczynią tronu. „Zachowajmy na razie równowagę sił”, pomyślała.

– Zaczekaj na zewnątrz – rozkazał Naser El-Dor Mimito.

Nino usiadła na kozetce i poczuła na udach łaskotanie zimnego skózanego obicia. Odepnęła woal. Długie, jedwabiste ciemne włosy rozsypały się na jej ramionach i otuliły ją niczym jedyne pocieszenie. Naser El-Dor wziął torbę z instrumentami i podszedł do Nino.

– Jak się czujesz, Wasza Wysokość?

– Nigdy nie czułam się lepiej.

– Skoro tak, rozepnij bluzkę.

Rozpięła guziki i odsłoniła pierś. Naser El-Dor przyłożył stetoskop do jej skóry. Nie znosiła lodowatego, piekącego krążka, który szpiegował jej serce. A jeszcze bardziej nienawidziła dotyku palców Nasera El-Dora. Kapłan słuchał bicia jej serca z ponurą miną. Nie poruszyła nawet jednym mięśniem twarzy. Magiczne praktyki nauczyły ją, aby nie dać się sprowokować i nie zdradzić swoich obaw ani słabości, by przeciwnik nie mógł zabawić się jej kosztem. Naser El-Dor obejrzał jej gardło, pomacał węzły pod żuchwą i rozszerzył

powieki. Po kilku minutach skończył i zdjął gumowe rękawiczki.

– Dlaczego przerwał pan badanie? – zapytała.

– Oboje wiemy, że nie jest potrzebne. Przyglądałem ci się przez ostatnie miesiące. Doświadczony lekarz taki jak ja nie potrzebuje badania, żeby wiedzieć, co się dzieje.

Nino poczuła, jak serce jej się ściska. Miała nadzieję, że Naser El-Dor nie mógłby tego usłyszeć przez stetoskop.

– Co się ze mną dzieje?

– Jesteś inteligentną młodą kobietą. Udawanie niewiniątka ci nie służy.

Odłożył stetoskop na stół ze złowieszczym brzękiem.

Nie ma wyjścia. Nadszedł czas, by odkryć karty.

– Czy ja umrę? – spytała.

– Nie w pozornym znaczeniu tego słowa. Plamy ciemności nie prowadzą do śmierci, wbrew temu, co sądzi większość ludzi. Twoje serce nadal będzie biło, a mózg nie przestanie pracować.

– To dlaczego powinnam się martwić?

– Ponieważ są straszniejsze rzeczy. Nasza świadomość rodzi się dotknięta grzechem pierworodnym: świadomością własnej skończoności, nieistnienia, jednorazowości. Każda świadomość, która zna własne ograniczenia, wie, że jest bezwartościowa i ulotna. Ale wiara w Marduka chroni nas przed Otchłanią, która dotyka nasze dusze. Jeśli ulegniesz plamom ciemności, umrzesz, nadal oddychając. Twoje życie zmieni się w męczącą, samotną i jałową wędrówkę.

Pomimo wstrętu, jaki czuła do Nasera El-Dora, Nino nie mogła odeprzeć wpływu jego słów.

– Nie martwi mnie moje przyszłe wcielenie, jeśli o to panu chodzi.

Naser El-Dor uśmiechnął się do niej łagodnie.

– Mówię o tym życiu. Będzie mi bardzo przykro, jeśli je zmarnujesz, choć mogłabyś być szczęśliwa.

– Niech się pan nade mną nie lituje – powiedziała Nino. – Czy musimy mówić poddanym o moim stanie zdrowia?

– Nie, Wasza Wysokość. Oczywiście, że nie. Po co? Publiczne obwieszczenie mogłoby wywołać zamieszki. Jaki naród zgodziłby się, aby rządziła nim królowa dotknięta plamami ciemności?

Nino spojrzała mu prosto w oczy, starając się nie widzieć drzemiącej w nich mądrości głębin.

– Może to szansa dla pana. Teraz może się pan mnie pozbyć i ogłosić dziecko Sarkitai następcą tronu.

Naser El-Dor podszedł do okna. Słabe światło, które sączyło się przez zasłony, obmywało jego oliwkową skórę łagodnym blaskiem.

– Nie wykluczam takiej możliwości – przyznał. – Ale kto da mi pewność, że to dziecko będzie miało większą duszę od twojej? Wiesz przecież, że król lub królowa zostanie duszą imperium i że musi mieć najstarszą i najbardziej szanowaną duszę w pokoleniu.

– Nie czuję, żeby moja dusza była jakoś szczególnie stara ani czcigodna.

Kapłan się uśmiechnął.

– Pesymizm. Kiepski nastrój. Poczucie, że wszyscy chcą dla ciebie źle... Jakie to typowe

dla płam ciemności! One naprawdę tobą owładnęły, moja droga. Dlaczego uważasz, że chciałbym ci zaszkodzić?

– A nie chciałby pan?

– Wy, dzieci królewskiego rodu, i my, satrapowie, jesteśmy jedną wielką rodziną. Dusze Odmuela i jego syna, Aszperboszeta, odradzają się w nas. Pragnę twojego dobra, bo jesteś częścią mnie.

Nino oderwała wzrok od jego twarzy i z pogardliwą miną zapięła guziki bluzki.

– Co pan chce mi zrobić?

– A co to za pytanie? – Naser El-Dor udał zaskoczonego. – Jestem lekarzem. Zamierzam cię wyleczyć.

– Wyleczyć mnie?

– Tak. Nikt nie musi wiedzieć o twoim stanie. Nawet twój ojciec. To będzie nasz mały sekret.

Nino czegoś tu nie rozumiała.

– Dlaczego chce mnie pan wyleczyć?

– Ponieważ moje zmysły mówią mi, że będziesz wspaniałą królową.

Za jego wspaniałomyślnością na pewno kryła się jakaś straszna pułapka. Tylko jaka?

– Czy będę musiała się udać do obozu kuracyjnego?

– Oczywiście, że nie. Nie jesteś wieśniaczką z prowincji. Nie musisz opuszczać pałacu.

Usiadł na obitym skórą krześle za ciężkim surowym biurkiem z drewna o pięknym głębokim odcieniu. Otworzył kluczem szufladę i wyciągnął dziwną białą zamkniętą buteleczkę, zrobioną z materiału, którego Nino nigdy wcześniej nie widziała.

– Co to jest?

– Lekarstwo. Wiara to prymitywna rzecz, której nie da się kontrolować. Działanie lekarstw natomiast jest udowodnione naukowo. Naszym imperium rządzą za pomocą najnowocześniejszych metod. To lekarstwo przywróci ci spokój i szczęście, poczucie, że życie ma ciągłość i sens.

– Mam to wziąć?

– Są tu dwadzieścia cztery pigułki. Będziesz przyjmować jedną co miesiąc. Kuracja potrwa dwa lata i zakończy się, gdy będziesz miała siedemnaście wiosen.

– Co się ze mną stanie?

– Nie próbuj zrozumieć. Powiedzmy, że lekarstwo pozbedzie się raz na zawsze twojego smutku, przygnębienia i wątpliwości, i już nigdy nie będziesz cierpieć.

– Skąd mam wiedzieć, że nie próbuje mnie pan otruć?

Naser El-Dor roześmiał się, a jego białe zęby zaśniły w niebieskawym salamandrowym świetle.

– Gdybym chciał cię otruć, moja droga, z pewnością znalazłbym na to prostszy sposób. A teraz otwórz usta.

Nino wiedziała, że nie ma wyjścia. Jeśli nie zgodzi się przyjąć lekarstwa, Naser El-Dor wyjawia sekret jej ojcu, a ona straci szansę na tron. Nawet jeśli ucieknie z pałacu, może uratuje się przed pigułką, ale nigdy nie zostanie królową. A kto wtedy zatroszczy się o imperium? I co będzie z jej życiem, gdy straci jedyny sens? Nie, lepiej zaryzykować i wziąć pigułkę niż stracić wszystko. Otworzyła usta i wystawiła język.

Naser El-Dor długimi palcami wyjął jedną pigułkę z buteleczki. Przez chwilę bawił się nią

w dłoni, aż w końcu położył ją na języku Nino.

– Połknij – nakazał i podał jej szklankę wody do popicia.

Połknęła pigułkę.

– A teraz muszę się upewnić, że taka sprytna dziewczyna jak ty nie schowała pigułki pod językiem, żeby ją później wypluć.

Podszedł do niej, otworzył jej usta, wsadził do nich palec i przeszukał wewnątrz, dotykając jej języka, dziąseł i wewnętrznej części policzków. Jego skóra, sucha i zimna jak wężowa łuska, miała gorzko-słodki smak lukrecji. Nino poczuła, że zbiera jej się na wymioty.

Rozdział szósty

Węgorze i torty

Musi znaleźć lekarstwo. W jakiś sposób uwolnić Elę z rąk porywaczy, a potem odnaleźć drogę powrotną do swojego świata, żeby wyleczyć mamę i zająć się rannym ojcem, zanim będzie za późno. Te myśli ani na chwilę nie opuszczały Jonatana. Nieostre, niejasne, krążyły w jego umyśle niczym przerażające cienie, które wyczerpanie i nudności zacierały w mgłę. Czuł się jakby uwięziony w złym śnie, który ciągnął się całe tygodnie i miesiące. Nie miał pojęcia, co go dręczy i co powinien zrobić. Wiedział tylko, że grozi mu ogromne, niepojęte niebezpieczeństwo i że nie ma siły, aby przed nim uciec i ratować swoją duszę.

Teraz na klęczkach mył ścierką podłogę w kuchni doktora Nekroseptusa. W głowie mu huczało, w uszach dzwoniło, oczy o mało nie pękły jak dojrzałe winogrona, a żołądek burzył się jak morze. Właśnie z takim uczuciem budził się każdego ranka od ostatnich trzech miesięcy, odkąd przybył do willi. Może przynajmniej dziś, w związku z uroczystościami, odpuszczą mu badania i będzie mógł trochę odpocząć.

Spojrzał na Pazuzu po drugiej stronie kuchni i powoli podszedł do niego na obolałych kolanach, myjąc po drodze kolejne płytki i unikając rozzłoszczonych, krzątających się gorączkowo kucharek. Demon był przykuty za nogę do ściany ciężkim żelaznym łańcuchem i wcale mu się to nie podobało. Przykucnął w kącie, wściekły, z ust ciekła mu ślina.

– Delikatny, soczysty tuńczyk – mruczał demon – plastry łososa, różowe i wilgotne, leniwe tilapie, utuczone jak prosięta, śliczne jędrne kalmary, młode barweny wskakujące prosto do...

– Nic ci nie jest, Pazuzu?

– ...do moich ust.

Jonatan zauważył wygłodniałą minę demona i wystające spod sierści zębra. Potrząsnął jego ramieniem.

– Uspokój się, Pazuzu. Przynajmniej udawaj, że pracujesz, bo jeśli nie, to wiesz, co cię czeka.

– Jak mam pracować, kiedy mój brzuch płonie jak rzygi Asmodeusza?

– Ja też jestem głodny.

– Nie mógłbyś przypadkiem skubnąć stamtąd paru fig? Na pewno nikt ich nie potrzebuje.

Jonatan zerknął w stronę stosu fioletowych owoców ułożonych w staranną piramidę na srebrnym półmisku, ustawionych wśród innych słodczy i łakoci przygotowanych na wieczorne uroczystości.

– Myślałem, że demony nie znoszą owoców.

– Na żywot Behemota, a jest tu coś lepszego? Ostatni raz widziałem karpia sześćset siedemdziesiąt osiem lat temu.

Jonatan wiedział już, że ryby są surowo zabronione w całym imperium. W królestwie obawiano się wszystkiego, co mogło wynurzyć się z głębin bądź jakkolwiek przypominało o Otchłani. Nawet puste przestrzenie i ciemne kolory uważano za zbyt niebezpieczne. Dlatego ulice Nippur były wąskie jak w miasteczku dla lalek, pokoje zagracone meblami

i ozdobami, a ściany i ubrania były wyłącznie różowe, białe, żółte lub błękitne. Jeśli w pierwszej chwili pomyślał, że willa doktora Nekroseptusa jest piękna i doskonała jak z pocztówki, szybko zmienił zdanie.

Doktor i jego sylfy uratowali Jonatana i Pazuzu z zamieszek na targu niewolników w Eridu i zabrali ich na dworzec kolei królewskiej. Jonatan wciąż źle się czuł po badaniu (nie wiedział jeszcze, że to uczucie będzie odtąd powracało co jakiś czas). Głowę miał jak balon, a wszystko dookoła dźwięczało przerażającą pustką. Przywieziono go razem z demonem prywatnym wygodnym wagonem doktora, wyglądającym jak połączenie laboratorium alchemika z nowoczesnym gabinetem lekarskim. Przez całą podróż doktor siedział przy biurku, mamrotał pod nosem i sporządzał listy. Jonatan drzemał, Pazuzu ślinił łapę i mamrotał, a sylfy, które wyglądały, jakby nigdy nie potrzebowały odpoczynku, pilnowały drzwi.

Obudził się kilka godzin później, kiedy ospała lokomotywa, ciężko dysząc, wjechała do Nippur. Widok z okna wagonu był niezwykły. Jonatan zrozumiał, dlaczego targ niewolników znajdował się akurat w nędznym i odrapanym Eridu. Tu domy były pobielone, a ulice czyste. Willa doktora Nekroseptusa stała zanurzona w zieleni drzew mandarynki i persymony, a na pierwszy rzut oka zdawała się rajem na ziemi. Po drugim spojrzeniu okazało się, że jest otoczona szklanym murem pod napięciem elektrosylfidycznym (Pazuzu splunął z odrazą), a po trzecim – cóż, na obrazku pojawiła się Różyczka.

Białe drzwi domu otworzyły się, a za nimi pojawiły się drugie. Ale gdy oddzieliły się od zawiasów, Jonatan zrozumiał, że nie były to drzwi, lecz kobieta, której biodra, brzuch i ramiona tworzyły razem kształt prostokąta. Miała na sobie luźną białą tunikę, z której wylewały się miękkie, ciastowate ramiona. Uśmiechnęła się do nich promiennie, odsłaniając rząd zdumiewająco zdrowych białych zębów, i zatrzepotała białawymi rzęsami.

– Co za cudowny dzień! – powiedziała. – Nawet nie jest za gorąco, prawda?

Jonatan lekko kaszlnął. Jego mama nigdy nie potrzebowała zdawkowej pogawędki o pogodzie, żeby przełamać lody z nowym gościem. Strasznie za nią tęsknił. Ale mimo wszystko był pełen nadziei: może ta kobieta mu pomoże? Potrzebował każdego wsparcia, a doświadczenie nauczyło go, że w matczyńskich kobietach łatwo wzbudzić współczucie.

– Jestem gospodynią doktora – przedstawiła się wesoło. – Od tej chwili będziecie pod moją opieką.

Wspaniale! Wyobraził sobie, jak gospościa łaja doktora za to, jak okrutnie go traktował, i natychmiast zanurza Jonatana w pachnącej kąpieli, wyciera go miękkimi ręcznikami, podaje mu gorące kakao i utula do snu w czystej białej pościeli. Ale ona w ogóle nie miała takich zamiarów. Przyjrzała się z bliska Pazuzu i skrzywiła z odrazą.

– Po co mi pan przywiózł takiego nędznego demona? – zbeształa Nekroseptusa podniesionym głosem. – Co ja niby mam z nim zrobić?

– Zawsze mówiłaś, że potrzebujesz domowego demona, Telmo.

Doktor spuścił wzrok, a Jonatan pomyślał, że usłyszał w jego głosie poddańcze drżenie.

– Na miotłę Astrei, litości! Co też mi przyszło do głowy, żeby zostać gosponią biednego lekarza w prowincjonalnym miasteczku!

– Uspokój się, Telmo. To tylko na jakiś czas. Zapewniam cię, że wymienię tego demona na bardziej prestiżowy model przy najbliższej sposobności.

Kobieta westchnęła.

– Chłopak mi się przyda. Ciągłe brakuje mi rąk do sprząwania kuchni. Mówiłam panu, że mały Hassan zmarł wczoraj z wycieńczenia? Nie rozumiem, co się ostatnio dzieje z tymi chłopcami. Chyba nie są już tak silni jak kiedyś.

– Nie obchodzi mnie Hassan, ale na tego chłopca uważaj, moja droga. Niech pracuje u ciebie, ale pamiętaj, że potrzebuję go do swoich eksperymentów. Możliwe, że okaże się przełomem, na który czekałem.

– Na Marduka, Bulfusie! Kolejny z pana idiotycznych pomysłów? Ostatnim razem próbował pan zorganizować ekspedycję, żeby zbadać choroby zakaźne barbarzyńców na ziemiach niczyich. I co? Naraził się pan tylko na drwiny.

– Przecież wiesz, że musimy jakoś wybrukować sobie drogę do Babilonu. Nie wolałabyś nowego wspaniałego domu w stolicy zamiast tej rudery? Życia towarzyskiego, wpływów, świetlanej przyszłości?

Różyczka mruknęła.

– Dobrze już, dobrze. Będę na niego uważać. Ale odrobina szorowania i czyszczenia jeszcze nikogo nie zabiła. – Pochyliła się nad Jonatanem i przyjrzała mu się maleńkimi okrągłymi źrenicami jasnymi jak jej rzęsy. – O rety, ależ on brzydki! Uszy ma jak garnek. Ale przynajmniej oczy ma jak trzeba. Paskudnie zielononiebieskie. Zamówiłam u krawcowej bładoniebieskie uniformy ze złotym paskiem dla całej służby. Będzie wyglądał wspaniale!

Od chwili gdy jego noga przekroczyła próg willi w Nippur, życie Jonatana zmieniło się w piekło. Wyglądało na to, że Różyczka poświęciła całe swoje istnienie usuwaniu ciemnych plam zewsząd: z filiżanek do herbaty, podłóg, prześcieradeł, skóry, własnej twarzy, ze swojego porządku dnia i planu dnia służby. Jako gospodyni kapłana uzdrowiciela miasta Nippur uważała, że jej obowiązkiem jest pokonanie wszystkiego, co przygnębiające, apatyczne, brudne i ciemne. Budziła służących o wpół do piątej rano swoim śpiewem i szuraniem miotły i od tej chwili do północy nie przestawali się krzątać. Na jej rozkaz musieli pracować z uśmiechem na twarzy, pozdrawiać każdego, kogo zobaczyli, a o drugiej po południu, zamiast trochę odpocząć od nieznośnego upału, wszyscy wychodzili na wewnętrzny dziedziniec, aby razem tańczyć i śpiewać. Każdy, kogo przyłapano na objaniu się, dostawał surową karę, ponieważ nuda jest matką wszystkich grzechów. Nocą też im nie odpuszczała. Co któryś wieczór wszyscy siadali w kręgu w kuchni, a jeden ze służących musiał opowiedzieć pozostałym, dlaczego tak się cieszy z tego, że tu pracuje, i jak jego życie nabrało sensu, odkąd przybył do białej willi.

Sama gospodyni zawsze była radosna, także wtedy, gdy wymierzała im kary. Tak naprawdę nie nazywała się Różyczka. Ten przydomek nadała jej Liga Białych Dam miasta Nippur. Liga postawiła sobie za cel wspieranie władzy satrapów i zmianę codziennego życia miasta w nieprzerwaną celebrację zdrowia, radości i zadowolenia. Wszyscy wiedzieli, że mrok i nicość nieustannie próbują wdrzeć się od dołu do podstaw świadomości, a kobiety są szczególnie podatne na ten wpływ i łatwo popadają w przygnębienie. Białe Damy starały się udowodnić, że kobiety są obywatelkami numer jeden i że przez proste i odpowiedzialne zachowanie każda pani domu może wesprzeć wysiłki wojenne imperium i zapobiec ciemnym rysom w codziennej rutynie. Różyczka była prezeską lokalnego klubu Białych Dam i raz w miesiącu zapraszała swoje towarzyski na lekki lunch (szwedzki stół, szampan, świeże bukiety, porcelanowy serwis w kwiatki, niskokaloryczne herbatniki i tym

podobne), przed którym służba uwijała się jak w ukropie dniem i nocą.

Jonatan czuł, że w obecności gospodyni wszechświat się kurczy, jakby wchłaniała w swoje obfite ciało całą przestrzeń. Pamiętał, jak pokoje powiększały się, gdy wchodziła do nich mama, i jak w jej obecności zawsze czuł się mądrzejszy i weselszy. Z żalem odkrył, że inni ludzie też mają na niego taki wpływ i mogą mu dodawać sił albo je odbierać. Gdy tylko w końcu dojdzie do siebie, wyrobi własną wewnętrzną siłę, ale tymczasem czekały go pilniejsze wyzwania.

Doktor Nekroseptus co dzień rano wychodził do pracy w klinice w miejskiej świątyni. W swoim gabinecie przyjmował wszystkich obywateli, u których wystąpiły plamy ciemności. Ten, u kogo choroba miała lekki przebieg, mógł jeszcze otrzymać lekarstwo. Najważniejszą rzeczą było opanowanie chaosu, który powoli ogarniał ich dusze. Nekroseptus przepisywał im recytowanie przed lustrem: „Kocham siebie, wierzę w siebie, moje życie jest ważne i cenne”. Chorzy mieli unikać strasznych i przygnębiających myśli, ćwiczyć na świeżym powietrzu i jeść surowe warzywa. Zalecał im, aby posadzili narcyzy i kupili kanarka. Osoby wolnego stanu miały się ożenić lub wyjść za mąż, ponieważ małżeństwo przynosi radość i poczucie sensu, osoby zamężne i żonate miały płodzić dzieci, bo niemowlęta przynoszą radość i poczucie sensu, a starzy ludzie mieli wspominać młodość, bo młodość przynosi radość i poczucie sensu. Na niektórych to działało. Byli jednak i tacy, których stan był naprawdę poważny. Nekroseptus wiedział, że stojący przed nim człowiek jest śmiertelnie chory, gdy okazywał głęboki brak zadowolenia ze swojej rodziny i gildii, do której należał. Oczywiście reżim satrapów starał się zawczasu zapobiegać takim problemom. Jednym ze źródeł głębokiego cierpienia u człowieka jest poczucie niezgody z własnym losem. Dlatego nie wolno zostawiać takich rzeczy przypadkowi. Wszystkie dzieci miały obowiązek uczęszczać do szkoły mowy i myśli, a tam starannie badano ich dusze. Specjalni eksperci decydowali, czy dziecko dołączy do gildii skrybów, mechaników, piekarzy bądź innej (jaka szkoda, że nie został już żaden prawdziwy widzący, który mógłby zobaczyć rdzeń duszy, ale tabele statystyczne też pozwalały na całkiem sprawną klasyfikację). Przy tej samej okazji łączono dzieci w pary o pasujących do siebie duszach (sakiewka złotych denarów pod stołem nigdy nie zaszkodziła). Te ustalenia miały zapewnić stabilność i rozkwit królestwa, a Nekroseptus był z nich szczerze dumny. Jednak rzeczywistość pokazywała, że ludzkie nieszczęście i niepokój nie mają granic. Dlatego każdy obywatel musiał poddawać się badaniu raz na trzy miesiące, aby monitorować stan zdrowia. Po zakończeniu cyklu badań przeprowadzanych jednocześnie w całym imperium odbywało się królewskie święto zdrowia: wiosną, latem, zimą i jesienią.

Jakby rządy Różyczki nie wystarczyły, Jonatan codziennie od nowa przeżywał koszmar almatoskopii. Nekroseptus miał wprawdzie pełne ręce roboty, ale znajdował czas na badanie Jonatana. Posyłał sylfy, aby przyprowadziły chłopca do kliniki, i z coraz większym zaciekawieniem badał jego duszę.

– Nie może być – mrucał pod nosem. – Nie może być.

Jonatanowi wydawało się, że doktor próbuje rozłupać go jak orzech. Obracał nim na wszystkie strony i prosił, by pomyślał o dzieciństwie, relacjach z ojcem, skrytych fantazjach. Prosił, aby kłamał, mówił prawdę, przypominał sobie sny. Jonatan posłusznie wykonywał polecenia kapłana, patrząc na wiszący na ścianie plakat przedstawiający duszę

doskonałą. Przypominała mu wazon z kwiatami w słońcu namalowany przez Matisse'a. Czy on też ma w środku taki ładny wazon? Chyba nie. Brwi Nekroseptusa ściągnęły się w gniewie, jakby ktoś specjalnie chciał go zdezorientować.

– To niemożliwe – mruzczał i zapisywał jakieś tajemnicze liczby i znaki w oprawionym w skórę notatniku, który później zamykał w sejfie.

Dla Jonatana oznaczało to, że następnego dnia znów czeka go badanie. Miał coraz mniej sił. Bał się, że wkrótce całkiem straci rozum i zmieni się w ślimaka, amebę, bezkręgowca: doskonałego podkuchennego Różyczki.

– Ej, pobudka! – upomniał go Pazuzu. – Czemu ty śpisz na stojąco? Co z moimi figami?

Demon nie był w lepszej sytuacji. Przykuty łańcuchem do kuchennej ściany musiał wykonywać wszystkie prace domowych demonów: gotować wodę, chłodzić sypialnię pana, odstraszać komary, rzucać zaklęcia na drobne przedmioty, żeby się nie gubiły, sprawiać, żeby chleb rósł, a wino fermentowało, zakwaszać jogurt, otaczać willę aurą powstrzymującą kurz, odblokowywać zatkane odpływy, puszczać na korytarzach przyjemną muzykę i robić tysiąc innych nudnych rzeczy – a wszystkie wymagały skupienia i wysiłku. W ostatnich dniach jego sytuacja pogorszyła się w związku z gorączkowymi przygotowaniem do jesiennego święta. Jonatan po prostu nie mógł uwierzyć własnym oczom, kiedy zdał sobie sprawę z zakresu przygotowań przypominających operację wojskową. Tego wieczoru oczekiwali w willi ważnego gościa z Babilonu, który miał oficjalnie otworzyć uroczystości. Różyczka o mało nie zemdląła z wrażenia, kiedy dowiedziała się, że słynny profesor Kserkses, dyrektor szkoły mowy i myśli w Babilonie, odwiedzi jej dom.

– To nasza szansa, Bulfusie. Szansa, o której zawsze marzyliśmy! Pokażemy Kserksesowi, jakim pan jest wspaniałym lekarzem i jak zmienił pan Nippur w przykładne miasto. Podejmiemy go tak, jak jeszcze nikt nigdy go nie podjął!

Nekroseptus z powątpiewaniem pokiwał głową.

– Ale czym my mu zaimponujemy, Telmo? Pewnie każdy lekarz z prowincji próbuje zrobić na nim wrażenie dokładnie z tego samego powodu.

– W tej sprawie proszę zdać na mnie. Przygotuję dla profesora ucztę, której nigdy nie zapomni.

Od chwili, gdy wypowiedziała te słowa, nikt w willi nie zmrużył oka. Do kuchni przyniesiono ogromne ilości świeżego jedzenia i owoców, wyszorowano każdą płytkę na podłodze, zamówiono znów nowe, eleganckie liberie (tym razem białe z pozłacanym pasem), a w ogrodzie posadzono dziesiątki krzewów jaśminowych (Pazuzu musiał sprawić, aby przez noc zakwitły tysiącami białym gwiazd). Lecz Różyczka nie była usatysfakcjonowana. Nawet na chwilę nie ustała w poszukiwaniu sposobów na zabawienie gościa. Najpierw zaplanowano uroczystą ucztę w domu Nekroseptusa, po której wszyscy mieli się udać na miejski rynek, gdzie odbywały się obchody święta zdrowia. Grupa taneczna córek Naamy miała zadziwić wszystkich swoim tańcem. Zaplanowano, że chór miodojadów zaśpiewa pieśni radości, a na rynku odbędzie się konkurs pisania hymnów ku czci Marduka, konkurs na najładniejsze i najzdrowsze niemowlę, różne zawody sportowe, quizy, konkursy piosenki i konkurs na największe warzywa. Jednak punktem kulminacyjnym uroczystości miał być najprzyjemniejszy konkurs ze wszystkich, w którym mogły wziąć udział tylko członkinie klubu Białych Dam: na najdoskonalsze ciasto. Z góry było wiadomo, że osobą, która wygra i zadziwi wszystkich swoim wspaniałym wypiekiem,

będzie Różyczka.

Ogromny tort, który upieczono tego ranka, stał teraz na środku kuchni niczym białe monstrum. Pazuzu włożył resztkę swoich magicznych sił w to, by kilogramy białego sera, cukru, jajek i mąki urosły do wysokości człowieka. W świetle Jonatana nikt nigdy nie widział takiego niemożliwego tworu i Jonatan obawiał się, że w każdej chwili może się on zapaść w stos trzęsącej się galaretki. Zerknął z lękiem na ciasto, a jego spojrzenie nie umknęło uwagi Pazuzu.

– Co za paskudztwo! – jęknął demon. – Gorsze niż ten Ziggurat Niebios. Trzeba naddemonicznych sił, żeby go upilnować. Jeśli czegoś nie zjem, ciasto się zapadnie, a wtedy gospoia powie, że to ja je zepsułem, i każe mnie uśpić, żeby kupiono jej nowego demona.

Jonatan już nie pamiętał, jak wyglądało jego życie, zanim poznał Pazuzu. W wypolerowanym, wiecznym piekle białej willi demon był jego jedynym przyjacielem.

– Trzymaj się. Znajdę ci coś do jedzenia.

Na klęczkach podkradł się do bufetu, na którym ustawiono jedzenie, ale zanim do niego dotarł, wpadł na kucharkę, która właśnie szła różnym krokiem do demona. W rękach trzymała wielką jak balia miskę z morzem białego płynu.

– Demonie, śmietanka nie chce się ubić. Musisz ją natychmiast zmienić w bitą śmietanę.

Pazuzu westchnął.

– Kobiety.... Oszaleję przez was.

– Uważaj, jak się do mnie odzywasz, jeśli nie chcesz, żebym poskarżyła na ciebie gospodyni.

– Dobra, dobra.

Pazuzu zmrużył oczy, skupił się i trzepaczka sama zaczęła się kręcić. Tańczyła jak opętana, a po kilku minutach miskę wypełniła sztywna chmura bitej śmietany.

– Niczego sobie – stwierdziła kucharka i poszła rozsmarować śmietanę na białym cieście.

– Widzisz, jak mnie upokarzają? – załkał demon. – Bitą śmietaną! A ja tymi rękami zgładziłem najstraszniejszych wojowników Marduka!

Jonatan próbował go pocieszyć i powiedzieć mu coś w stylu: „Żadna praca nie hańbi”, ale wiedział, że byłaby to nieprawda. Takie zadania, jakie zlecano im w białej willi, nie przynosiły im chwały. Umożliwiały im tylko przetrwanie do czasu, kiedy uda im się wymyślić coś lepszego. Tylko co?

Gdy on był pogrążony w ponurych myślach, do kuchni wszedł Nekroseptus. W związku z przygotowaniami do uroczystości tego dnia nie poszedł do świątynnej kliniki, tylko kręcił się po willi i przeszkadzał służącym.

– Telmo, mam tu sytuację kryzysową. Trzeba wysłać kogoś na pocztę. Demon komunikacji ma dla nas pilną poufną wiadomość od profesora Kserksesa.

– Czy pan oszalał? Przecież nie zostawię ciasta.

– W takim razie kogo moglibyśmy posłać?

Różyczka rozejrzała się po kuchni. Jej wzrok padł na Jonatana.

– Niech pan wyśle chłopca. I tak mi się do niczego nie przyda.

– Dlaczego akurat jego? Nie chciałbym, żeby włóczył się po mieście.

– Wobec tego niech pan wyśle z nim sylfę albo dwie. Co się może stać?

– Nikt inny nie może?

– Nie oddam teraz przydatnej pary rąk.

– No dobrze – westchnął Nekroseptus. – Wyślemy chłopca.

Świeże powietrze na ulicy otrzeźwiło Jonatana i przypomniało mu natychmiast, kim jest i co powinien zrobić: musi odzyskać skradzione lekarstwo, odnaleźć Elę i wrócić do domu. Tylko jak? Świat, w którym żył przez ostatnie miesiące, nie był w żadnym miejscu, które mógł objąć rozumem. Ani w przeszłości, ani w nieznanym kraju, ani też na innej planecie. Jonatan był pewny tylko jednego: ten świat był nie mniej prawdziwy niż rzeczywistość, z której przybył. A jeśli tak, gdzie teraz był jego dom, tata i mama?

W tej chwili nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Sylfy zaprowadziły go w milczeniu do dzielnicowego urzędu pocztowego, otaczając go z obu stron przezroczystymi szatami i mdlącym zapachem odświeżacza powietrza. Była to pora piekielnego upału, ulice były prawie puste. Sylfy zostały na zewnątrz, a Jonatan wszedł do pomieszczenia, gdzie siedział w kucki ogromny stary simurg, demon komunikacji. Jego mina wyrażała bezmierne znudzenie. Jonatan od razu zauważył, że demon jest o wiele starszy i groźniejszy od Pazuzu. Jego ciało było tak ciasno zwinięte wokół własnej osi, że aż trudno było rozpoznać kształt, a zamiast postrzępionej sierści miał żółtawe łuski matowe jak muszle. Przypominał Jonatanowi ogromnego węża o beznamiętnych wąskich szparach oczu, trawiącego posiłek.

– Przyszedłem od doktora Nekroseptusa – oznajmił Jonatan, świadomy tego, że nie udało mu się stłumić drżenia w głosie, choć bardzo się starał.

– Aghrrrr... – odezwał się leniwie demon i lekko uniósł lewą powiekę.

Komunikacja była jednym z najbardziej zniechęcających zajęć wśród demonów. Nie znosiły przekazywanych przez nich ludzkich wiadomości, które wydawały im się przegadane, żalotne i mało inspirujące. Stary simurg, mądry i bardzo doświadczony, wydawał się wyjątkowo pogardliwie nastawiony. Jonatan miał nadzieję, że jest porządnie przykuty do ściany. Ten demon bez wahania odgryzłby mu głowę jednym kłapnięciem, żeby choć trochę się rozerwać.

– Przykro mi, że widzę cię w takiej sytuacji. – Jonatana zaskoczyły własne słowa.

Przymknięte oko simurga otworzyło się nieco szerzej i zamrugało jakby zdziwione, a drugie wpatrywało się w Jonatana z jawną nienawiścią.

– Nie lituj się nade mną, dziecko. Jessteś w o wiele gorszej sytuacji.

Tym razem to Jonatan się zdziwił.

– Skąd wiesz, w jakiej jestem sytuacji?

Simurg odchrząknął i roześmiał się, a jego śmiech brzmiał jak zgrzyt kredy na tablicy.

– Myślisz, że jesstem głupi? Passskudni sssssmarkacze, wiem więcej, niż sssądzą, ale nie wolno tego pokazać. Nie wolno. Albo – csss! Demonoforn. Sssstraszszy zassstryk na miejsssscu.

Jonatan pomyślał, że chyba źle zrozumiał simurga. W końcu nie wszystkim demonom udało się osiągnąć biegłość mowy Pazuzu.

– Co o mnie wiesz?

– Wiem, kim jessteś, ssskąd przybyłeś i czego szszszukaszszzsz w ssswoim małym nędznym życiu.

Jonatan poczuł, jak krew burzy się jego w żyłach, a puls dziko przyspiesza. Rozejrzał się, ale wszyscy urzędnicy poczty byli zajęci pracą.

– Skoro tak, drogi simurgu, może mógłbyś powiedzieć mi, proszę, kto ukradł lekarstwo

mojego ojca i gdzie mogę je znaleźć?

Demon znowu się roześmiał, aż zadrżały zwoje jego brzucha.

– Ty tępe ludzkie dziecko! Nawet gdybym wiedział, dlaczego miałbym ci powiedzieć?

– A dlaczego nie?

Stary simurg śmiał się coraz głośniej, aż w kąciku jego oka zebrała się trująca łza.

– Świetny żart! Lata nudy i nagle myślisz, że zrobię coś właśnie dla ciebie? Csss...

Wybacz, jestem zajęty. O trzeciej przyjdzie tu pani Słodka Lilia, a ja będę musiał wysłać jej wszystkim przyjaciółkom zdjęcia jej szkaradnych wnucząt. Bierz swoją wiadomość i zmiataj stąd!

Demon wysunął spomiędzy skrętów ciała cienką, giętką jaszczurzą łapę i z odrazą rzucił na podłogę pergaminowy zwój z woskową pieczęcią. Jonatan podniósł wiadomość, ale nie wyszedł.

– Panie simurgu, bardzo pana proszę. Błagam! Moja mama jest chora, a ojcu i siostrze grozi wielkie niebezpieczeństwo. Musi mi pan pomóc!

– Csss... Dziwię się, że jeszcze się nie nauczyłeś, że demony to praktyczne istoty. Pomagamy tylko temu, kto może pomóc nam.

– Ale jak mogę panu pomóc?

– Właśnie w tym rzecz. Nie możesz. Dziękuję i do widzenia.

Do pomieszczenia wszedł pracownik poczty z taczką wypełnioną sianem, zwiędłymi liśćmi kapusty i kilkoma kawałkami zgniłych owoców. Demon zerknął na swój posiłek z obrzydzeniem. Jonatan zrozumiał, że nie ma wyjścia. Zabrał pergamin i ruszył do drzwi, więc nie zauważył dziwnego spojrzenia, które simurg rzucił w stronę jego pleców: nie było w nim pogardy, a tylko udręka, zdziwienie, a nawet cień nadziei.

Nekroseptus wyrwał zwój z dłoni Jonatana, zerwał pieczęć, przyjrzał się jaszczurzym gryzmołom simurga i natychmiast zaczerwienił się ze złości.

– Zawołaj gospodynię, żeby natychmiast tu przyszła!

Jonatan zbiegł do kuchni. Po chwili zza drzwi gabinetu doktora usłyszał głosy.

– To niemożliwe! – krzyczała Różyczka. – Tego zażądał profesor Kserkses?

– Zgadza się.

– Przecież przygotowałam taki wspaniały pasztet z mięsa złotego bażanta!

– Nie ma wyjścia. Właśnie o to prosi.

– W życiu nie podamy mu czegoś tak odrażającego na oficjalną ucztę. Królewski rozkaz zabrania.

– Ale musimy go uszczęśliwić, Telmo.

– Jak?

Nekroseptus zniżył głos do szeptu, więc Jonatan przyłożył ucho do drzwi. Nagle jednak drzwi się otworzyły i wpadłby do środka, gdyby kapłan nie złapał go za ucho.

– Mam dla ciebie kolejne zadanie, mały szpiegu.

– Ależ drogi Bulfusie! – zaprotestowała Różyczka. – Jeśli znów wyślemy z nim sylfy, wszyscy się zorientują, że jest od nas.

– Nie martw się. Mam pomysł. – Nekroseptus napełnił ogromną strzykawkę mętym białawym płynem i zaciągnął Jonatana za ucho z powrotem do kuchni. – Chłopiec ma przyjaciela. Twojego kuchennego demona.

Podeszli do skutego Pazuzu, a kapłan pomachał strzykawką przed pyskiem demona.

– Jeśli nie wrócisz z przesyłką w ciągu godziny – powiedział Nekroseptus do Jonatana – wstrzyknę to twojemu kumpłowi i pożegnasz się z nim na zawsze. Czeka go wyjątkowo bolesna śmierć. Z piekła usłyszysz jego przekleństwa.

Jonatan poczuł, jak uginają się pod nim kolana, a Pazuzu zjeżył się i pokazał kły.

– Jak śmiesz straszyć takiego szlachetnego demona jak ja, ty wstrętne pchło satrapów?

Nekroseptus go zignorował.

– Lepiej się pospiesz. Czas ucieka.

Kapłan odwrócił klepsydrę, a Jonatan zobaczył, jak piasek zaczyna się sypać nieprzerwanym strumieniem.

Biegł ulicami, ile sił w nogach. Zimny pot spływał po jego czole i karku. Ale im szybciej biegł, tym bardziej jego nogi kleiły się do ziemi jak w sennym koszmarze. W końcu dotarł do płataniny wąskich uliczek za targiem. Chwycił za rękę jednego z przechodniów.

– Może wie pan przypadkiem, gdzie mieszka Janis?

Ale mężczyzna nie udzielił mu właściwej odpowiedzi. Ani ten, którego spotkał po nim, ani następny. Albo nie wiedzieli, gdzie jest dom Janisa, albo nieznamy chłopiec budził ich podejrzenia i chcieli go zmylić, więc wysyłali go to tu, to tam. Raz trafił na pustą parcelę, innym razem do domu jakichś biedaków, potem do zamurowanej cegłami studni. Biegał w kółko po mieście z poczuciem, jakby uwięziono go w sali luster w lunaparku, tylko tym razem wcale nie było to zabawne, czuł jedynie lodowaty strach. Ale nie zamierzał się poddać. Stawka była zbyt wysoka: jedyny przyjaciel, który mu został. Biegł dalej, pukał do drzwi i zaglądał do piwnic, aż potknął się i padł jak długi na twarz w brudnym rynsztoku.

Poczuł ostry ból w kostce, upokarzający jak policzek w twarz. Noga była skrzycona, może nawet złamana. Teraz już na pewno nie zdąży. Nekroseptus wstrzyknę to okropieństwo Pazuzu, i to będzie jego, Jonatana, wina. Jakby już nie dość stracił – teraz straci też demona.

Westchnął i usiadł. Nawet nie chciało mu się wytrzeć błota z twarzy. Jego życie było bezużyteczne, dla niego i dla wszystkich innych. Może dobrym pomysłem byłoby zakończyć je tu i teraz. Podniósł głowę, szukając dachu, z którego mógłby zeskoczyć, ale wtedy zorientował się, że nie jest sam. Po drugiej stronie uliczki oparty plecami o ścianę siedział młody człowiek, który przypatrywał mu się brązowymi oczami obramowanymi długimi rzęsami. Miał czarne kręcone włosy i imponująco umięśnione ramiona. Kolorowa rozpięta koszula odsłaniała opaloną pierś, a na głowie miał czarny, zakurzony, zawadiacko przekrzywiony kapelusz. Lecz spod okrywających go szmat wystawały dwie ciemne protezy nóg. Beznogi mężczyzna przyciągnął do siebie aluminiowe pudełko i potrząsnął nim, a z jakiegoś powodu ten grzechot rozbrzmiał echem dalekiej radości.

Jonatan się zawstydził. Tamten mężczyzna nie był w lepszej sytuacji, a jednak nie chciał umrzeć. Kochał życie wystarczająco, aby nie chcieć się z nim rozstawać. Jonatan poszukał w kieszeni sakiewki, którą dał mu Nekroseptus, i wyciągnął z niej złotą monetę.

– Weź. I tak jej nie potrzebuję.

Młody mężczyzna uśmiechnął się serdecznie, odsłaniając czarne jak smoła zęby.

– Jesteś dziś pierwszym, który okazał mi hojność – powiedział z dziwnym akcentem, miękko zaokrąglając słowa. – Widać, że nie jesteś stąd.

Jonatan przypomniał sobie rodzinny dom na ulicy Pierwiosnka i o mało się nie rozpłakał.

– Przybyłem z tak daleka, że sobie nie wyobrażasz.

– Ja też – westchnął nieznajomy. – Ale czego tutaj szukasz?

– Domu Janisa.

– Drzwi za tobą.

– Poważnie?

– Zapukaj, to się przekonasz.

Jonatan wstał, ale poczuł tak ostry ból w kostce, że znów się przewrócił. Żebrak zmarszczył gęste czarne brwi.

– Chcesz cukierka?

Mężczyzna wyciągnął z łachmanów niewielką grudkę czegoś, co przypominało czarną z brudu gumę do żucia.

– Nie, dzięki.

– No dalej, bierz. Od razu zrobi ci się lepiej.

Rzucił grudkę do Jonatana i nagle pokiwał do niego głową, żeby włożył ją do ust. Zaskoczony Jonatan odkrył, że cukierek o dziwnym smaku sprawił, że ból w kostce natychmiast zelżał, a po całym ciele rozlało się przyjemne ciepło. Wstał.

– Co mi dałeś?

Żebrak się roześmiał.

– Coś słodkiego. Dalej. Zapukaj do drzwi. Nie wstydź się.

Ciepło w ciele Jonatana promieniowało jak słońce w letni poranek. Może jednak mu się uda? Zapukał do drzwi, które otworzyły się natychmiast, jakby oczekiwano jego przyjścia. Silne ramię wciągnęło go do środka, a po chwili już schodził po spróchniałych drewnianych schodach do pomieszczenia, w którym unosił się zapach suszonych wodorostów i morskiej soli.

Janis przypominał wysokie, smukłe drzewo, powykręcane i powyginane przez wiatr. Miał kilkudniowy zarost przebijający przez kominiarkę i jasne oczy. Mocno chwycił Jonatana za ramię i skierował go między pajęczynami i dziurami w deskach. Jonatan prawie nic nie widział w słabym świetle przedostającym się przez szpary w podłodze nad nimi.

– Mam nadzieję, że przyniosłeś złoto – rzekł Janis.

Jonatan podał mu sakiewkę Nekroseptusa.

– Świetnie. Gdzie masz zamówienie?

Jonatan dał mu wiadomość napisaną pochyłym pismem Różyczki. Janis zniknął gdzieś na tyłach domu, a po chwili wrócił ze skórzanym workiem starannie związanym sznurkiem.

– Na szczęście rano była ładna pogoda. Zanieś to swojemu panu. Szybko, zanim zacznie śmierdzieć.

Czy uda mu jeszcze wrócić na czas? Jonatan wy dostał się z jaskini Janisa i natknął się na czarny jak smoła uśmiech kaleki.

– Dostałeś to, czego chciałeś?

– Chyba tak.

– Jak to: chyba? Nie chcesz zajrzeć do środka i sprawdzić, co dostałeś za swoje złoto?

– A co to za różnica, co jest w worku, jak długo mój pan będzie zadowolony?

– No naprawdę! – Żebrak śmiał się tak, że przestraszone muchy poderwały się z jego

protez. – Co za naiwny dzieciak! Nigdy nie zaszkodzi wiedzieć, co przed tobą ukrywają.

Jonatan, który już spiesznie oddalał się uliczką, przystanął. Żebrak mówił to samo, co ojciec. Zawstydyził się, że w pośpiechu zaniedbał podstawowe zasady.

– Coś w tym jest – mruknął.

Rozwiązał sznurek i natychmiast uderzył go silny zapach: ryby! A więc Janis zajmował się nielegalnym połowem. W worku znajdowały się srebrne labraksy, świeże ostrygi, krewetki, młode ośmiorniczki, różowookie barweny i jeszcze kilka morskich stworzeń, których nazw nie znał. Kaleki żebrak miał rację. W chwili, gdy Jonatan zobaczył ryby, zrozumiał, co powinien zrobić.

Znów biegł ulicami, nie roztkliwiając się nad nadwreżoną nogą. Zostało mu jakieś piętnaście minut, a przy odrobinie szczęścia to powinno wystarczyć. Zwolnił dopiero wtedy, gdy dotarł na pocztę.

– Wpuście mnie! – poprosił strażników, zadyszany. – Szybko, mój pan chce wysłać pilną odpowiedź.

Gdy zaprowadzono go do pokoju simurga, Jonatan zobaczył starszą panią z białą parasolką, wychodzącą od demona z zadowoloną miną. Słodka Lilia – bo pewnie to była ona – chowała właśnie do torebki zdjęcia wnucząt. Simurg rzucił w stronę jej pleców mordercze spojrzenie. Na widok Jonatana zmrużył oczy.

– A ty co tu robiszysz?

Jonatan pomachał skórzanym workiem Janisa.

– Co tam maszysz? – zapytał demon, a jego wąskie nozdrza rozchyliły się z zaciekawieniem.

– Coś, czego chcesz. Jeśli dasz mi to, czego chcę, ja dam ci to.

Wyciągnął z worka złotawego węgorza i podsunął go najbliżej, jak się odważył, do pyska simurga.

– Daj mi to! – powiedział stary demon chrapliwym, hipnotyzującym szeptem.

– Najpierw powiedz mi, co wiesz.

– Nawet nie lubię węgorzy.

– Kłamiesz. Wszystkie demony uwielbiają ryby.

– Nie ja.

– W takim razie dlaczego się ślinisz?

Wężowy, rozwidlony język simurga wysunął się szybko i zlizął kroplę lepkiego jadu, zwisającą z jego warg.

– Denerwujesz mnie, chłopcze. Wydaje ci się, że jesteś lepszy od innych?

– Jeśli nie chcesz, żebym zabrał stąd twoją pyszną przekąskę, mów szybko: gdzie znajdę moje lekarstwo?

– To niebezpieczne. Lekarstwo jest w rękach sił za potężnych dla takich jak ty. Zrobią z ciebie miazgę.

– Ale musi być coś, co mogę zrobić!

Simurg syknął i mruknął, zmrużył oczy i spojrzał na rybę.

– Może – przyznał – ale zabiją cię, zanim ci się to uda.

– Mam to gdzieś. Jestem gotów spróbować.

– Wielka biblioteka w Niniwie. To twoja jedyna szansa. Tam znajduje się cała wiedza

tęgo świata i tam dowiesz się wszystkiego, co chcesz wiedzieć. Wszystkiego, co niepokoi twoje małe serduszko. Chociaż moim zdaniem szkoda marnować czas na nudne lekarstwa, gdy można się dowiedzieć, gdzie znaleźć zatopione skarby, i jak stworzyć trucizny tak silne, że wystarczy je powąchać, żeby paść trupem.

– Ale jak mam się dostać do Niniwy?

– Cóż, to niełatwe.

– Powiedz mi.

Demon być może zamierzał mu odpowiedzieć, ale jego oczy zwróciły się w stronę drzwi, zza których dobiegły głosy strażników.

– Szybko, daj mi rybę.

Jonatan rzucił mu węgorza. Szyja simurga z zadziwiającą giętkością wystrzeliła do przodu i demon połknął rybę na raz. Kiedy drzwi się otworzyły, węgorz już zmierzał do brzucha demona, a następna dama, która weszła, aby przesłać zdjęcia wnucząt przyjaciółkom, zastała simurga w o wiele lepszym nastroju.

O szóstej wieczorem pod białą willę podjechał powóz, który przywiózł profesora Kserksesa z dworca kolejowego. Wszyscy służący w swoich nowych liberiach stali w dwóch szeregach wzdłuż ścieżki z gałęziami kwitnącego mirtu. Jonatan ujrzał krępa postać gramolącą się z wnętrza powozu i nie zdziwił się wcale, że to jest człowiek obdarzony takim zdecydowanym i ryzykownym gustem kulinarnym. Profesor Kserkses był szerszy niż wyższy, od brzucha po łysinę piętrzyła się zapierająca dech w piersiach seria podbródków, a pośrodku błyszczała dziecięca twarz. Z plotek krążących wśród służby Jonatan dowiedział się już, że Kserkses otrzymał najwyższy królewski order zasługi za badania naukowe potwierdzające z całą pewnością, że modlitwa do Marduka przedłuża życie. W tej chwili prowadził nowe badania, które dowodziły, że gniew jest chorobą zakaźną przenoszoną wirusowo. Wirus miał pojawiać się wśród barbarzyńców na ziemi niczyjej i w enklawach buntowników, dlatego też barbarzyńcy i buntownicy zawsze złościли się na króla. Jedyne sposobem, aby pozbyć się wirusa gniewu, było oczyszczenie gniazd buntowników i rozszerzenie granic imperium, aż objęłoby cały świat. Kserkses w imię odkryć naukowych opowiadał się za wielką, ostateczną wojną.

Oficjalna uczta na cześć profesora miała się odbyć w głównej sali na parterze. Pazuzu, wciąż poblady pod sierścią (Jonatan wrócił tuż przed tym, gdy ostatnie ziarenka piasku przesywały się na dno klepsydry), rozpalil w kominku jasny zielonkawy ogień, który nie dawał ciepła, a jedynie piękne światło. Wszystkie potrawy czekały już w kuchni, ale Jonatan wiedział, że przystawki, które przyniósł od Janisa, zostaną dyskretnie podane Kserksesowi wcześniej. W gabinecie doktora nakryto stół białym obrusem i srebrną zastawą. Dwaj mężczyźni udali się tam na aperitif, a Jonatan musiał im usługiwać. Kserkses rozsiadł się na skórzanym fotelu, który rozpaczliwie skrzypnął pod jego ciężarem. Mężczyzna z przyjemnością rozłupywał skorupiaki i pogryzał krewetki nadziane na wykałaczki. Jonatana fascynowały jego podbródki, z których każdy trząsał się we własnym rytmie, gdy ich właściciel się odezwał. Kserkses wyraźnie lubił mówić o sobie.

– Niech pan sobie wyobrazi, Bulfusie, niedawno wróciłem z Manzikertu, na północ od jeziora Wan. To wyjątkowo trudny region, górzysty, podatny na wpływy buntowników i barbarzyńskich szamanów. Cała wioska u stóp gór popadła w melancholię. Powinien pan

zobaczyć tych nieszczęśników: żadnego uwielbienia dla króla, żadnych podatków dla Marduka, za grosz szacunku dla satrapów – nic. Gdyby wszyscy obywatele imperium mieli stać się takimi bydlętami w ludzkiej skórze jak oni, bylibyśmy zgubieni.

– I co pan zrobił?

Kserkses, który właśnie w tym momencie zauważył półmisek z ostrygami, zaczął je zachłannie wysysać.

– Mmm... Pańska gospodyni to prawdziwy skarb... Było już za późno, żeby im pomóc. Wydałem rozkaz, aby królewskie wojsko oczyściło to miejsce. Wszystkich wysłano do dużego obozu kuracyjnego Baal Ogrot. Tylko małe dzieci, które jeszcze dało się uratować, sprzedaliśmy do niewoli.

– Bardzo mądre posunięcie. Może skusi się pan na smażoną na maśle barwenę?

– Pewnie, pewnie. A tak przy okazji, odkrycia, które mi pan przysłał, są nadzwyczajne. Mam nadzieję, że utrzymał je pan w ścisłej tajemnicy.

– Cóż, nie jestem głupi.

– Mam nadzieję, dla pańskiego dobra, że się pan nie myli, Bulfusie, i nie próbuje wprowadzić mnie w błąd. Nie chciałbym, by się okazało, że przejechałem taki szmat drogi na darmo.

– Zapewniam pana, że nie.

– Gdzie ten chłopiec, o którym pan pisał?

– To on.

Nekroseptus wskazał na Jonatana, który krzątał się za ich plecami: podawał serwetki, dosypywał soli, kroił biały chleb. Zaskoczony Jonatan dostał czkawki. Czy to możliwe, że to on był prawdziwym powodem tej ważnej wizyty? Gość wydawał się nie mniej zaskoczony od niego. Jego szczeka zastygła w trakcie odgryzania głowy delikatnej barweny.

– Ten chłopiec? – Kserkses przyłożył do oka monokl. – Nie wydaje mi się szczególnie wyjątkowy.

– A jednak.

Nekroseptus otworzył sejf i wyjął z niego oprawiony w skórę notatnik, w którym prowadził zapiski z badań Jonatana. Kserkses zaczął go przeglądać w skupieniu, a na jego kolejnych podbródkach pojawiał się ten sam wyraz zdezorientowania i irytacji, który Jonatan widział wcześniej u Nekroseptusa.

– Niemożliwe.

– Na początku też tak myślałem.

– Naukowcy, którzy badali Proroctwo Archiwistki, doszli do jasnych wniosków: pusta, zamknięta na klucz komnata w duszy może znajdować się tylko u jednego z dwóch wielkich mieszaińców z Dni Ostatecznych. A ten chłopiec z pewnością nie jest jednym z nich.

Nekroseptus zaśmiał się, lecz był to wymuszony śmiech.

– Oczywiście, że nie jest jednym z nich, ten mały gamoń. Ha, ha! Przywódca buntowników jest gdzieś w górach, a ten drugi... To naprawdę śmieszne...

– Cisza!

– Tak, bardzo przepraszam. Naprawdę nie mam żadnego prawa, aby o nim mówić. – Nekroseptus skulił się słuźalczo. – Ale jednak mamy tu wyjątkowe odkrycie, dlatego postanowiłem dokładnie przebadać chłopca. Napisałem do pana jako wybitnego eksperta, aby się z panem skonsultować. Mam ogromną nadzieję, że artykuł, który chcę napisać,

zapewni mi miejsce w pierwszym szeregu badaczy w imperium...

Doktor Kserkses aż się zakrztusił. Szczypce kraba, które zamierzał rozłupać zębami, zemściły się, utykając w jego gardle, i dopadł go silny atak kaszlu.

– Zaszczytne miejsce wśród najlepszych badaczy? Przyjacielu! Ma pan świadomość, jakiego intelektu wymaga takie wyzwanie?

Doktor Nekroseptus cały poblądł.

– Oczywiście... Ale nie zaprzeczy pan znaczeniu mojego odkrycia.

Uszczypnął Jonatana w ramię, żeby podkreślić swoje słowa.

– Może wyśle pan swoje odkrycie do kuchni, żeby przyniosło nam jeszcze butelkę tego przyjemnego wina?

Jonatan posłusznie poszedł do kuchni. Kiedy wracał z butelką, już z daleka słyszał, że Kserksesowi zdecydowanie poprawił się humor.

– Macie tu w Nippur znakomite owoce morza – Profesor rechotał radośnie. – Wie pan co? Może jednak będziemy mogli coś dla pana zrobić, drogi Nekroseptusie. Mógłby mi pan podać tę chrupiącą kałamarnicę?

Coś w nazbyt ucieszonym głosie Kserksesa sprawiło, że Jonatan się zawahał. Zamiast od razu wejść do środka, przyłożył ucho do drzwi.

– Moim marzeniem jest posada w Babilonie – usłyszał wyznanie Nekroseptusa.

– Dlaczego nie? Dla takiego lojalnego, sympatycznego człowieka jak pan zawsze znajdzie się jakiś wakat. Ale przedtem musimy pana uwolnić od tych kłopotliwych badań.

– Tak mi przykro, profesorze, nie miałem pojęcia.

– Zawsze mówiłem, że nie wolno nam badać rzeczy, których nie rozumiemy. To zbyt niebezpieczne. A w tym wypadku nie możemy ryzykować. Najlepszym sposobem, aby uporać się z tą sytuacją, będzie po prostu się jej pozbyć. Pański dziennik trzeba spalić. Im szybciej, tym lepiej.

– A co z chłopcem?

– Z chłopcem? Ach, to najmniejszy kłopot. Wydaje mi się, że dziś wieczorem pańska cudowna gospodyni potrzebuje go w kuchni. Nic strasznego. Nie pali się. Zaczekamy, aż skończy myć podłogę, a gdy kuchnia będzie czysta, damy mu w nocy zastrzyk i po sprawie.

Jonatan zbiegł po schodach do kuchni, kuśtykając na obolałej nodze, prosto do demona.

– Pazuzu, wiejemy! Nie ma na co czekać!

– Świetny pomysł – zadrwił demon i brzęknął łańcuchem. – No to siup. Lecimy!

Rzeczywiście, nawet gdyby udało im się przeciąć żelazny łańcuch, nie mogliby uciec. W kuchni było pełno ludzi. Kucharki przygotowały potrawy na oficjalną kolację, aby podać ją profesorowi Kserksesowi, gdy skończy przystawki, a służący biegali w tę i z powrotem.

– Mamy dziesięć minut przed kolacją – powiedział Jonatan. – Służący zbiorą się w holu, żeby zaśpiewać kilka uroczystych pieśni na cześć Kserksesa pod batutą Różyczki.

– Myślisz, że pieśni wybawią mnie od tego wstrętnego łańcucha?

Jonatan podrapał się po głowie.

– Nie rozumiem, dlaczego nie możesz czegoś zrobić? Dlaczego po prostu nie zmienisz łańcucha w sznur kiełbasek i go nie przegryziesz?

– Oj, mały, czemu wcierasz sól w moje rany? Gdy odzyskam moc, z radością zmienię tę ohydłą willę w sraczkę gryfów. Ale na razie...

– Na razie musimy wykorzystać zaklęcia, których wolno ci używać.

Jonatan przypomniał sobie, jak ojciec uczył go budować skomplikowane modele statków i samolotów małym śrubokrętem.

– Niby jak? Rozerwiemy ściany za pomocą muzyki w tle i wymaglowanej pościeli?

– Wszystko może nam pomóc. Musimy zdobyć klucze Różyczki.

– Przecież nigdy się z nimi nie rozstaje.

– Czyja to wina? Rzuciłeś na cały dom zaklęcie, żeby drobiazgi się nie gubiły.

Na twarzy demona pojawił się szeroki uśmiech odsłaniający kły.

– Mój ty mały geniuszu, masz rację!

Różyczka nigdy nie zdołała wyjaśnić wydarzeń tamtego wieczoru. Butelka wyśmienitego musującego wina nagle rozprysła się w jej dłoni (później była skłonna przysiąc, że butelka ożyła i zaczęła fermentować), więc zeszła do piwnicy po nową. Zdziwiła się na widok much, które zaklęcie miało odstraszać, a gdy zaczęła je tłuc, zapomniała, że zostawiła klucze w zamku (co nie zdarzyłoby się, gdyby zaklęcie przeciwko gubieniu drobnych rzeczy nadal działało). Ale zapomniała o nich, bo spieszyła się, żeby poprowadzić chór. Gdy wszyscy wrócili do kuchni po dziesięciu minutach natchnionych i inspirujących pieśni, kłódka łańcucha była otwarta, a demon zniknął. Różyczka cieszyła się w duchu, bo wiedziała, że teraz dostanie od swego chlebodawcy nowego, bardziej wyrafinowanego demona. Nie kazała go szukać, ponieważ musiała przygotować się do konkursu ciast na rynku. Spojrzała z satysfakcją na swój piękny ogromny tort i rozkazała czterem najsilniejszym służącym zanieść go do miasta. Resztą zajmie się później, po uroczystościach, gdy nagrodę za ciasto doskonale będzie miała w kieszeni.

Jonatan, który schował się za stosem worków mąki i czekał, aż służący wyjdą do holu na śpiewy, zszedł do piwniczki win, zabrał klucze zostawione przez gosposię i wrócił, żeby otworzyć kłódkę i uwolnić Pazuzu.

– Wspaniale – ucieszył się demon. – Naprawdę. Jestem zdumiony i szczęśliwy. Teraz mamy tylko mały kłopot. Jak przejdziemy przez szklaną ścianę?

W tej samej chwili spojrzeli na tort. Jonatan przypomniał sobie wszystkie głupie filmy, w których z tortów wyskakiwały śpiewające dziewczyny i uzbrojeni złodzieje. Pazuzu od razu zrozumiał, o co mu chodzi. Nie tracili ani chwili. Pazuzu wskoczył na tort i zaczął się w niego wgryzać, przekopując się w głąb niczym oszalały mały buldożer. Jonatan nigdy nie widział stworzenia, które jadłoby w takim tempie. Demon wpychał do ust ogromne kawałki słodkiego ciasta i marcepanowe dekoracje, nie przerywając, by je przeżuć. Potężny głód napędzał go, a jego brzuch pęczniał na oczach Jonatana, który zaczął się martwić, czy demon to wytrzyma.

Gdy Pazuzu przekopywał się przez ciasto, przez głowę Jonatana przemknęła myśl. Notatnik doktora! Zaklęcie zapobiegające gubieniu drobnych przedmiotów zostało zdjęte, dlatego istniała szansa, że Nekroseptus zapomniał o notatniku i nie schował go do sejfu.

– Zaczekaj na mnie – powiedział do Pazuzu. – Zaraz wracam.

Wbiegł na górę po tylnych schodach i przekonał się, że miał rację – po całym domu jak porzucone zabawki poniewierały się zapomniane przedmioty. Sekretny dziennik badań leżał na biurku doktora. Jonatan wsadził go do kieszeni i szybko wrócił do kuchni.

Pazuzu już opróżnił wnętrze tortu i teraz obaj mogli się tam zmieścić, wygodnie jak w łonie matki. Otwór zakryli bitą śmietaną i stosami białych różyczek, którymi ozdobiony był tort. Pazuzu oderwał kawałek ściany ich kryjówki i wsadził do ust.

– Spróbuj – zachęcił Jonatana. – Całkiem niezły.

Kiedy Różyczka starała się odtworzyć wydarzenia owego straszliwego wieczoru, zarzekała się, że słyszała głosy z wnętrza tortu. Z powozu pilnowała transportu swego arcydzieła, kiedy nagle usłyszała ze środka ciasta burczenie udręczonego żołądka. Chwilę później tort jakby beknął. „Mam omamy. To wszystko przez stres – pomyślała. – Pewnie któryś ze służących ma problem z żołądkiem”.

– Ostrożnie! – powiedziała, gdy służący kładli tort na nakrytym białym atłasem długim blacie ustawionym na głównym rynku.

Jej dzieło natychmiast przyciągnęło uwagę gwarne tłumy w odświętnych ubraniach. Wszyscy podeszli, żeby obejrzeć i powąchać tort. Oczywiście jej serowa forteca była o wiele bardziej imponująca niż sucha kasztanowa beza Wonnej Piwonii i nieskończenie przewyższała banalną cytrynową tartę Słodkiej Lilii. Gospodyni doktora pomachała na powitanie członkiniom jury i starannie oczyściła białą różyczkę, która spadła z ciasta przez wstrząsy spowodowane czymś niewidzialnym dla oka. Nie miała wątpliwości: jej tort będą wspominały kolejne pokolenia.

– Opanuj się! – szepnął Jonatan do Pazuzu.

Trochę za późno odkryli, że może nie najlepszym pomysłem było pochłonięcie przez Pazuzu ciasta w takim tempie. Teraz demon krzywił się z bólu, a jego brzuch trząsł się jak opętana galareta.

– Oddychaj głęboko. Musimy poczekać na odpowiedni moment.

– Żaden moment nie będzie odpowiedni! – jęknął demon. – Zamierzasz czekać, aż pokroją ciasto i nas znajdą?

Różyczka wiedziała, że nadchodzi jej wielka chwila, gdy trzy dostojne jurorki podeszły do jej ciasta. Rozejrzała się, szukając krzepiącego spojrzenia Nekroseptusa, który stał w tłumie obok profesora Kserksesa i głośno klaskał.

– Co my tu mamy? – odezwała się najstarsza jurorka i wygładziła swoje pomarszczone, władcze dłonie o wykrochmalony fartuszek. – Wygląda naprawdę niezwykle! Jak to pani zrobiła, że tak wyrósł, Telmo?

Różyczka zachichotała z fałszywą skromnością, a jej uśmiech zmienił się w wyraz bezwstydnego triumfu, kiedy druga jurorka zanurzyła pulchny palec w bitej śmietanie i oblizowała go ze smakiem.

– A cóż to? – zdziwiła się trzecia jurorka i poprawiła okulary. – Doprawdy, bardzo oryginalne! Czegoś takiego jeszcze nie widziałam. Dekoracja w kształcie ogona demona!

Różyczka zamrugnęła, zdumiona, ponieważ nie planowała żadnych ozdób w kształcie demonich ogonów. Przez czystą serwetkę podniosła ogon, a on zaczął wic się w jej ręce jak żywy wąż.

Krzyknęła z odrazą.

Krzyk był znakiem. Ciastu wyrosły nogi. Potrąciło Białe Damy, przewracało konkursowe wypieki i pobiegło przez plac.

– Za dużo proszku do pieczenia – mruknęła najstarsza jurorka. – Uwalnia gazy.

– Łapcie je! – zawołała Różyczka.

Ale służący i strażnicy byli tak oszołomieni, że mogła tylko rzucić się całym ciężarem na swoje uciekające dzieło. Efekt był katastrofalny. Ogromna konstrukcja eksplodowała, a bita śmietana i ser ochlapały gapiów. Nagle z tortu wyskoczyły dwie postacie oblepione białym ciastem i wbiegły w najbliższą uliczkę.

– Za nimi! – krzyknął doktor Nekroseptus, ale minął jakiś czas, zanim ktokolwiek się ruszył.

Jonatan i Pazuzu wykorzystali przewagę i pobiegli ile sił w nogach. Przeszkadzały im skręcona kostka Jonatana i udręczony żołądek demona znaczącego drogę śladem zwracanego tortu. Jonatan nie miał pojęcia, że wymiociny demonów mogą tak cuchnąć, i zastanawiał się, czy ich prześladowcy nie zemdleją, gdy natrafią na białawe kałuże. Ale odgłosy kroków za nimi były coraz bliżej.

– Prędko! – zawołał Jonatan. – Zaraz nas dogonią!

– Baaa.... – jęknął Pazuzu, a z jego pyska wystrzeliła chmura bitej śmietany.

Jonatan czuł, że pościg depcze im po piętach. Wtem wpadli na zaniebane podwórze. Na środku płonęło niewielkie ognisko. Niedźwiedź na łańcuchu tańczył przy nim do melodii skrzypiec opartych o ramię młodej kobiety o czarnych, potarganych włosach związanych na plecach. Miała na sobie długą, obfitą zieloną spódnicę. Z błogo przymkniętymi oczami wiała się do muzyki. Na ich widok krzyknęła przerażona i upuściła skrzypce. Z mroku wyskoczyły dziesiątki ciemnych postaci, zdeptały ognisko i obsypały niedźwiedzia deszczem iskiei. Jeszcze chwila i rozpląnęłyby się jak dym, zostawiając Jonatana i Pazuzu na pastwę prześladowców. Ale nagle Jonatan wpadł na czyjąś potężną pierś w poplamionej kolorowej koszuli i czarnym postrzępionym płaszczu. Rozpoznał znajomy błysk poczerńiałych zębów.

– To ty! – zdziwił się Jonatan.

– To ty! – powiedział wysoki mężczyzna nie mniej zdumiony.

Był to kaleki żebrak, którego Jonatan spotkał tego ranka. Ale wcale nie był kaleką. Miał dwie całkiem zdrowe, muskularne nogi. Na szczęście młody mężczyzna szybko się otrząsnął, po czym wziął Jonatana pod pachę, złapał wierzgającego Pazuzu za kark i przeskoczył przez mur.

Rozdział siódmy

Hilel ben Szachar

Wysoko ponad górami krążył na niebie czarny punkt. To jastrząb wypatrywał zdobyczy. Związana Ela kołysała się w siodle. Na widok rozległej doliny, która rozciągała się u ich stóp aż po ośnieżone szczyty w oddali, zaparło jej dech w piersiach. Ale nadal była wściekła.

– Nie możecie mnie tak po prostu zabrać! – zawołała do brodatego mężczyzny, który wyglądał na przywódcę ich niewielkiej grupy. – Mój brat mnie potrzebuje! Jakiś koszmarny doktorek złapał go i wsadził do swojej maszyny.

Przez całą drogę porywacze nie przejmowali się skargami jeńców, ale tym razem zamaskowany mężczyzna odwrócił się i spojrział na Elę.

– Satrapowie go dorwali? W takim razie ciesz się, że jesteś z nami. Tylko my możemy z nimi wygrać.

Nie dała się przekonać. Chciała wrócić na parszywy targ niewolników w Eridu i odnaleźć Jonatana. Obiecała sobie, że zrobi to jak najprędzej. A na razie Jonatan będzie musiał przez chwilę radzić sobie sam. Prawdę mówiąc, była ciekawa, dokąd ich wiozą. Urzekł ją ten wspaniały, dziki krajobraz. Niepokój o brata i złość mieszały się z zachwytem na widok gór i wrażeniem szalonej przygody. Ela zawsze czuła, że jej życie jest dla niej przyciasne jak zeszlóroczne ubranie. Uważała, że rodzice nie widzą, jaka jest naprawdę, i woła jej młodszego brata. Może sama była temu winna, bo nie pozwalała im zbliżyć się do siebie, ale nic nie mogła na to poradzić. Otoczyła się obronnym murem twardości i dumy, lecz podświadomie tęskniła za czymś, co go rozbije. Czymś, czemu będzie mogła oddać tę dobrą część siebie, której nikt dotąd nie widział. Od dziecka czuła głęboką tęsknotę za przygodą, która ją porwie. Nieraz wyobrażała sobie, jak z ulgą prostuje schowane skrzydła i wzbija się w powietrze.

Dlatego teraz, wbrew jej rozpaczliwemu położeniu, przepęniało ją szczęście, jakby jej serce miało się rozspiewać. Marzenia Eli wreszcie się spełniły. Tu, na tej ogromnej otwartej przestrzeni, wszystko mogło się zdarzyć. Poczwała smak wolności i niebezpieczeństwa. Ludzie, którzy ją porwali, byli twardzi i rzeczowi, ale nie byli źli. Co pewien czas zatrzymywali się, by napić jeńców. Ela doliczyła się około tuzina uprowadzonych chłopców i młodych mężczyzn, gniewnych i rozdrażnionych. Ale porywacze nie przejmowali się ich humorami i spieszyli się, by przed zmrokiem dotrzeć do celu. Stwierdziła, że gdy tylko znudzi ją ta zabawa, pokaże im, że się pomylili i że tak naprawdę jest dziewczyną, a wtedy na pewno ją uwolnią.

Konie schodziły ostrożnie jeden za drugim stromą górską ścieżką, kopyto za kopytem, do ukrytej doliny. Widać ją było dopiero z grani, którą właśnie pokonali. Prowadzące do niej szlaki znał tylko ich przewodnik i miejscowe kozice. Porywacze wiedzieli, co robią. Te góry zapewniały doskonałą kryjówkę. Teraz przystanęli na chwilę i spojrzeli na bielące się w dali wysokie, dzikie szczyty Zagrosu.

Równa dolina przyniosła ulgę strudzonym wierzchowcom. Ziemia nie była tu szczególnie

żyzna. Pola rzadkiej pszenicy i prosa wyglądały, jakby rośliny nie mogły się zakorzenić w kamienistej ziemi. Ela głęboko zaciągnęła się czystym górskim powietrzem, o wiele chłodniejszym od męczącego, szczypiącego w płuca powietrza nędznej równiny wokół Eridu. Kierowali się w stronę dymu wznoszącego się z chat wioski u stóp góry, którą ich porywacze nazywali Sihan-Gil. Cienie już zaczynały się wydłużać, gdy nagle ujrzeli zbliżającą się do nich w chmurze pyłu ciemną masę. Jeńcy byli zaniepokojeni, ale ich porywacze zachowali się, jakby spodziewali się tego dziwnego zjawiska. Wkrótce okazało się, że to grupa ludzi zmierza ścieżką w ich stronę. Ubrani w ciemne szaty, nieśli na głowach i ramionach pakunki i dzbany. Gdy ich mijali, Ela zobaczyła, że pod szatami i zasłonami na twarzach kryły się kobiety. Ten widok wstrząsnął jeńcami. Najbardziej zaniepokoił się Ratif, chłopak, który trajkotał jak najęty podczas wszystkich postojów. Z czarną grzywką przyciętą równo nad oczami i wystającymi kośćmi policzkowymi Ratif przypominał Eli wiewiórkę z kreskówki. Gdy był mały, satrapowie zdecydowali, że ma wstąpić do gildii zegarmistrzów. Ela rozumiała, jakie to musiało być dla niego trudne, bo wyraźnie było widać, że chłopak jest zbyt ruchliwy, by przez całe życie pochylać się nad maleńkimi mechanizmami. Mimo to starał się, jak mógł. Kapłan uzdrowiciel przepisał mu na stałe leki uspokajające, lecz rozbiegane oczy Ratifa po prostu nie chciały się skupić i straciły ostrość. Pewnego dnia postanowił udać się na targ niewolników w Eridu, by kupić kilka sprytnych kciukochlików, które uratowałyby interes. Próbował wyjaśnić porywaczom, że musi wrócić do warsztatu, ponieważ pani Nadźma Ali zostawiła u niego złoty zegarek, a jeśli nie zwróci jej go do wtorku, kobieta podniesie raban. Nie przejęli się jego prośbą, więc zaczął biadolić. Pod koniec dnia trochę się uspokoił, ale na widok grupy kobiet opuszczających wioskę znów się zmartwił.

– Co się stanie z tymi kobietami z Sihan-Gil? – zapytał drżącym głosem brodatego milczącego mężczyznę, który wiozł go na swoim koniu.

– Nie bój się. Nic im nie będzie. Jutro, po naszym odjeździe, wrócą do swoich domów.

W Sihan-Gil pełno było innych buntowników, którzy przywieźli kolejnych jeńców. Byli tam sami mężczyźni, tylko przy studni siedziało kilka pomarszczonych staruszek, które gotowały strawę. Rozdały wszystkim miski z jaglanką, kozi ser i kwaśne górskie jabłka. Ela zjadła posiłek w milczeniu, przyglądając się temu, co działo się wokół niej. Panowała tu atmosfera wojskowego obozu. Miejscowi i buntownicy przeglądali strzelby, pistolety i kusze, ostrzyli broń, podkuwali konie, golili się, naprawiali ubrania. Ela nie mogła nie zauważyć młodego mężczyzny, który miał jakby więcej energii od innych. Wszędzie go było pełno. Dodawał otuchy, uczył i wydawał rozkazy. Zdziwiła się, że ktoś w jego wieku (miał może dwadzieścia dwa lata) dowodzi o wiele starszymi wojownikami, ale biła od niego niezmacona pewność siebie i wszyscy chętnie go słuchali, okazywali mu szacunek i sympatię. Miał brudne ubranie, tak jak inni, obszyte futrem buty i lekki napierśnik ze wzmocnionej skóry. Długie jasne włosy związał w koński ogon. Ela zauważyła, że świetnie się zna na wszystkim i potrafi rozwiązać każdy problem, poczynając od zardzewiałego mechanizmu strzelby, przez wierzgającego konia, na rozstrzygnięciu kłótni o porę wart kończąc. Gdy tak przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, pomyślała, że mężczyzna ma wyjątkowo miłą twarz emanującą ujmującym blaskiem. Dodawała mu ona uroku i sprawiała, że nikt nie mógł podejrzewać go o próżność. Miał proste, szerokie czoło i szeroko rozstawione oczy, w których widać było lekką nieśmiałość. Dlaczego wcześniej nie

zauważyła, jaki jest przystojny? Doszła do wniosku, że osobowość i zachowanie mężczyzny przyćmiewały jego wygląd.

– Kto to jest? – zapytała szeptem Ratifa, który podobnie jak ona wpatrywał się w młodego mężczyznę.

– To przecież Hilel ben Szachar. Niesamowite, co?

Ela nie miała ochoty tłumaczyć się ze swojej niewiedzy zegarmistrzowi, który wyskrobywał z miski resztki kaszy, ale on już skorzystał z okazji, by zacząć rozmowę.

– A co ty robiłeś, kiedy cię złapali? – spytał.

– Ja? Eee... – Nie chciała mu mówić, że właśnie miała być sprzedana do niewoli. Poza tym czuła, że nie jest to właściwe miejsce, by oznajmiać, że przybyła z innego świata. – Ja... No cóż... To i owo, a zwłaszcza... głównie... uczę się.

– Student! – wykrzyknął Ratif z uznaniem. – Od razu wiedziałem, kiedy cię zobaczyłem! Mam nadzieję, że nie będziesz musiał całkiem porzucić nauki.

– Ile czasu zamierzają nas tu trzymać? – zaniepokoiła się Ela.

– Pewnie do końca wojny. Problem w tym, że ta wojna jeszcze nie wybuchła.

– To niemożliwe! Mam ważne sprawy do załatwienia. Mój brat zaginał. Poza tym szukam pewnego złodzieja.

– Możesz spróbować przekonać strażników. Ale równie dobrze mógłbyś gadać do skały.

– Nie, to nie wchodzi w rachubę. Na pewno szybko mnie wypuszczą – przekonywała sama siebie Ela, przyglądając się z obawą półnagiemu olbrzymowi, który zawzięcie ostrzył kolce żelaznej kuli, aż sypały się iskry.

Może już czas, aby podeszła do tego Hilela i przyznała mu się, kim jest naprawdę?

– Jasne, oczywiście twój przypadek jest wyjątkowy – zakpił Ratif, nie mając pojęcia o wewnętrznej walce, która się w niej toczyła. – Ale na razie się uspokój. Przypomnij mi, jak ci na imię?

– Ela. To znaczy... chciałem powiedzieć... Elas.

– W życiu nie spotkałem nikogo, kto by zapomniał, jak się nazywa. Chyba naprawdę jesteś w szoku. Tak czy inaczej, bardzo mi miło.

Gdy tylko Ela postanowiła wstać, jeden z wojowników popchnął ją znów na miejsce.

– Cisza!

Barczysty mężczyzna o rudawych włosach i nosie spłaszczonym ciosem pięści, w zarzuconej na napierśnik niedźwiedziej skórze, przechadzał się wśród tłumu i wszystkich uciszał. Od grzbietu jego nosa do poszarpanego płotka prawego ucha biegła paskudna szrama, a w prawej dłoni brakowało dwóch palców.

– Posłuchajcie Hilela ben Szachara! – zawołał.

Na wioskowym placu zaległa cisza. Jasnowłosy młodzieniec stanął na brzegu studni i oczy wszystkich obecnych zwróciły się w jego stronę.

– Przykro mi, że musieliśmy was porwać. Ale nie mieliśmy innego wyjścia. Nie poszlibyście z nami z własnej woli, bo wszyscy wierzycie w kłamstwa, których naopowiadali wam satrapowie. Przez ostatnie wieki gildia satrapów umacniała swoją władzę, aż ta stała się nieznośną tyranią. To oni decydują o naszym zawodzie, o tym, kim będziemy, kogo poślubimy, a nawet jak powinniśmy się czuć. Wszystko dla dobra naszej duszy, którą, jak twierdzą, znają lepiej do nas. Wykorzystują Otchłań i plamy ciemności, żeby nas zastraszyć i móc dalej nami rządzić.

– Chcesz powiedzieć, że plamy nie są groźne? – zapytał ktoś.

– Są groźne w ich ciężkiej postaci, kiedy dusza staje się ułomna i wyciszona. Ale smutek i przygnębienie nie są niebezpieczne. Zatracilibyśmy nasze człowieczeństwo, gdybyśmy nie czuli również tej ciemnej strony. Rozpacz i rozczarowanie są naturalne. Największym kłamstwem jest to, że jeśli nie będziecie walczyć z plamami ciemności, straciecie szansę na wieczne życie. Mogę was zapewnić, że nie ma w tym nic z prawdy.

Wśród jeńców rozległ się szmer.

– Skąd to wiesz?

– Tak mówią nasi szamani. Nie ma żadnego związku pomiędzy plamami ciemności a szansą na ponowne odrodzenie. Przeciwnie. To właśnie u tych, których umocniło załamanie i smutek, dusza staje się silna i odporna jak stal i nie rozpada się podczas przejścia między jednym życiem a następnym.

– Mówisz, że Otchłań jest tak naprawdę dobra?

– Nie. Otchłań nie jest dobra. Ale nie jest też zła. To wielka siła, nad którą nikt nie ma kontroli. Możemy nauczyć się żyć obok niej bez wojny.

– Katastrofa! – krzyknął ktoś z tłumu. – Hilel upada, Otchłań drwi. Tak twierdziła Archiwistka. Obalisz satrapów i otworzysz drogę Otchłani. Wszystkich nas zgubisz!

Hilel zachował spokój. Widać było, że nie pierwszy raz słyszy to oskarżenie.

– To prorocтво to piękna stara pieśń, ale ja wolę wierzyć w to, co widzą moje oczy i co każe mi czynić serce. A teraz trzeba zadbać o lepszą władzę.

– A co z Lewiatanem? On też nie jest ani dobry, ani zły? Wyłoni się z Otchłani i nas zniszczy!

Hilel się uśmiechnął.

– Gdzie jest ten Lewiatan, którego tak bardzo się boisz? Na razie nie ma żadnego Lewiatana. Jest tylko życie w niewoli, które z dnia na dzień staje się coraz gorsze.

– Ja właściwie całkiem lubię moje skromne życie w niewoli – mruknął Ratif pod nosem.

Ale Hilel miał dobry słuch.

– Będziecie mieli okazję wrócić do swojego życia za sześć miesięcy. Przedtem jednak zabierzemy was do naszych obozów w górach i zaczniemy was szkolić. Za pierwszym razem będziecie żyli poza gildiami, które dla was wybrano, gdy się urodziliście, bez partnerów, których wybrali wam satrapowie, bez nadzoru nad waszymi uczuciami. Po pół roku każdy, kto nadal będzie chciał wrócić do swojego miasta i rodziny, dostanie przewodnika, który odprowadzi go do domu. Nikogo nie zatrzymamy wbrew jego woli. Zapewniam was. Ale wierzę, że gdy wpływ waszego poprzedniego życia zacznie słabnąć, odkryjecie, że wolicie być z nami i walczyć o wolność i człowieczeństwo.

Hilel zeskoczył ze studni i teraz przechadzał się wśród jeńców. Pytał, jak się nazywają, skąd przybyli, żartował z nimi i dodawał im otuchy. Działał na nich jak magnes. W jego obecności zachowywali się jak słoneczniki zwracające się do słońca. Gdy podszedł do Eli, długo na nią patrzył, a potem położył dłoń na jej ramieniu. Jej serce biło jak oszalałe i musiała się skupić z całych sił, żeby się nie zarumieniła. Czuła, że wzrok Hilela może dotrzeć do najgłębszej prawdy na dnie jej duszy, wspaniałej prawdy, której nikomu innemu nie udało się dostrzec.

– Jak ci na imię? – zapytał Hilel.

– Elas z Eridu.

– Podobasz mi się, Elasio. Masz w sobie coś wyjątkowego.

Minęło kilka minut, zanim Ela uspokoiła rozszalały puls. Odprowadziła Hilela wzrokiem.

Nie mogła oderwać od niego oczu.

– Ma w sobie to coś – mruknął Ratif. – Uważaj na niego. Mówią, że potrafi hipnotyzować swoim spojrzeniem.

– Naprawdę zamieszkamy z nim w jednym obozie?

– Tak powiedział.

– Nie sądzisz, że właściwie to może być całkiem przyjemne? To znaczy... No wiesz...

Przez jakiś czas.

– Hm.... Ma to też pewne poważne wady. Na przykład kobiety.

– Co z nimi?

– Jeśli o mnie chodzi, nie przepadam za zarostem i smrodem potu. Wolałbym miły widok ponętnych krągłości.

– W naszym obozie nie będzie kobiet?

– Nie widziałeś tych, które opuściły wioskę? Tam, gdzie przebywa Hilel, kobiety nie mają wstępu.

Ela czegoś tu nie rozumiała.

– On ma jakiś problem z kobietami?

– Skąd ty się urwałeś? Cóż, skoro nie wiesz, panuje przekonanie, że nieodwzajemniona miłość doprowadzi Hilela do upadku. Mówią, że jego matka przeklęła szamanów, gdy ujrzeli w nim diamentową duszę i przyszli, by jej go odebrać. Był jej jedynym synem, tylko on jej został. Podobno życzyła im, aby pewnego dnia pojawiła się kobieta, która ich zniszczy i zaprzepaści ich najwyższe cele, tak jak oni zrujnowali jej życie. Hilel się zakocha i straci pęd do działania, potrzebny, żeby przejąć władzę nad imperium. Nikt nie wie, czy ta historia jest prawdziwa i czy jego matka w ogóle miała jakąś magiczną moc. Szamani, oczywiście, do niczego się nie przyznają. Ale strażnicy tak fanatycznie go strzegą, że są gotowi zabić każdą kobietę, na którą spojrzy choćby przez chwilę. Marny los, moim zdaniem. Za żadne skarby bym się z nim nie zamienił! Jaki sens ma bycie przystojniakiem Hilelem, skoro nie możesz poderwać dziewczyny?

– Powiedziałaś, że są gotowi zabić każdą kobietę, na którą spojrzy?

– Gdybyś był kobietą, Elasio, a Hilel podszedłby do ciebie tak jak przed chwilą albo powiedział ci takie miłe rzeczy, to... ciach! Ucieliby ci głowę, zanimbyś się odezwał.

– Ucieliby mi głowę?

Ratif położył dłoń na ramieniu Eli w geście pocieszenia.

– A co ty się tak przejmujesz, przyjacielu? Owszem, jesteś delikatny, ale przecież nie jesteś dziewczyną. Jeszcze nam udowodnisz, że jesteś bardziej męski niż my wszyscy.

Górski obóz znajdował się jakieś sto pięćdziesiąt metrów poniżej granicy śniegu, gdzie krzepkie, uparte dęby i cierniste krzewy dzikiej róży jeszcze nie oddały swego panowania. Noce były bardzo zimne. Ela doceniła zalety futrzanej kamizelki i butów, które dostała. Nigdy nie należała do osób, które lubią siedzieć w domu, ale teraz wiedziała, że naprawdę walczy o przetrwanie. Na szczęście miała przewagę nad swoją wciąż nieco rozżaloną grupą składającą się z zegarmistrza, kilku skrybów, bezrobotnego inżyniera – specjalisty od energii elektrosylfidycznej, cynicznego mechanika almatoskopu, który ciągle pluł sokiem

z orzechów wigorowca, i kilku jeńców, który po raz pierwszy w życiu doświadczali fizycznych ćwiczeń. Ela już umiała jeździć konno, pływać, walczyć, strzelać z łuku, a co więcej miała dobry powód, żeby naprawdę się starać. Bała się, że ktoś mógłby odkryć, kim naprawdę była, więc nie zadowalała się drugim miejscem. Biegała szybciej i była bardziej wytrzymała od mężczyzn, którzy mieli kłopot z oddychaniem rzadkim górskim powietrzem. Bez wahania rzucała się do walki na miecze z przeciwnikiem dwa razy większym od niej i często udawało jej się zrekompensować fizyczną słabość gibkością, zwinnością i brutalną determinacją. Lecz jej prawdziwą przewagą była jazda konna i biegłość w strzelaniu z łuku. Jej szczupłe, mocne ciało doskonale pasowało do grzbietu górskich koników o gorącym temperamentem. Odkryła, że może kierować nimi piętami, a wolnymi rękami trzymać krótki łuk buntowników – cichą, śmiercionośną broń. Szybko zasłynęła jako znakomita snajperka w kompanii rekrutów i od samego początku była o wiele lepsza od większości doświadczonych wojowników. Ale nie spoczęła na laurach. Skupiała się na lekcjach, które dawał im Al-Namir, rudowłosy władczy dowódca, specjalista od ładunków wybuchowych. Al-Namir uczył ich przygotowywać ładunki z demoniego proszku – cuchnącej substancji, którą dało się formować w coś w rodzaju sprężystej galaretki. Ela dowiedziała się, że choć wielkie powstanie jeszcze nie wybuchło, buntownicy nie próżnowali i prowadzili partyzancki sabotaż na tyłach armii wroga. Wysadzali świątynie, warsztaty wojskowe, sklepy z lekarstwami i laboratoria medyczne. Najbardziej pożądanym celem były almatoskopy w dużych miastach, ale te były doskonale strzeżone, a próby ich zniszczenia często były misjami samobójczymi.

Al-Nasir nie należał do tych, którzy lubią chwalić, ale widać było, że uważa Elę za znakomitego ucznia. Bez lęku ćwiczyła składanie ładunków wyburzeniowych, mimo że demoni proszek był zdradziecką substancją, co potwierdzała blizna na twarzy Al-Namira i brak części jego prawej dłoni. Ela miała nadzieję, że jeśli wykaże się na lekcjach sabotażu, ją też wyślą na misję na terytorium satrapów, co da jej szansę na dezercję. Jednak na razie Al-Namir chyba nie był przekonany, że jego nowi rekruci są gotowi do działań operacyjnych.

W ciągu dnia, kiedy zajmowali się walką, jazdą konną, ćwiczeniami i rywalizacją, Ela czuła się względnie bezpieczna. Najtrudniejsze były dla niej wieczory. Buntownicy mieszkali w naturalnych grotach w skalnym zboczu góry. Przechowywano tam ekwipunek i zapasy, a na noc rozkładano posłania ze zwierzęcych skór. Późnym wieczorem wszyscy siadali wokół ognisk, gotowali, czasem piekli upolowanego młodego dzika, popijali słodkie wino i rozmawiali. To właśnie wtedy, kiedy na pozór było miło i przyjaźnie, Ela czuła się najbardziej obnażona i przerażona, jakby jej sekret w każdej chwili mógł wyjść na jaw. Nie mówiła zbyt wiele, żeby nie zadawano jej pytań i by nikt nie usłyszał jej głosu, który wydawał jej się wysoki i kobiecy (choć inni twierdzili, że jest chłopięcy i dokuczali jej, że jeszcze nie przeszła mutacji). Owinęła piersi szerokim pasem płótna, żeby je spłaszczyć, i zdobyła opinię nieśmiałego chłopca, ponieważ unikała kąpieli z innymi, a kiedy chciała się porządnie umyć, odchodziła daleko w górę rzeki. Na szczęście dla niej nie uważano mycia w lodowatej wodzie ze stopniałego śniegu za codzienny obowiązek. Mimo tych wszystkich środków ostrożności przeklinała lekkomyślność, przez którą wpakowała się w ten cały bałagan. Jak sobie radził Jonatan? Czy ten koszmarny lekarz nadal go więził? I co powiedzą rodzice, jeśli zgubi brata albo dopuści, by stała mu się jakaś krzywda? Musi

jakoś wytrzymać te sześć miesięcy, kiedy pozwolą jej odejść z obozu. Specjalnie brudziła twarz, aby ukryć delikatny łuk ust, a nawet poprosiła Ratifa, żeby obciął jej i tak krótkie włosy na jeża. Fryzura ta ledwo zakrywała jej czaszkę (i jeszcze bardziej podkreślała wielkie oczy i kobiece rysy, choć Ela o tym nie widziała, bo jeśli czegoś brakowało w obozie buntowników, to na pewno lustra).

Lecz to sam Hilel, chcąc nie chcąc, stanowił dla niej największe zagrożenie. Starła się trzymać od niego z daleka, ale on jakby dziwnie szukał jej towarzystwa. Ela budziła w nim zainteresowanie i ciekawość, które nie umknęły uwagi innych, a nawet ściągnęły na nią kpiny. Gdy wyruszali konno, jechał obok niej. Przyglądał się, jak ćwiczyła strzelanie z łuku, i pokazywał jej tajniki walki mieczem. Im lepiej go znała, tym bardziej jej się podobał. Przypominał jej wybitnych sportowców z jej świata, ludzi o żelaznej woli, skupionych na jednym celu. Tyle że Hilel walczył o coś o wiele ważniejszego niż zwycięstwo w maratonie czy triathlonie. Było w tym coś przerażającego. Ale on nie był arogancki ani zarozumiały czy skupiony na sobie. Był dociekliwy i naiwny, i wydawało się, że stara się do niej zbliżyć nie po to, by jej zaimponować, lecz dlatego, że chciał się czegoś od niej nauczyć. Nie rozumiał, dlaczego go unikała, i wyglądało na to, że w swej naiwności był przekonany, że nowy chłopak z Eridu jest po prostu chorobliwie nieśmiały.

Pewnego ranka, zanim zdążyła otrzeć z oczu resztki snu, Hilel wszedł do grotty, w której spali rekruci, podekscytowany i pełen energii, i oznajmił, że szuka najlepszych łuczników na polowanie na wilki. Wszystkie oczy zwróciły się oczywiście w stronę Eli. Wiedziała, że nie ma wyjścia i musi wziąć udział w brutalnej misji. Górskie wilki były niebezpieczne i głodne. Nie wahały się zaatakować bezbronного konia. Poprzedniej nocy pożarły jednego z wartowników, który wypił trochę za dużo daktylowego bimbrowa i oddalił się od obozu. Hilel postanowił położyć temu kres i pozbyć się ludożerczej zgrai. Ela wybrała niskiego popielatego ogiera, młodego i nerwowego, który został jej ulubieńcem ze względu na szybkość i odwagę graniczące z szaleństwem. Zarzuciła na ramię łuk, nieco krótszy od łuków innych rekrutów, ale wyjątkowo mocny, i wyruszyła z niewielką grupką stromymi ścieżkami obramowanymi kruchą, ściętą mrozem trawą. Hilel prowadził myśliwych. Znał tu każdą skałę i drzewo. Z chrapów koni buchały kłęby pary. Przyzwyczajone do górskich warunków zwierzęta nie ślizgały się na zamrożonej ziemi. Ela zobaczyła, jak Hilel pochyła się i daje nura pomiędzy mokrymi gałęziami przez ciernisty gąszcz. Chwilę później jej koń też wskoczył do środka i znalazła się w środku gęstego lasu porastającego zbocze góry. Gdy psy gończe zwietrzyły woń wilków, wyrwały do przodu z przeraźliwym ujadaniem. Galop między drzewami był trudny i niebezpieczny, ale Ela zapomniała o wszystkim, gdy przed sobą zobaczyła białoszare ogony. Ogarnęło ją nieznanym uczucie podniecenia i ogromne pragnienie, aby trafić w cel i go zlikwidować.

– Uważaj na przywódcę watahy! – zawołał Hilel z jej prawej strony.

Zauważyła ogromnego wilka o potężnych łapach biegnącego wśród drzew. Pospieszyła konia i ruszyła w pościg. Wkrótce przywódca wilków odłączył się od reszty stada i pobiegł sam przez zbocze. Reszta jeźdźców została daleko w tyle i tylko siwy koń Hilela mknął przez zarośla obok Eli. Wilk zaprowadził ich do niewielkiego wąwozu, który kończył się osuwiskiem bazaltowych kamieni, zbyt śliskim, by mógł się po nim wspinać. Wiedziała, że zapędzone w róg wilki potrafią być bardzo niebezpieczne, i wstrzymała oddech, gdy odwrócił się do niej. Zwierzę było piękne i silne, jego szary łeb otaczała biała grzywa,

w oczach widać było niemalże ludzką inteligencję. Wilk lodowatym wzrokiem zmierzył swoich prześladowców i postanowił rzucić się do gardła siwego wierzchowca Hilela. Przerażony koń stanął dęba, a pomiędzy kłów drapieznika trysnął czerwony strumień. Wilk nie odpuścił i zawisł w powietrzu. Hilel spadł z konia, a Ela usłyszała głuchy trzask, gdy uderzył głową o kamień. Drapieznik szybko zauważył zmianę sił na scenie, zostawił rannego konia i rzucił się na Hilela z zębami. Ela nie wahała się ani przez chwilę. Popędziła konia i ruszyła prosto na wilka, wyciągnęła strzałę z kołczanu i strzeliła. Strzała przebiła grzbiet wilka z mdlącym świstem. Zwierzę z paskudnym skowytym wyskoczyło w powietrze. W jednej chwili wilk zmienił kształt, a gdy spadł na ziemię, jego ciało miało już inną, dziwną postać.

Ela nie miała czasu, by się przyjrzeć. Zsiadła z konia i podbiegła do nieprzytomnego Hilela. Otarła z jego czoła krople krwi i modliła się, żeby nie był śmiertelnie ranny. Odrobiną wody obmyła mu twarz. Zobaczyła zadrapania i sińce, ale na szczęście tylko tyle. Gdy tak przyglądała się jasnej twarzy nieprzytomnego, poczuła w brzuchu dreszcz podekscytowania. Po raz pierwszy, odkąd przybyła w góry, zapomniała o Jonatanie, a jej myśli skupiły się na kimś innym. Nie mogła zaprzeczyć silnemu uczuciu, które budził w niej Hilel, najwspanialszy człowiek, jakiego spotkała w życiu. Wszelkie niebezpieczeństwa, które ją czekały, były warte zachodu, jeśli dzięki temu mogła być obok niego. A jeśli w końcu poprowadzą ją na śmierć, nie będzie jej jakoś szczególnie zależało, bo przynajmniej mogła go poznać i nie zmarnowała życia. Niewiele myśląc, odcięła kosmyk jego jasnych włosów i schowała go do kieszeni.

Hilel ocknął się po kilku minutach.

– Gdzie ja jestem?

Ela zarumieniła się na myśl o tym, co przed chwilą zrobiła, ale oszołomiony Hilel niczego nie pamiętał. Opowiedziała mu, co się wydarzyło, a potem podała mu rękę i pomogła wstać. Podeszli razem do martwego wilka.

– Co to jest? – zapytała Ela z obrzydzeniem.

Po śmierci zwierzę zmieniło się w istotę, której dolna połowa należała do wilka, górna zaś, od pasa w górę, do owłosionego mężczyzny o potężnej szczęce, spiczastych uszach, siwej brodzie i takiego samego koloru krzaczastych brwiach.

– Bóg gór – odparł ze smutkiem Hilel i pomacał guz na swoim czole. – Szkoda, że go zabiliśmy.

– Przepraszam – powiedziała Ela.

– Nie przepraszaj. Nie miałeś wyjścia. Zaatakował nas i zabiłby mnie bez wahania. Ale nie winię go. Satrapowie tak bezwzględnie prześladowali pomniejszych bóstwa, że całkiem utożsały się ze swoimi wcieleniami i zmieniły w istoty o wiele bardziej prymitywne od tych, którymi naprawdę były. Widzisz, właśnie dlatego nienawidzę kapłanów uzdrowicieli. Niszczą każdą niezależną myśl, nad którą nie mają kontroli. – Hilel pochylił się i zamknął lodowato zielone oczy martwej istoty. – Zamiast go zabijać, powinniśmy byli go przekonać, żeby stanął po naszej stronie. Nie możemy marnować takich szans. W naszej sytuacji potrzebujemy każdego wsparcia.

Ela patrzyła na ciało martwego bóstwa gór i zastanawiała się, jak ta istota, która wydawała się taka dzika i zła, mogłaby im pomóc.

– Skoro go spotkaliśmy, pewnie w pobliżu są też inne. Może zamiast czekać, aż

natknijemy się na nie przypadkiem, sami powinniśmy ich poszukać?

– Masz rację – powiedział Hilel i westchnął. – Problem w tym, że są bardzo rozproszone i nieufne.

– Są regiony jeszcze dziksze i bardziej oddalone niż nasz. Wszyscy mówią o dalekich prowincjach i ziemiach niczyich poza granicami imperium. Jeśli wyślemy tam ludzi, czy nie znajdą więcej takich bóstw, które mogłyby się przyłączyć do powstania?

Hilel się zamyślił.

– Coś w tym jest. Jesteś nie tylko świetnym łucznikiem, Elasio, ale też masz pomysły, które częściej powinienem słyszeć dookoła. Niestety, moi ludzie tak mi ufają, że zostawiają mi całe planowanie i myślenie. A ja nie jestem bogiem ani demonem, tylko człowiekiem. Chciałbym, aby pojawiało się wśród nas więcej oryginalnych pomysłów, a jestem pewien, że tobie ich nie brakuje.

– Nie wiem, czy zasługuję na te wszystkie pochwały – odparła Ela i się zarumieniła.

– Na pewno tak. Będę wdzięczny, jeśli dziś w nocy weźmiesz swoje posłanie i opuścisz grootę rekrutów. Nie masz tam już czego szukać. Chciałbym, abyś dołączył do mojego ogniska. Musimy przygotować wojnę i przyda mi się każdy zdolny umysł. A poza tym ocaliłeś mi życie.

Tego dnia dołączyła do głównego dowództwa. Na początku nie śmiała wykrztusić ani słowa. Przyjęto ją z wyjątkową ostrożnością. Jednak szybko poczuła się tam jak u siebie. Hilel, który zwracał się do niej z szacunkiem zadziwiającym wszystkich – a zwłaszcza Elę – wydobył z niej najlepsze drzemające w niej moce. Próbowała się sprzeciwić rodzącej się między nimi przyjaźni, ale im lepiej znała Hilela, tym wyraźniej widziała, ile ich łączy. Ta coraz głębsza zażyłość rozkwitłaby jeszcze bardziej, gdyby nie to, że Ela wiedziała, jak dziwna jest ich relacja. Wykręcała się od odpowiedzi na pytania o jej przeszłość. Zaskoczyło ją, jak bardzo wyolbrzymia się wagę rzeczy, które człowiek ma o sobie powiedzieć. Właściwie, jeśli chodziło o nawiązanie z kimś prawdziwej bliskości, historie z przeszłości nie miały żadnego znaczenia. Została człowiekiem bez przeszłości. Kimś, kto cały był teraźniejszością. I nie minęło wiele czasu, a ona i Hilel stali się nierozłączni. Jeśli nie widzieli się w ciągu dnia, wieczorem szukali swojego towarzystwa przy ognisku i rozmawiali do świtu. Kiedy na kilka dni rozdzielały ich ćwiczenia, tęskniła za nim, a on tęsknił za nią. Czowała upojenie, jak ktoś, kto żyje nad przepaścią, i była pewna, że niedługo zostanie złapana i surowo ukarana. Lecz zanim ten dzień nadejdzie, chciała żyć pełnią szalonej beztroski. Tak, to nie był błąd, gdy wtedy w lesie jego głowa spoczywała na jej kolanach. Lepiej ryzykować, że zostanie złapana, niż żyć bez niego.

Ale to nie oznaczało, że była gotowa wejść z otwartymi oczami w pułapkę. Zauważyła, że Al-Namir jakoś dziwnie się jej przygląda. Stary saper spędzał przy niej długie godziny, co jakoś jej nie martwiło, ponieważ mimo ogromnej wiedzy na temat tajników wyburzania i zastawiania zasadzek nie wyglądał na kogoś, kto zwracałby uwagę na niuanse jej zachowania i budowy ciała. Ale najwyraźniej się pomyliła. Wbijał w nią te jastrzębie oczy za każdym razem, gdy odwróciła głowę. Przestraszyła się, gdy zaproponował jej, że osobiście poćwiczy z nią krav magę. Nie mogła mu odmówić. Był od niej o wiele silniejszy i bardziej doświadczony, a kiedy rzucił ją na ziemię z siłą, która nią wstrząsnęła, nie mogła mu się przeciwstawić, gdy jego potężne, porośnięte rudawymi włosami ręce przyparły ją do

ziemi.

Ela poczuła, że nadszedł jej kres, i przygotowała się, aby wszystko wyznać. Ale jeśli nawet Al-Namir doszedł do jakichś wniosków, zachował je dla siebie. W obozie nie rozbrzmiały ostrzegawcze trąbki, a Ela nie została złapana i publicznie wydana. Al-Namir najwyraźniej niczego nie podejrzewał. Następnego dnia poszła wykąpać się w górze rzeki, a gdy wyszła z wody i ubrała się, natknęła się na niego w krzakach. Jej serce zatrzepotało jak schwytyany ptak. Czy widział ją nago? Zastanawiała się, czy nie wbić miecza między jego żebra, a potem zaciągnąć jego zwłoki gdzieś, gdzie zjedzą je dziki.

– Czego tu szukasz? – zapytała.

Al-Namir przeprosił z zakłopotaniem, które wydało się jej sztuczne, i odparł, że nie chciał przeszkadzać. Dodał, że każdy ma prawo do prywatności, lecz nie zdradził swoich prawdziwych intencji. Gdy podeszli do grupy nowych rekrutów, którzy ćwiczyli przeprawę przez rzekę po linowym moście, Ela skorzystała z okazji, aby się go pozbyć. Wiedziała już, że w bezpośrednim starciu ma marne szanse. Z ciężkim sercem wróciła do obozu. Ucieczka nie wchodziła w rachubę, bo bez przewodnika w górach zamarzłaby albo umarła z głodu. A poza tym nie mogła się pogodzić z myślą, że musiałaby się rozstać z Hilelem. Mogła tylko udawać spokój i dalej żyć w obozie.

Hilel wydał rozkaz, aby wcielono w życie pomysł Eli. Na północny zachód, w rejon gór i zatok w prowincjach Kapadocji, Tracji i Ilirii, gdzie namiestnicy imperium mieli kłopot z narzuceniem swojej władzy, wyruszyła ekspedycja poszukiwawcza pod wodzą młodego porucznika Irama Tamdżalila. Wszyscy liczyli na to, że tam znajdą ukrywających się pomniejszych bogów.

– Problem w tym, że nasze wojsko jest za małe – stwierdził Lotrasjan, dowódca oddziału komunikacji i wywiadu. Siedzieli znów wokół ogniska w grocie sztabu generalnego i próbowali podjąć decyzję, czy powinni już wypowiedzieć wojnę. – Mamy kilkadziesiąt tysięcy rezerwistów tutaj i w górach Amanu, Taurus, Elbrus i Ararat. Potrzebujemy o wiele większej armii, aby pokonać siły króla. Powinniśmy zwiększyć tempo mobilizacji ochotników.

– Większość obywateli imperium ciągle się nas boi – zauważył Al-Namir. – Przeraża ich myśl, że można żyć bez nadzoru satrapów. Potrzebny nam cud, żeby do nas dołączyli.

– Żaden cud – odparł Hilel z zamyśloną miną. – Potrzebny nam prorok. Ktoś, kto prostymi słowami przekona każdego człowieka, że ten paralizujący lęk przed Otchłanią jest zupełnie niepotrzebny.

– Cóż, niestety nie ma takiego proroka – rzekł Lotrasjan. – Strach przed Otchłanią się rozprzestrzenia. Moi informatorzy mówią o nowych niepokojących pogłoskach, które niosą się po całym terytorium. Podobno stara Tiamat urodziła w głębinach Lewiatana, który ma moc, jakiej nigdy nie widzieliśmy. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że to sami satrapowie rozsiewają takie plotki, żeby przestraszyć obywateli i sprawiać, by kurczowo trzymali się króla.

Ela wpadła na pewien pomysł. Przypomniała sobie o Pazuzu, demonie, którego spotkali w Eridu.

– A może moglibyśmy spróbować zwerbować demony, które mają już dość niewoli?

Siedzący wokół stołu dowódca spojrzeli na nią z rezerwą.

– Nie możemy ufać demonom – rzucił Al-Namir. – To dzieci Otchłani, dlaczego miałyby nam pomóc?

– Ponieważ nie mają wyjścia. Demony to sprytne istoty. Nie mogą na razie wrócić do Otchłani i cierpią nawet bardziej niż ludzie z powodu władzy satrapów.

Al-Namir nachmurzył się i wymienił spojrzenia z Hilelem.

– Nie możemy działać pochopnie. A jeśli Otchłań się umocni, a uwolnione przez nas demony zdradzą nas i przejdą na jej stronę?

– Demony żyły z ludźmi przez ostatni tysiąc lat. Jeśli zapewnimy im dobre, ludzkie warunki, czy nie będą wołały stanąć po naszej stronie?

Mina Al-Namira wyrażała powątpiewanie, a blizna na jego twarzy pogłębiła się i zaczerwieniła w gniewie, lecz wtedy do rozmowy wtrącił się Hilel.

– Oboje mówicie rozsądnie. Istnieje tylko jeden sposób, aby przetestować pomysł Elasa. Co mamy do stracenia? Znajdźmy kilka demonów i sprawdźmy, czy będą grzeczne.

Już następnego ranka wysłano grupę poszukiwawczą do miast leżących w dolinie rzek.

– Proszę was, miejcie oczy szeroko otwarte – zwróciła się Ela do żołnierzy, zanim wyruszyli w drogę. – Poszukajcie dwunastoletniego chłopca, szczupłego i jasnowłosego, o mądrej buzi i niebieskozielonych oczach. To mój młodszy brat, którego porwali satrapowie w Eridu. Ostatni raz widziałam go z Pazuzu, włochatym demonem o czterech skrzydłach.

Zapewnili ją, że poszukają Jonatana. Ela była pełna nadziei. Ale rozczarowała się, gdy kilka dni później ekspedycja wróciła z łupem, który przypominał rybacką sieć po sztormie, pełną błota, kamieni, brudnych plastikowych toreb i zardzewiałych puszek. Żołnierze znaleźli ponurego demona o imieniu Szulak, który przypominał brudną nutrię uratowaną z plamy ropy naftowej na skażonej rzece, Osgoda o wyłysiałych skrzydłach i Anastargalu, demona mimikry, którego trzymano kiedyś dla zabawy w babilońskim pałacu. Ten ostatni od razu zaczął zabawiać rekrutów ordynarnym naśladowaniem króla i okrutnego przywódcy rady satrapów, ale to było wszystko. Nie ujawnił sam z siebie żadnej przydatnej informacji. Całą trójkę umieszczono w jednej z głębokich jaskiń, a Hilel posłał po miejscowych szamanów do Sihan-Gil. Szamani mieli uzdrawiające zaklęcia, które neutralizowały wpływ zastrzyków z demonofornu, sulforoksu i innych osłabiających i otepiających leków, które podawano demonom. Jednak proces uzdrowienia miał zająć wiele czasu. Dopiero po kilku miesiącach, jeśli w ogóle doszłyby do siebie, byłoby wiadomo, czy taka demoniczna nutria potrafi przewracać wzrokiem wieże strażnicze w Babilonie, czy tylko strącać orzechy z drzew.

Sama Ela nie była już pewna, czy jej pomysł ma jakikolwiek sens. Ale wtedy do obozu wrócił kolejny oddział zwiadowczy z niezwykle zdobyczą. W pierwszej chwili Ela pomyślała, że to kobieta, i z rozdziawionymi ustami przyglądała się jej, gdy tamta powoli zsiadła z konia. Inni żołnierze też podeszli bliżej, zdumieni. Przerwano ćwiczenia. Co tu robiła kobieta? Wysoką postać o zasłoniętej twarzy zaprowadzono do groty głównego dowództwa. Lecz kiedy zdjęła zasłonę, okazało się, że to naama o bajecznej atramentowej cerze i oczach szarych jak burzowe chmury. Ela pamiętała ją z targu w Eridu. Ale tamta naama była oszałamiającą piękną, a teraz jej twarz była zniszczona kwasem. Wyglądała tak przerażająco, że wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy znów zasłoniła twarz. Okazało się, że klient, który ją kupił, pewien zamożny kapłan uzdrowiciel z Girsu, postanowił zniszczyć

swoją własność w szale zazdrości. Żadne prawo w imperium nie mogło jej przed tym uchronić. Ahurmiana, bo tak miała na imię, uciekła i planowała się unicestwić. Dowódca oddziału powiedział, że zastanawiał się, czy ją zabrać, ponieważ wiadomo było, że naamy są najbardziej oddanymi sojuszniczkami satrapów. Ale jej okaleczona twarz przekonała go, by to zrobić. Ahurmiana była pierwszym demonem, który okazał prawdziwą radość, gdy zabrali ją buntownicy. Ktoś powiedział jej, że powinna podziękować za to Eli. Naama ukloniła się przed nią z gracją, a Ela się zarumieniła.

Kiedy następnego dnia Ela zeszła do jaskini demonów, żeby sprawdzić, jak się czują, Ahurmiana dała jej znać, że chciałyby z nią porozmawiać na osobności. Schowały się we wnęce, której pokryte drobinkami kwarcu ściany połyskiwały w świetle pochodni i rzucały ostre cienie na zniszczoną twarz naamy. Od tamtego przypadkowego spotkania z Al-Namirem nad rzeką Ela była zniecierpliwiona, nerwowa i nie w humorze.

– Wiem, co cię trapi – rzekła cicho Ahurmiana.

– Co takiego mnie trapi?

– Twoim problemem jest to, że żyjesz jak mężczyzna, zachowujesz się jak mężczyzna i mówisz jak mężczyzna, lecz pod ubraniem nie jesteś mężczyzną, lecz kobietą.

Ela o mało nie upuściła pochodni i nie podpaliła sobie spodni. Ale szybko się opanowała.

– Co za bzdura – rzuciła najbardziej lodowatym tonem, na jaki mogła się zdobyć. – Kto ci uwierzy? Jakie masz dowody?

– Nie potrzebuję dowodów. Mam oczy naamy, a nie jakiegoś nieokrzesanego górala. Ale nie musisz się martwić. Nie chcę cię zdemaskować. Chcę ci pomóc.

Ela mruknęła pod nosem coś niezrozumiałego, lecz naama nie pozwoliła, by ten słaby protest ją powstrzymał. Wyciągnęła z rękawa szaty sakiewkę i wysypała na dłoń odrobinę połyskującego jasnioletowego pyłu.

– My, córki Naamy, podniosłyśmy kobiecość do rangi sztuki. Wiemy, co konieczne, aby stać się kobietą. Ale wiemy też, co trzeba zrobić, by przestać nią być. Ten pył sprawi, że oznaki twojej kobiecości znikną i nikt nie będzie cię podejrzewał.

Ela wahała się tylko przez chwilę. Spojrzała w gradowe oczy Ahurmiany i poczuła, że może jej zaufać. Ale czy naprawdę chciała przestać być kobietą? Dni, które spędziła w obozie buntowników, były najlepszymi w jej życiu. Ich walka była teraz jej walką, wierzyła w nią całym sercem. Po raz pierwszy w życiu czuła się naprawdę potrzebna i wiedziała, że jest tam, gdzie powinna być. A jednak nie chciała stać się mężczyzną. Myśl o tym była przerażająca i nieprzyjemna. Ale jaki miała wybór? Jeśli chciała zostać u boku Hilela, musiała się ukryć. Wiedziała już, że tu, wśród buntowników, wszędzie są szpiedzy i informatorzy. A tylko z pomocą buntowników mogła odnaleźć Jonatana, o ile sam się wcześniej nie pojawi. Naama podsunęła dłoń do ust Eli, która zlizwała pył. Poczuła w ustach kwaśny smak, piekący, jakby jej usta wypełniły okruchy szkła.

Ahurmiana uśmiechnęła się na widok jej miny.

– Nie martw się. Nie działa natychmiast, ale niedługo zobaczysz efekty.

Tak też się stało. Trudno powiedzieć, czy pył naprawdę już zadziałał na jej ciało, czy też tylko na to, jak widziała siebie i jak inni ją postrzegali, ale Ela poczuła się o wiele bardziej pewna siebie. Na jej ramionach pojawiły się ciemne, delikatne jak puch włoski, krągłości jakby zniknęły, ramiona stały się trochę szersze. Także jej głos był teraz niższy – przyjął głęboki, całkiem miły altowy ton.

– Gratulacje, Elasio! W końcu przechodzisz mutację – dokuczali mu Ratif i inni rekruci. Pewnej gwiazdzistej nocy podszedł do niej Al-Namir.

– Wybacz, że cię podejrzewałem – przeprosił. – Wiesz, jaki ważny jest dla nas Hilel. Bez niego powstanie nie ma szans.

– O co mnie podejrzewałeś?

– Sam przyznasz, że szybko się do niego zbliżyłeś. To mnie zaniepokoiło. Pojawiłeś się tu z o wiele większymi umiejętnościami i motywacją niż reszta rekrutów i nie mogłem się powstrzymać od podejrzeń, że jesteś szpiegiem wroga. Dlatego musiałem z tobą walczyć, żeby się upewnić, czy nie masz przy sobie żadnych urządzeń szpiegowskich ani tajnej broni.

– W porządku – rzekła Ela. – Cieszę się, że troszczysz się o Hilela. Na twoim miejscu zrobiłbym to samo.

Al-Namir westchnął.

– Gdyby coś mu się stało... Cóż, wolałbym umrzeć niż do tego dopuścić. Hilel musi objąć tron i zostać Sprawiedliwym Królem. To nasza jedyna nadzieja.

– Ja też wolałbym umrzeć niż pozwolić, aby stało mu się coś złego – zapewniła go Ela.

Ale czy nie żyła w okropnym kłamstwie? Czy nie odpłacała Hilelowi złem zamiast dobrem każdego dnia, trwając u jego boku?

Rozdział ósmy

Adwokat diabła

W górach nastała zima. Nad wejściami do jaskiń zwisały potężne sople lodu niczym długie kły tygrysa szablatozębnego. Ograniczono ćwiczenia, a weterani ruszyli przez śniegi na spotkanie z rodzinami. Ela i Hilel mieli teraz czas, aby zbadać podziemny labirynt wijący się pod sypialnymi grotami. Tam, gdzie nikt ich nie widział, zapomnieli o swojej poważnej misji i bawili się jak dzieci. Uganiali się jedno za drugim, bawili w chowanego i straszili. Jedynymi mieszkańcami jaskiń były olbrzymie nietoperze, wielkie jak skrzydlate króliki. Krążyły wokół pochodni w ślepym obłędzie. Pewnego razu, gdy zeszli głębiej niż zwykle, znaleźli stare kości o dziwnym kształcie, nietypowo lekkie, które z pewnością nie należały do żadnego człowieka. Ale nie widać było tam żadnych innych oznak życia. Stwierdzili, że to pewnie jakiś wymarły prehistoryczny stwór, i poszli dalej. Gdy po całym dniu zabaw wrócili do groty głównego dowództwa, dopadło ich przygnębiające poczucie, że mimo ogromu włożonej pracy powstanie w imperium wciąż było równie realne, co wysiłki mrówki, aby przetoczyć jabłko.

Ósmego lutego, w dniu swoich szesnastych urodzin, Ela poszła na zbocze góry i ulepiła sobie tort ze zmarzniętego śniegu. Rozpłakała się na wspomnienie urodzinowych przyjęć, które urządzano dla niej na ulicy Pierwiosnka, zanim zabrano mamę, a świat był jeszcze ciepłym i bezpiecznym miejscem. Jakże tęskniła za rodzicami i bratem! Przypomniała sobie dziwną ranę ojca, którą widziała przez chwilę tamtej nocy w laboratorium. W ciągu miesięcy, które minęły od tamtego czasu, starała się wymazać ten obraz z pamięci. Trudno uwierzyć, że coś takiego naprawdę mogło się zdarzyć. Znow próbowała przekonać samą siebie, że w szpitalu na pewno wszystko naprawią. Ale czy naprawdę? I jak on się teraz czuł? Zacisnęła pięści, a gniew, który zapłonął latem, teraz wrócił i przypomniał jej, że przybyła tu, aby złapać złoczyńców. Także niepokój o Jonatana stał się silniejszy i towarzyszyło mu ukłucie tęsknoty. Obiecała sobie, że wiosną zrobi wszystko, co w jej mocy, aby go odnaleźć. Odstawić brata do domu, całego i zdrowego – to najlepszy prezent urodzinowy, jaki mogła sobie wyobrazić.

Wczesna wiosna przyniosła na swoich skrzydłach świeżą falę energii. Śnieg stopniał już na początku marca i wkrótce zastąpił go łaskoczący kolorowy kwietny dywan pełen brzęczących pszczół. Marzec przyniósł też niespodziewany alarm. Zwiadowcy donosili o królewskim pułku, który pojawił się w okolicy, i w obozach buntowników ogłoszono stan najwyższej gotowości. Ale dowódca wrogiego oddziału zatknął na włócznie białą flagę i zaprowadzono go do głównej kwatery Hilela. Był to chudy mężczyzna, brodaty i zaniedbany, o czarnych wąskich oczach. Emanowało od niego poczucie głębokiego wewnętrznego spokoju i okrutnej zimnej krwi. Królewską stalową zbroję przykrywała podarta, zniszczona peleryna. Na jego piersi widniały pasy z nabojami, na plecach wisiała strzelba, u pasa miał pistolety, jatagan i szablę, cały arsenał. Kiedy zsiadał z konia, potknął się i powiedział, że odmroził sobie paluchy stóp. Nazywał się Saran Adrian Isarow. Gdy wypowiedział swoje imię, przez obóz przeszła fala przerażonych szeptów.

– Wiedziałem – powiedział Ratif. – On jest z ziem niczyich. Żebyśmy tylko się od niego nie zarazili.

– Widziałem już takich – dodał ktoś inny. – Barbarzyńców, którzy przedostają się do imperium. Szukają bogactwa, sławy, czort wie czego. To najokrutniejsi z wojowników.

– Nie martwcie się jego chorobami – odezwał się Lotrasjan, dowódca oddziału szpiegowskiego. – Już wam mówiłem, że za granicami imperium nie ma żadnych wyjątkowych chorób. To tylko propaganda satrapów. A poza tym w królewskim wojsku starannie odkaża się barbarzyńców przed wcieleniem ich do pułków.

Nawet jeśli Isarow to słyszał, nie zareagował. Oficerowie sztabu generalnego Hilela, choć nieufni i podejrzliwi, przyjęli go z ceremonialnym szacunkiem, zgodnie z wojskowym zwyczajem. Przybysz przyjrzał się mapom wiszącym na ścianach jaskini głównego dowództwa i rozgrzał ręce nad kubkiem gorącego napoju, który mu podano.

– Dlaczego chciał się pan ze mną spotkać? – zapytał Hilel. – Wie pan, że gdy widział pan to miejsce, nie wyjdzie stąd żywy.

– Nie mam zamiaru wracać do króla ani żywy, ani martwy – odparł Isarow.

Opowiedział, że jego pułk wysłano w góry za buntownikami na początku zimy. Ale zwiadowcy zgubili drogę w śniegu. Wędrowali przez góry całą wieczność, jak się im wydawało, a ich zapasy topniały, gdy nagle śnieżna lawina uwięziła ich w przełęczy, odcinając ostatecznie od głównego trzonu królewskiej armii do nadejścia wiosny. Śniegu było coraz więcej, głód dokuczał im coraz bardziej, aż w końcu postanowili zabić swoje konie i je zjeść. Zabrakło też lekarstw satrapów. Miały one sprawić, by plamy ciemności nie dotknęły dusz żołnierzy w trakcie przeciągającej się operacji wojskowej, gdy nie mogli się stawić na rutynową almatoskopię. Isarow obawiał się, że teraz wszyscy załamią się nerwowo albo dostaną napadów szału. Zebrał wszystkich oficerów i wydał tajny rozkaz, aby skazali na śmierć żołnierzy, którzy zwariują. Ku jego wielkiemu zdziwieniu nic takiego się nie zdarzyło. Nie zauważył u swoich ludzi paraliżującego przygnębienia, a jedynie spodziewaną odpowiedź na trudy życia na mrozie i w głodzie. Jediną zmianą była zmiana w ich motywacji. Choć przedtem byli w pełni przekonani o królewskiej sprawiedliwości, teraz zaczęli w nią wątpić.

– Nie czułem się gorzej niż wcześniej – mówił Isarow. – Tyle że bez lekarstw straciłem ten szalony entuzjazm, który napędzał mnie do życia. Już nie pragnąłem umrzeć w chwalebnej walce w imię króla. Taka zmiana to chyba najbardziej sensowna rzecz, jaka może się przydarzyć mężczyźnie w moim wieku. Nie rozumiem, jak mogłem być wcześniej takim idiotą.

Isarow opowiedział, że w związku z wymuszoną przez śnieg bezczynnością zaczął rozmyślać i zrozumiał, że wiele rzeczy, które robił i w które wierzył, gdy kolorowa mgła oślepiła jego umysł, nie miało sensu. Trudno mu było nie żałować utraty iluzji, a życie bez nich wydawało się puste. Lecz teraz poczuł, że jego życie jest prawdziwsze. Reszta żołnierzy czuła to samo co on. A kiedy stopniały śniegi, zaginiony pułk postanowił dołączyć do buntowników.

Przyjęto ich z radością, a wynędzniałych żołnierzy Isarowa zaproszono do ognisk. Ustalono, że Saran Isarow dołączy do głównego dowództwa jako pełnoprawny oficer. Znał ruchy królewskiej armii i strategiczne plany na najbliższą przyszłość.

– Jesteście w okropnym położeniu – powiedział. – Główna dowódczyni królewskiej armii,

generał Gala Aritrawa, zażądała od króla, aby pozwolił jej na natychmiastowe wyjście w góry, by oczyścić je z buntowników. Jej specjaliści pracują nad stworzeniem bomb termobarowych, które zniszczą jaskinie i uduszą wszystkich, którzy w nich przebywają. Jak znam Aritrawę, w końcu zrealizuje swój plan. Nie wiadomo, czy został wam tydzień, miesiąc czy rok, ale nie będziecie mogli wiecznie odwlekać rozpoczęcia wojny.

Chociaż wieści, które przyniósł Isarow, nie były dobre, wyglądało na to, że los buntowników odmienił się na lepsze. Spośród rekrutów z poprzedniej jesieni nawet jeden nie wybrał powrotu do poprzedniego życia. Ale najbardziej zaskoczył Ele Ratif. Pewnego dnia zobaczyła, jak dawny zegarmistrz naciera do przodu z mieczem w dłoni, z rozwianymi, teraz o wiele dłuższymi włosami, z twarzą wysmarowaną farbami do kamuflażu. Darł się, ile sił w płucach.

– To o wiele lepsza zabawa niż naprawianie zegarów – zaczął się tłumaczyć na jej widok.
– Masz ochotę na rundkę metachronicznej krav magi?

Tej sztuki walki uczył ich przez zimę pan Hobe-Czang, specjalista z Kokandu, z dalekiej prowincji fergańskiej, który przybył z pól lodowych przy północno-wschodniej granicy. Pan Hobe-Czang był drobnym, poukładanym człowiekiem o krzaczastych białych brwiach i wąsach, które zwisały nad jego górną wargą niczym para białych sopli. Uczył ich szczególnego rodzaju medytacji. Gdy ktoś zanurzył się w niej w głębokim skupieniu, mógł przez kilka sekund poruszać się w czasie do przodu i do tyłu.

– Czemu nie? – odparła Ela, która była dobra w metachronicznej walce.
Gdy Ratif skupił się i ruszył biegiem w jej stronę, skoczyła w przyszłość, położyła na jego drodze kamień, po czym wróciła do teraźniejszości i zobaczyła, jak chłopak potyka się o kamień i upada na ziemię.

– Nie wiem, co się stało. Jakby coś mnie uderzyło.
– Dziwne rzeczy mogą się zdarzyć, gdy opuści się warsztat zegarmistrza – zakpiła.
A jednak, mimo wszystko, Ratif uparł się, że nie wróci do domu, dopóki nie będzie mógł uwolnić swojego miasta spod władzy satrapów.

Demony znalezione przez oddziały zwiadowcze powoli wracały do formy. Pierwszy wyzdrowiał Anastargalu, demon mimikry. Okazało się, że umie mówić w trzystu językach, między innymi językiem lwów morskich i koników polnych, i widzi drobne skarby ukryte na głębokości kilku metrów pod ziemią. Poza tym miał pewien niezwykły talent, który zdobył mu popularność w obozie. Potrafił zmieniać kolor jajek na twardo pod skorupką i żołnierze dla zabawy zakładali się, czy jajka, które ugotowali, będą fioletowe, czerwone czy złote. Hilel jednak wyraził wątpliwość, czy ten talent wystarczy, aby zapewnić im zwycięstwo w walce, dlatego uprzejmie poprosił Anastargalu, aby przejął niezbyt lubiane, lecz kluczowe zadanie, i został demonem komunikacji obozu. Anastargalu przystał na to pod warunkiem, że nie będą go zmuszać do przekazywania głupich lub zbyt emocjonalnych wiadomości. Ela przyglądała mu się z niepokojem, który Anastargalu budził w niej od pierwszej chwili. Zwierzyła się ze swoich podejrzeń Al-Namirowi.

– Demony często budzą takie uczucia – zapewnił ją.
Wyglądało na to, że naprawdę nie miała powodu do obaw, bo już w pierwszych dniach swojej pracy Anastargalu zarejestrował odległe, urwane przekazy, pochodzące najprawdopodobniej z Uralu. Transmisje te obudziły nadzieję, że w tamtych górach ukrywa się spora grupa zbiegłych demonów mających niejedyn powód, aby pragnąć upadku

imperium. Oficerowie poczuli podekscytowanie. Gdyby udało im się połączyć z demonami z Uralu, być może zdobyliby prawdziwą przewagę.

Kilka dni później Anastargalu przyniósł Hilelowi wiadomość, którą otrzymał z nieznanego źródła: „Chcę się z tobą spotkać. Stop. Silny sprzymierzeniec. Stop. (Tu i tu, wtedy i wtedy). Stop”.

– Jak to możliwe, że nie masz pojęcia, kto nam przysłał tę wiadomość? – zapytała Ela, nerwowo chodząc w tę i z powrotem po jaskini demonów.

Ale Anastargalu tylko stuknął w swoje trzy kolorowe tukanie dzioby i pokręcił głową jak ktoś, kto zrzuca z siebie wszelką odpowiedzialność.

– Nie idź tam, Hilelu. To może być pułapka – ostrzegła.

– Jak może to być pułapka, skoro miejsce spotkania jest na naszym obszarze?

– Wszystko jest możliwe.

– Jeśli to naprawdę jakiś silny sprzymierzeniec, nie mogę przegapić okazji, by się z nim spotkać. Zapewniam cię, Elasio, że zastosujemy wszelkie środki ostrożności.

Zapewnienia Hilela nie uspokoiły Eli. Z ciężkim sercem jechała obok niego nad jezioro Maru. Miejsce spotkania ustalono nad jego brzegiem. Maru leżało wysoko w górach niczym osadzone w nich oko wpatrujące się obojętnie w niebo. W jego czarnej, nieprzejrzystej wodzie odbijały się szczyty gór. Jezioro otaczały skaliste, nagie zbocza – nie był to szczególnie radosny widok, za to doskonale miejsce na zasadzkę. Rozstawili obóz, bo spotkanie miało się odbyć w nocy. Teraz Ela i Hilel przechadzali się brzegiem po czarnym piasku.

– Niepotrzebnie tu przyjechaliśmy – narzekała Ela. – To głupota. Kto tu przyjedzie w środku nocy?

Hilel podniósł kamyk i puścił kaczkę na powierzchni ciężkiej wody.

– Z logicznego punktu widzenia masz rację, ale mam przeczucie, że tej nocy wydarzy się tu coś ważnego, a moje przeczucia rzadko mnie mylą.

Kamień odbił się od powierzchni tylko dwa razy i poszedł na dno bez najdrobniejszej zmarszczki na wodzie. Zapadł zmierzch, a wojownicy zapalili pochodnie. Ela patrzyła na samotne punkty światła rozproszone wzdłuż brzegów jeziora i poczuła wszechogarniający smutek. Hilel położył rękę na jej ramieniu.

– Zimno ci, Elasio? Weź moją pelerynę.

– Dziękuję, tak jest dobrze.

– Przecież widziałem, że się trzęsiesz.

– To pewnie przez te myśli.

– Tęsknisz za domem?

– Może.

– Wiesz, znamy się od zeszłego lata, a nigdy mi nie mówiłeś, gdzie się urodziłeś.

Ela podniosła głowę i spojrzała na gwiazdy. Szukała Wielkiej Niedźwiedzicy, ukochanej i znajomej.

– Obok mojego domu rosła miodla, na której zbudowałem sobie schronienie. Mogłem się tam schować, kiedy chciałem wierzyć, że jestem sam jeden na świecie. Ale urok częściowo polegał na tym, iż zawsze wiedziałem, że czeka na mnie ktoś, komu na mnie zależy.

– Zazdroszczę ci – westchnął Hilel. – Chyba nigdy nie miałem żadnej zabawki ani własnej

kryjówki. Szamani zabrali mnie z rodzinnego domu przed dwunastoma laty, kiedy liczyłem sobie dziesięć wiosen. Przypuszczam, że miałem jakieś wspomnienia z tamtego czasu, ale wszystko usunęli, abym mógł bez przeszkód wejść w tożsamość i misję ben Szachara.

– Czyli nie wiesz, kim byli twoi rodzice?

– Nie wolno mi tego wiedzieć, ponieważ szamani wierzą, że tego rodzaju osobiste więzi mogą mnie osłabić i zmienić w łatwy cel dla naszego wroga. Wiem tylko to, że jestem mieszańcem. To znaczy, że w mojej krwi płyną dwa rodzaje magii. Jeden z moich rodziców należał do gildii satrapów, a drugi był związany z Otchłanią – był to demon albo ludzki czarownik – i dlatego mam dobre ucho także do magii błota głębin.

– Naprawdę myślisz, że gdybyś pamiętał coś ze swojego dzieciństwa, miałyby to na ciebie jakiś wpływ?

– Czasami tuż przed zaśnięciem przed moimi oczami przemykają różne obrazy. Widzę gruszę i jestem pewien, że nie rosła tutaj, w górach. Patrzę na drzewo od dołu, jakbym był bardzo mały. Siedzę w trawie, a drzewo wydaje mi się wysokie i ogromne. Czasem jestem pewien, że gdzieś na krawędzi obrazu ukrywa się kobieta. Kroi gruszkę i podaje mi jasną, ociekającą sokiem połówkę. Chciałbym myśleć, że to wspomnienie z dzieciństwa, które umknęło szamanom, a ta kobieta to moja matka, ta, która podobno tak bardzo chciała mnie zatrzymać, że mnie przeklęła. Ale być może to nic, po prostu jakaś scena, którą sobie wyobraziłem. W każdym razie to nie ma żadnego znaczenia. Wiem, że jestem Hilelem ben Szacharem. Odkąd sięgam pamięcią, jestem Hilelem ben Szacharem i miałem być przywódcą.

– Dla mnie jesteś kimś więcej – powiedziała Ela. – Dla mnie jesteś sobą.

– Dziękuję, Elasiu. Miło mi to słyszeć, choć to bez znaczenia. Nigdy nikogo nie interesowałem z powodu tego, kim byłem przedtem. Istnieję tylko po to, by być Hilelem.

Ich rozmowa powoli ucichła podobnie jak wszystkie rozmowy w obozie. Wszyscy nasłuchiwali odgłosu końskich kopyt. Ale słyszeć było tylko głucho pohukiwanie sowy. Księżyc nie pojawił się na niebie. Pochodnie zgasły i kapały do jeziora. Hilel objął ramiona rękami.

– Wygląda na to, że miałeś rację. Nikt nie przyjdzie.

W chwili, gdy wypowiedział te słowa, wody jeziora przy brzegu na wprost przed nimi nagle zabulgotały, wyrzucając w górę ogromne białe bańki, coraz mocniej i szybciej. Wojownicy wyciągnęli broń i zwrócili się w stronę kipiącej wody polodowcowego jeziora, ale Hilel zawołał:

– Nie strzelać!

Al-Namir starannie przygotował broń, a teraz strugał kawałek drewna i kątem oka obserwował Hilela i Elasa, którzy przechadzali się brzegiem jeziora. Gdy wody jeziora zabulgotały, naprężył się jak struna i zerwał ze skały, na której siedział. W pierwszej chwili instynkt podpowiedział mu, że powinien podbiec do swego przywódcy, przewrócić go na ziemię i zasłonić własnym ciałem. Ale Hilel dał mu znak, żeby nie ruszał się z miejsca. Widok, który ukazał się jego oczom, był przedziwny, a towarzyszył mu zimowy zapach błota, grzmotów i naelektryzowanego powietrza.

Wtem z płytkiej wody wynurzyła się chwiejna postać. Wydawała się nie mniej oszołomiona od tych, którzy na nią patrzyli, a Al-Namir od razu wiedział, że nie stanowi

większego bezpośredniego zagrożenia niż jednodniowe cielę (co oczywiście nie wykluczało możliwości otrucia, kradzieży, oszustwa, zdrady czy użycia magii). Nieznajomy wyciągnął rękę i poprawił mokry sznurek na szyi. Co za dziwactwo! Jedwabna lina wyglądała jak modny dodatek (Al-Namir podniósł dłoń do gardła i jęknął na myśl o tym, że miałby włożyć coś takiego). Mężczyzna miał na sobie szare ubranie, brzydkie i ociekające wodą, skrojone z drogiej tkaniny, ale uszyte w wyjątkowo złym guście, w sposób, który krępował ruchy. „A gdyby musiał wyciągnąć broń?”, pomyślał Al-Namir. Marynarka miała wszyte poduszki, które miały nadać ramionom męski wygląd, ale wyglądały głupio na tle ogólnej nieporadności. Ratif, który stał obok Al-Namira, patrzył z osłupieniem na ociekający wodą złoty zegarek na nadgarstku przybysza i chrząknął z dezaprobatą na widok mokrego złotego pióra wystającego z kieszeni marynarki. Mężczyzna ścisnął w dłoni sztywną prostokątną teczkę zabezpieczoną przed wodą. Przyciskał ją do brzucha niczym cenny skarb. Wystarczyło na niego spojrzeć, by było jasne, że nie był stąd. Tymczasem gość przyklepał do czaszki mokre kosmyki rzadkich włosów i ruszył do brzegu.

– Pan Hilel, jak mniemam? – odezwał się i wyciągnął rękę. – Bardzo mi miło. Marmelsztajn, adwokat. – Zdjął prawy but i wylał z niego wodę. Wypadła z niego mała rybka. Gdy już się pozbierał, spróbował się uśmiechnąć. – Przypuszczam, że ma pan tu jakieś biuro, prawda? Cichą, miłą kawiarnię? Też nie? W każdym razem jest tu jakieś kulturalne miejsce, gdzie możemy usiąść i zamienić kilka słów?

Al-Namir zmarszczył czoło. Co to za gadka? Nigdy nie słyszał o żadnej gildii adwokatów, ale możliwe, że była to nowa diabelska sztuczka praktykowana w Babilonie. Pozostałe słowa, które wypowiedział nieznajomy, wzbudziły w nim obawy, że ma przed sobą szaleńca. Ale jaki szaleniec zdołałby przybyć tutaj z pomocą magii? Al-Namir ruchem brwi dał Hilelowi do zrozumienia, że jego zdaniem lepiej zabić gościa na miejscu, lecz on dał mu znak, żeby się powstrzymał.

Hilel skinął ręką w stronę namiotu. Marmelsztajn nie wydawał się szczególnie zachwycony, że ma usiąść na skórze bizona, nad którą wisiała wypchana głowa górskiego lwa. Jeszcze mniej ucieszył go widok Sarana Isarowa, który z bronią pilnował wejścia. Rozchmurzył się dopiero wtedy, gdy Hilel kazał podać wino. Marmelsztajn powąchał kielich z miną znawcy.

– Ach, całe szczęście! Tam, gdzie docenia się wyśmienite wino, wszyscy nie mogą być źli. Muszę powiedzieć, że sam jestem jego miłośnikiem. Ubiegłego lata byłem w Toskanii.

– Nigdy tam nie byłem – wyznał Hilel.

– Ależ koniecznie powinien pan się tam wybrać! Toskania jest cudowna. Bardzo się panu spodoba.

– Naprawdę? Udało im się uporać z problemem Gorgony Meduzy?

– Nie wiedziałem, że w Toskanii jest plaga meduz. – Marmelsztajn wydawał się nieco zakłopotany w swojej kałuży, ale wyjątkowo sprawnie odzyskiwał panowanie nad sobą. – Przypuszczam, że zwiedził pan też plażę riwiery, Hilelu. Miło mi, że znalazłem tu tak obytego człowieka. Muszę wyznać, że w pierwszej chwili nie byłem pewien, a nawet nieco się obawiałem...

– Może pan być spokojny.

– Oczywiście, oczywiście.

Al-Namir stłumił westchnienie. Nigdy nie słyszał takiego potoku czczej gadaniny. Skąd

Hilel miał tyle cierpliwości? W końcu nieznajomy przeszedł do sedna sprawy. Z uroczystą miną otworzył aktówkę.

– Mam tu oryginalny dokument, który liczy prawie tysiąc lat. To pakt podpisany kiedyś między moim klientem a trzecią stroną. Dokument traci ważność na dniach. Mój klient chciałby odnowić umowę. Ale ponieważ rozczarował go tamten partner, chciałby, abyście to wy zostali jego nowymi partnerami, to znaczy siły buntowników w imperium babilońskim.

– Jest pan bardzo tajemniczy – stwierdził Hilel. – A co to za umowa?

– Zapewniam pana, drogi Hilelu, że się pan nie zawiedzie. Mowa o bardzo intratnej propozycji. Uczyni ona pana najpotężniejszym człowiekiem w imperium i wyniesie na królewski tron, jeszcze zanim znów spadnie śnieg.

– Sporo pan obiecuje.

– Potęga mojego klienta jest niemalże nieograniczona.

– Ale kto miałby podpisać tę umowę? Kim jest pański klient?

Marmelsztajn otarł kroplę wody, która spłynęła na czubek jego nosa.

– Nie będzie się pan ze mnie śmiał, panie Hilelu, jeśli panu powiem, że nigdy nie widziałem mego klienta? Nigdy nie odwiedził mojej kancelarii i nikt nie widział jego twarzy. Ale my, prawnicy, nie potrzebujemy takich prymitywnych dowodów. Mój klient jest pod każdym względem osobą w świetle prawa i to mi wystarczy. Moja kancelaria – bardzo stara i ceniona – zawsze zajmowała się sprawami rodzinnymi i mogę pana zapewnić, że traktujemy je z najwyższym szacunkiem, a ich zasięg jest ogromny.

– Dlaczego nie przybył osobiście? Obawia się mnie?

– Obawia? Oj, ależ skąd! Mój klient niczego się nie boi. Ale na razie nie chce się ujawniać i woli prowadzić swoje sprawy za moim pośrednictwem.

– Wie pan przynajmniej, jak on się nazywa?

– Znam jego przydomek. Najbliżsi nazywają go Lewiatanem.

– Lewiatanem!?

Saran Isarow poderwał się i naciągnął cięciwę kuszy z głębokim zamiarem wbicia bełtu prosto w serce Marmelsztajna. Do namiotu wpadł tuzin innych wojowników, ale nie zdążyli uprzedzić czającego się w półmroku Al-Namira, którego sztylet natychmiast znalazł się przy szyi nieszczęsnego adwokata. Na tę chwilę czekał Al-Namir. Chwilę, gdy zdrajca się ujawni. Już był gotów poderżnąć mu gardło jednym ruchem, ale całe zamieszanie skończyło się tym, że Hilel rzucił się do niego i ku jego wielkiemu rozczarowaniu siłą powstrzymał jego dłoń.

– Pan jest adwokatem Lewiatana!? – zawołała Ela.

– Czy naprawdę muszę się tłumaczyć za swoich klientów? – odparł zaczepnie Marmelsztajn. – Świetnie mi płaci!

Hilel dał znak wojownikom, aby złożyli broń, i posłał karcące spojrzenie Al-Namirowi, który nie mógł się oderwać od gardła z krawatem. Jaka szkoda! Jego starania znów nie przyniosły mu należnego szacunku i Al-Namir czuł się jak pies, który musi odejść z podwiniętym ogonem. Marmelsztajn zakasłał, przełknął ślinę i obmacał całe ciało, aby się upewnić, że wszystkie części nadal są na swoim miejscu.

– Niech pan zapanuje nad swoimi ludźmi, panie Hilelu! Ostrzegali mnie, że nie będzie to rutynowa misja. Ale gdybym wiedział, co planujecie, panowie, podwoiłbym swoją polisę ubezpieczeniową.

– Przybył pan tutaj z innego świata – oznajmiła tonem wskazującym na to, że martwi się nawet bardziej niż inni. – Kim jest Lewiatan? Urodził się w pana świecie?

– Nie wiem.

– Czy właśnie tam teraz przebywa?

– Nie potrafię odpowiedzieć na te pytania. Jak już podkreślałem, niewiele wiem o moim kliencie.

– Dlaczego potrzebny mu adwokat?

– Każdy czasem potrzebuje pomocy adwokata.

– Ale dlaczego przysłał tutaj pana, zamiast pojawić się osobiście?

– Chyba sami możecie odpowiedzieć sobie na to pytanie. Zachowujecie się jak barbarzyńcy. W kulturalnym świecie, skąd przybyłem, mój klient może prowadzić swoje interesy w spokoju. Nikt go nie atakuje i nie próbuje poderżnąć mu gardła.

Marmelsztajn posłał jawnie wrogie spojrzenie Al-Namirowi, który stał na straży z przygotowaną bronią.

– Cóż, z jakiegoś powodu samo jego imię wywołuje zamieszanie.

Hilel przechadzał się po namiocie, do głębi wstrząśnięty.

– Dlaczego Lewiatan uważa, że chciałbym zawrzeć z nim sojusz? – zapytał.

Marmelsztajn się rozpromienił.

– Bo macie wiele wspólnego.

– Co na przykład?

– Zaczniemy od tego, że odnosi się pan tolerancyjnie do zjawiska, które kultywuje mój klient, a które u was zwą „plamami ciemności”.

Hilel się zachmurzył.

– Myli się pan! Sprzeciwiam się nienaturalnemu zarządzaniu duszą, co czynią satrapowie. Wierzę, że czasem mamy prawo być smutni i przygnębieni i że nie godzi to w nasze człowieczeństwo, lecz tylko je umacnia. Ale od tego do zostawienia chorych na plamy ciemności na łaskę Otchłani daleka droga.

– Jednak mojemu klientowi podoba się pańskie podejście.

– Nigdy nie zrobiłem niczego, aby go zadowolić.

– Nie chodzi tylko o to. – Marmelsztajn wskazał teczkę z dokumentami. – Starannie zbadałem wasz przypadek. Pana i mojego klienta łączy ten sam główny interes. Obaj jesteście zainteresowani obaleniem władzy na waszej ziemi.

– Ale wcale nie mam ochoty się tym z nim dzielić.

– To pańskie stanowisko, Hilelu, i oczywiście ma pan do niego prawo. Ale mój klient jest przekonany, że ma pan coś, co go interesuje.

– Cóż takiego?

– Popularność. Dobre imię. Innymi słowy: reputację. Niech pan sobie wyobrazi sytuację, gdy na przykład ogromny koncern alkoholowy kupuje znakomitą małą winiarnię, aby wykorzystać jej dobrą markę i dzięki niej zdobyć nowy rynek.

– Nie wiedziałem, że Lewiatan myśli w takich kategoriach – zdziwiła się Ela.

Właściwie przez cały wieczór wyglądało na to, że młody Elas rozumie gościa najlepiej ze wszystkich, co wzbudziło w Al-Namirze nową falę znaków zapytania.

– Jeśli widzicie w moim kliencie brutalną siłę, która gotowa jest wywołać wojnę światową, nie rozważywszy innych możliwości, jesteście w błędzie. Mój klient myśli

przyszłościowo. Jest przekonany, że nie trzeba niszczyć świata, by wyciągnąć z niego maksymalny zysk.

– Nigdy się nie zgodzę się na taką propozycję – powiedział Hilel.

– Mój klient prosi, aby przypomnieć panu, że bez jego pomocy pańskie szanse na objęcie władzy są zerowe.

– Odpowiedź brzmi: nie. W żadnym wypadku. Nie i koniec.

Marmelsztajn westchnął i ze smutkiem dopił wino.

– Cóż, uprzedzano mnie, że jest pan uparty, więc mnie to nie rusza. Nie przybyłem tu, aby uzyskać natychmiastową odpowiedź. Pozwolę panu zastanowić się nad naszą propozycją, a tym czasem niech pan weźmie moją wizytówkę.

Ku najwyższemu zdumieniu Al-Namira adwokat wyciągnął z kieszeni marynarki mokry skrawek papieru i podał go Hilelowi. Potem opuścił namiot i wszedł prosto do jeziora. Gdy woda sięgała mu do kolan, wyjął z aktówki srebrne pudełko wielkości dłoni. Otworzył je jak ostrygę, wyjął z niego cienki metalowy pręt i nacisnął kilka guzików.

– Zabierzcie mnie stąd natychmiast! – zawołał do jego wnętrza.

Jezioro wokół niego zakipiało i po chwili Marmelsztajn zniknął w eksplozji baniek, takiej jak ta, w której przybył.

Ela chciała pobiec za nim i wskoczyć do wody, żeby wrócić do swojego świata, zanim przejście się zamknie. Była w szoku. Do tej chwili nie zastanawiała się, co się dzieje w jej świecie, i nie myślała, że wydarzenia w imperium babilońskim mogły mieć na niego jakikolwiek wpływ. Ale wyglądało na to, że się myliła. Dręczyła ją myśl, że Lewiatanowi udało się wtargnąć do świata z ulicą Pierwiosnka, gdzie stał mały dom z drzewem miodli i wietrznymi dzwonekami zawieszonymi na rynnie, który do tej chwili wydawał się taki odległy i spokojny. Kim jest ten, którego zwą Lewiatanem, i do czego zmierza? Czy w jej świecie są ludzie, którzy wiedzą o jego istnieniu i rozumieją, jak bardzo jest niebezpieczny? Musiała pójść za Marmelsztajnem i dowiedzieć się, co knuje! Poza tym chciała zajrzeć do szpitala i dowiedzieć się, jak się czuje jej ojciec. Zrobiła kilka kroków w stronę jeziora, ale zatrzymała się, gdy woda liznęła jej buty. Jeśli opuści jezioro Maru, czy będzie mogła do niego wrócić? Czy znajdzie drogę powrotną do Babilonu? A jeśli nie, jak mogłaby tak zostawić Jonatana? I co będzie z Hilelem i powstaniem? Nie, za późno. Nie mogła odejść. Bańki opadły, a Ela została na skraju czarnej wody, która połykała światło gwiazd i zwracała tylko obojętny metaliczny blask.

Rozdział dziewiąty

Drzwi Archiwistki

Jonatan leżał na podłodze podskakującego wozu i patrzył na nocne niebo pograżony w myślach. Co było w małym notatniku doktora Nekroseptusa? Jaki sekret przed nim ukrywał? Zerknął na dziennik w skórzanej oprawie wytartej od wielu dni noszenia pod ubraniem. „Jakie to dziwne – pomyślał Jonatan. – Trzymać w rękach niewielki przedmiot, który wie o tobie więcej, niż ty sam wiesz o sobie”. Jonatan nigdy nie uważał się za osobę skrywającą jakieś wyjątkowe tajemnice, nie starał się wyróżniać ani nie wymyślał sobie fantastycznej osobowości jak niektóre znane mu dzieciaki. Uważał, że jest zwyczajnym chłopakiem. Ale okazało się, że inni myśleli inaczej. Pragnął odcyfrować zawartość notatnika. Na pozór nie wydawało się to szczególnie skomplikowane. Kartki zawierały geometryczne rysunki, obliczenia kątów, liczby, litery i uwagi nagryzmolone lekarskim charakterem pisma. Ale niezależnie od tego, ile czasu go analizowali, nikt nie potrafił odczytać notatnika.

Nagle rytm kół wozu się zmienił.

– Co ci jest? Znowu się zajmujesz tymi bzdurami? – zapytał Sami, gdy zsunął się z kozła do wozu, zostawiwszy powożenie Aleksiko.

– Nie wiem, Sami. A jeśli w notatniku jest coś strasznego?

– I tak na razie się tego nie dowiesz, więc po co się martwić?

Sami otworzył jeden z niewielkich woreczków ułożonych w stos z tyłu wozu i zaoferował Jonatanowi kawałek lepkiej, słodkiej, ciemnej substancji.

– Jeszcze chwila i zatrzymamy się na noc. A na razie weź trochę. To ci poprawi humor.

– Nie, dzięki.

– No, naprawdę! Od pięciu tygodni jesteś z nami i ciągle słyszę tylko: nie, nie i nie. Przecież smakował ci ten kawałek, który ci dałem przed domem Janisa.

Jonatan westchnął tęsknie. Doskonale pamiętał, co wtedy poczuł, i bardzo pragnął słodkiego smakołyku, który sprawiał, że życie wydawało się mlecznym bananowym koktajlem i ciasteczkami z czekoladą. Szkoda, że go wtedy spróbował. Teraz jego ciało domagało się więcej. Ale wewnętrzny głos ostrzegał go, co się dalej stanie.

Sami przyglądał mu się badawczo.

– Boisz się tego, co? Wydaje ci się, że twoje życie jest tak cenne, że lepiej zawinąć je w papier i położyć na półce?

– Tego nie powiedziałem.

– Tacy ludzie jak ty wstają pewnego dnia i odkrywają, że życie przeszło im obok nosa.

– Nie żyję w swojej głowie, Sami. Po prostu o czymś teraz myślę. I nie mam ochoty na twój towar.

Sami zaśmiał się, rozbawiony, odsłaniając czarne jak smoła zęby i gnijące dziąsła.

– Dobrze już, dobrze. Tylko się nie strosz jak kogut.

Kaleka symulant, któremu Jonatan dał złotą monetę, okazał się przemytnikiem smoły lotosu. Po ucieczce od Nekroseptusa poszczyściło im się i spotkali ludzi, którzy najlepiej

opanowali sztukę rozpływania się w powietrzu, niezwykle przydatną w ich sytuacji. Jonatan i Pazuzu trafili do niskiego drewnianego wozu przykrytego brezentem rozpiętym na metalowych łukach zaprzęzonego w pięć krępych koni o maści ciemnobrązowej, musztardowożółtej i brudnobiałej. Ich długa, kosmata sierść zakrywająca oczy i kopyta wskazywała, że urodziły się w o wiele zimniejszym regionie. Wóz opuścił Nippur o świcie w niewielkim, dyskretnym konwoju – sprytne koniki o drobnych kopytach były nauczone szybkiego, cichego chodu. Nikt nie zauważył opuszczających miasto przemytników, tak samo jak nikt nie widział ich przybycia. Aleksiko, skrzypaczka, która przygrywała do tańca niedźwiedziowi – młodsza siostra Samiego – wyleczyła problemy żołądkowe Pazuzu ziołową miksturą, która przekonała jego brzuch, aby przestał burczeć i wypuszczać zabójcze gazy. Zajął się też skręconą kostką Jonatana i złagodziła ból kompresami. Jonatan przyglądał się dziwnemu sposobowi, w jaki przygotowała kompresy: przeżuwała małe kawałki czarnej substancji, po czym wypluwała je na bandaż. Było to dość obrzydliwe, ale od niej gotów był przyjąć wszystko, zwłaszcza że po zabiegu całowała go wesoło w czubek nosa albo w ucho. Aleksiko miała czarne jak węgiel zęby, tak jak jej brat, ale nie odbierało jej to urody, tak samo jak nie szkodziły jej dziesiątki srebrnych kolczyków w nosie, brwiach i uszach. Jonatan odkrył, że wszyscy przemytnicy mieli czarne zęby, a u starszych były one tak zniszczone, że ledwo wystawały z dziąseł. Sami wyjaśnił mu, że ich zęby czernieją od żucia surowca. Smołę otrzymywano z żywicy bulw lotosu gotowanych w sekretnej mieszance przypraw. Rodziny przemytników odbywały wieloletnią podróż szlakami z pól lotosu w dalekich prowincjach na wschodniej granicy imperium, na zboczach gór Karakorum i Pamir i na zachodnich stokach Himalajów, przez pustynie, góry i lasy, wzdłuż rzek, do najbardziej wysuniętego na zachód punktu imperium, aż do wrót Gibraltaru. Przez ten cały czas wszyscy energicznie przeżuwali, ponieważ aby uwolnić aktywny składnik smoły lotosu i przygotować substancję do sprzedaży, należało porządnie wymieszać go z ludzką śliną. Jonatan już na pierwszym postoju zauważył, że wszyscy ludzie wokół ogniska, od starców po maleńkie dzieci, ciągle przeżuwali w skupieniu.

– Jak możecie to żuć przez cały dzień? – zastanawiał się Jonatan. – Nie chorujecie od tego?

– Życie zwykłego obywatela imperium jest o wiele bardziej pokręcone – odparł Sami tonem wskazującym, że sam siebie próbuje przekonać. Ale gdy zobaczył, że Jonatan nie odrywa od niego oczu, westchnął i wzruszył ramionami. – Dobra, w porządku. Jak myślisz, ile mam lat?

Jonatan przyjrzał mu się uważnie. Sami wyglądał na trzydzieści parę, może czterdzieści lat.

– Trzydzieści pięć – powiedział.

– Mylisz się. Dziewiętnaście.

– Dziewiętnaście? Ale jak to..?

– A ile twoim zdaniem ma Aleksiko?

– Dwadzieścia? Dwadzieścia cztery?

– Ma dopiero trzynaście. Nie patrz tak na mnie. Nikt nas nie zmusza do takiego życia. To nasz wybór. Widziałeś kiedyś lokomotywę królewskiej kolei? Każdy człowiek ma taki motor. Są maszyny, które poruszają się powoli, zgodnie z dozwoloną prędkością, jakby bały się przejechać jakiegoś ptaka siedzącego na torach. Są też takie, które pędzą naprzód

i zbaczają z trasy, kiedy mają na to ochotę. Wszystko zależy od paliwa. A naszym paliwem jest narkotyki. Rozpala nas od środka. Nigdy nie zobaczysz nas stojących spokojnie w jednym miejscu. Nie śpimy nocą więcej niż godzinę, zawsze jesteśmy zajęci miłością, przekrętami albo zabawą. Nie ożenię się z kobietą, którą satrapowie dla mnie przeznaczyli, i nie pogrzebię się między stosami papieru w jakimś biurze tylko dlatego, że taki zawód mi wybrali. Jestem własnym królem. A swoim życiem mógłbym obdzielić czterech ludzi.

Jonatan nie musiał daleko szukać, aby wiedzieć, że Sami miał rację. Nigdy nie widział tak żywej gromady. Wokół ogniska wszyscy trajkotali, śmiali się i popijali musujący biber z daktyli, butelkę za butelką. Jakiś mężczyzna z nagim torsem balansował flaszką na czole, żonglując trzema sztyletami, które wyrzucał w powietrze. Troje dzieci uganiało się za małą, przerażoną kozą. Zatykały pączki na jej rogi i śmiały się do rozpuku. Pośrodku kręgu stała Aleksiko z czarnymi włosami przyklejonymi do czoła. Jej palce przemykały ze zdumiewającą szybkością po strunach skrzypiec, a melodia sprawiała, że stopy same rwały się do tańca. Inne dziewczęta grały na tamburynach. Tańczyły z podwiniętymi do bioder spódnicami, a ich skóra lśniła od potu.

– Policja i satrapowie ciągle nas ścigają, a to nas bawi – ciągnął Sami. – Porządni obywatele imperium dążą do jakiejś wyobrażonej stabilizacji, która ma ich ochronić. Ale my mamy gdzieś zaszczyty, status czy majątek. Każdego ranka budzimy się i widzimy nowy krajobraz. Jedyną rzeczą, jakiej chce przemytnik, jest życie, życie i życie.

– Przecież narkotyki zjada wasze życie.

Sami wzruszył ramionami.

– No i co z tego? W wieku trzydziestu lat jesteśmy już starcami, a tylko garstka z nas przekroczy czterdziestkę. Ale gdy przyjdzie czas odejść, zamykamy oczy bez żalu.

Jonatan słuchał tego z powątpiewaniem. Sami był jednym z najbardziej serdecznych i szczodrych ludzi, jakich spotkał w życiu, i trudno było go nie kochać. Z drugiej strony miał w sobie jakieś szaleństwo. Jonatan spojrzał na Aleksiko, która wiła się przy ognisku, i wypełnił go dziwny ból, gdy przypomniał sobie miły dotyk dłoni dziewczyny. Była prawie jego rówieśnicą. Ale za cztery, pięć lat, gdy on będzie miał szesnaście, siedemnaście lat, ona będzie już w wieku jego matki. A gdy skończy dwadzieścia pięć lat, będzie zgarbioną, pomarszczoną staruszką.

Aleksiko, jakby usłyszawszy jego myśli, podniosła wzrok znad skrzypiec i wbiła w niego dzikie spojrzenie. Zadrżał. W oczach dziewczyny zobaczył nieznaną mu siłę. Nie miała w sobie strachu. Nie lękała się niczego, nie szczędziła czułości, jaką obsypywała jego i członków swojej rodziny, i nie starała się być ostrożna ani przesadnie uprzejma. Nie żyła dla rzeczy, w które inni wierzyli, lecz tylko dla siebie, bez zastanowienia. Przez chwilę czuł zazdrość. Mogłoby być cudownie poczuć smak takiego życia z Aleksiko. Ale wiedział, że to niemożliwe. Miał zbyt wiele do zrobienia.

– Powinieneś się cieszyć, że jesteśmy tacy, jacy jesteśmy, bo w przeciwnym razie byśmy ci nie pomogli – zauważył Sami. – Przemytnicy nie boją się satrapów. Zawsze jesteśmy gotowi podać rękę każdemu, kto ich nienawidzi.

– Dlaczego więc nie przyłączycie się do rebelii?

– Hilel ben Szachar i jego buntownicy to strasznie poważne chłopaki. Idealiści. My jesteśmy inni. Jesteśmy zwykłą bandą bezwstydnym nierobów, którzy wiedzą, że ich życie jest krótkie i żal je marnować na naprawianie świata. Nie dbamy o godność ani dumę. Ale

z drugiej strony mamy serce. Z radością wam pomożemy i bawi nas, gdy widzimy, jak cały świat za wami biega.

– Jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, to pomóż mi odcyfrować, co jest napisane w tym notatniku.

Sami uważnie przejrzał notatnik Nekroseptusa. Także członkowie jego rodziny, którzy siedzieli obok nich, spróbowali swoich sił.

– Dobra, to jasne, że nic nie rozumiem – oznajmił w końcu przemytnik. – Jeśli ktoś może ci coś powiedzieć, to tylko mój dziadek.

– Tak, tak – przytaknęli wszyscy z entuzjazmem. – Czirbi Bestuli, starszy plemienia.

Pan Czirbi był tak stary, że zdejmowano go z wozu na noszach. Teraz siedział przy ognisku i chłonał jego ciepło, skurczony jak stary orzech, lecz jego oczy błyszczały. Tak jak jego wnuk miał na sobie kolorową pogniecioną koszulę z ostentacyjnie rozpiętymi guzikami – odsłaniającą łysiejącą skórę starej, bezbronnej piersi – i pomięty filcowy kapelusz. Jonatan pomyślał, że pan Czirbi był pewnie o wiele młodszy od jego ojca. Jakie to dziwne. Co ten „starzec” mógł wiedzieć? Przyglądał się z obawą, gdy Czirbi powoli, skostniałymi palcami kartkował notatnik.

– Rafinowane masło lotosu – skrzeknął nagle dziadek Samiego.

– Co takiego!? – zdziwił się Jonatan. – Tak jest napisane w moim notatniku?

– Nie. Tego trzeba, żeby popędzić mój umysł do roboty.

– Dziadku – powiedziała Aleksiko i położyła na jego ramieniu opaloną dłoń o pięknych palcach ozdobionych tatuażami z henny. – Przecież wiesz, że to ci szkodzi. Proś, ile chcesz, ale to jest dla ciebie o wiele za mocne.

– Mam to gdzieś! – odparł stary pan Czirbi. – Jeśli chcecie usłyszeć, co myślę o tym zbiorze bazgrołów, nie wymądrzajcie mi się tu i nie stróście teraz świętoszków.

– Gdybyś tylko robił to dla tego chłopca – westchnął Sami. – Problem w tym, że mam poczucie, że robisz to przede wszystkim dla siebie.

Jednak mimo wszystko, ze względu na gościa, przyniesiono starcowi kawałek narkotyku, który po przetworzeniu był elastyczny i żółtawy jak masło. Czirbi żuł go gorliwie milimetrowymi pniakami zębów, a obawy Jonatana rosły: a jeśli ten starzec zaraz wyzionie ducha na ich oczach w ostatnim wybuchu fajerwerków?

Na szczęście stary Czirbi był uparty jak muł. Nie zamierzał rozstać się z życiem w najbliższym czasie. Coraz bystrzejszym wzrokiem przeglądał notatnik Nekroseptusa. Na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia, zadziwiająco podobny do miny starego simurga, gdy ten po raz pierwszy ujrzał Jonatana: był tu niepokój, zaskoczenie, a nawet cień nadziei.

– Co pan znalazł?

– Hm... Bardzo ciekawe. Jest tu coś o jakimś zamkniętym na klucz pokoju w twoim sercu, gdzie nie można zajrzeć.

– Wiem, wiem – odezwał się niecierpliwie Jonatan. – Doktor Nekroseptus i profesor Kserkses o tym rozmawiali. Ale co to znaczy?

– Oho... – Pan Czirbi otworzył usta, jakby zastanawiał się, czy powinien odpowiedzieć. Ale po chwili jego twarz przybrała bezmyślny wyraz, sprytny i przemyślany. – Nie wiem.

– Spotkałem pewnego demona, simurga. Pracował na poczcie. Powiedział, że jeśli chcę znaleźć odpowiedzi na swoje pytania, muszę udać się do Niniwy.

– Ach, do Niniwy, do wielkiej biblioteki. Wspaniale! Ale niepotrzebnie nabijał ci głowę Archiwistką. Zapomnij o niej. Wszyscy wiedzą, że to tylko plotka i że nikt nigdy tak naprawdę jej nie widział.

– Archiwistka? – zdziwił się Jonatan. – Simurg nic nie mówił o żadnej archiwistce.

– Naprawdę? – Czirbi pomylił się i zamiast lotosu ugryzł się w dolną wargę. – Może niepotrzebnie ci to powiedziałem... Ale na pewno myślał o Archiwistce. Takiemu cwannemu demonowi nie chodziło o to, że znajdziesz coś w księgach.

– Dlaczego nie?

Jonatan, tak jak jego ojciec, wierzył w drukowane słowo.

– Cóż, nie wiem... – Czirbi pożałował już rozwiązłości swojego języka.

– Kim w ogóle jest ta Archiwistka?

– Pilnuje rejestru dusz. Istnieje od stworzenia świata i wie wszystko, co można wiedzieć o każdej duszy i jej wcieleniach. W jej księgach zapisana jest każda iskra życia od jej stworzenia do chwili, gdy rozpada się na atomy. W czasie wielkiej wojny między Otchłanią a Mardukiem Archiwistka nie przyłączyła się do żadnej ze stron, tylko obserwowała i notowała. Jest w tym dobra. A potem ogłosiła prorocstwo. „Hilel upada, Otchłań drwi” i tak dalej.

Jonatan nie znał tej przepowiedni, więc się nie przejął.

– A więc znajdę ją w bibliotece?

– To twoja największa szansa. Archiwistka mieszka na Pustyni Duchów, gdzie dusze czekają na swoją kolej między jednym życiem a drugim. Żaden człowiek nie może tam wejść. Ale czasem odwiedza nasz świat. W ostatnich latach pojawiły się pogłoski, że ma biuro w bibliotece w Niniwie. Zawsze interesowały ją akty urodzenia, akty zgonu i te wszystkie nudziarstwa.

– Myśli pan, że będzie potrafiła odczytać mój notatnik?

– Kto? Beletseri? Pewnie! Odpowie na każde pytanie, które wymyślisz. Każde pytanie na świecie. Oczywiście jeśli uda ci się ją znaleźć.

– A jeśli nie?

– Wtedy cóż, może w księgach...

– Skoro tak, muszę pojechać do Niniwy.

– Nie ma problemu. Cała przyjemność po mojej stronie. Podrzucimy was do Niniwy, czemu nie? I tak jedziemy w górę Eufratu, a wy nie jesteście dla nas żadnym ciężarem. I bez was omijałybyśmy królewskie posterunki. A poza tym chciałbym jeszcze raz w życiu ujrzeć wspaniałe kopuły Wielkiej Biblioteki. Wierz mi, chłopcze, to dopiero widok...

Rzeczywiście, był to widok. Tyle że niezupełnie taki, jak wyobrażał sobie Jonatan. W rzeczywistości Wielka Biblioteka w Niniwie była bardzo daleka od jego oczekiwań. Jeśli wyobrażał sobie, że największy bank wiedzy w imperium (i na całym świecie) będzie miejscem wyrafinowanym i efektywnym, oświetlonym i skatalogowanym, z ciągnącymi się bez końca półkami, oprawionymi księgami i pracowitymi bibliotekarzami w okularach do czytania biegającymi w tę i z powrotem, czekało go poważne zaskoczenie.

Stary pan Czirbi miał rację tylko co do jednego: budynki naprawdę robiły wrażenie. Niniwa z jej ciemnymi, dotkniętymi rozkładem budynkami wydawała się o wiele starsza i bardziej tajemnicza niż miasta, które mijali po drodze. Biblioteka stała w samym jej sercu,

jakby miasto obrosło ją przez tysiące lat. Kopuły biblioteki nie wznosiły się wysoko, lecz ciągnęły wzdłuż ulic szarobiałymi zbitkami, które splatały się ze sobą jak grzyby na pniu spróchniałego drzewa. Później Jonatan pomyślał, że już z zewnątrz było widać, że mistyczna aura otaczająca budynki biblioteki była niczym więcej niż pajęczynami i poczuciem opuszczenia rozciągającymi się pomiędzy kopułami. Lecz w pierwszej chwili był tak zdumiony, że uznał, iż bibliotekę osnuwa potężna wiedza emanująca z milionów zwojów i ksiąg zgromadzonych w środku.

Czar przerwało głośne kichnięcie za plecami Jonatana.

– Na pępek Metatrona! – zawołał Pazuzu. – To przez ten kurz. Zapomniałem, że jestem uczulony.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć, gdy sobie przypomnę, w jakim brudzie cię znaleźliśmy.

– Dlaczego nie poprosiłeś, żeby wysadzili nas w burzy piaskowej w Hacarmawet? Co złego jest w cyklonie pyłowym na słonej pustyni?

– Przestań, Pazuzu. Ta biblioteka jest obłędna!

– Uhm.

– Mam nadzieję, że bibliotekarze sprężą się z odpowiedzią. Muszę się dowiedzieć więcej o tym lekarstwie, odczytać notatnik i znaleźć Ełę.

– Nie wygłupiaj się. To chyba jasne, że szybko ci nie odpowiedzą. Przecież to biblioteka w Niniwie.

– Trudno – powiedział Jonatan z nieskrywaną radością, wdzięczny w duchu, że demon postanowił z nim zostać. – Z tobą mogę poczekać i kilka dni.

– Mogę poczekać nawet tydzień – dodał, gdy weszli do labiryntu korytarzy, gdzie widać było kolejki oczekujących na zamówienie.

Dostali karteczkę z numerem 7382.

– Poczekać i miesiąc – rzekł Jonatan, gdy w końcu udało im się dotrzeć do recepcji i wypełnili sto siedemdziesiąt cztery formularze, które wręczyła im sympatyczna stara szcurzyca.

Musieli nie tylko odpowiedzieć na standardowe pytania, ale też szczegółowo opisać ulubione potrawy, wszystkie miasta, których nazwy im się podobały, a kilka formularzy zawierało po prostu ćwiczenia z gematrii⁴ i krzyżówki z literami z ich imion.

Ale gdy weszli do głównej wypożyczalni, Jonatan zrozumiał, że niewłaściwie ocenił sytuację i być może muszą się przygotować na naprawdę długi pobyt. Po wejściu do przestronnej, odrapanej szarej sali oświetlonej brudnym światłem sączącym się przez niskie okna Jonatan poczuł nagłą tęsknotę za przyjaciółmi: Samim i Aleksiko. Dopiero co tego ranka pożegnali się z serdecznym uściskiem. Aleksiko nawet pocałowała go lekko w usta i od razu wybuchła śmiechem.

– Jesteście dla nas jak rodzina – rzucił jeszcze do nich Sami z kozła, gdzie cieszył się słońcem i wiatrem. – Wróćcie do nas, gdy tylko znudzi się wam poszukiwanie przeznaczenia i zbawianie świata albo po prostu zechcecie się rozerwać.

Teraz pewnie rozstawili już swój wędrowny jarmark na obrzeżach Niniwy, Aleksiko grała na skrzypcach, a pozostali zonglowali ogniem i mieczami oraz sprzedawali czekoladowe kulki gotowane w maśle lotosu. W porównaniu z życiem przemytników główna wypożyczalnia biblioteki wydawała się równie ekscytująca, co mdła owsianka odgrzana po raz trzeci.

Pośrodku sali siedział ogromny szczur, stary i łysiejący, i pochylony nad metalowym stołem stukał dwoma pazurami w irytująco powolnym tempie w klawisze czegoś, co przypominało starą maszynę liczącą górującą nad nim niczym żelazna wieża. Gdy podeszli bliżej, ujrzeni innego szczura, małego i grubego, który siedział pod stołem i pedałem napędzał mechanizm maszyny.

– Co oni tam robią? – szepnął Jonatan do Pazuzu.

W sali panowała cisza jak w katakumbach i jego głos wydał mu się zgrzytliwie żywy. Bibliotekarz rzucił mu przeszywające spojrzenie, które natychmiast go uciszyło.

Tymczasem zbliżyli się do starego szczura na tyle, że słyszeli jego rozmowy z oczekującymi w kolejce. Teraz do stołu podeszła mała, może siedmioletnia dziewczynka z dwoma warkoczykami o barwie banana w miodzie. Postawiła stopy przy narysowanej kredą na podłodze linii, wzdłuż której napisano: „Proszę zaczekać na swoją kolej”.

– Panie bibliotekarzu, potrzebuję wypożyczyć książkę o trujących hiacyntach wodnych i ich zapyłaczach na zajęcia z botaniki na uniwersytecie.

Bibliotekarz zdjął z pyska okulary i zaczął skubać i tak już wyskubane wąsy, po czym spojrzał w dół na dziewczynkę.

– Ogromnie mi przykro, Dafne Bog, ale strasznie się spóźniłaś. Twoja mama powinna była złożyć zamówienie, kiedy była w twoim wieku. Trudno mi dać gwarancję, że znajdziemy książkę, zanim rozpoczniesz studia.

– Ależ bardzo pana proszę, panie bibliotekarzu! Tak bardzo chcę badać rośliny, kiedy będę duża, a to przecież jedyny egzemplarz na świecie!

Szczur westchnął i przyglądał zmierzwioną sierść na brzuchu.

– Aj, aj, co to ze mną będzie, taką mizerną kupką sierści. Starzeję się. Nie mogę się nawet sprzeciwić małej dziewczynce. Dobrze, wypiszę ci zamówienie.

Włożył okulary i zaczął stukać w klawisze bez ładu i składu, jak się wydawało Jonatanowi. Trzewia maszyny mruczały i wibrowały, a mały szczur pod spodem rzeził jak astmatyk, aż w końcu maszyna wypluła z metalicznym zgrzytem dziurkowany pasek papieru. Główny bibliotekarz oderwał go i wręczył ślepemu starcowi w uniformie posłańca, a potem, kuśtykając, podszedł do jednych z szarych drzwi otaczających salę. Kiedy je otworzył, do sali wpłynęła wilgotna fala stęchlizny. Jonatan zdążył zobaczyć ogromne stopy zniszczonych książek i rękopisów ułożonych jedno na drugich. Pewnie sięgały wysokiego sufitu, chociaż na długo przedtem połykała jej ciemność. Przeszył go dreszcz. Gdyby te wieże z książek się zawaliły, bibliotekarzom groziłoby śmiertelne niebezpieczeństwo. I jak, u diabła, w ogóle udawało im się cokolwiek znaleźć w tym potwornym bałaganie?

Bibliotekarz nie był zaskoczony tym widokiem.

– Do widzenia, moja droga! – rzekł do małej Dafne. – Twoje zamówienie właśnie wyruszyło. Będzie nam bardzo miło, jeśli czasem nas odwiedzisz. I przywóź też ze sobą swoje dzieci, kiedy się urodzą. Następny proszę!

Za Dafne Bog stał elegancki, gładko ogolony starszy mężczyzna w czarnym cylindrze.

– Wspaniałe wieści, panie Tikolbar. Zgodnie z prawem Biblioteki Narodowej, które zabrania nam oddawania oryginalnych egzemplarzy – czyli wszystkich, które znajdują się w naszych rękach – kopia księgi, którą pan zamówił, jest już prawie gotowa. Wkrótce dostanie pan w swoje ręce *Przygody Gilgarosza i Pawiej Księżniczki!*

Po zadbanym policzkach starszego dżentelmena popłynęły łzy szczęścia. Delikatnie otarł

je chustką.

– Nie wierzę. Nareszcie! Tyle lat na to czekałem! Gdy byłem mały, ojciec opowiadał mi tę historię przed snem, ale nie pamiętał, czy Gilgarosz wybaczył księżniczce, która dała zatrute złote ziarno świętemu pawiovi.

Szare drzwi w ścianie otworzyły się i Jonatan ujrzał szczura skrybę, równie starego, co poprzednie. Wyglądało na to, że to miejsce nie toleruje młodości. Szczur ciężko pracował nad ukończeniem kopii manuskryptu, chrobocząc ptasim piórem. Nos miał tak blisko papieru, że prawie o niego pocierał. Oblizywał wargi językiem, skupiony i przejęty.

– Zostało mu już tylko kilka słów – oświadczył uroczyście bibliotekarz i podniósł łapę, aby uciszyć gwar podekscytowanego tłumu.

Skryba zwilżył językiem koniuszek pióra i już bez tchu postawił ostatnią kropkę. Ukończywszy pracę, załamał się z przemęczenia i napięcia i przewrócił na grzbiet, z łapami sztywno sterczącymi w górę. Stary pomocnik bibliotekarza potruchtał w jego stronę, następnie przeskoczył nad nim, podpierając się laską, i przyniósł bibliotekarzowi ukończoną księgę.

– Panie Tikolbar, babilońska Biblioteka Narodowa jest zaszczycona, mogąc wypożyczyć panu oficjalną kopię... Chwileczkę. Co tu się dzieje? Co to jest!?

Bibliotekarz poprawił okulary i gniewnie obnażył zęby.

– Tu jest błąd! Na pióro Beletseri, patronki skrybów! W tej kopii jest błąd! Tak nie może być! Tu jest napisane „paf” zamiast „paw”!

W sali zawrzało. Skryba łkał, a pan Tikolbar zaczął błagać:

– Bardzo pana proszę, panie bibliotekarzu. To tylko mały błąd. Wszyscy wiedzą, jak się pisze „paw”. Nikt się nie pomyli!

– Naprawdę mi przykro, proszę pana. Człowiek o pańskiej pozycji i w pana wieku powinien już wiedzieć, że babilońska Biblioteka Narodowa nie rozpowszechnia wadliwych egzemplarzy! To wbrew naszym wysokim standardom. W końcu naszym godłem jest kaganek oświaty, a nie analfabetyzmu!

– Błagam, panie bibliotekarzu. Dwadzieścia cztery lata zabrało wam znalezienie tej książki i kolejne trzydzieści sześć lat skopiowanie jej. Jeśli znowu zaczniecie ją przepisywać, nie zdążę jej przeczytać za życia.

– Przykro mi, panie Tikolbar. Jesteśmy profesjonalistami, a nie jakimiś amatorami, którzy gotowi są zalać rynek komercyjnym szmelcem. Do niszczarki!!!

Szczur bibliotekarz machnął łapą i mały oddział żołnierzy w zardzewiałych zbrojach, do tej pory stojący w kącie sali, zerwał się z radosnym okrzykiem, wyrwał księgę z łapy bibliotekarza i wrzucił ją do ogromnej niszczarki. Tikolbar patrzył, jak jego *Pawia Księżniczka* zmienia się w szeleszczące papierowe spaghetti. Z jego oczu popłynęły okrągłe łzy – tym razem łzy smutku – a nieprzytomnego skrybę wyniesiono z sali na noszach.

– Następny!

Następny w kolejce był Jonatan. Ale w związku z ostatnimi wydarzeniami zabrakło mu słów.

– Dobrze, chłopcze. Co mamy ochotę dziś przeczytać?

– Potrzebuję... Eee... Chciałbym się dowiedzieć...

– Pospiesz się, proszę. Inni też czekają.

„Do licha – pomyślał Jonatan. – Co mi to da, jeśli zapytam? I tak nic tu nie dostanę”.

Miał ochotę odwrócić się na pięcie i opuścić to przytłaczające miejsce. Ale wtedy przypomniało mu się nieuleknie spojrzeń Aleksiko. Czy ona przestraszyłaby się ogromnego szczura?

– Panie bibliotekarzu... Wydaje mi się... Jeśli mógłbym coś powiedzieć... Chciałbym zauważyć, że wasz system nie jest zbyt wydajny...

– Nie jest wydajny? Jak to: nie jest wydajny!? – Ogromny szczur cały się zjeżył i nadał jak ropucha. – Nasz system jest wyjątkowo wydajny!

– Chodzi mi o to, że może i jest wydajny, tylko trochę trudno dostać się do książek...

– Ale w tym rzecz, drogi chłopcze, właśnie o to chodzi! Wyobraź sobie, co by się tu działo, gdybyśmy szybko znajdowali książki. W końcu jesteśmy największym bankiem wiedzy na świecie! Jesteśmy dumni z tego, że w naszym posiadaniu znajdują się najbardziej zdumiewające sekrety ludzkości. Gdybyśmy szybciej dostarczali książki, tak dużo ludzi przychodziłoby do nas z prośbami, że kolejka ciągnęłaby się stąd aż do Babilonu. A wtedy naprawdę nie dałoby się pracować.

– Panie szczurze bibliotekarzu, z całym szacunkiem, ale to, co pan mówi, wydaje mi się nielogiczne.

– A co ty wiesz o logice, zuchwalcze? Mógłbym ci wypożyczyć kilka znakomitych ksiąg z dziedziny filozofii i logiki, tyle że zajmie chwilę, zanim je dostaniesz. Wyglądasz mi na młodego i zdrowego. Masz spore szanse, że się doczekasz. Wypełnij formularz i miej nadzieję, że dostaniesz to, o co prosiłeś, za życia.

„Chyba pan oszalał – chciał powiedzieć Jonatan. – Nie mogę sobie pozwolić na żadne opóźnienia. Tyle spraw muszę pilnie wyjaśnić”. Wiedział jednak doskonale, że szczur go nie wysłucha. Bibliotekarz tymczasem z poważną miną wyprostował wąsy i spojrzał za ramię Jonatana.

– Cóż, młodzieńcze, jeśli nie możesz się zdecydować, żegnaj cię tymczasem. Nastę...

W tym samym momencie z pyska Pazuzu dobiegło potężne kichnięcie. Przez całą rozmowę demon stał obok Jonatana i starał się powstrzymać. Ale teraz dotarł do kresu wytrzymałości. Potężny strumień powietrza trysnął z jego nozdrzy i zdmuchnął kurz z małej tabliczki stojącej na biurku bibliotekarza. Jonatan spojrzał na tabliczkę okrągłymi ze zdumienia oczami. „Poszukiwani chłopcy do pracy w bibliotece. Zgłoszenia wyłącznie między trzecią trzydzieści a czwartą, codziennie z wyjątkiem niedziel, poniedziałków, wtorków i czwartków”.

Niewiarygodne! W końcu szczęście się do nich uśmiechnęło! Była za kwadrans czwartą, środa.

– Panie bibliotekarzu – powiedział z przejęciem Jonatan – ja i mój demon nie przyszliśmy tu po książkę... Właściwie to chcemy się zatrudnić w bibliotece.

Szczur niepewnie zerknął na tabliczkę.

– Oj, chłopcze. To stara tabliczka. Stoi tu chyba od czasów mojego pradziadka.

– Ale prawa w takim miejscu są święte, prawda? Nie usunęliście tabliczki, a tabliczka mówi wyraźnie: „Poszukiwani chłopcy do pracy”.

– Hm...

Szczur zsunął okulary na nos i ponownie przyjrzał się tabliczce. Pazuzu wyciągnął łapę i wytarł z niej resztę kurzu. Spod jego palców wyłoniły się słowa: „Kto pierwszy, ten lepszy!”.

- Zdaje mi się, że jesteśmy pierwsi – zauważył Jonatan.
 - Naprawdę?
 - A był tu ktoś przed nami?
- Szczur zakasłał.
- Eee... Ostatnio nie.
 - Skoro tak, jesteśmy lepsi.

Jonatan i Pazuzu spędzili całą zimę w zakurzonej labiryncie ksiąg Niniwy, ani razu nie wystawiwszy nosa na zewnątrz. Szczur bibliotekarz zmuszony pogodzić się z przyjęciem ich do pracy wręczył im identyfikatory z ich imionami i przydzielił do pracy w Dziale Statystyki.

Dział Statystyki znajdował się w głębi nieogrzewanej biblioteki i można było do niego dotrzeć po długiej i niebezpiecznej wędrówce między groźnymi zawaleniami ścianami książek, wspinacze po stosach tomów i dzięki sprawnemu unikaniu ogromnych pająków (szczurzy bibliotekarze po prostu je połykali). W Dziale Statystyki siedziały dziesiątki szczurów drżących z zimna, owiniętych szalikami, w nausznikach. Wymyślały kwestionariusze takie jak ten, który wypełnili po wejściu do biblioteki. Jonatan zapytał, jaki sens ma ich praca. Dlaczego, na przykład, musiał po wejściu podać swoje ulubione potrawy?

- Ależ to się rozumie samo przez się – odpowiedział mu jeden ze szczurów. – To, co lubisz jeść, to tajne informacje służące ochronie bezpieczeństwa.
- Lubię lody czekoladowe. Co to ma do rzeczy?
- Gdybyś poświęcił chwilę i się zastanowił, sam byś zrozumiał. A gdybyś na przykład napisał, że twoim ulubionym pożywieniem jest papier? W takim wypadku twoje wejście do biblioteki mogłoby stanowić wielkie zagrożenie.
- Papier jest paskudny – stwierdził Pazuzu na podstawie własnego doświadczenia.
- Chyba tylko mole lubią jeść papier – zauważył Jonatan.
- Otóż to! Dlatego mól nie przeszedłby naszych skrupulatnych testów.

Była to rzeczywiście bardzo przekonująca odpowiedź. Ale Jonatan nadal miał wątpliwości co do skuteczności procedury, ponieważ zwrócił uwagę, że sympatyczna szczurzyca w recepcji pilnie wkładała wypełnione kwestionariusze do niszcarki.

Zaletą pracy w Dziale Statystyki było to, że nie musieli tam prawie nic robić. Przez większość czasu mogli swobodnie szwendać się po ponurych przestronnych salach i do woli przekopywać stosy książek – zajęcie to było równie owocne, co przeszukiwanie piasku na plaży pęsetą. Tylko od czasu do czasu odkrywali coś, co choć trochę mogło się im przydać. I tak, na przykład, z ulotki informacyjnej walającej się na podłodze dowiedzieli się, że szczury zgłosiły się ochotniczo do przejęcia odpowiedzialności za prowadzenie biblioteki, aby oczyścić swoje imię po tym, jak w czasie wielkiej wojny satrapowie podejrzewali ich o roznoszenie epidemii plam ciemności. Jonatan dowiedział się też, że kapłani uzdrowiciele nie sprzeciwiali się gromadzeniu wiedzy. W końcu wierzyli w słowo („Słowo tworzy. Słowo zwycięża. Słowo leczy”). Każde zapisane słowo było święte. Satrapowie nie chcieli tylko, aby ktokolwiek się uczył, ponieważ to wtedy zaczynały się kłopoty. Aby zbyt wielu ludzi nie dowiedziało się zbyt dużo, wszelką wiedzę przesłano do biblioteki w Niniwie pod troskliwą pieczę szczurów. Jonatan, obawiając się, że mógłby się zgubić wśród zgromadzonych stosów

informacji, zapisał na kartce swoje główne cele:

1. Znaleźć lekarstwo dla mamy.
2. Odczytać notatnik i zrozumieć, kim jestem.
3. Dowiedzieć się, jak wrócić do domu (i znaleźć drogę powrotną do Otchłani dla Pazuzu).
4. Jeśli zostanie trochę czasu, może mają tu jakąś dobrą książkę o modelach statków, którą będę mógł zanieść tacie.

Pazuzu spojrział na krótką listę i dodał:

5. Bułeczki, czekolada, przepisy, książki kucharskie i – jeśli to możliwe – dzem i masło, i omlet, i stek.

Lista stała się kompasem Jonatana. Dzięki niej powoli zaczynał się orientować. Po jakichś dwóch tygodniach od przybycia do biblioteki znalazł pełną salę, z której dochodził lekki zapach środka odkażającego. Na wszystkich książkach widniała pieczęć z symbolem jednego z pomniejszych bóstw, Baala Markoda, który był popularnym bogiem medycyny w górach Libanu, zanim wygnali go stamtąd kapłani Marduka.

Okazało się, że Baal Markod był zdumiewająco inteligentnym autorem, który umiał prostym językiem wyjaśnić najbardziej złożone sprawy i odsłaniał zdumiewającą głębię za pomocą najprostszych pytań. Z jego książek Jonatan dowiedział się dwóch dziwnych rzeczy. Po pierwsze odkrył, że jego mama cierpiała na poważny przypadek plam ciemności. Nie znał nikogo, u kogo występowałyby objawy, przed którymi satrapowie ostrzegali tak wyraźnie i zdecydowanie. Jak i dlaczego Tami zaraziła się chorobą, której epidemia ogarnęła imperium? Na to pytanie jeszcze nie znalazł odpowiedzi.

Drugi fakt był jeszcze dziwniejszy: zaczął podejrzewać, że ojciec źle zinterpretował chorobę mamy. Jonatan zrozumiał, że choć ojciec stworzył silne lekarstwo, nie był to lek, którego ona potrzebowała. Wręcz przeciwnie. Być może mógł wyrządzić jej nieodwracalną krzywdę.

Do swojej małej listy dodał nowy punkt:

6. Co się stało z tatą?

Przez ten cały czas Pazuzu siedział na szczycie ogromnego stosu książek i podśmiewał się z Jonatana.

– Co tak siedzisz z nosem w papierach? Zamiast zajmować się głupotami, powinniśmy poszukać Archiwistki.

Jonatan poświęcił już sprawie Archiwistki sporo namysłu.

– Z całym szacunkiem, trudno mi uwierzyć w coś, co wyszło z ust nakręconego dziadka Samiego. Simurg nic o niej nie mówił. Jeśli Archiwistka istnieje, dlaczego nikt tutaj nic o niej nie wie?

– Myślisz, że ktokolwiek tutaj coś wie?

– Dlatego właśnie szukam odpowiedzi tam, gdzie można je znaleźć. W książkach. A ty mi przeszkadzasz.

Pazuzu zezłościł się i sobie poszedł. Zniknął w czeluściach biblioteki, a po dziesięciu dniach Jonatan zaczął myśleć, że przepadł. Lecz pewnego ranka demon wrócił w radosnych

podskokach z nowiną: znalazł gabinet Strażniczki Akt!

Jonatan i Pazuzu zaopatrzyli się w wodę, ukradli dwa koszyki z obiadem, które przyniosły ze sobą szczury z Działu Statystyki, i wyruszyli w długą, żmudną wędrówkę krętymi korytarzami pod niebezpiecznymi nawisami ksiąg, z których co rusz spadał deszcz zwojów. Około południa weszli krętymi schodami do kopuły, w której mieścił się gabinet Archiwistki. Zasłonięte pajęczynami świetliki nie mogły powiedzieć im za wiele o tym, co się działo na zewnątrz, ani oświetlić tego, co działo się w środku. Gdy dotarli na górę, zadyszani i spoceni, znaleźli się w pustym korytarzu. Wzdłuż ścian ujrzeni dwa rzędy drzwi z mlecznego szkła. Na ostatnich drzwiach po prawej widniał ułożony z drobnych złotych liter napis:

Uprasza się o ciszę!

A pod spodem, bardziej dumnymi literami:

MALKIZOHAR BELETSERI
ARCHIWISTKA
INFORMACJA O GODZINACH PRZYJĘĆ W SEKRETARIACIE

Drzwi oczywiście były zamknięte.

- Kurczę – powiedział Jonatan.
- Może poszła do toalety.
- Nie ruszymy się stąd, dopóki nie wróci.

Przez następne dni czatowali pod drzwiami, śpiąc na zmianę. Jonatanowi wydawało się, że za szklanymi drzwiami biura porusza się jakiś ostrożny cień, a nocą ze środka dobiegało mlaskanie i stukot klawiszy maszyny. Raz ktoś wymknął się na korytarz i zatrzęsł im drzwi tuż przed nosem. Wyglądało na to, że cień doskonale zdaje sobie sprawę z ich obecności i z całych sił stara się uniknąć spotkania z nimi. W końcu Pazuzu miał dość tej zabawy w kotka i myszkę i postanowił się zacząić. Schował się w tekturowym pudle ze starymi gazetami i skoczył cieniowi na plecy w chwili, gdy tamten przekreślił klucz w drzwiach. Jonatan zobaczył kłębowisko nóg, ogona i ramion. W końcu wystrzeliła z niego wycieńczona chuda kobieta o twarzy jak pergamin, z włosami zebranymi w kok. Jej mały zadarty nos robił niewidzialne dziury w powietrzu przed nią. Kobieta przyglądała brązową wełnianą spódnicą, poprawiła pończochy i wetknęła luźny kosmyk włosów z powrotem do koka.

- Mogliście zapukać.
- Przepraszamy panią. Bardzo przepraszamy. Nie jest pani przypadkiem panią Malkizohar Beletseri?

– Ja!?! – Kobieta aż się zakrztusiła. – Co za pomysł. Jestem tylko sekretarką. A teraz wybaczcie.

Szybko weszła do biura i już chciała zatrzęsnąć im drzwi przed nosem, ale Pazuzu wetknął stopę w szparę i wtargnęli do środka. Pomieszczenie wyglądało jak zwykły sekretariat ze starą maszyną do pisania. Kolejne drzwi z tyłu prowadziły do wewnętrznego

pomieszczenia. Widniał na nich napis: „Panna Beletseri – nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Za owymi drzwiami, również zrobionymi z mlecznego nieprzejrystego szkła, na tle światła przemykała ciemna postać. Lecz chuda sekretarka prędko zasłoniła drzwi własnym ciałem niczym tygrysica broniąca młodych. Na jej biurku stała mała tabliczka, z której wynikało, że sekretarka archiwum nazywa się Bella Gluck.

– Panno Gluck, chcielibyśmy się dowiedzieć, kiedy przyjmuje panna Beletseri – odezwał się Jonatan.

– Nie umiesz czytać? O godziny otwarcia trzeba pytać w sekretariacie.

– A gdzie jest sekretariat?

– Nigdzie. Zamknęli go wiele lat temu.

Jonatan jęknął.

– Pani nie rozumie. Mamy pilne pytania do Archiwistki. To sprawa życia i śmierci.

– Bardzo chciałabym wam pomóc, chłopcy, ale to nie są godziny przyjęć interesantów.

– A kiedy ona przyjmuje?

Panna Gluck włożyła kartkę do maszyny i zaczęła pisać z prędkością karabinu maszynowego.

– Może kiedy będzie miała ochotę. Archiwistka jest nieprzewidywalna, kieruje się intuicją.

Jonatan i Pazuzu wymienili spojrzenia.

– Ale jak to możliwe? Przecież pani jest taka zorganizowana i staranna, to jak główna Archiwistka może robić to, na co ma ochotę?

Bella Gluck natychmiast przerwała pracę, a maszyna siłą rozpędu napisała jeszcze kilka zdań. Wyciągnęła z koka ołówek i wycelowowała w Jonatana, jakby groziła mu mieczem.

– Ty! Nie masz pojęcia, kim jest Archiwistka! Nawet nie zbliżasz się do zrozumienia ogromnej głębi jej niesamowitych skarbów wiedzy! Myślisz, że panna Beletseri jego kolejną urzędniczką, jak te nieszczęsne szczury? Błąd! Wielki błąd! Archiwistka tworzy. Jest arcyarchiartystką wiedzy i informacji. Potrafi połączyć wszystkie wątki wiedzy od stworzenia świata, zebrać wszystkie okruchy i wyciągnąć wnioski, snuć teorie, rozjaśnić mrok płomieniem swej mądrości i zmienić ją w najczystszy z kryształów. I jak wszyscy wielcy artyści, ona też jest nieprzewidywalna. Taki mały chłopiec jak ty nie jest godny nawet tego, by temperować jej ołówki.

– A jednak bardzo byśmy się ucieszyli, gdyby pośród tych wszystkich zalet wyraziła też chęć, by nas przyjąć.

– Cierpliwość jest matką mądrości – oznajmiła Bella Gluck tonem mrocznej prorokini i wróciła do maszyny.

Przez całą zimę Jonatan codziennie odwiedzał pannę Gluck. Starał się wpadać niespodziewanie, kiedy być może Archiwistka miałaby ochotę na odrobinę towarzystwa. Ale na próżno. Sekretarka zawsze była sama i z wyścigową prędkością stukała na maszynie albo rozmyślała, pogryzając grzanki. Raz czy dwa był pewien, że za zamkniętymi drzwiami widział w gabinecie w głębi cień zamyślanej Archiwistki. Lecz wewnętrzne drzwi nigdy się nie otworzyły.

Jedyną zmianą, jaka zaszła, było to, że sekretarka powoli oswoiła się z towarzystwem Jonatana. Raz przyniósł jej tomik poezji miłosnej barbarzyńskiej dynastii Tang, który

znalazł w jednym z korytarzy. Ucieszyła się i zaczerwieniła jak burak. Bella powiedziała mu, że urodziła się poza granicami imperium, na północnych ziemiach niczyich. Była, jak to mówią, barbarzynką. W młodości przybyła do imperium kierowana pasją zdobycia wiedzy. Jonatan opowiedział jej, że szuka lekarstwa na plamy ciemności, a Bella bardzo mu pomogła, gdy skierowała go do ksiązek, w których znalazł interesujące treści. Jonatan poczynił zdumiewające postępy w poszukiwaniach. Pod okiem Belli założył nawet małe laboratorium, w którym testował mieszanki antydepresyjne sugerowane przez Baala Markoda oparte na złotym pyłe zeskrobanym z ksiąg filozoficznych przetopionym ze słowami wyciętymi z najpiękniejszych wierszy miłosnych. Bella okazała się o wiele miłsza, niż się wydawała na pierwszy rzut oka. Jonatan zrozumiał, że sekretarka jest po prostu nieśmiała. W końcu postanowił podzielić się z nią jedną ze swych trosk i opowiedział jej o notatniku Nekroseptusa.

Panna Gluck bardzo się nim zainteresowała. Starannie zbadała notatnik przez szkło powiększające i zapisała kilka uwag. Poprosiła Jonatana, aby zostawił jej notatnik na tydzień, aby mogła pokazać go Archiwistce, kiedy ta będzie miała na to ochotę. Gdy wrócił do jej gabinetu, sekretarka archiwum była poważna i uroczysta. Z przygotowanego pliku drukowanych kartek odczytała pytania.

– Czy jedno z twoich rodziców należy do gildii satrapów?

– Nie – odpowiedział zaskoczony Jonatan.

– Czy w żyłach jednego z twoich rodziców płynie krew istoty Otchłani?

– Chyba nie... Na pewno nie.

– Ciekawe. W notatniku napisano, że jesteś mieszzańcem. Tak samo jak Hilel ben Szachar, którego gwiazda wznosi się między ciemnością a światłem. Słyszałeś kiedyś o Proroctwie Archiwistki? Mówi ono, że tylko ten, w którego żyłach płynie ludzka krew satrapów i ciemność Otchłani może wstąpić na królewski tron i zostać Melchizedkiem, Sprawiedliwym Królem. Właściwie, jeśli dobrze rozumiem to, co napisano w tym notatniku – ale tylko Archiwistka może zrozumieć to tak naprawdę – możesz być Hilelem ben Szacharem.

– Ja!? – wykrzyknął Jonatan i ze zdziwienia rozdziawił usta. – Myślałem, że Hilel mieszka w górach i jest przywódcą buntowników.

– W roku, w którym się urodziłeś, barbarzyńscy szamani znaleźli dziesięcioletniego chłopca i zobaczyli w nim nowe wcielenie diamentowej duszy. Ten chłopiec, dziś dwudziestodwuletni młodzieniec, stoi na czele buntowników. Ale nie wiadomo, czy szamani wybrali właściwie. Nie przebadali chłopca almatoskopem, żeby upewnić się, jak wygląda jego dusza. Widzisz, co się dzieje, gdy się rezygnuje z nauki?

Jonatan nadal próbował przetrwać jej słowa.

– A jeśli rzeczywiście jestem Hilelem?

Bella Gluck zdjęła okulary.

– Wówczas oznaczałoby to, mój drogi, że czeka cię wiele pracy.

– Co to znaczy, że mam w duszy zamknięty na klucz pusty pokój?

– Hm... I tu dochodzimy do nieco gorszych wieści. Nie wiadomo, co kryje się w twojej duszy. Ona jest jak pudełko z niespodzianką. Być może jesteś Hilelem ben Szacharem, a być może... hm... jego rywalem.

– Jego rywalem?

– Tak, drugim wielkim mieszkańcem. Nie... to bez sensu.

– Kim on jest?

– Cóż, nazywają go... Hm... Nie, nieważne.

Jonatan tak bardzo chciał zapomnieć o tym, co mu powiedziała.

– Nie chcę być żadnym z nich.

– Cóż, nadal jest spora szansa, że się mylę, i jeszcze większa, że ten wiejski znachor,

Nekroseptus, pomylił się podczas badania.

– A kto to może wiedzieć?

– To chyba oczywiste? – odparła panna Gluck i wskazała zamknięte drzwi za biurkiem.

Część druga

Lot demonów

Rozdział dziesiąty

Podróż wodą

W niewielkiej kaplicy świątyni Marduka księżniczka czekała na rozpoczęcie ceremonii. Przyglądała się wysokim oknom zdobionym barwnymi witrażami przedstawiającymi stworzenie świata, aż jej wzrok zatrzymał się na obrazie, na którym Odmuel i jego synowie wypowiadają pierwsze słowa. Słowa szybowały w górę, zmieniały się w dusze i spadały z gwiazd deszczem przezroczystych wałek, do których ludzie wyciągali ręce w rozdzierającej tęsknocie. Światło sączące się do sali przez kolorowe okna obmywało twarz Nino łagodnym blaskiem. Ale ona chciała rzucić się na łóżko, schować głowę w poduszki i płakać. Czuła się taka mała, skurczona i wysuszona, jakby ktoś przebił szpilką wałkę wewnątrz niej i ją zabił.

Minął rok, od kiedy wzięła pierwszą pigułkę Nasera El-Dora. Teraz miała szesnaście lat. Lekarstwo zajmowało jej duszę niczym lodowiec zagarniający kontynent za kontynentem. Za każdym razem, gdy kapłan kładł na jej języku kolejną dawkę, czuła, jak przepada kolejna część niej. Przez rok straciła ochotę na wszystkie rzeczy, które zawsze wpędzały ją w kłopoty. Zaniedbała sekretną naukę magii, która teraz wydawała jej się wątpliwa i bezcelowa. Ponure nastroje minęły. Nino stała się miła i uprzejma, pozbawiona własnego zdania i pragnienia przygody.

– Mimito – zagadnęła opiekunkę, która przysiadła na pobliskiej ławce, żeby odpocząć. – Myślisz, że się zmieniłam?

– Dojrzałaś, Wasza Wysokość. Przez ostatni rok porzuciłaś dawne głupstwa. Nie muszę za tobą biegać i cię szukać. Już nie zasypiasz na lekcjach, nie wykradasz książek z gabinetu ojca, nie chowasz robaków w łóżkach przyrodnich braci i nie zostawiasz śladów błota, jakbyś przez całą noc wałęsała się po dworze.

– To straszne.

– Skądże znowu. Z upartej i zbuntowanej dziewczynki zmieniłaś się w doskonałą młodą następczynię tronu.

– Ale ja wcale nie chcę być doskonałą następczynią tronu! Chcę być sobą!

Nino miała ochotę się rozpłakać, ale nawet tego nie mogła zrobić, bo czuła, jakby jej łzy zmieniły się w maleńkie sople lodu.

– Moja słodka ptaszyno... – Mimito pogłaskała ją po włosach pomarszczoną dłonią. – Co się z tobą dzieje?

– Boję się, że zmienię się w górę lodową. W marmurowy posąg. Wszystko przez te lekarstwa. Z dnia na dzień jest coraz gorzej.

– Nie martw się tak, kochanie. Miłość nie pozwoli ci umrzeć w środku. Jak długo pamiętasz o ukochanej osobie, nie możesz zobojętnieć.

– Mówisz tak tylko po to, żebym się nie bała.

– W żadnym wypadku. Musisz tylko znaleźć kogoś, kto będzie ci naprawdę drogi, a potem skupić się na nim i go nie puścić. On rozgrzeje cię od środka i zawsze będziesz czuła jego obecność.

Księżniczka zamyśliła się nad słowami piastunki. Ale kogo kochała? Na pewno nie swojego dalekiego, obcego ojca. Jej mama umarła, gdy Nino była mała. Babci nie znała. Jediną postacią, która pojawiała się przed jej oczami, był jasnowłosy jeździec galopujący ku niej z mroku jej duszy. Zdziwiła się. Kto to mógł być? Nie był podobny do nikogo, kogo znała, ale kogoś jej przypominał. Tylko kogo?

Rozmyślenia Nino przerwało wejście do sali jej ojca i Sarkitai w otoczeniu świty. Wszyscy obecni pokłonili się nisko, a księżniczka z szacunkiem pochyliła głowę. Król jak zawsze robił wrażenie, postawny, z grzywą szpakowatych włosów, w długiej granatowej szacie. Jego głęboki władczy głos działał jak czarodziejska różdżka, na której skinienie rozstąpiłyby się morskie fale. Sarkitaja, drobna przy jego potężnej postaci, sunęła po lewej z małym kotkiem na rękach. Zwykle zwierzęta nie znosiły demonów. Nino wiedziała, że nałożnica jej ojca robi to nie z sympatii, lecz po to, by pokazać wszystkim, że kociak nie syczy na nią i nie prycha ze strachu. Przywykłe do magii oczy Nino zauważyły, że kot wydawał się odurzony i otępiały. Zastanawiała się, czego użył Naser El-Dor, by zubożnić zwierzaka na wpływ naamy. Król Baltazar z zadowoleniem spojrział na Sarkitaję.

– Widziałaś, jak to małe stworzenie jej ufa? – zwrócił się do Nino.

– Tak, ojczu.

– Przy okazji, kochanie, muszę ci powiedzieć, że wyglądasz cudownie. Ostatnio naprawdę zmieniłaś się w małą kobietkę. A to mi przypomina, że dziś rano przybyła delegacja od namiestnika Marakandy. Ten pochlebca przysłał mi kilka flakonów piżma białych lwic. Wiesz, jaka to rzadkość. Dałem jeden Sarkitai, pewnie czujesz.

– Czego chciał?

– Co za pytanie. Ciebie.

– Och, ojczu, przecież wiesz, że nie jestem jeszcze gotowa.

– Wydaje mi się, że w tym roku podejmiemy wiele takich poselstw.

– Ale...

– Głupstwa. W tych sprawach nie należy kierować się emocjami. To polityczna decyzja.

Baltazar skinął dłonią na znak, że to koniec rozmowy. Nino czuła się głęboko zawiedziona. Wiedziała już, jaki jest niewzruszony. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek kochała go z serca, jak córka, a nie tylko okazywała mu szacunek należny królowi. Wątpiła w to. Bardzo. Zawsze chciała go kochać i miała nadzieję, że lepiej się poznają. Ale teraz wiedziała, że już na to za późno. Lek Nasera El-Dora sprawiał, że wszystkie uczucia, które jeszcze jej zostały, stawały się coraz bardziej rozmyte i odległe. Czy ona też będzie taką obojętną władczynią jak jej ojciec?

Nie mogła zastanawiać się nad tym dłużej, bo właśnie rozpoczęła się Ceremonia Pierwszego Leku półrocznego syna Sarkitai, Bapu. Nałożnica króla odłożyła kota i wzięła niemowlę od służki. Podeszła do ołtarza w złotej sukni z długim trenem, tuląc w ramionach kwilący tłumoczek. Pozostałe królewskie nałożnice stojące dookoła ze swoim potomstwem ocierały łzy wzruszenia i zawiści, które pięknie łączyły się z kolorowymi promieniami światła spływającymi na ich twarze. Profesor Kserkses, osobisty medyk niemowlęcia, wziął dziecko na ręce i przeprowadził pierwsze badanie. Potem podniósł chłopczyka i oznajmił wśród radosnych okrzyków i braw, że Bapu urodził się bez śladu plam ciemności.

Nino patrzyła, jak profesor upuszcza kilka kropel pierwszego lekarstwa na język

niemowlęcia. Mimo otepiającego efektu pigułek, które łykała, poczuła gniew i żal: oto narodził się kolejny gracz, który miał służyć siłom większym od niego; dziecko, które w ogóle nie powinno było się urodzić; zbędny owoc miłości uwieczniający żalostną rozpustę podstarzałego króla, zagrażający jej pozycji następczyni tronu. „Moje królestwo jest w złych rękach – pomyślała. – Nadciąga klęska imperium, a ja nic nie mogę zrobić, żeby jej zapobiec”. Twarz księżniczki wykrzywił grymas bólu i goryczy. Zauważył to Naser El-Dor schowany pod łukiem bocznej nawy. Przemknął niczym połyskujący cień w czarnej szacie i diamentowych kolczykach i zakradł się do Nino od tyłu. Nagle poczuła na karku jego oddech.

– Nadal nienawidzisz swoich wrogów? – szepnął do jej ucha.

Z obawy, że kapłan zwiększy dawkę leku, Nino próbowała zaprzeczyć.

– Miał pan rację. Sarkitaja i jej syn nie są moimi wrogami. Przez lata myślałam, że wszyscy spiskują przeciwko mnie i chcą mnie zabić. Ale myliłam się. Teraz jestem pewna, że ludzie wokół mnie pragną mojego dobra.

El-Dor zaśmiał się, jakby jej uwierzył. Nino poczuła od niego ostrą woń kamfory i drzewa sandałowego.

– Cóż za postęp! Jeszcze trochę i powiesz, że mi też ufasz.

– Dlaczego nie? W końcu mnie pan leczy i nie zdradził pan mojej tajemnicy.

– Moja kryształowa księżniczko! Zdaje mi się, że już niedługo twoja dusza będzie doskonała jak dusza sylfy.

Nagle zaschło jej w ustach, jakby w jej wnętrzu hulał pustynny wiatr.

– Co pan ma na myśli?

– Jeszcze chwila kuracji, a twoja dusza zmieni się w przepiękny wir barw, słodki jak cukierek. Czy można oczekiwać czegoś bardziej cudownego dla następczyni tronu?

Wciągnął ją za filar i wyjął z rękawa białą buteleczkę.

– Proszę, przyniosłem ci dwunastą pigułkę.

Położył ją na języku księżniczki i jak zwykle zmusił ją, by połknęła. Nino poczuła w żyłach gwałtowną falę chłodnego spokoju i nagle w świątynnej ceremonii nie było już nic smutnego, przerażającego ani zagrażającego. Ot, kolejna nudna rutynowa uroczystość, która w ogóle jej nie dotyczyła. Wszystko, cokolwiek czuła od dzieciństwa, rozplynęło się jak dym.

Ceremonia dobiegła końca. Zebrani rozeszli się i tylko Nino została w sali. Nie miała ani odrobiny woli, nie mogła zrobić nawet kroku. Co za różnica, gdzie jest? Pomyślała o jasnowłosym jeźdźcu w ciemności i spróbowała zaczerpnąć od niego pewność i ciepło. Czy kiedyś go spotka? Czy naprawdę istniał?

Odgłos kroków za jej plecami wyrwał ją z odrętwienia. Odruchowo cofnęła się i schowała za posągiem. Zwierzchnik satrapów wrócił po schodach ze swego gabinetu i teraz siedł między filarami, w czarnej skórzanej pelerynie i czarnych skórzanych butach. Dokądś się spieszył. Nie wiedząc, co robi ani dlaczego, ruszyła za nim.

Nino świetnie się znała na skradaniu i unikach. Nawet po roku beczynności jej ciało szybko dostosowało się do bezgłośnego, urywanego ruchu między cieniami filarów i osłoną świętych posągów. Świątynia Marduka była nie najlepszym miejscem do śledzenia kogoś ukradkiem, bo każdy dźwięk niósł się tu głośnie echem, ale przynajmniej było ciemno.

Naser El-Dor maszerował długimi krokami. Zbył skinieniem głowy dwóch nowicjuszy, którzy o mało nie upuścili skrzynki ze złotem z datków, gdy na jego widok padli na kolana. Nino szybko ich minęła, ale zbiegając ze schodów, o mało nie wpadła na Nasera El-Dora. Poważny błąd. Nagle zatrzymał się na końcu głównej sali z ołtarzem i zaczął mu się bacznie przyglądać. Przekląła swój brak wprawy. Na szczęście kapłan w skupieniu patrzył przed siebie. Ciekawe, co takiego knuł?

Naser El-Dor ruszył prosto w stronę ołtarza. Nino wolałaby iść za nim przy ścianach, aby nikt jej nie zauważył, ale wiedziała, że tamtędy będzie o wiele dalej i mogłaby go zgubić. Zdjęła sandały i zawiesiła je na szyi. Niewiele myśląc, zrobiła coś, czego nie robiła przez cały rok: skupiła swoje moce na ciemności i wypowiedziała zaklęcie, aby stopić się z cieniem. Jeszcze nigdy nie próbowała czarów bez soczewki. Jej księgi wyraźnie tego zabraniały, ponieważ soczewka, podobnie jak szkło w okularach, nie tylko skupia moce duszy, lecz także chroni ją przed bezpośrednim wpływem Otchłani. Zaskoczyło ją naturalne, potężne uczucie. Ożywiona przemierzyła wielką salę na palcach, tylko parę kroków za zwierchnikiem satrapów. Jedynie czyste szczęście mogło sprawić, że nie odwróciły głowy. I szczęście – albo połączenie z pierwotną ciemnością, która ją teraz osłaniała – rzeczywiście jej pomagało. Nino bez kłopotu pokonała salę. Katastrofa zdarzyła się dopiero w chwili, gdy Naser El-Dor był już o kilka kroków od ołtarza. Nino nadepnęła na pękniętą płytkę, która odpowiedziała przeraźliwym piskiem. El-Dor nie mógł tego nie usłyszeć. Jakby w zwolnionym tempie widziała, jak się odwrócił, i mogła tylko skoczyć za najbliższą szklaną kolumnę z demonem po prawej, dobrze wiedząc, że i tak nie zdąży się schować.

Wtedy zdarzyło się coś niepojętego. Cienie dwóch kolumn z uwięzionymi w nich demonami przesunęły się szybko w jej stronę niczym wskazówki zegara słonecznego i połączyły dokładnie w miejscu, gdzie stała. Kiedy El-Dor odwrócił się w jej stronę, Nino była już ukryta w głębokim, czarnym jak atrament cieniu.

Naser El-Dor z podejrzliwą miną węszył w powietrzu. Wstrzymała oddech.

– Przeklęte szczury – syknął. – Trzeba je w końcu wybić.

Ruszył dalej, a Nino popędziła za nim bez zastanowienia nad tym, co się właśnie wydarzyło.

El-Dor zszedł po sekretnych schodach za ołtarzem, wiodących do podziemnych zatechłych pomieszczeń. Pod ziemią łatwiej go było śledzić, ale to jej nie pocieszało. Obawiała się, że wie, dokąd szedł, i na myśl o tym przeszły ją ciarki. Naser El-Dor zmierzał do zbiornika czarnych krokodyli. Nino słyszała o nich mnóstwo opowieści. Tak jak demony w szklanych kolumnach, tak czarne krokodyle, stwory Otchłani, były pozostałością po dawnej wojnie. W każde święto zabijano jednego z nich, a krew rozlewano na ołtarzu Marduka. Nino poczuła mdłości na myśl o wnętrznościach krokodyli. Ohydna woń rozkładu i czegoś paskudnego i nieokreślonego, co czaiło się pod wodą, podpowiedziała jej, że to już blisko. Okrągły zbiornik nie miał ochronnej barierki. Zielona woda sięgała mokrej podłogi. Krokodyle pływały w niej jak obojętne czarnozielone kłody i tylko ich oczy i nozdrza wystawały nad powierzchnię. Nino nigdy nie widziała tak odrażających stworzeń. Niektóre miały nawet cztery, pięć metrów długości. W przeciwieństwie do wszystkich innych zbiorników wodnych w Babilonie, ten nie był przykryty szklaną kopułą ani ciężką żelazną kratą. Najwyraźniej satrapowie założyli, że sama obecność krokodyli wystarczy, żeby odstraszyć każdego, kto chciałby przejść do Otchłani i z powrotem.

Ale nie mogła odstraszyć Nasera El-Dora. Kopnął do zbiornika rybie szczątki, a jeden z krokodyli chwycił je w powietrzu leniwym kłapnięciem szczęki. Teraz kapłan podniósł obie ręce.

Nino nigdy nie widziała czarów słów. Teraz szeroko otworzyła oczy i usta. To niemożliwe! Przecież uważano, że sztuka magii słów przepadła. Wszyscy wiedzieli, że w szkole mowy i myśli nie uczy się jej od setek lat, a zamiast tego wtłacza się dzieciom do głów różne głupstwa. Gdzie Naser El-Dor zdobył swoją wiedzę? Widać było, że ma wyjątkową moc. Powietrze wokół jego ramion zadrżało, a on zamieszał je niczym gęstą zupę. Wypełniło je szepczące życie, a Nino ujrzała w ciemności lśniące struny przezroczystych liter i słów płynące ze ścian, wody, krokodyli, a nawet z ciała samego Nasera El-Dora, niczym najbardziej pierwotne cząsteczki materii, teraz wyciągane z cichym dźwiękiem pękających mydlanych baniek. Szarawe światło zmieniło się w różowe, fioletowe, a potem przybrało kolor groźnego szkarłatu.

Woda w zbiorniku zabulgotała i zaczęła wypuszczać ogromne bańki, które, pękając, bryzgały cuchnącym zielonym szlamem. Nino poczuła, że jej sztuczny spokój ducha wywołany lekarstwem słabnie i zastępuje go kipiący gniew. Co El-Dor kombinował?

Wiedziała, że zamierzał dać nura w głąb Otchłani. Co takiego planował? Nienawiść do niego wynurzyła się znów z głębi jej duszy z zawrotną gwałtownością. Naser El-Dor był zdolny do najgorszych rzeczy. Lecz ona była następczynią królewskiego tronu i jej obowiązkiem było go powstrzymać. Nigdy wcześniej nie przechodziła przez wodę – to wymagało wyjątkowo silnej soczewki mroku – ale wiedziała, że można się podłączyć pod czyjeś zaklęcie. Ta metoda miała tylko jedną wadę: system wód Otchłani był bezkresny. Jeśli zanurzy się w wodach Otchłani bez określenia dokładnego celu, ryzykuje, że woda wyrzuci ją w dowolnym otwartym zbiorniku. Próbowwała się zakraść pomiędzy wylegające się krokodyle i zbliżyć do Nasera El-Dora, aby usłyszeć, dokąd zmierza. Kapłan podniósł ręce. Ciągnął za nici przezroczystych słów, rozciągał je i wiązał na nich supły, jakby przącił je na nowo. Krokodyl o wielkim brzuchu przyjrzał się Eli łakomie: zastanawiał się, czy zacząć od ręki, czy może od nogi.

– Do fontanny na placu przed Migdal Ha-Opera⁵ przy nadmorskiej promenadzie – powiedział Naser El-Dor, strzepując płachtę słów i wiążąc na niej ostatnie supły, po czym podwinął szatę i wskoczył prosto do zielonej kipieli.

Nino nie miała czasu się zdziwić, że w Otchłani są place i promenady. Krokodyl ruszył w jej stronę, wbijając w nią żółte ślepie.

– Do fontanny na placu przed Migdal Ha-Opera, przy nadmorskiej promenadzie! – zawołała Nino i wskoczyła w wir, zanim zniknął.

Po chwili siedziała po szyję w wodzie w okrągłej, dość głębokiej fontannie. Świeciło słońce, ptaki ćwierkały, a wokół fontanny kręciły się wielkie hałaśliwe metalowe pudła na kółkach wypuszczające śmierdzący dym. Oszołomiona Nino wstała. Niedaleko, po drugiej stronie drogi, zobaczyła pas jasnego piasku, za którym ciągnął się bezkresny błękit, bez ochronnych murów i strażników. Uderzył ją zapach soli i otwartej przestrzeni. Morze! Wzruszona, chciała nacieszyć oczy lazurowym blaskiem. Mężczyźni i kobiety w dziwnych strojach patrzyli na nią jak na dziwoląga. Mieli rację. Czuła się strasznie głupio. Wygramoliła się z fontanny, rozchlapując wodę, i o mało nie zderzyła z chłopakiem

pędzącym na niskiej prostokątnej desce na kółkach.

– Ej, ślepa jesteś? – burknął chłopak, a Nino pomyślała, że mieszkańcy tego świata najwyraźniej nie są zbyt uprzejmi.

Minęła długa chwila, zanim dotarło do niej, co się właśnie stało: przecież rozumiała jego słowa! Ale jak? Choć ludzie wokół niej nie mówili językiem imperium, czuła, że jej umysł dostraja się do ich myśli.

Dzięki magicznym praktykom Nino była elastyczna i otwarta, gotowa wykorzystać każdą szansę, nawet jeśli nie do końca ją rozumiała. Pozbyła się wody z włosów i ubrania i spróbowała sił w nowym języku.

– Przepraszam – zwróciła się do młodego mężczyzny w okularach z okrągłym kółkiem w wardze prowadzącego na smyczy szczeniaka. – Czy ja przybyłam do Otchłani?

– Otchłani? – zdziwił się. – Ciekawe. Wiem tylko, że tu jest centrum handlowe.

Na szczęście podszedł do niej starszy mężczyzna z miotłą i szufelką, pchający wózek ze śmieciami.

– Co wy tak dzisiaj wszyscy wskakujecie do tej wody? Zepsuła się wam klimatyzacja w biurze, czy co?

Nino nie wiedziała, co to jest klimatyzacja, ale rozumiała, że starszy pan coś widział.

– Kto jeszcze wyszedł z fontanny?

Wskazał w kierunku przeciwnym do morza. Nino zobaczyła oddalające się plecy Namera El-Dora zmierzającego w górę zatłoczonej ulicy. Jego skórzane ubranie wciąż ociekało wodą z fontanny, a jednak wyglądał równie elegancko, co zawsze.

Odetchnęła z ulgą. Przynajmniej nie zgubiła zwierzyny! Ruszyła szybko za Namerem, żeby nie zgubić go w tłumie. Załowała, że oddała się od morza, ale obiecała sobie, że przy najbliższej okazji wróci, by je zobaczyć. Zauważyła, że budynki w tym świecie były brzydkie i brudne. Środkiem ulicy przemieszczało się mnóstwo hałaśliwych metalowych pudeł, a od czasu do czasu musiała przeciąć im drogę, ryzykując życie. W pudłach siedzieli ludzie, którzy głośno trąbili i przeklinali.

Nino jeszcze nie zdążyła się przyzwyczaić do ruchu, którym kierowały płonące czerwone i zielone salamandry, gdy Namer El-Dor skręcił w prawo, w ulicę, na której byli tylko piesi i tłuste gołębie, kolebiące się i trzepoczące skrzydłami, jakby to one tu rządziły. Zwierzchnik satrapów wszedł po trzech schodkach do zadbanego, pobielonego budynku o drzwiach z jasnego sosnowego drewna. Z szyldu Nino zorientowała się, że jest to restauracja. Na szczęście niskie okna były otwarte, a ze środka dobiegał gwar rozmów i brzęk sztućców.

Przy stoliku obok okna siedział mężczyzna w marynarce o kwadratowych ramionach. Jego błyszcząca, czerwona twarz była gładka niczym kamień wyrównany wiatrem i wodą. Widać było, że jest rozpieszczony, lecz sztywny jak człowiek goniący za podnietami, którego brzydzi prawdziwa zmiana. Namer El-Dor usiadł naprzeciwko niego, a Nino ukryła się za niewielkim blatem z gotowaną kukurydzą i bajglami pod ścianą.

– Dlaczego chciałeś się ze mną spotkać? – zapytał satrapa.

– Jak zwykle przechodzisz od razu do rzeczy, co? Może spróbujesz najpierw dorady w sosie z czarnym pieprzem i śmietaną? Rozpływa się w ustach! Podają ją z polentą w maśle szałwiowym.

– Nie marnuj mojego czasu, Marmelsztajn.

– Aj, Marasie, już zdążyłem zapomnieć, jaki miły z ciebie kompan.

Gdy podeszła do nich młoda kelnerka, Marmelsztajn poprosił ją o butelkę białego wina. Posmarował masłem kawałek chleba, a Naser El-Dor wygładził niewidzialne fałdy na obrusie, patrząc na adwokata jak na wstrętny liszaj.

– Mój klient jest zawiedziony – oświadczył Marmelsztajn z pełnymi ustami. – Mieliśmy umowę, ale wy jej nie dotrzymujecie.

– Twój klient jest pazerny. Jego apetyt nie ma żadnych granic. Przez tysiąc lat robiliśmy interesy z jego rodziną. Ale odkąd wyszedł na górę, nic się nie da zrobić.

– A czego takiego żądaliśmy? My też mamy prawo do godnego życia. Dlaczego nie możemy korzystać ze swobody ruchu? Dlaczego mój klient nie może cieszyć się dobrym jedzeniem, otwartą przestrzenią, społecznym uznaniem?

– Twój klient dostaje tysiąc ofiar rocznie.

– W waszych obozach kuracyjnych? Chyba sobie żartujesz! Przecież to najńędniejsze dusze. Jakby żywić się okruchami chleba i kośćmi. – Aby podkreślić swoje ostatnie słowa, Marmelsztajn nadział na widelec kawałek soczystej ryby w sosie. – Ten, kto nie idzie do przodu, cofa się. Nasz kontrakt wkrótce traci ważność. Jeśli nie będziemy zadowoleni, podpiszemy go od nowa z waszymi rywalami.

– Z buntownikami? Ha, ha! – Naser El-Dor bawił się nożem. – Śmiechu warta groźba. Przecież to banda nieuzbrojonych wieśniaków. Ich przywódca to jakaś kpina. Nie mógłby przewodzić nawet stadu pawianów.

Marmelsztajn z pasją powąchał wino.

– Wyglądał mi na całkiem kulturalnego typu, kiedy się z nim spotkałem.

– Spotkałeś się z nim?

– A dlaczego nie? To zabronione?

– I co, mieliście o czym rozmawiać?

– Uwielbiam oryginałów, Marasie. Ciebie też. Zawsze podziwiałem to, jak przesz do przodu z szybkością meteorytu, osiągasz to, czego chcesz, i dążysz do celu. Większości ludzi z takim talentem jak twój brakuje samoograniczenia, są nieokrzesani jak zwierzęta. Ciebie nigdy nie interesował rozgłos. Tylko prawdziwa siła. Czysta siła. Być może jesteś najzdolniejszym człowiekiem, jakiego spotkałem. Hilel przy tobie to smarkacz. Ale być może przyszłość waszego imperium znajduje się w rękach właśnie tego smarkacza.

Naser El-Dor się wściekł.

– A co to za głupstwa? Buntownicy są skończeni. Ich armia jest nic nie warta. Nie pokona w walce nawet jednej dywizji generał Aritrawy.

– Cóż, wasz Marduk też nie pokazał jakichś imponujących oznak życia przez ostatni tysiąc lat.

Nino zauważyła zmianę w profilu Nasera El-Dora, który teraz stał się jakby ostrzejszy. Po raz pierwszy, odkąd przysłuchiwała się tej rozmowie, zobaczyła, jak głęboka mądrość w jego oczach podnosi łeb niczym nagle obudzone przestraszone zwierzę.

– Nasi kapłani mają z nim kontakt – oznajmił łagodnie, prawie od niechcienia, tłumiąc odruchową reakcję płynącą z ambicji.

Marmelsztajn był zbyt zajęty popijaniem wina, żeby zauważyć zmianę.

– Tak twierdzicie. Ale kiedy ostatnio dokonał jakiegoś cudu? Kiedy ostatnio nadział kogoś na swoją słynną włócznię?

– Marduk dołoży wam, zanim się spostrzeżecie.

– Kiedy go znajdziecie, chcesz powiedzieć.

Twarz Nasera El-Dora przybrała wyraz gorzki i lepki jak smoła.

– Jak dokładnie zamierzacie nas pokonać? Z całym szacunkiem dla twojego klienta, nie macie żadnych sojuszników ani w twoim świecie, ani w naszym. Jesteście uwięzieni w Otchłani, a wszystkie przejścia są zamknięte. A może przygotowujecie się do wysłania armii? Tylko przedtem musicie obudzić swoich dwóch dowódców, którzy śpią w szklanych kolumnach w naszej świątyni.

Marmelsztajn przerwał jedzenie i odłożył widelec.

– Marasie, nie radziłbym z nas drwić. To błąd. Poczekaj, a przekonasz się, do czego jesteśmy zdolni.

Zwierzchnik satrapów wstał i gwałtownie odsunął krzesło. Nie trzeba było go znać osobiście, by zauważyć morderczą iskrę w jego oczach.

– Grozisz mi?

– Ależ skąd. Radzę.

Naser El-Dor delikatnie pogładził swoją szatę w miejscu, gdzie pod spodem ukryty był sztylet, a Nino widziała, że bardzo chciałby pokazać Marmelsztajnowi, co myśli o jego radach. Oblizwał wargi, ale opanował się i nie zrobił nic wbrew dyplomacji. Bez słowa odwrócił się plecami do stolika i wyszedł z restauracji.

Nino schyliła się w ostatniej chwili, gdy ją mijał. Na szczęście przywykła już do jego niespodziewanych ruchów. Pobiegnęła za nim ulicą między przechodniami. Naser El-Dor, w wysokich lśniących butach, maszerował szybkim krokiem, aż wyszedł na szeroką ulicę pełną głośnych pudeł. Machnął ręką i rzucił potężne zaklęcie. Jeden z toczących się przedmiotów, z podświetlonym znakiem „Taxi”, zatrzymał się z piskiem obok niego. Połknął El-Dora i odjechał.

Nino wybiegła na ulicę. Nie mogła go zgubić! Podniosła rękę, próbując naśladować zaklęcie satrapy, i skupiła się ze wszystkich sił. Najwyraźniej miała większą moc, niż sądziła, bo nie minęło kilka chwil, a zatrzymało się przy niej kolejne „Taxi”. Zadowolona z sukcesu zaklęcia wsiadła do środka.

– Proszę jechać za tamtym pojazdem – poleciła kierowcy.

Spojrzał na nią z powątpiewaniem, uważnie przyglądając się jej mokremu ubraniu.

– Bawimy się w policjantów i złodziei, co?

– Tam siedzi przewodniczący rady ministrów mojego ojca. Muszę się dowiedzieć, co knuje przeciwko imperium.

– Jak dla mnie to może być nawet Darth Vader. Jak zamierzasz mi zapłacić?

Ech. To rzeczywiście był problem. Nino nie nosiła przy sobie sakiewki denarów. Zdjęła z palca pierścień i podała go kierowcy.

– Proszę go wziąć. To szczerze złoto. I tak go za bardzo nie lubię, jest dla mnie za ciężki.

– Chyba kpisz – rzucił kierowca.

Tak. Brak manier był w tym świecie problemem.

– Jeśli się panu nie podoba, dorzucę jeszcze to. – Zdjęła z nadgarstka bransoletkę wysadzaną przepięknymi opalami. – Mam nadzieję, że razem to wystarczy.

Kierowca jęknął.

– Zawsze wychodzę na frajera. – Ale ku jej uldze wyjechał pędem na ulicę i z zawrotną prędkością wymijał slalomem inne pojazdy. – Przez całe życie marzyłem o pościgu –

wyznał, gdy nagle skręcili z piskiem opon.

Za pojazdem Nasera El-Dora wjechali na wiadukt i zjechali skomplikowanym skrzyżowaniem na ogromną, wielopasmową ulicę. Po kilku minutach szybkiej jazdy Nino zobaczyła, że miejski krajobraz wokół nich się zmienił. Wysokie budynki zniknęły, a ulice wydawały się tu węższe i bardziej szare, zasłonięte całunem pary unoszącej się nad schnącym praniem, pełne sklepów z pasmanterią i drobiazgami. Nie minęło wiele czasu, a budynki zaczęły się przerzedzać. Pomiedzy nimi przeblyskiwały sady, pasy nieba, puste posesje i pola uprawne.

– Dokąd jedziemy? – zapytała kierowcę.

– Chyba dojeżdżamy do kompleksu przemysłowego.

Teraz ulica biegła łukiem na wzgórze, za którym była nowa, zadbana okolica. Naprawiono popękany asfalt, a po obu stronach drogi ustawiono nowe latarnie. Jak okiem sięgnąć widać było ogrodzone budynki, a wokół nich biegały wygłodzone psy szczekające na przejeżdżające samochody.

– Co tam jest w tych budynkach?

– Nie mam pojęcia. Jakieś firmy high-tech. Wymyślają przeróżne rzeczy, od sond księżycowych po kaszkę dla niemowląt z przetworzonych starych skarpet. To może być wszystko.

Pojazd Nasera El-Dora zatrzymał się przed szlabanem jednego z budynków. Strażnik przywitał zwierzchnika satrapów i zamienił z nim kilka uprzejmych słów. El-Dor dostał identyfikator, a strażnik zadzwonił, aby zaanonsować jego przybycie.

– Szpiegostwo przemysłowe – powiedział kierowca taksówki. – Tym się zajmuje twój gość.

– Tak pan myśli? Ale widać, że go tu znają.

– Cóż, może lepiej to wszystko rozumiesz niż ja. Tak czy siak, tu się kończy twoja podróż.

Nino wysiadła z pojazdu i stanęła przed budynkiem. Zbudował go jakiś architekt z manią wielkości, który nie dbał o ograniczenia przestrzeni. Stworzył ogromny kloc złożony z niezgrabnych sześcianów wylegujący się bezwstydnie na słońcu niczym pierwotny stwór o cielsku z chromu i szkła. Nad głową Nino wysoko wznosiło się metalowe ogrodzenie. Co teraz ma zrobić? Jak dostanie się do środka? Ruszyła wokół budynku. Ogrodzenie wydawało się zupełnie nie do przejścia, a nad nim biegł drut kolczasty. Wyliniała dobermanka uwiązana na metalowej linie ruszyła za nią z drugiej strony i rzucała się na ogrodzenie z wściekłym ujadaniem.

– Cicho, cicho – uspokajała ją Nino. – Wszystko w porządku. – Suka była zagłodzona i zaniedbana. – Nic złego ci nie zrobię – dodała językiem, którym mówiła do Koresza, ciekawa, czy psy w tym świecie mogą go zrozumieć.

– Nie wierzę ci – warknęła dobermanka. – Jesteś wrogiem. Wszyscy jesteście wrogami, a ja was nienawidzę!

Dzięki ci, Kanibaro, bogini psów!

Suka ją zrozumiała. Nino odetchnęła z ulgą.

– Nie dusi cię ta obroża?

– A co cię to obchodzi?

– Uwolnię cię, jeśli przejdę przez ogrodzenie.

– Nie dam ci wejść, bo mnie obijają. Ciągłe mnie biją i głodzą, zostawiają na deszczu

i zimnie.

– Jeśli pozwolisz mi wejść do środka, spróbuję ci pomóc.

– Wy wszyscy kłamiecie! Zabrali mnie z psiarni i powiedzieli, że wybrali mnie do ważnego zadania. I spójrz, gdzie mnie wyrzucili.

– Nie złość się na mnie, suniu. Nie jestem jedną z nich.

Nino przeszukała kieszenie i znalazła kawałek suszonego mięsa, który trzymała dla Koresza. Rzuciła go dobermance. Ta połknęła go bez gryzienia i wyglądało na to, że trochę poprawiło jej to humor.

– Wrr – warknęła, ale jakby mniej ostro.

Choć suka nadal podejrzliwie patrzyła na Nino, zaprowadziła ją do na wpół wykopanego przejścia pod ogrodzeniem, ukrytego pod gęstwiną ciernistych krzewów. Nino usunęła jeszcze trochę ziemi gołymi rękami i przeczołgała się na drugą stronę. Uwolniła dobermankę od obroży, do której przyczepiono metalową linkę.

– Dzięki. A teraz przegryzę ci gardło.

– Myślałam, że się polubiłyśmy – odparła Nino.

– Być może. Ale muszę się na kimś zemścić i mam gdzieś, kto to będzie.

Nino wyciągnęła dłoń, próbując uspokoić sukę.

– Jesteś przygnębiona i zagniewana, ale nie możesz się poddać swoim plamom ciemności.

Suka wrogo odsłoniła żółte zęby.

– Zachowaj te swoje filozoficzne gadki dla siebie. Chcę krwi. I to szybko.

– Nazwą cię zabójczynią i zastrzelą.

– Wolę umrzeć szybko i bohatersko niż żyć bez godności.

– Ale zemstę też warto zaplanować. Jestem tu, by ujawnić, co oni robią. Jeśli są to rzeczy złe i zakazane, zadbam o to, żeby dostali to, na co zasługują. A to będzie o wiele gorsze niż kilka ugryzień.

Suka zawahała się, a jej brązowe oczy się zachmurzyły.

– Nie masz pojęcia, co tu się dzieje. Okropne rzeczy! W nocy słyszę nieludzkie krzyki spod ziemi. Tyle tu cierpienia i strachu.

– W takim razie muszę wejść do środka. Proszę, jeśli zostało w tobie choć trochę miłości do żywych istot, pomóż mi.

Suka przygotowała się do ataku, a Nino skuliła się i zasłoniła twarz. Dobermanka zaatakowała. Ale jej celem nie było gardło Nino, lecz okienko wentylacyjne nad jej głową. Przepchnęła się przez nie i po kilku minutach wróciła z białym kitem i identyfikatorem w pysku.

– Włóż to, a będziesz mogła w spokoju się rozejrzeć. Tylko pamiętaj: jeśli chcesz się dowiedzieć, co oni tam robią, musisz się dostać do podziemnej części. Trzeba ominąć kamery i czujniki laserowe, i pewnie inne pułapki, o których nie wiem. Musisz być bardzo ostrożna, jeśli nie chcesz, żeby cię tam zamknęli.

Nino pogłaskała dobermankę, żeby jej podziękować. Suka wyszła przez wykop pod ogrodzeniem i ile sił w łapach pobiegła ulicą. Nino pozazdrościła jej wolności. Zwierzę odpowiadało tylko za siebie. Nie miało na swoich barkach ciężaru władzy nad imperium.

Wielki budynek i to, co się w nim działo, przerażało Nino do głębi duszy. Ale przyszłej królowej nie wolno okazywać strachu ani wahania. A poza tym nie miała odwrotu. Podniosła wzrok, żeby starannie przyjrzeć się budynkowi, do którego miała wejść. Na dachu

nad wejściem wisiał ogromny szyld w kształcie czerwonego węża oplatającego srebrną strzykawkę. Pod logo napisano czarnymi dużymi literami, większymi niż człowiek:

Hypocricom Ltd.

Po spodem był skromniejszy napis:

Jedna mała pigułka i od razu lepiej.

Rozdział jedenasty

Gniazdo Kolibra

Lato przyszło w góry z zapachem rozgrzanych skał, a przenikliwe zimno zastąpiły nie mniej uciążliwe ostre promienie słońca. Dawno minął obowiązujący ją półroczny zakaz opuszczania obozu. Ela spędziła z buntownikami już cały rok. Za każdym razem, gdy jakiś oddział wyruszał w doliny, prosiła wojowników, aby poszukali Jonatana albo przynajmniej czegoś się o nim dowiedzieli. Donieśli jej o aferze w Nippur i zrozumiała, że jej brat i demon zdołali uciec Nekroseptusowi. Usłyszawszy wieści, roześmiała się z uznaniem. Jonatan, ten irytujący rozpuszczony bachor, miał jednak w sobie to coś. Wiedziała już, że sobie poradzi. Choć tęskniła za bratem i dręczyły ją wyrzuty sumienia, odsunęła na razie decyzję o tym, żeby pójść za nim. Buntownicy też jej potrzebowali. Jej obecność w sztabie generalnym z dnia na dzień stawała się coraz ważniejsza i właściwie już traktowano ją jak zastępcę Hilela.

Dni były długie i wypełnione zajęciami. Ela wzywała na pomoc każdy okruch wiedzy z lekcji historii i zadziwiała oficerów pomysłami, które czerpała z bitwy pod Termopilami, podboju kupy gruzu przez Jozuego, syna Nuna, i taktyk partyzanckich Orde'a Wingate'a i Che Guevary. Uważnie słuchali jej słów. W ostatnich tygodniach zaczęli się przygotowywać do ważnej, niebezpiecznej akcji. Zamierzali przeprowadzić sabotaż elektrowni w Ur i odciąć zasilanie wszystkim almatoskopom w promieniu setek kilometrów. Zanim sylfy naprawią elektrownię (o ile w ogóle im się to uda), imperium ogarnie zamęt. Ta akcja miała być decydującym krokiem do rozpoczęcia wojny.

I wtedy przyszedł list.

Odebrał go Anastargalu. Ich nowy demon komunikacji – któremu Ela od pierwszej chwili nie ufała – powiedział, że miał problem z odebraniem listu. Wyglądało na to, że nie nadano go oficjalną pocztą. To cud, że w ogóle udało się odszyfrować urywaną wiadomość.

List był zaadresowany do Hilela.

Przywódca buntowników odczytał ołówkowe gryzmoły Anastargalu, a potem z zakłopotaną miną schował list do kieszeni. Jego reakcja zaskoczyła Elę. „Co jest w tym liście?”, zastanawiała się. Nawet w najgorszych koszmarach nie domyśliłaby się, jak ten kawałek papieru miał wpłynąć na jej życie.

Hilel poprosił ją o rozmowę bez świadków. Postanowili spotkać się późnym wieczorem po ćwiczeniach. Letnia noc rozbrzmiewała śpiewem odurzonych świerszczy cieszących się ciepłym wieczorem przed nieuchronnym powrotem mrozu. Wsiedli na konie i opuścili obóz. W jednym z wąwozów rozpalili małe ognisko i rozłożyli przy nim posłania. Ela zastanawiała się, czy stało się najgorsze i ktoś ujawnił Hilelowi jej prawdziwą płęć. Ale jego wzrok powiedział jej, że Hilel ufa jej jak zwykle. Szybko okazało się, że nie na tym polegał problem. Powiedział jej, że list wysłała następczyni tronu, księżniczka Nin-Urmuz, która chciała się z nim pilnie spotkać w sekretnej sprawie dotyczącej ich dwojga.

„Powinniśmy być wrogami, ale nam wszystkim grozi wielkie niebezpieczeństwo – pisała. – Jeśli życie obywateli imperium jest dla ciebie ważne, zgódź się na to spotkanie, proszę”.

Hilel siedział przy ognisku, a w jego szarych oczach tańczyły odbijające się płomienie. Podał Eli list do przeczytania.

– I co ja mam z tym zrobić, Elasio?

– Cóż, to chyba jasne. Nie możesz się z nią spotkać. W żadnym wypadku. Ona mieszka w pałacu w Babilonie. Szaleństwem byłoby próbować się tam dostać. A poza tym przecież jest kobietą...

– Taaak... Kobieta. Wcieleniem Samaela.

– Dobrze wiesz, że ludzie wierzą, że kobieta może cię zniszczyć.

– Zaczynam mieć dość tego przekonania.

– Ono ma cię chronić.

– Ostatnio sporo o tym myślałem. Kobiety nie mogą być aż tak straszne. Jak to możliwe, że tylu ludzi wierzy w moją siłę, a jedna kobieta miałaby wszystko zniszczyć?

Ela poczuła ucisk w gardle.

– Szamani traktują to bardzo poważnie – wykrztusiła w końcu.

– Nawet jeśli tak jest, co z tego? Wychowano mnie tak, bym wierzył, że moja dusza została wykuta w świetle. Jeżeli naprawdę jestem Hilelem ben Szacharem, dlaczego miałbym się bać swoich uczuć? Jeśli mam rządzić imperium, dlaczego nie miałbym być dość silny, aby zapanować nad sobą?

– To nie to samo.

– Powstanie jest sensem mojego życia i nic nie sprawi, bym je porzucił. Chcesz znać prawdę? Nasze proste życie w górach i przyjaźń z tobą w zupełności mi wystarczą. Żadna kobieta nie będzie mi bliższa od ciebie, Elasio.

Ela poczuła palące pieczenie w gardle. Pochyliła się, żeby przegrzebać żar i ukryć twarz, by jej nie zdradziła. Hilel położył dłoń na jej ramieniu, ale szybko odsunęła się z lękiem.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał Hilel. – Dlaczego drżysz?

– To nic. Trochę mi zimno.

– A ja myślałem, że mamy przyjemną letnią noc. Masz, okryj się moją peleryną.

Hilel objął się ramionami przed ogniskiem, a Ela z wdzięcznością wtuliła się w jego pelerynę. Patrzyła na swoją przyjaciółkę na niebie, Wielką Niedźwiedzicę, i zastanawiała się, czy przynajmniej ona zna sekret i jej wybacza.

Im bardziej próbowała odwieść Hilela od pomysłu podróży do Babilonu, tym bardziej on się przy nim upierał.

– Jeśli księżniczka mówi prawdę, to spotkanie jest niezwykle ważne.

Ela znalazła pocieszenie w tym, że przekonała go, by zabrał ją ze sobą. Razem będzie bezpieczniej, twierdziła, a on musiał się zgodzić. Hilel ostrzegł ją, że nie wolno im ujawnić prawdziwego celu podróży oficerom sztabu i szamanom, żeby nie robić zamieszania. Pod pretekstem misji szpiegowskiej mieli przebrać się za wieśniaków i wyruszyć w drogę od razu następnego ranka. Ela wiedziała, że Al-Namir będzie niezadowolony, choć nie odważy się sprzeciwić woli Hilela. I rzeczywiście, stary oficer ze złością podrapał się po głowie ocalałymi palcami prawej ręki.

– Narazanie się na takie niebezpieczeństwo to skończona głupota.

Ale Hilela to nie wzruszyło. Na godzinę przed ich wyjazdem Al-Namir wszedł do jaskini. Ela właśnie pakowała prowiant na drogę.

– Oddaję go w twoje ręce, Elasio – oświadczył poważnie. Blizna na jego twarzy stała się wyraźniejsza. – Nie zapominaj, że bierzesz odpowiedzialność za najcenniejszy diament w imperium.

– Wolałbym odciąć sobie prawe ramię niż pozwolić, aby stała mu się krzywda.

– Obyś mówił prawdę, dla twojego dobra.

Al-Namir wyciągnął swój sztylet, z rękojeścią wyłożoną macicą perłową i niewielkim, wrednie zakrzywionym ostrzem.

– Gdy tylko opuścicie góry, nie będziemy już mogli go chronić. Nie wahaj się sięgnąć po sztylet, jeśli uznasz, że Hilelowi grozi niebezpieczeństwo. Być może będziesz musiał robić rzeczy, które ci się nie podobają. Może będziesz musiał odciąć go od jego uczuć, ale to dla jego dobra.

Ela wzięła sztylet, nadal rozgrzany ciepłem ciała starego wojownika.

– Zapewniam cię, że się nie zawaham.

– Lepiej stracić ukochaną osobę niż zaprzepaścić przyszłość królestwa.

– Wiem.

– Dobrze. Wiedziałem, że można na tobie polegać.

Jakże ponura była kraina, którą przemierzali! Ziemia w dolinie rzek w sercu imperium była czarna i urodzajna. Mijali po drodze grządki ogrodów warzywnych, pola słoneczników i sady, spotykali mechaników, tkaczkę wełny, wędrownych sprzedawców pączków i karawany kupieckie. Imperium miało być rajem na ziemi. Ale wcale tak nie było. Szpiegów satrapów roili się na każdym rogu, szukali nosicieli czarnych plam, którzy udawali zdrowych. Każdemu, kto był choć trochę przygnębiony, groziło wydanie w ręce władz. Mężowie donosili kapłanom na żony dotknięte melancholią, a kobiety wydawały mężów, którym nie powodziło się w interesach. W dużych miastach rodzice wysyłali do gospodarstw kuracyjnych dzieci, które wydawały się zbyt markotne i nie potrafiły wpasować się w społeczeństwo. Oczywiście dla ich dobra. A dziewczęta, które nie chciały wyjść za mąż, narażały się na poważne niebezpieczeństwo. Wszyscy śmiali się wymuszonym śmiechem i wychwalali wszystko, co zobaczyli. „Cóż za cudowny poranek! Jak pięknie ci w tej sukience! Wspaniale, że należysz do gildii sprzątaczy ulic! Możesz pracować na świeżym powietrzu i nie musisz sobie niczym zawracać głowy”.

„Co za szczęście, że nie urodziłam się w tym kraju”, pomyślała Ela. Najbardziej przerażające było to, że nikt nie śmiał przyznać, że jest nieszczęśliwy.

Podróż do Babilonu utwierdziła ją w przekonaniu, jak pilnie potrzebne jest powstanie. Widok nieszczęśników, którzy starali się wierzyć, że żyją właściwym życiem, sprawiał jej ból. Hilel też był poważny i zamyślony. Za dnia przemieszczali się pieszo albo wozami, nocą spali w sadach lub stodołach. Im bardziej zbliżali się do Babilonu, tym wyraźniej czuła narastające w powietrzu napięcie. Brak szczęścia był coraz dotkliwszy, radość fałszywa i nerwowa. Ulice pełne były uzbrojonych strażników generała Aritrawy, a samo jej imię przyprawiało wszystkich o ciarki. Hilel i Ela skulili się w wozie, gdy uzbrojony kawalerzysta zbliżył się, aby sprawdzić uprawnienia kupca, który ich wiozł.

Już pierwsze spojrzenie na Babilon przygnębiło Elę. Nad dachami miasta unosił się smog, który przypominał jej metropole z jej świata. Przez smog przebijały się wieże, oświetlone za dnia promieniami światła więzionymi pod warstwą mgły, a nocą przez żółte, zielone

i czerwone iskry torów tramwajów elektrosyldycznych. Podobnie jak inne duże miasta Babilon był wielokim olbrzymem, który nigdy nie zamykał wszystkich oczu naraz. Było to niezaprzecalnie imponujące miasto, ale serce Eli ścisnęło się na myśl, że miała się tu zatrzymać.

Pałac babiloński zbudowano na wzgórzu wznoszącym się w centrum miasta. Nie było nad nim smogu, jakby miejsce to było zamknięte w przezroczystej bańce. Ponad jego wieżami unosiła się zielona, bez końca splatająca się pulsująca koronka.

– Co to jest? – zapytała Ela kupca, który ich wiozł.

– Nie słyszeliście o słynnych wiszących ogrodach? To jeden z siedmiu cudów świata. Ani na chwilę nie przestają rosnać. Mówią, że wejście do nich grozi śmiertelnym niebezpieczeństwem, bo mogą wyprowadzić cię wysoko w górę i nigdy nie pozwolić ci zejść.

Kupiec zawiózł ich na targ malarzy płytek podłogowych, a stamtąd poszli dalej przez gwarny tłum. Na końcu uliczki miedzianych lamp mieli się spotkać ze starą piastunką i młodym mastifem, aby zaprowadzili ich do księżniczki.

Strażnicy nie spuszczaali wzroku z Nin-Urmuz, a ostatnio jeszcze zdwojono ochronę. Opiekunka dała im do zrozumienia, że zwierzchnik satrapów przyłapał księżniczkę na zabronionej czynności, ale nie chciała powiedzieć, o co dokładnie chodziło. W ostatnim czasie księżniczka nie mogła pod żadnym pozorem wymknąć się z pałacu, dlatego spotkanie musiało się odbyć w środku. Nin-Urmuz wybrała miejsce, gdzie zwykle podejmowano ważnych wysłanników z prowincji: Gniazdo Kolibra. Król był bardzo dumny z tej sali. Zbudowano ją w kształcie gniazda wplecionego w najwyższe gałęzie wiszących ogrodów. Roztaczał się stamtąd wspaniały widok zapewniający poczucie bezustannej przygody. Ale nocą, gdy ogrody szybko rosły i zmieniały ścieżki, dojście do niej uważano za niebezpieczne. Eli od początku nie podobał się ten pomysł. A potem okazało się, że jej obecność nie była szczególnie pożądana.

– Księżniczka pomówi z Hilelem ben Szacharem sama. W cztery oczy.

– Elas ma równie dobre uszy co ja – oznajmił Hilel. – Jest bardziej lojalny wobec mnie, niż ja sam jestem wobec siebie.

Jedynym jasnym punktem w całej tej historii był młody mastif, który okazywał Eli niepohamowaną czułość. Kiedy nocą pojawili się w umówionym miejscu, w uliczce naprzeciwko pałacu, skoczył na nią całym ciężarem, opierając ciężkie aksamitne łapy na jej ramionach, i polizał ją po twarzy.

– Co się stało? – zapytała Ela i podrapała go za uchem. – Zaniedbali pieska ostatnio?

Wysoko nad nimi Gniazdo Kolibra kołysało się na nocnym wietrze, rozpraszając światło salamander niczym chiński lampion zawieszony między gałęziami drzew. Księżniczka zadbała o to, aby powiadomić ich o porach wart strażników, i teraz teren był czysty. Piastunka rzuciła zaklęcie i na jej rozkaz grube pnącza wyciągnęły się, aby przenieść ich na drugą stronę. Podniosły ich w ostatniej chwili, gdy zza rogu wyszedł strażnik.

Znaleźli się w ogrodach. Ostrożnie wybierali drogę w labiryncie zawieszonych w powietrzu ścieżek. Kręciło im się w głowie. Elę oblał zimny pot i starała się nie patrzeć w dół. Gdy się wspinali, miała wrażenie, że ścieżki są coraz bardziej nerwowe, i czuła, że poruszają się pod jej stopami jak żywe stworzenia. Stara piastunka szła przodem nie bez

strachu, a Ela zauważyła, że gdy tylko dochodzili do skrzyżowania ścieżek, rozsypywała odrobinę świecącego pyłu z buteleczki, a splecione grube pnącza drzały i wykręcały się z piskiem w kierunku gniazda. „Jak my stamtąd wrócimy?”, pomyślała z przerażeniem.

Poczuła ogromną ulgę, gdy w końcu dotarli do gniazda połączonego najbliższym skrzyżowaniem łądyg z wiszącym wiklinowym mostem. Weszli do okrągłego pomieszczenia przypominającego kształtem zawieszoną na żądle kroplę. Wnętrze sali wymoszczone było poduszkami i miękkimi dywanami. Stał tam delikatny porcelanowy serwis do herbaty ozdobiony wizerunkami przepięknych kolibrów. Narysowane tuszem rysunki ptaków zdobiły ściany, do których przytwierdzono wazon-y z kwiatami, żeby przetrwały łagodne kołysanie gniazda huśtającego się bez przerwy jak ogrodowy hamak.

Za papierowym parawanem zobaczyli postać księżniczki. Wcześniej ustalono, że Hilel nie spotka się z nią twarzą w twarz. Ale Ela zauważyła w parawanie niewielki otwór, przez który przyglądała się im księżniczka. Miała słodki, zimny jak kryształ głos, który nie był niemiły, ale było w nim coś niemalże nadludzkiego.

– Czuję się o wiele lepiej, odkąd przybyłeś. Wybacz, że nie jestem w najlepszej formie. Zwierzchnik satrapów przyłapał mnie, gdy go śledziłam. Odkryłam coś, czego nie powinnam była odkryć, i wpadł w furję. Sprowadził mnie z powrotem tutaj i podwoił liczbę strażników. Nie mogę już wychodzić za mury pałacu. Naser El-Dor, który używa magii słów, upłócił wokół mnie niewidzialną sieć, która sprawia, że nie mogę się za bardzo oddalić bez jego pozwolenia.

– Przecież jesteś córką króla – zauważył Hilel. – Dlaczego nie zwrócisz się po pomoc do ojca?

– Jak wiesz, od czasów Odmuela i Aszperboszeta członkowie królewskiego rodu i satrapowie są jedną rodziną. Mój ojciec stoi po stronie Nasera El-Dora. Nie mam żadnej szansy, by go przekonać, żeby stanął przeciwko niemu.

– Dlatego zwróciłaś się do mnie?

– Zawsze myślałam, że jesteś moim wielkim wrogiem i chcesz odebrać tron, który mi się należy. Ale po ostatnich odkryciach pomyślałam, iż tylko tobie mogłabym powiedzieć prawdę bez obaw, że jesteś zaangażowany w spisek. Jeśli można zrobić cokolwiek, żeby go udaremnić, może tobie się to uda. A poza tym... – Zawahała się.

– Poza tym co?

– Wydaje mi się, że już gdzieś cię widziałam. To znaczy nie tak naprawdę. Mam poczucie, jakbym znała cię od środka. Jakby twoja obecność rozświetlała mój mrok. To dobry znak, prawda?

„Wcale nie”, pomyślała Ela i cała się spięła. Ale Hilel przyjął uwagę księżniczki naturalnie.

– Przybyłem tu, by cię wysłuchać. Mów.

Nino weszła do budynku Hypocricomu i przekonała się, że dobermanka nie kłamała: biały kitel i identyfikator sprawiły, że nikt nie zwracał na nią uwagi. Na końcu dużego, imponującego holu wejściowego otoczonego szklanymi zielonkawoniebieskimi ścianami siedział strażnik. Kiedy podeszła bliżej, zobaczyła, że wpatrywał się w półkole luster, na których migotały ruchome obrazy. Nino od razu zrozumiała, że były to pomieszczenia budynku. Zadziwił ją ten wyrafinowany pomysł i potężna magia, która za nimi stała.

Rozejrzała się w poszukiwaniu drogi do podziemnej części, o której mówiła dobermanka, gdy w jednym z luster strażnika zauważyła mężczyznę w czarnej szacie, którym mógł być tylko Naser El-Dor. Mężczyzna szedł korytarzem. Wpadające przez okna promienie słońca wskazywały, że był gdzieś wysoko nad ziemią. Postanowiła zmienić wyjściowy plan, odłożyć poszukiwania podziemnej części na później i zamiast tego sprawdzić, dokąd to tak się spieszył jej zwierzchnik satrapów.

Ruszyła w kierunku miejsca, gdzie, jak miała nadzieję, mogła znaleźć Nasera El-Dora. Teraz wznosiła się w powietrze w niezwykłym szklanym sześcianie. Dzięki zmysłom wyostrzonym przez magiczne praktyki odnajdywała drogę za pomocą najsubtelniejszych niuansów światła i cienia, zapachu i dźwięku. Już po kilku minutach dotarła do właściwego korytarza i odkryła, że prowadził do drzwi, zza których dobiegały głosy. Nie mogła przyłożyć ucha, bo korytarzem przechodzili ludzie, ale na szczęście przy budynku stało rusztowanie. Wygramoliła się przez najbliższe okno i ostrożnie ruszyła wzdłuż muru. Przez szybę zobaczyła niedużą, elegancką salę umeblowaną w całości na biało. Były tam białe dywany i biały okrągły stół konferencyjny, wokół którego stało dwanaście skórzanych białych krzeseł. Ale przy stole siedziały tylko cztery osoby. Jedną z nich był Naser EL-Dor. Choć nie знаła sekretów tego świata, Nino zauważyła, że troje nieznanym emanowało pewnością siebie, władczością i siłą. Zwłaszcza mężczyzna pośrodku, opalony i wysportowany, o krótkich siwiejących włosach, stanowczym podbródku, w okularach w złotych oprawkach i błękitnym krawacie. Po jego jednej stronie siedział drobniejszy mężczyzna, czujny jak mangusta i wypielegnowany jak rasowy kot, a po drugiej piękna rudowłosa kobieta o gładkich rysach, które niczego nie zdradzały. Naser El-Dor wydawał się przy nich chudy i wycieńczony, gdy gładził swoją czarną brodę. Ale trzeba przyznać, że nie zdradzał żadnych oznak zdenerwowania wobec ich potęgi.

Siwowłose przywódca robił mu wymówki:

– Nie rozumiem, dlaczego przyszedł pan na skargę do nas? Czy Otchłań podnosi łeb? Lewiatan rozrabia? Kogo może pan winić, jeśli nie siebie samego?

– Pan wybaczy, Gabrielu, ale miałem wrażenie, że siedzimy w tym biznesie razem.

Zniecierpliwiony Gabriel wstał i zaczął się przechadzać po białym dywanie.

– Sojusz między nami wydawał się w swoim czasie bardzo korzystny, panie El-Dor. Szukaliśmy nowych rynków dla naszych lekarstw, a wy szukaliście lekarstwa na wasze plamy ciemności. Można powiedzieć, że nasze dwa światy znakomicie się uzupełniały. Podaż i popyt: jak się okazuje, te proste podstawowe zasady sprawdzają się doskonale także między światami. W ciągu ponad czterech dziesięcioleci dostarczaliśmy wam przeróżnych lekarstw. Moi poprzednicy na tym stanowisku byli bardzo zadowoleni. Ale w ostatnich latach stał się pan utrapieniem. Z młodego, genialnego członka waszej rady zmienił się pan w pretendenta do korony. Pański apetyt nie ma granic, dlatego zaczął pan popełniać błędy.

– Moje błędy nie są większe od błędów, które pan popełnił, gdy chciał pan przypodobać się swoim akcjonariuszom, Gabrielu. Nie może pan zaprzeczyć, że pańska firma jest jedną z najpotężniejszych w tym świecie, a na myśl o pańskiej pensji nawet ci, którzy odnieśli największy sukces, ślinią się z zazdrości.

Siwowłose mężczyzna przystanął i spojrzał na wiszący na ścianie wykres zysków. Czerwona linia biegła w górę bez żadnego zawahania czy utrudnienia.

– Jestem dobrym zarządcą i nie wstydzę się tego. Pan za to nim nie jest. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie jest pan geniuszem. Wręcz przeciwnie. Ale dobry biznesmen sugeruje się w działaniu trafnymi ocenami, pan zaś, jakby to powiedzieć... działa inaczej. Wydaje mi się, że kieruje się pan zbyt osobistymi przesłankami. Prowadzi pan wojnę, w którą jest pan emocjonalnie zaangażowany w niezdrowy sposób. Tak bardzo pan wierzy, że to pan ma rację, że nie zawahałby się pan zniszczyć waszego świata tylko po to, by dowieść, że pańskie zasady były słuszne. A co wtedy stanie się z naszym rynkiem?

– Nikt nie może brać odpowiedzialności za świat kogoś innego, Gabrielu.

– Najwyraźniej.

Władczy mężczyzna przystanął obok przedmiotu stojącego na stoliku w rogu pokoju i w zamyśleniu zabębnił po nim palcami. Nino pomyślała najpierw, że to jakaś ozdobna figurka. Ale nie była to ani figurka, ani nie było w nim nic ozdobnego. Właściwie była to jedyna rzecz, która psuła czyste, eleganckie linie pomieszczenia: zmiażdżony, pokrzywiony kawałek stali, tak zniekształcony, że prawie mogła usłyszeć jego krzyk. Oczy wszystkich obecnych zwróciły się w stronę stalowego przedmiotu, lecz taktownie nikt nie powiedział ani słowa.

– Kiedy zostałem dyrektorem generalnym – powiedział Gabriel – przyszedł pan tutaj i przedstawił swoją genialną propozycję, aby poluzować smycz waszemu potworowi. Wyjaśnił nam pan, że Otchłani kontroluje plamy ciemności duszy, tak jak Księżyc rządzi przypływami. Większa wolność dla Otchłani miała oznaczać więcej ciemnych plam, a przez to większą moc dla was, więcej lekarstw, które moglibyśmy sprzedać, i więcej zysku.

– Sam pan przyzna, że ten układ był korzystny dla obu stron.

Gabriel spojrzął na metalowy przedmiot i nagle jego twarz przybrała wyraz udręki i żalu.

– To nie moja wina, że pojawił się Lewiatan.

– A więc czyja to wina? Moja?

Naser El-Dor nie był zachwycony. Wstał z krzesła i wskazał na zmiażdżony kawałek stali.

– Zgodzi się pan ze mną, że dokładnie trzynaście lat temu, kiedy pojawił się po raz pierwszy, przeprowadzaliście eksperymenty jądrowe na północy.

– Nie ma żadnego dowodu, że pojawił się przez te eksperymenty!

Nino zrozumiała, że tajemniczy przedmiot jest kluczem do zrozumienia rozmowy i wyostriżyła wzrok i zmysły, aby przyjrzeć się jego aurze. Teraz była pewna, że kawałek zardzewiałej stali był kiedyś częścią jakiegoś morskiego pojazdu. Pojazdu, który został zniszczony w strasznej katastrofie.

– W takim razie dlaczego Lewiatan się pojawił? – zapytał Naser El-Dor. – Tak po prostu, sam z siebie?

– Dał pan waszej starej Tiamat zbyt wiele wolności i jakoś udało jej się go stworzyć.

Teraz Naser El-Dor nie próbował już ukryć gniewu.

– Czego się pan obawia, dyrektorze? Boi się pan, że Rahab, Władca Mórz, przejmie kontrolę nad Babilonem i nie będzie miał pan komu sprzedawać lekarstw?

– Cóż, oczywiście przyszło mi to do głowy.

– A więc mogę pana uspokoić: jak na razie mamy pełną kontrolę nad imperium. Ale będziemy je kontrolować jeszcze lepiej, gdy wasz AstroFix będzie w końcu gotowy.

Dyrektor zaczerwienił się na twarzy pod atrakcyjną tropikalną opalenizną i nerwowo przetarł zaparowane okulary. Tymczasem rudowłosa kobieta pochyliła się i wsparła mocno

na łokciach.

– Jeśli mamy jakieś opóźnienia, to jest to twoja wina, Marasie. Dlaczego nas pan okłamał? Dlaczego próbował pan ukraść prototyp leku?

– Przepraszam panią, Saro, po tysiącuroc przepraszam. Już o tym mówiliśmy. Nie chcieliście nam dać pierwszej wersji. Nie ufaliście nam. Podejrzewaliście, że ją skopiujemy i sami zaczniemy produkować lek. Ale sprawa była pilna. Dziewczyna zaczęła dorastać, a jej świadomość rozwijała się niepokojąco szybko. Obawiałem się, że jeśli nie powstrzymamy jej w porę, nie będziemy mogli nad nią zapanować.

Nino zrozumiała, że mówią o niej, i o mało nie straciła równowagi. Zerknęła w dół i nagle dotarło do niej, że stoi na stosie chwiejnych desek pięć pięter nad ziemią.

– Musiałem to zrobić – powiedział Naser El-Dor. – Już to panu mówiłem.

Lustrzana twarz Sary nie pokazała zrozumienia.

– Pański złodziej miał nawet czelność zranić naszego niezastąpionego doktora Margolisa i opóźnić cały projekt.

– Nic by mu się nie stało, gdyby dobrowolnie przekazał lekarstwo.

Nino próbowała zapanować nad wywołanymi strachem zawrotami głowy, bo teraz w sali działo się coś nowego. Gabriel nacisnął guzik na ścianie i nad białym stołem pojawił się skomplikowany hologram dużej molekuly. Atomy wirowały, zawieszony w przestrzeni.

– AstroFix – westchnął z dumą. – Majstersztyk naszych naukowców. Całkowicie blokuje wszelkie nieświadome wpływy duchowe. AstroFix to ściana ze zbrojonego szkła, odporna na wszystkie emocje czy myśli, które nasza oświecona mądrość uznaje za niepożądane. Bez wątplenia jedno ze szczytowych osiągnięć ludzkości.

– Brawo – rzekł Naser El-Dor.

– To ostateczne lekarstwo przeciwko wpływowi waszej Otchłani. Koniec wszystkich obaw, depresji, smutku i poczucia bezsensu. Ten, kto zażyje AstroFix, będzie żył jak pączek w maśle. Wasz Lewiatan nie będzie mógł go kontrolować. Czarne wody nigdy nie podniosą się w jego duszy. Taki człowiek będzie posłusznym obywatelem, doskonale odpowiadającym pańskim potrzebom.

– Oczywiście.

– Dlaczego więc musiał pan ominąć nasze ustalenia i sięgnąć po coś, czego jeszcze nie mogliśmy panu dać?

– Bo zasady czasem trzeba złamać, Gabrielu. Potrzebowałem pilnie wdrożyć leczenie u księżniczki. Kto wie, co mogła zrobić? Mogła mi uciec z pałacu.

– Dlaczego jest dla pana taka ważna, jeśli mogę zapytać? – odezwała się Sara.

Naser El-Dor wzniosł oczy do sufitu, a Nino rozpoznała to spojrzenie; rezerwował je dla tych, którzy nie musieli widzieć pełni jego mądrości.

– Jeśli tak bardzo chcecie wiedzieć, mój plan jest prosty. Księżniczka dostaje teraz AstroFix. Dokładnie za rok jej dusza będzie doskonała, a wtedy zaprezentujemy ją narodowi podczas uroczystej ceremonii. Do tego czasu ukończycie ostateczną wersję i będziemy mogli rozpocząć dystrybucję leku wśród naszych obywateli. Podczas następnych obchodów Święta Lata księżniczka zostanie narodowym symbolem szczęśliwego, spokojnego życia gwarantowanego przez AstroFix. Kto nie chciałby zażywać leku, który przyjmuje sama księżniczka?

Słyszając tę dyskusję na temat własnej przyszłości, zaskoczona Nino niechętnie kopnęła

wiadro stojące na rusztowaniu. Poślizgnęła się, próbując je złapać. Wiadro spadło na sam dół, obijając się z trzaskiem o metalową konstrukcję. Zebrani w sali konferencyjnej zerwali się, usłyszawszy rumor. Księżniczka kurczowo ściskająca rurę, na której zawisała, ujrzała za szybą zdumioną twarz Gabriela i wściekłą minę Nasera El-Dora. Złapali ją.

Rozdział dwunasty

Elektrownia w Ur

Ela opuściła Gniazdo Kolibra i oddaliła się od pałacu, w złości zaciskając pięści. Opowieść Nino wciąż dźwięczała w jej głowie. Wreszcie zagadka zaczęła się wyjaśniać: to wysłannicy Nasera El-Dora skrzywdzili jej ojca i ukradli lekarstwo. A koncern Hypocricom był w to zaangażowany od samego początku. Musiała jak najszybciej wrócić do swojego świata i ostrzec ojca przed jego pracodawcami, ale najpierw trzeba było ukarać złoczyńców.

Razem z Hilelem skierowali się w stronę kryjówki w opuszczonym budynku w pobliżu rzeki. Hilel też był zamyślony.

– Powiedz, Elasiu, czy wszystkie kobiety takie są?

– Jakie?

– Takie niesamowite. Nigdy nie spotkałem nikogo takiego jak ona. Nie tylko chciała za wszelką cenę ujawnić prawdę, ale też odważyła mi się zaufać i opowiedzieć o zbrodniach zwierzchnika satrapów, choć przecież nie wiedziała, jak zareaguję.

– Nie wszystkie kobiety osiągnęły taki poziom – musiała przyznać Ela.

– Mogę zrozumieć, dlaczego Naser El-Dor próbuje ją kontrolować. Nino jest duszą Babilonu. Gdy wstąpi na tron i przejmie władzę, stanie się duszą imperium. Jeśli ktoś nad nią zapanuje, to jakby miał w dłoni całe królestwo.

– Mogę to zrozumieć – westchnęła Ela.

– Gdybyśmy tylko mogli ją jakoś chronić.

– To znaczy?

– Nie mamy żadnego sposobu, aby przerwać kontakty Nasera El-Dora z innym światem. Zwierzchnik satrapów ma tak dobrą ochronę, że nie mamy szans do niego podejść. Nawet jeśli rozgłosimy, co wiemy, i tak niczego nie osiągniemy, bo nikt nam nie uwierzy. Księżniczka jest naszą jedyną pośredniczką. Co miesiąc Naser El-Dor zmusza ją do przyjęcia leku. Jej dusza stopniowo zmienia się w kamień. Jeśli uda nam się przerwać ten proces, Naser El-Dor nie będzie mógł wykorzystać Święta Lata i jego plan runie.

– Ale jak chcesz to zrobić?

– Trzeba w niej coś obudzić. Rozgrzać ją od środka. Jeśli jej serce zmięknie, a uczucia znów popłyną, Naser El-Dor nie będzie mógł się nią posługiwać jako swoją zabawką.

Ela targnęła sprzeczne emocje. Z jednej strony wiedziała, że Hilel ma rację, a z drugiej nie mogła pohamować gniewu. Kopnęła kamień.

– Musisz się jej wystrzegać.

– To znaczy?

– Wydaje mi się, że po prostu ją lubisz.

Hilel zastanowił się nad tym, co powiedziała.

– A ty jej nie lubisz? Nie ma w tobie odrobiny człowieczeństwa, żebyś chciał się nią zaopiekować?

– To nie ma związku. Wydaje mi się, że ci się podoba, bo jest kobietą.

Hilel zatrzymał się i spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Co z tobą, Elasio? Nigdy nie słyszałem, żebyś tak mówił. Skąd nagle w twoim głosie tyle złości i gorczy?

– Mnie na przykład nigdy nie chciałeś chronić.

– Przecież ty nie potrzebujesz mojej ochrony.

– I o to właśnie chodzi! – prychnęła Ela z pogardą. – Jestem mężczyzną. Niczego nie potrzebuję. Nawet gdyby porzucono mnie na środku pustyni, nie zlitowałbyś się nade mną. Właśnie to robią mężczyźni, gdy spotykają kobiety: chronią je. Ty nie masz jeszcze doświadczenia w tej sferze, dlatego nie wiesz, że twoja reakcja jest naturalna i nie ma żadnego związku z tym, co powinni zrobić nasi wojownicy. Trzeba zebrać oddziały i jak najprędzej wypowiedzieć wojnę. Ale Nino cię zauroczyła i dlatego szukasz wymówek, aby zostać przy niej.

Hilel się roześmiał.

– Cóż za przemowa! Podoba mi się twój entuzjazm, Elasio. Ale wiesz, jak mało nas jest w porównaniu z królewską armią. Na razie naszą przewagą jest spryt i działalność podziemna, nie siła.

– Na miejscu Al-Namira już bym zabił tę twoją księżniczkę.

– Oszalałeś? Nie wolno nam jej tknąć. To nasz klucz do przerwania tego całego spisku.

Ela westchnęła. Szli wzdłuż brzegu rzeki oddzielonej czterometrową ścianą ze zbrojonego szkła świecą słabym blaskiem biegnącego przez nią elektrosylfidycznego prądu. Wzdłuż ściany przechadzali się uzbrojeni strażnicy. W oddali widać było ich wieżę, a powierzchnię wody omiatał promień reflektora. W bladym świetle uważnie przyjrzała się twarzy Hilela. Zaledwie kilka godzin wcześniej byli sobie tak bliscy, jak to tylko możliwe. A teraz czuła, że między nimi stało coś niewidzialnego, lecz równie rzeczywistego co szklana ściana wzdłuż rzeki. Chciała przebić ten mur i dotknąć Hilela. Poczowała silne pragnienie, aby wyjawić mu swój sekret: byłoby to tak łatwe, nawet przyjemne. Spojrzałby na nią tak, jak patrzył na zarys sylwetki księżniczki, zapomniaby o swoim powstaniu – a nawet o całym świecie! – i wypełniłaby go głęboka, czuła troska o jej dobro. Przeczesła dłonią włosy, które zdążyły już odrosnąć i teraz miękko opadały na jej ramiona. Maskujące zakłęcie naamy nie zmieniło jej emocji, a nawet dodało jej chłopięcego uroku. Wciąż była kobietą. Taką samą kobietą jak Nino, a może nawet bardziej, i mogła mu to udowodnić od razu, gdyby była równie samolubna i bezwzględna jak księżniczka.

Wrócili w góry w poważnych nastrojach, zamyśleni, a każde z własnych powodów. Ela miała nadzieję, że wrócą do codziennej rutyny, którą tak pokochała, i zapomną o wszystkim, co wydarzyło się w Babilonie. Ale nie minęło wiele czasu, gdy Anastargalu odebrał kolejny tajemniczy list. Znów od Nino. Księżniczce nie wystarczyło jedno spotkanie. Znów chciała zobaczyć Hilela. Ela była wściekła. Nino przypominała jej samolubne szkolne królowe, które potrzebowały chłopców, aby otaczali je uwagą i nieustającym podziwem. Od dzieciństwa gardziła takimi zimnymi, pustymi dziewczuchami. Księżniczka mogła mu złamać serce! Ale jednocześnie wiedziała, że Hilel miał rację. Nie mogli stracić z nią kontaktu, jeśli chcieli udaremnić spisek. Czuła się rozdarta między potrzebą, aby nie zawieść zaufania, jakim Hilel ją obdarzył, a swoją rosnącą wrogością wobec Nino. Między głęboką wiarą w cele powstania a pragnieniem, aby ujawnić ukochanemu, kim naprawdę była, i zdobyć miłość, która jej się należała. Ból był tak wielki, że nocą nie mogła zasnąć i prawie nic nie

jadła. Tymczasem zrobiła jedną rzecz, którą potrafiła od dzieciństwa – stłumiła swoje uczucia, wyparła je głęboko do środka i przypomniała sobie, że ma obowiązki, a powodzenie rebelii jest ważniejsze od jej dobra.

Z nadejściem zimy ich wizyty w stolicy imperium stały się coraz częstsze. Ela była wściekła, gdy odkryła, że Nino pragnęła towarzystwa Hilela, a on pragnął obecności Nino. Nienawidziła woni kamiennych ulic w deszczu, ciężkiej jak zapach mokrego psa. Kiedy wiosna przyniosła ze sobą kwiaty cytryn i migdałowca, Hilel zdecydował, że nie ma sensu wracać w góry. Mieli zostać w Babilonie. O mało jej nie zemdliło, gdy usłyszała ten pomysł. Miała dość ukrywania się w cieniu i przemykania bocznymi uliczkami, a najbardziej miała dosyć księżniczki. Przepęłniała ją tęsknota za dzikim górskim powietrzem i jazdą konno u boku Hilela o zmierzchu, tylko we dwoje, gdy chmury o zachodzie słońca płynęły nad nimi jak wspaniałe pomarańczowo-szare okręty, które mogły zawieźć ich do najdalszych, odosobnionych krain. Ale tocząca się w niej walka była od początku przegrana. Nie mogła zostawić Hilela samego.

Jej zadaniem było dostarczanie wiadomości od Hilela księżniczce i na odwrót. Znała już labirynt uliczek między pałacem, rzeką i świątynią tak, jak ludzie znają własne ogrody. Służyła też za posłańca pomiędzy Hilelem a jego oficerami w górach. Hilel wierzył, że może poprowadzić powstanie z ukrycia, a Ela została obarczona rzeczywistą pracą. W sadzie należącym do lojalnych chłopów, za miastem, zamówił dla niej osiodłanego konia. Zmusiła Hilela, aby jej obiecał, że nie spotka się z księżniczką bez niej, i ruszyła galopem w góry, by przekazać rozkazy oficerom ze sztabu generalnego. Starannie ukrywała przed podejrzliwym Al-Namirem rodzącą się więź między Hilelem a Nino. Choć kusilo ją, aby wydać ich sekret, wiedziała, że jeśli to zrobi, skutki będą katastrofalne.

Nie miała trudności z utrzymaniem pajęczyny kłamstw, którą uplotła. Oficerowie tak bardzo ufali swoim przywódcom, że bez pytania spełniali jej życzenia. Ela wypełniała zadanie z rozdartym sercem. Jej miłość i lojalność wobec Hilela były niepodważalne. Ale nienawidziła stawać twarzą twarz z oficerami i patrzeć im w oczy, wiedząc, że ich przywódca bardziej interesuje się tym, co działo się w sercu następczyni tronu, niż ich problemami z poborem, aprowizacją i amunicją. Gdy zaczęły wiać ciepłe wiatry, a zielone łupiny migdałów chroniące brązowiejące nasiona stwardniały, już sama wydawała rozkazy i sama wszystkim się zajmowała. Tak było lepiej. Jeśli księżniczka miała rację i planowano wypuścić nowe lekarstwo podczas Święta Lata, zostało im bardzo niewiele czasu. Powstanie, żarzące się przez lata, teraz musiało rozpaść się w wojnę.

Operację w elektrowni w Ur przygotowano bardzo starannie. Wszystko było gotowe do akcji, a Ela miała nadzieję, że da jej to szansę, aby sprowadzić Hilela z Babilonu. W drodze do miasta powtarzała w głowie ostateczne argumenty, które zamknęłyby dyskusję. Ale kiedy dotarła do ich kryjówki, zastała tam podekscytowanego Hilela z błyszczącymi oczami.

– Co się stało?

Hilel z wrażenia nie był w stanie nic przed nią ukryć.

– Wczoraj w nocy byłem z Nino.

Ela poczuła, jak krew dudni w jej żyłach jak taran.

– Przecież powiedziałem ci, żebyś nie szedł tam beze mnie!

– Od kiedy to mi rozkazujesz?

– Mam nadzieję, że ukryła się za parawanem?

– Tak, tak, nie martw się. Ten głupi parawan nie jest ważny. Posłała po mnie, żeby się spotkać, bo się martwiła. Dzień wcześniej musiała zażyć dwudziestą drugą pigułkę. Rozumiesz to? Dwadzieścia dwie dawki tej trucizny. Teraz jest maj. Zostały nam tylko dwie pigułki – dwa miesiące – do Święta Lata w lipcu. Ale jest i dobra wiadomość: księżniczka opowiedziała mi, że myśli, że moja obecność coś w niej budzi. Kiedy jestem obok, ona czuje jakieś ciepło, jakby mała myszka skakała w jej sercu. Być może, gdyby udało mi się zbliżyć do niej trochę bardziej, wpływ lekarstwa osłabłby i zniknął.

– Hilelu, czyś ty oszalał? Nie wolno ci się do niej zbliżyć nawet o kolejny centymetr! Nie rozumiesz, co się dzieje? Jesteś o krok od klęski! To klątwa twojej matki. Musisz natychmiast opuścić to miasto. Potrzebujemy cię w górach. Wojna nie może się zacząć bez ciebie.

– Uspokój się, Elasio. Wojna zacznie się wtedy, kiedy powinna się zacząć.

– A co z operacją w Ur?

– Możesz ją przeprowadzić nie gorzej ode mnie. Jesteś z nami już prawie dwa lata i znasz nasze wojska równie dobrze jak ja.

– A co z tobą?

– Muszę zostać przy księżniczce. Ona mnie potrzebuje.

Ela w złości odwróciła się do niego plecami.

– Mylisz się, Hilelu. Nie masz pojęcia, jak bardzo się mylisz. To my cię potrzebujemy.

Rozgoryczona opuściła kryjówkę i Babilon. I właśnie z tą samą furią jechała na czele swoich oddziałów dwa tygodnie później, w bezksiężycową noc, gdy prowadził ich tylko niebieskawy blask kominów elektrowni w oddali. Jak głupi może być nawet najszlachetniejszy z mężczyzn! Nie czuł, że zaślepiąły go uczucia? Czy straciła Hilela na zawsze? Nie miała serca przekazać najgorszych wieści Al-Namirowi, który jechał obok niej z zasłoniętą twarzą. Dla nich Hilel nadał stał na czele powstania. A ona go zastępowała. Może dopadła go klątwa, ale jej nigdy się to nie przydarzy. Wolałyby umrzeć niż zdradzić ich sprawę. Dopilnuje, aby wybuchło wielkie powstanie.

Gdy zbliżyli się do celu, zsiadli z koni i po cichu zakradli się do elektrowni, której wzmocnione szklane ściany pod napięciem i reflektory nieustannie patrolujące okolice oświetlały opuszczoną dolinę. Ela przyglądała się im z obawą. Plan buntowników wydawał się przy nich dziecinny i słaby. Czy mieli szansę je pokonać?

Do akcji wkroczyły teraz dwa demony: Osgod i Szulak. Ela miała nadzieję, że z pomocą szamanów demony w końcu pokażą zdumiewającą moc i zmienią się w broń pierwszej klasy. Te życzenia nie do końca się spełniły. Ale demony okazały się istotami bystrymi i skłonny do współpracy. Skrzydlatemu Osgodowi wreszcie odrosły pióra i znów mógł unosić się nad ziemią, zaś Szulak, demon o wyglądzie brudnej nutrii (teraz trochę bardziej zadbane), mógł kopać i gryźć. Ela dała znak i Osgod chwycił Szulaka pazurami za kark, wzbil się w powietrze i rzucił go po drugiej stronie muru. W błędzących promieniach światła demon przypominał dużego nocnego ptaka, który upolował królika. Szulak zakradł się do ściany i w strategicznych punktach przymocował ładunki wybuchowe, które dał mu Al-Namir. Na znak saperów wszyscy zasłonili głowy rękami. Potężna eksplozja wstrząsnęła spokojną doliną, a w ścianie powstał szeroki wyłom. Wyszukoleni wojownicy szybko rzucili się do środka (Ela rozpoznała Ratifa, który z zasłoniętą twarzą wymachiwał strzelbą) i natknęli się na oddziały sylf, które natychmiast przyleciały, gdy tylko rozbrzmiał alarm.

Sylfy, jako element natury nieulegający rozpadowi, były odporne na pociski i strzały. Jediną szansą, aby je zneutralizować, był trujący gaz. Wyposażeni w maski przeciwgazowe buntownicy rozrzucili bomby gazowe we wszystkie strony. Ela zobaczyła, jak przezroczyste, mieniające się ciała sylf wypełniają się brudnym dymem, tracą blask i z trzepotem spadają na ziemię. Zanim dojdą do siebie i się oczyszczą, buntownicy mogli przemieścić się w stronę kluczowych budynków elektrowni.

Gdy żołnierze strzelali i wysadzali w powietrze wszystko, co stało im na drodze, Ela zaczęła działać. Musiała wspiąć się na centralny komin i wrzucić bombę do środka, prosto do głównego silnika. Pobiegnęła w stronę komina pod osłoną żołnierzy i zaczęła się wspinać po metalowej drabinie. Im wyżej była, tym bardziej kołysana wiatrem drabina chwiała się pod jej stopami. Ale nawet lęk wysokości i nocny ziąb nie mogły powstrzymać Eli. Hilel mógł być z niej dumny. Znakomicie wypełniła swoje zadanie. Przez jej głowę przemknęła myśl: może naprawdę mogłaby poprowadzić powstanie? Ale nie chciała tego. Nie we wszechświecie, w którym był Hilel. Wolała mieć go u boku, jasnowłosego i pokrzepiającego niczym gwiazda poranna.

Gdy dotarła do najwyższej platformy komina, okazało się, że ma towarzystwo. Ogromna sylfa, która uciekła z zamieszania na dole, czekała na nią na szczycie. Gdyby otoczyła Elę zimnymi skrzydłami, zamroziłaby ją na śmierć. Ela manewrowała jak akrobatka, podchodziła do sylfy i się cofała. Gdy ta zrozumiała, że nie zdoła złapać dziewczyny, wyciągnęła łuk i wystrzeliła lodowatą sylficzną strzałę, która wbiła się w udo Eli jak usypiający zastrzyk. Gdyby trucizna dotarła do serca, zabiłaby ją. Każda mijająca minuta działała przeciwko niej. Ela zaczęła szukać przy pasku granatu gazowego. Ale ku swemu przerażeniu odkryła, że zużyła wszystkie. Została jej tylko specjalna bomba, misterna konstrukcja Al-Namira. Sylfa jakby odgadła jej zamiary i zablokowała drogę do wejścia. Czy powinna zarzucić swoją misję i wrócić na dół, aby wyjęli z jej ciała zatrutą strzałę, zanim będzie za późno?

Nie. Nie wycofa się. Uruchomiła mechanizm opóźnienia zapłonu. Jej los był przesądzony. Chciała przebiec prosto przez przezroczyste ciało sylfy i rzucić się do środka komina razem z bombą. Miała nadzieję, że Hilel będzie za nią tęsknił. Gdyby tylko tak było. Czy powiedziałby Nino, że jego przyjaciel Elas był dzielnym wojownikiem? Czy w ogóle pamiętałby ją teraz, gdy był zajęty swoją księżniczką? Ruszyła w kierunku sylfy, która unosiła się na jej drodze niczym ogromna meduza i gniewnie płonęła wszystkimi odcieniami ognia. Ale furia sylfy tylko wznieciła płomień furii w sercu Eli. Nie, nie zrezygnuje bez walki z mężczyzną, na którym jej zależało. Nagle przyszedł jej do głowy lepszy pomysł.

Ela się skupiła. Musi zaufać swoim nerwom i zaczekać do ostatniej chwili. Biegła dalej, coraz szybciej. Już czuła zimną mgłę otaczającą sylfę i słodkawy zapach odświeżacza powietrza. Teraz dzielił je może krok lub dwa. Ale gdy sylfa wykonała swój słynny zabójczy ruch, Eli już tam nie było.

Zdezorientowana sylfa objęła skrzydłami pustą przestrzeń. Teraz rozglądała się na wszystkie strony, szukając ofiary, która nagle zniknęła. Na próżno. Ela była jednocześnie blisko i daleko od niej. Wykonała krótki metachroniczny skok w przyszłość. Trzy sekundy później pojawiła się w tym samym miejscu i ponieważ sylfa była już metr dalej, bez przeszkód pobiegła w kierunku otworu komina. Wrzuciła do środka tykającą bombę. Sylfa rzuciła się za bombą i zanurkowała do komina z mrozującym krew w żyłach piskiem

rozpaczy. Ela nie miała ochoty przyglądać się spektaklowi. Podbiegła do krawędzi komina i skoczyła w wyciągnięte ramiona nocnego powietrza.

Spadała swobodnie, oddzielona od wszystkiego, co wiedziała i znała. Przez jej głowę przemykały różne obrazy, twarz Jonatana, Hilela, mamy i taty. Tak bardzo chciała żyć długo, mieć czas, aby pokazać im, jak bardzo ich kocha. Ziemia zbliżała się niepokojąco szybko, Ela słyszała w uszach świst powietrza. Zderzenie było nieuniknione. Mocno zacisnęła powieki i otworzyła je dopiero wtedy, gdy poczuła silne szarpnięcie za kołnierz.

– Całe szczęście, Osgodzie. Już myślałam, że nigdy się nie zjawisz...

Demon mocno wczepił pazury w jej koszulę i z całej siły machał skrzydłami. W końcu udało mu się wzbić w powietrze. Ela, zawieszona między niebem a ziemią, usłyszała za sobą potężny wybuch. Wielki komin elektrowni eksplodował fontanną płomieni. Tak. Dokonała tego. Wypełniła swoją misję. Czuła nie mniejszy wybuch dumy, zalewający jej serce, rozświetlający jej wnętrze jak słońce. Teraz już nic jej nie powstrzyma. Ona, Ela Margolis, mogła stanąć na czele powstania. Pokonać każdego, kto stanie jej na drodze i usunąć każdą przeszkodę. Nawet księżniczka, następczyni tronu, nie mogła się z nią równać. Pogłaskała mały sztylet Al-Namira pod cholewką buta i już wiedziała: jeśli będzie trzeba, nie zawaha się go użyć.

Rozdział trzynasty

Wodzirej Cieni

Odcięcie energii wstrząsnęło Babilonem. Bucząca elektryczna ściana wokół pięciu rzek stała się zwykłym szkłem, a wartownicy rozbiegli się w panice. Strażnicy przez megafony nawoływali o zachowanie spokoju. Okrągłe sterowce zawisły kilka metrów nad ulicami, a tramwaje elektrosyldyczne zamarły na przewodach. Cały miejski ruch ucichł. Także almatoskopy zamilkły. Ci, którzy właśnie mieli się poddać badaniu, snuli się przygnębieni ulicami. Przerażeni kapłani uzdrowiciele zaryglowali się w wielkiej świątyni.

Ten widok ucieszył Nino. Rozbawiło ją zwłaszcza oświadczenie satrapów, że wszystko mają pod kontrolą. Wyglądało na to, że elektrownia w Ur została poważnie uszkodzona. Natychmiast wezwano tam zastępy techników i sylf ze wszystkich zakątków imperium. Ale na razie księżniczka mogła się pocieszać nadzieją, że to zdarzenie popsuje plany Nasera El-Dora związane ze Świętem Lata.

Nino siedziała w swoim palankinie. Naser El-Dor dał jej specjalne zezwolenie na opuszczenie pałacu, aby przysłała do jego biura w świątyni po comiesięczną dawkę leku. Dwudziesta trzecia pigułka, którą niedawno połknęła, teraz rozpuszczała się w jej żołądku jak lodowata kałuża. Niosący lektykę strażnicy księżniczki przedzierali się przez wzburzony tłum wypełniający brudne ulice, aby dostać się z powrotem do pałacu, a tymczasem Nino z całych sił starała się trzymać myśli o Hilelu.

Hilel. Był jedynym płomieniem świecy, która oświetlała ciemną jaskinię sopli. Jak dobrze, że udało jej się sprowadzić go z gór. Bez niego zgasłaby w niej ostatnia iskra nadziei. Czasy, gdy uważała go za wroga, teraz wydawały się jej odległe i dziwne. Nie mógł być wrogiem, bo przysiągł poświęcić swoje życie imperium, tak samo jak ona. Nie wiedziała, czy to Hilel jest jasnowłosym jeźdźcem, którego widziała w snach, ale tylko jemu udało się jeszcze obudzić w niej jakieś ciepło. Gdyby nie lekarstwo, na pewno by się w nim zakochała. Trudno było nazwać to, co teraz czuła, miłością. Ale było to już coś. Jakiś znak ludzkiego życia. Czy gdyby znów go zobaczyła, jej uczucia stałyby się silniejsze i przebiły zbroję, która je osłaniała? Jeśli tak, musiałoby się to wydarzyć szybko. Zanim Naser El-Dor da jej ostatnią pigułkę, która ostatecznie zmrozi jej duszę.

Lektyka zatrzymała się z nagłym wstrząsem przy targu drobiu. Coś się działo. Otoczył ich rozgorączkowany tłum. Gdy Nino odsunęła zasłonę, zobaczyła lecące pióra i biegających w kółko ludzi. Do palankinu podszedł spocony dowódca straży. Zasalutował, dysząc ciężko, a królewscy strażnicy odpowiedzieli mu tym samym. Poprosił ich o pilną pomoc w pościgu za demonem, który skorzystał z ogólnego zamieszania i uciekł. Środkiem uliczki ze straganami z drobiem i wieprzowiną płynął zasłonięty szklaną pokrywą płytki strumień, do którego spływała przez rury krew zabitych zwierząt. Jeden z demonów zobaczył w wodzie rybę i próbował rozbić szkło, aby ją dopaść. Uderzał w szkło raz za razem, robiąc straszny rumor, aż przypadkiem wypuścił z zagrody grupę kwiczących świń. Potem spróbował wcisnąć się do środka przez jedną z rynien odprowadzających krew, ale był za gruby i utknął. Dowódca oddziału straży już prawie go złapał, ale demon nadał się i wypuścił

wielką cuchnącą chmurę. Oficer zemdłał. W końcu demon przedostał się do rynsztoka. Żołnierze widzieli, jak goni pod szkłem za rybą, wijąc się jak wąż. Pobiegli za nim wzdłuż brzegu, ale w końcu go zgubili.

Strażnicy Nino znużeni niesieniem lektyki przystali na prośbę dowódcy straży i dołączyli do pościgu.

– Niech się księżniczka stąd nie rusza! – ostrzegli ją i zostawili palankin na środku uliczki.

Dawna Nino nawet nie pomyślałaby o tym, by ich posłuchać. Nie tracąc ani chwili, zniknęłaby na targu. Ale nowa Nino czuła w kończynach jakąś niemoc, jakby stężał w nich budyń. Jej umysł był ociężały i zamglony. Musiała się zmusić, by wstać i postawić haftowany sandał na kamiennej ulicy targu. Od razu ochlapało go czarne, tłuste błoto.

– Co ty robisz? – usłyszała zaniepokojony głos Mimozy z lektyki.

– Ja? Ach, nic.

– Mam w koszyku pudełko pistacjowej bakławy. Może masz ochotę...

Wtem na lektykę wpadła hałaśliwa grupa handlarek wygrażających pięściami żołnierzom, którzy w pościgu przewrócili ich klatki z ptactwem. Nino dała się im ponieść bezwiednie niczym lunatyczka. Wołanie Mimozy zginęło wśród innych głosów. Leki przytępiły pamięć księżniczki i choć kiedyś dobrze знаła tę część miasta, teraz gubiła się na ulicach. Nagle uderzyła czołem o klatkę z indykiem powieszonym na jednym z łuków. Rozzłoszczony ptak zaczął ją dziobać, wzbijając chmurę pierza. Kiedy przestała machać rękami i kaszleć, nie wiedziała już, gdzie jest jej lektyka. Ludzie popychali ją i przeciągali. Gdy znalazła się na niewielkim placu zrozumiała, że otaczający ją tłum porusza się z własnej woli, bez żadnego związku z zamętem w mieście.

Plac ten poświęcony był niegdyś bogini Nin-Gilbu, patronce mleczarzy. Na środku placu wciąż stał jej posąg zniszczony przez odchody gołębi. Bogini przyciskała maselnicę do pełnej piersi. Teraz statua służyła za tło niezwykłego przedstawienia.

Pierwszą rzeczą, na którą zwróciła uwagę Nino, był zasapany brudny demon o czarnej sierści pochylony nad dużym metalowym garnkiem stojącym na ogniu. Energicznie nakręcał małe obłoczki różowej waty cukrowej. Od czasu do czasu zanurzał łapę w garnku i żarłocznie pochłaniał kawałek wełnistego cukru, który zostawiał na jego pysku lepkie ślady, odrażająco stapiające się z ogólnie tłustą aparycją demona. Słodką watę, szczerze doprawioną czarnymi kłakami, podawał podeksycytowanym ludziom w kolejce przedłużającej się z każdą chwilą, a każdy kładł na jego łapie pół złotego dinara. „Rozbój w biały dzień!”, pomyślała Nino. Ale wręczał słodki smakołyk dopiero wtedy, gdy stojący nad nim chłopak, sprytnie przebrany za serowara, poddał osobę terapii, której natury Nino nie mogła pojąć.

Dopiero po kilku minutach zrozumiała, że to milczący chłopiec był centrum całej sprawy, a nie nadpobudliwy demon.

– Wodzirej Cieni!

Przez tłum zebranych przeszedł ożywiony szept. Nino poczuła dreszcz na plecach. Wszyscy wpatrywali się w chłopca, zauroczeni, próbowali przepchnąć się do przodu i go dotknąć. Nie mogła oprzeć się poczuciu, że ich rozumie, bo nawet krótkie spojrzenie na niego obudziło w niej odległe wspomnienie przyjemnego, słonecznego dnia. Chłopiec wyglądał jakoś znajomo. Ale skąd by go znała? Gdzie go wcześniej widziała? Próbowała sobie przypomnieć. Był szczupły, ale miał w sobie jakąś magnetyczną siłę. Jego poważna,

inteligentna twarz budziła zaufanie, a prosty nos śmiało sterczał do przodu. Miał jasne, kręcone włosy, potargane i splątane jak brudne ptasie gniazdo. Jego chłopięce mięśnie zaczęły się już rozwijać, a ramiona poszerzyły, do czego on sam jeszcze nie zdążył się przyzwyczaić, co było widać po nieporadnych ruchach. Jego jabłko Adama wystawało wstydliwie, a twarz porastał miękki puch, którego jeszcze nie golił.

– Czy to możliwe?

– Mogę ci jakoś pomóc? – zapytał chłopak.

Jego głos wstrząsnął Nino i rozproszył mgłę w jej umyśle. Czy to możliwe, że to on jest tym jasnowłosym jeźdźcem, którego widziała w snach? Czy nie myliła się, myśląc, że to Hilel ben Szachar, gdy tak naprawdę był to ten nieznamy chłopak?

Zaskoczona Nino poczuła, jak jej serce wysyła nerwowy pulsujący sygnał przez jej żyły niczym telegram między dwoma demonami komunikacji. Straciła miejsce w kolejce. Chłopiec przyglądał jej się ze zdumieniem. Pozwoliła, aby tłum zepchnął ją na krawędź placu.

– Kto to jest? – zapytała handlarke parzonymi ciastkami, która stała tuż obok niej z chorowitą córką.

Wielkooka dziewczynka, mniej więcej sześćioletnia, była bardzo drobna na swój wiek i jakby postarzała.

– Nie słyszałaś o nim? Całe miasto mówi o Wodzireju Cieni.

– Ale kto to taki?

– Przybył, aby nas uzdrowić. Ma wspaniały lek przeciwko ciemności. Dotyka cię i... puf! Jak czary. Bez żadnych badań i lekarstw. Chodź, Kamanandro. Jeśli się nie wciśniemy, nie dostaniemy się do niego przez zmrok.

Nino była coraz bardziej zdumiona. Wystarczyło jedno spojrzenie na chłopaka, aby zrozumiała, że łączy ich niepodważalna więź. Wszystko, w co wierzyła przez ostatni rok, teraz zostało wstrząśnięte i mogło się zawalić. Czyżby tak trudno było jej zakochać się w Hilelu nie przez lekarstwa, lecz po prostu dlatego, że nie był to właściwy człowiek?

Handlarka i jej córka dotarły już do posągu bogini. Kobieta poszperała w koszyku i wręczyła demonowi do łapy paczkę wilgotnych ryżowych ciastek, zawiniętych w płótno. Nino zauważyła, że nie tylko płacono ustalone pół denara, lecz tłum obsypywał chłopca i jego demoniego menedżera przeróżnymi drobiazgami. U ich stóp piętrzyły się stosy owoców, jajek na twardo, dojrzałych mango, rodzinnych fotografii, świec i szmat. Demon przyjął dar od kobiety z wyrazem świętości na pysku, a handlarka podniosła córkę do chłopca.

– Proszę cię, panie, pobłogosław moją małą Kamanandrę. Dotknij jej swoją świętą dłonią i uchron przed epidemią ciemności!

Nino stała teraz już dość blisko chłopca i widziała, co robił. Zarumienił się odrobinę, gdy usłyszał słowa wzruszonej kobiety, ale nie stracił pewności siebie. Wyciągnął rękę, aby przytrzymać Kamanandrę, a dziewczynka ufnie uśmiechnęła się do niego.

– Światło dla bogów, błoto dla Otchłani, cień do cieni – powiedział cicho do siebie.

Nino zobaczyła, jak cień dziewczynki unosi się, rozszerza, zaokrągla, oddziela od jej ciała i wzbija w powietrze niczym ciemna, przezroczysta postać. Cienka nić jak pępowina ciemności łączyła dziewczynkę z jej bliźniaczką. Przezroczysta postać wydawała się ponura i przygnębiona, jakby zawarła w sobie całą truciznę i ból z duszy dziewczynki. Nino

zobaczyła w niej płaczącą Kamanandrę, złościącą się Kamanandrę, samotną Kamanandrę, zagubioną i pozbawioną nadziei. Chłopiec nadal trzymał dziewczynkę za rękę. Powoli bliźniaczka z cienia zaczęła się oddalać. Pępowina stawała się coraz cieńsza, aż zostało kilka atomów, a potem tylko magnetyczne przyciąganie. Cień unosił się w powietrzu tajemniczy niczym aura księżycy w świetle dnia. Chłopiec wyciągnął z kieszeni prostą harmonijkę i zaczął grać. Nino zdumiała się, gdy zobaczyła, jak ponura bliźniaczka zaczyna łagodnie tańczyć i obraca się niczym jedwabisty wir ciemności. Rozbawiona dziewczynka patrzyła na tańczącą bliźniaczkę. Na jej poważnej, postarzałej twarzy pojawił się wielki uśmiech, przywracając jej dziecięcy wygląd. Ten widok poruszył wszystkich.

– Wodzirej Cieni! Wodzirej Cieni! – wołali chórem i klaskali w dłonie.

Bliźniaczka z cienia tańczyła dalej swój łagodny taniec, zrzucając warstwy skrzęcej się ciemności niczym szale. Rozpadała się powoli, cząsteczka po cząsteczce, aż w końcu, coraz bardziej blaknąc, odpłynęła w dal nad ich głowami i zniknęła nad dachami domów. Tłum odpowiedział gromkimi brawami. Lecz Nino, która miała ostrzejszy wzrok, zobaczyła, że przezroczysta postać wcale nie zniknęła do końca. Jak na świątynnych witrażach, na których dusza zstępuje jako ważka, aby zamieszkać w ciele Odmuela, tak cień dziewczynki powoli wrócił i wniknął w ciało chłopca przejrzystym deszczem. Chłopiec wzdrygnął się, a jego członki przeszły jasna błyskawica. Nino zastanawiała się, czy on sam rozumiał, co się dzieje. Ale tymczasem tłum skupił się na Kamanandrze. Gdy bliźniaczka cienia zniknęła, dziewczynka wybuchnęła głośnym śmiechem, jakby kamień spadł jej z serca.

– Co on jej zrobił? – zapytała zdumiona Nino matkę Kamanandry.

– Uleczył ją. Nie widziałaś?

Nino miała wątpliwości. Czy to, co widziała, było dobre czy złe? A jeśli było dobre, to dla kogo? Ale dziewczynka wyglądała na szczęśliwą i zdrową. Roześmiała się jeszcze głośniej, gdy demon podał jej obłok różowej cukrowej waty na patyku, i w podskokach pobiegła w tłum. Nino widziała, że dziewczynka naprawdę promieniała. Tam, gdzie wcześniej był jej cień, został nieostry mleczny obrys jak ślad na piasku po odpływie.

– Satrapowie o tym wiedzą? – zapytała Nino.

– Oj, nie przypominaj mi o tych draniach. Oczywiście nienawidzą Wodzireja Cieni, bo okrada ich z zysków. Zupełnie bezboleśnie usuwa cienie, bez tych wszystkich głupstw z adoracją Marduka, badaniami i obozami kuracyjnymi.

Ludzie dookoła wydawali się równie podekscytowani, co matka Kamanandry. Energicznie klaskali i przepychali się do przodu w stronę demona i jego garnka słodkiej cukrowej waty.

– Dla mnie też, dla mnie też! – wołali, a demon pracował z szaleńczą prędkością, giętkim ogonem chwytając monety i wrzucając je do kapelusza za nim.

Jasnowłosy chłopiec, który stał ponad tłumem, wydawał się zakłopotany.

– Mówiłem ci, żebyś tak nie zdierał za te twoje słodkości – powiedział grzmiącym szeptem do demona.

– To z czego będziemy żyć? Z twojego talentu?

– Cóż, po to tu przyszli.

– Ale ty nie chcesz wziąć ani grosza za te swoje cuda! Już ci mówiłem: sto denarów w złocie za osobę. To jest odpowiednia cena.

– Nie mogę od nich brać pieniędzy. A jeśli ich nie mają?

– Na szczęście dla nas ja mogę. Ty się zajmij swoimi świętymi sprawami i nie wtrącaj się w moje.

Chłopiec skrzywił się, jakby ugryzł coś niesmacznego, a Nino poczuła ukłucie współczucia.

– Hej, jak ci na imię?! – zawołała do niego z dołu.

Jego oczy odnalazły ją w tłumie i wydawało się jej, że ucieszył się, iż znów ją widzi.

– Jonatan. A ty jak się nazywasz?

Nino otworzyła usta, żeby mu odpowiedzieć, lecz nagle rozległ się potężny wybuch, daleko, ponad dachami. Wszyscy padli na ziemię, zasłaniając głowy rękoma.

Nikt z zebranych na placu nie zwrócił uwagi, że przez cały czas ktoś obserwował ich z ukrycia. Potężna, srebrnowłosa postać przykucnęła na dachu jednego z budynków, ukryta za kominem. Uważnie obserwowała wszystko, co się działo, i jako jedyna zauważyła, że policyjny sterowiec skradał się w stronę tłumy. Okrągły pojazd wzniósł się nad dachami jak księżyc. Ale w tej samej chwili postać wyciągnęła strzałę z kołczanu, podpaliła ją i wystrzeliła prosto w brzuch powietrznego statku. Ogromna kula eksplodowała serią głośnych fajerwerków i spadła na ziemię w kłębach gęstego dymu.

Ale łucznik się spóźnił. Policjanci zdążyli zawiadomić kolegów o tym, co działo się na placu. Dokoła rozbrzmiały okrzyki, gdy na plac wpadł z tętentem kopyt oddział kawalerii, a wśród nich straż przyboczna Nino. Kiedy żołnierze zaczęli przedzierać się w stronę bogini z maselnicą, ludzie wpadli w panikę.

– Chyba powinniśmy się zwinąć, póki jeszcze możemy – powiedział demon i podniósł swoje nakrycie głowy, wypełnione monetami. – Chodź, mały, czuję, że to nie jest twój fanklub.

Za późno. Dowódca oddziału, na grzbiecie ambitnej, niewysokiej klaczy, stanął w strzemionach.

– To ten śmierdzący demon! – zawołał ochryłym głosem i wskazał mieczem Pazuzu. – Brać złodzieja!

Demon zbladł pod sierścią. Otoczyli go kawalerzyści i żołnierze piechoty. Chłopiec próbował się schować w fałdach rozpadającego się posągu bogini.

– Niewiarygodne! Jest i Wodzirej Cieni! Coraz lepiej. Egzekutor w więzieniu będzie tańczył z radości.

– Nie zrobiłem nic złego – próbował się bronić chłopiec. – Tylko pomagam ludziom, słowo.

– Pomagasz? Obywatelom imperium mogą pomagać wyłącznie Marduk i jego kapłani.

– Zostawcie go! – krzyknęła Nino. – On nic nie zrobił.

Ale tylko ściągnęła na siebie uwagę dowódcy swojej straży przybocznej.

– A co ty tutaj robisz, księżniczko? – Chwycił ją za ramię uprzejmie, lecz zdecydowanie. – Chyba prosiliśmy, abyś zaczekała w lektyce.

Pociągnął ją w stronę uliczki, a gdy odwróciła głowę, by po raz ostatni spojrzeć, zobaczyła, jak królewscy żołnierze związują chłopca i demona i na wszelki wypadek zadają im kilka mocnych ciosów w brzuch.

Tylko postać w ciemnej szacie śledziła dalej to, co się działo. Zaczekała, aż miejsce całkiem opustoszeje i znów stanie się kamiennym brudnym placem, z przewróconym garnkiem z cukrem demona i kilkoma rozrzuconymi butami, zgubionymi w zamieszaniu.

Wtedy opuściła kryjówkę i zniknęła, skacząc z dachu na dach.

– Gdybyś nie zajął się tą głupią rybą, w życiu by nas nie znaleźli – zauważył Jonatan ponurym tonem po raz setny. – Udało ci się wściec każdego żołnierza w tym mieście.

Grube ściany więziennej celi tłumili jego głos, cichy i słaby. Jonatan siedział na gnijącym sienniku i wpatrywał się w Pazuzu, który leżał na grzbiecie z otwartymi ustami, czekając, aż pajak zwisający z sufitu wpadnie do jego ust. W pozbawionej okien celi panowała gęsta, duszna ciemność. Strażnicy nie zostawili im nawet świeczki. Jonatan widział demona, który teraz przykucał obok niego, tylko dzięki słabemu blaskowi dzikiej salamandry, która pojawiła się na suficie. Demon zrobił zakłopotaną minę.

– Przepraszam. Skrzywienie zawodowe.

– Skrzywienie zawodowe!? Chcą nas zabić!

Siedzieli w celi śmierci. Od czasu do czasu słyszeli krzyki któregoś z nieszczęsnych sąsiadów, gdy strażnicy wyciągali go na zewnątrz, aby zmierzył się ze swym losem. Ile czasu już tu spędzili? Trudno powiedzieć. Przy braku zmian światła i ciemności nie odróżniali dni. Jedzenie przynoszono im nieregularnie i było go tak mało, że czuli, jakby ich żołądki przywarły już do kręgosłupa. Pazuzu zaproponował, by liczyli dni według żeber wystających z ich boków. Ale Jonatan próbował utrzymać rachubę czasu z pomocą zebranych ździebeł słomy. Miał już dwadzieścia siedem. Dwadzieścia siedem dni w więzieniu.

– Wiesz co? – zwrócił się do Pazuzu. – Dziś są moje urodziny. Skończyłem czternaście lat.

– Co ty powiesz?

Jonatan poczuł w ustach gorzki, błotnisty smak. Mały chłopiec, który przybył do imperium dwa lata wcześniej, dawno zniknął. To, co przeżył od tamtego czasu, sprawiło, że przedwcześnie dorósł. Choć delikatny i młody, jeszcze niepewny siebie, był jednak mężczyzną. Jaka szkoda, że nie będzie miał szansy, aby stać się nim naprawdę.

– Pewnie zapomniałeś.

Demon wstał i otrzepał się jak pies.

– Wcale nie zapomniałem, mój jedyny chłopcze! Przecież myślę o tobie dzień i noc. Nawet przygotowałem dla ciebie niespodziankę, najwspanialszy prezent!

– Moją głowę w koszyku?

– Och, nie. Coś o wiele lepszego.

Pazuzu poszperał w szczelinie w ścianie i wyciągnął małą paczkę zawiniętą w serwetkę. Jonatan otworzył ją i znalazł w środku bladego, tłustego robala, który uniósł przednią część, jakby błagał, by darowano mu życie.

– Smacznego! Zostawiłem go specjalnie dla ciebie. Ledwo się powstrzymałem, żeby nie odgryźć kawałka czy dwóch.

Jonatan był wzruszony, a jednocześnie poczuł w gardle coś lepkiego, ciepłego i miękkiego. Wiedział, jak bardzo demon musiał się poświęcić, aby przekazać robaka w całości.

– Pazuzu, jesteś prawdziwym przyjacielem. Może obaj niedługo zginiemy, ale chciałbym, żebyś to wiedział.

– Ja też nigdy nie miałem takiego przyjaciela. I to człowieka.

– Proponuję, abyśmy przed śmiercią przysięgli sobie wieczne oddanie.

– Chcesz nakłuć palce, wymieszać naszą krew i tak dalej?

Pazuzu znał już wszystkie historie o Indianach, detektywach i superbohaterach, które Jonatan opowiadał mu w kółko przez dwa lata ich znajomości.

– Coś w tym stylu.

– A to na pewno higieniczne?

– Od kiedy dbasz o higienę?

– Racja. Coś w tym jest.

Podrapali opuszki palców ostrym kawałkiem kamienia i odprawili rytuał.

– Demony i ludzie zawsze wtykali nos w sprawy tych drugich – powiedział Pazuzu. – Wykorzystywali, zastrasza i torturowali się nawzajem. Po raz pierwszy w historii ktoś z mojego ludu zawiera przymierze przyjaźni z kimś z rodzaju ludzkiego.

Jonatan pomyślał, że demon chyba też się wzruszył, bo próbował odwrócić mokry pysk.

– Dobrze. Skoro zawarliśmy przymierze i jesteśmy jednym ciałem i krwią, mogę ci oddać robala, żebyś sam go zjadł.

Jonatan wiedział, że musi spotkać się z Archiwistką twarzą w twarz. Strażniczka Akt znała wszystkie odpowiedzi dotyczące jego losu i przyszłości. Może Belli Gluck ten pomysł się nie spodoba, ale nie zamierzał zrezygnować z najważniejszego spotkania w życiu.

Drzwi do gabinetu Archiwistki były zamknięte od środka. Jedyne zapasowe klucze miała panna Gluck wetknięte w siwy kok z tyłu głowy. Jedyną szansą, aby go wykraść, był czas, gdy spała. Tyle że panna Gluck prawie w ogóle nie sypiała. Jako starzejąca się stara panna bez reszty oddana swojej pracy spędzała w niej każdą wolną chwilę. Dopiero gdy przez pewien czas śledzili jej każdy ruch, odkryli, że ma jednak prywatny kącik na szczycie jednej z wież. Mały, zimny pokój był po kolana wypełniony stosami wycinków ze starych gazet i przypominał szczerze gniazdo. Na środku stała spartańska kozetka, a na niej, przykryta gazetami, spała panna Gluck. Na parapecie siedziała stara sowa płomykówka, a jej okrągła głowa obracająca się jak śruba patrolowała pokój niczym reflektor.

Jonatan i Pazuzu postanowili powędkować. Zaopatrzyli się w długą tyczkę, sznurek i zakrzywiony gwóźdź. Na połów wybrali bezksiężycową noc. Jedynym światłem migoczącym w pokoju panny Gluck był czerwony blask oczu sowy. Jonatan zarzucił wędkę i udało mu się coś złapać.

– Mam! – szepnął do Pazuzu.

Ale okazało się, że złapał tylko kołnierzyk panny Gluck, która jęknęła przez sen i odwróciła się na drugi bok. Za drugim razem złowili okulary bibliotekarki. Dopiero po kilku nieudanych próbach haczyk zaczepił się w końcu o klucz w jej włosach. Powoli, aby nie przestraszyć sowy, wyciągnęli go. Czujny ptak załopotał skrzydłami, lecz dopiero gdy ruszyli biegiem po schodach, usłyszeli alarmujący wrzask sowy. Ale wtedy było już za późno.

– Stójcie! – usłyszeli krzyk bibliotekarki. – Zaczekajcie! Nie zamierzali czekać. Zadyszani dotarli do gabinetu. Jonatan otworzył zewnętrzne drzwi, a potem, trzęsąc się ze zdenerwowania, podeszli do wewnętrznych drzwi, na których niczym rząd czekoladek w połączonych papierkach pyszniły się kuszące złote litery:

W środku świeciło się światło, a nad biurkiem pochylał się cień Archiwistki. Jonatan z całej siły załomotał w drzwi.

– Proszę otworzyć, panno Beletseri! Muszę z panią pomówić.

Archiwistka była zajęta swoimi sprawami i nie miała czasu odpowiedzieć.

– Bardzo panią proszę. Przepraszam, że pani przeszkadzam, ale to naprawdę pilne.

I tym razem nie doczekał się odpowiedzi.

– Użyj klucza – rzucił Pazuzu. – Szybko, sekretarka idzie.

Jonatan wyciągnął klucz. Drżącymi rękami otworzył drzwi, a Pazuzu wepchnął go do pokoju, zanim zdążył zmienić zdanie. Od razu obaj kichnęli. Pokój w ogóle nie wyglądał tak, jak sobie wyobrażali. Cały był pokryty pajęczynami i grubą warstwą kurzu. Służył jako magazyn przedmiotów, które być może kiedyś były imponujące i bardzo ważne. Otaczały ich półki ze starociami, imbrykami do herbaty, nadjezdzonymi przez mole książkami, lampionami i eleganckimi kapeluszami, które dawno wyszły z mody. Naprzeciwko nich, za czarnym biurkiem, siedziała pochłonięta pracą Archiwistka. Jonatan ruszył w jej stronę, gdy nagle jego cień, rzucony przez migoczący strumień światła za jego plecami, sprawił, że postać zniknęła.

Jonatan odwrócił się zdumiony i od razu zrozumiał, skąd dobiegał cichy trzask, który słyszeli w pokoju. Na półce za jego plecami stał stary projektor filmowy. Wyświetlał na ścianie prawdziwy obraz tego pokoju (z lepszych czasów, kiedy panowały tu porządek i czystość). Pośrodku gabinetu na starym filmie siedziała czarno-biała kobieta, która, jak się okazało, miała przedstawiać Strażniczkę Akt.

Wyglądała jak dawna gwiazda kina niemego o słodkiej twarzy w kształcie serca, białej jak kreda, czarnowiśniowych ustach i oczach ukrytych pod wachlarzami ciemnych rzęs. Jej ubranie wyglądało jak tani kostium, niemodny strój tancerki brzucha: szarawary, haftowane szale i ciżemki o ostrych czubkach. Na głowie miała mały, wyszywany czepek, z którego zwisały sznury koralików kołyszące się w jej ciemnych włosach jak dym. Kobieta spokojnie zanurzyła pióro w kałamarzu i w skupieniu wodziła nim po papierze. Potem podniosła wzrok znad leżącej na biurku kartki, oparła uroczy podbródek na dłoni i patrzyła w zamyśleniu w przestrzeń. Żadne zdarzenie w fizycznym pomieszczeniu nie mogło zmącić jej celuloidowego spokoju.

– To nawet nie jest ona – westchnął zawiedziony Jonatan. – To tylko aktorka.

W tej samej chwili do środka weszła Bella w nocnej koszuli, ze skrawkami gazet we włosach. Gdy zobaczyła, co się dzieje, wybuchła płaczem.

– Pani Malkizohar! – łkała. – Niech mi pani wybaczy, o oświecona, cudowna skrybo! Co za hańba!

– Trzeba było sprzedać bilety na seans – mruknął Pazuzu ze złością.

Bella pociągnęła nosem.

– To nie moja wina, naprawdę, to nie moja wina. Ja tylko starałam się robić to, co słuszne i dobre. Zawsze chciałam, aby pani Beletseri siedziała tu i odpowiadała na pytania wszystkich. Ale wiecie, jaka jest zajęta, to bardzo ważna kobieta. Musiała zająć się duszami, które czekają na swoją kolej na Pustyni Duchów. Musi być w tysiącu i jednym innych miejsc. Czego ma szukać między takimi małymi ludźmi jak my? Co może ją interesować

wśród tych stosów papieru tu, w Niniwie?

– Była tu kiedyś w ogóle? – zapytał Jonatan.

– Tak, tak, przysięgam, że była. To najśłodsza kobieta, jaką możecie sobie wyobrazić. I jest taka mądra... Och, najdroższa Malkizohar.

– Dlaczego wciąż pani udaje?

Bella Gluck otarła łzy.

– A co mam zrobić? To gabinet Archiwistki, tak? A ja jestem jej sekretarką, tak? Nadal zbieram dla niej akty urodzenia, akty zgonu, rzeczy, które zafascynują ją, gdy tylko je zobaczy. Jestem tego pewna. A wtedy podziękuje mi z całego serca. Pewnego dnia tu wróci. Wiem, że wróci. A tymczasem, gdyby wydało się, że jej tu nie ma, zwolniliby mnie. I dokąd bym wtedy poszła? Jestem obca w imperium, nikogo tu nie mam.

– Okłamuje pani ludzi i oszukuje ich – zbeształ ją ostro Jonatan.

– Nikogo nie okłamałam. Po prostu starałam się wyciszyć sprawę. Nie zamknęłam biura, ale też nie otwierałam go. A jeśli mimo wszystko ktoś tu przyszedł, tak jak wy, sama szukałam odpowiedzi. Powinniście wiedzieć, że nigdy nikogo nie wprowadziłam w błąd. Mogę powiedzieć, że moje odpowiedzi są nie gorsze od tych, które mogłaby dać sama pani Beletseri.

– A więc nie ma tu nikogo, kto wiedziałby więcej od pani? – spytał Jonatan.

– Obawiam się, że nie.

Jonatan poczuł w ustach mdły, zjełczały smak zawodu. Przez prawie dwa lata, które spędził w bibliotece w Niniwie, wierzył, że w tym pokoju siedziała kobieta, która w swej niezwyklej mądrości mogła odpowiedzieć na jego wszystkie pytania. Zamiast próbować rozwiązać problemy sam, tracił czas na czekanie, aż ktoś inny to zrobi. Ktoś, kogo w ogóle nie było. Był zły na siebie za swoją głupotę i naiwność.

Bella dostrzegła jego rozczarowanie i położyła suchą, kościstą dłoń na jego dłoni, niezdarnie próbując go pocieszyć.

– Możesz tu zostać, jeśli chcesz, i obejrzeć wszystkie filmy z nią.

Jonatan wzruszył ramionami.

– Po co?

Nie interesowały go głupie stare filmy migoczące czernią i bielą, z aktorką, która grała Beletseri z takim oczywistym brakiem talentu. Co właściwie miałby w nich znaleźć? Wszystko wydawało mu się ponure i bezcelowe. Ale nie miał lepszego miejsca, do którego mógłby pójść, i czuł się przygnębiony i wyczerpany. Bella i Pazuzu wyszli, ale on nie znalazł w sobie dość siły, by do nich dołączyć. Przechadzał się między półkami, bezskutecznie szukając czegoś, co mogłoby się przydać, ale wszystko było połamane, zniszczone i bezsensowne. Nieświadomie schował do kieszeni drobiazg, który mu się spodobał, porowatą ciemnoszarą skamielinę przypominającą mały mózg. Po chwili zapomniał o swoim znalezisku. Usiadł na chybotliwym fotelu i oparł głowę o podłokietnik. Chłodne, zakurzone powietrze było ciężkie i otepiające. Jonatan powoli odpłynął w sen.

Fotel był boleśnie niewygodny, a Jonatanowi śniły się koszmary. Przechodził między jawą a snem. Dopiero o świcie zasnął na dłużej. Gdy się obudził, w pokoju panowała zupełna cisza. Pomyślał, że pewnie projektor się wyłączył, ale on nadal działał, a Archiwistka siedziała przy swoim filmowym biurku i pisała udawane listy. Jonatan rozprostował zdrtwiałe kończyny i właśnie miał wstać, aby wyłączyć projektor, gdy nagle

Archiwistka podniosła wzrok.

Jonatan się zdziwił. Mógłby przysiąc, że patrzyła na niego. Jej ciemne, łagodne źrenice wypełniały jej oczy niczym dwie wilgotne śliwki. Wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju tanecznym krokiem, jakby próbowała się do niego zbliżyć. Tak, nie miał żadnych wątpliwości: spojrzała mu prosto w oczy i skinęła palcem, aby do niej podszedł.

Niewiele myśląc, Jonatan wstał i podszedł do ekranu. Był zbyt oziębiały, aby zastanawiać się nad wątpliwą logiką swojej reakcji. Mimo absurdalnego kostiumu, który miała na sobie – i choć tak naprawdę nie istniała – kobieta miała w sobie jakąś magnetyczną moc.

– Kim jesteś? – spytał, nie oczekując, że postać z niemego filmu mu odpowie.

Kobieta tylko się uśmiechnęła i wyciągnęła do niego rękę. Jonatan wyciągnął rękę w jej stronę przez promień światła projektora i zdziwił się, gdy jej dotknął. Jej dłoń była dziwnie ciepła i miła. Przypominała mu dłoń jego mamy. Jonatan poczuł, jak coś przepływa od niej do niego niczym słodki jak miód prąd. Gdy podniósł głowę, zobaczył swój cień oddzielający się od ciała i wirujący w promieniu światła projektora. Cień był do niego podobny, lecz, choć przezroczysty, był cięższy od prawdziwego ciała, jakby zrobiony z bardziej bolesnej, gęstszej materii. Nie minęło wiele czasu, a cień oderwał się od ostatniej nici, która go łączyła, i zaczął tanecznie unosić się w promieniu światła. Wirował coraz szybciej, aż nagle wessał go projektor. Jonatan rozdziawił usta ze zdumienia. W ogóle go to nie zabolowało, a teraz wypełniło go poczucie cudownej lekkości, jak wtedy, gdy udało mu się rozwiązać skomplikowane zadanie z matematyki.

– Co zrobiłaś z moim cieniem?

Kobieta pogłaskała jego dłoń i uśmiechnęła się do niego samymi oczami. Poczuł namacalną fizyczną ulgę, jakby wyciągnięto z niego cały smutek, strach i żal i została tylko różowa wata cukrowa. Tam, gdzie przedtem był cień, teraz była tylko niewyraźna linia, jak ta, która zostaje na plaży po odpływie.

Tak został Wodzirejem Cieni.

Rozdział czternasty

Żywy labirynt

Ciężkie żelazne drzwi celi otworzyły się ze skrzypnięciem. Czy to egzekutor już po nich przyszedł? Nie myśląc o godności, Jonatan i Pazuzu skulili się w kącie. Do pokoju weszła postać w czarnej jedwabnej pelerynie, z salamandrową lampą w dłoni.

– Żegnaj, bracie – odezwał się Pazuzu.

Ale gdy postać zsunęła kaptur, wysypały się spod niego aksamitne, brązowe włosy. Para migdałowych, zielonych oczu skrzyła się w świetle lampy. Była to ta sama dziewczyna, którą Jonatan widział wtedy na placu! Przemknęła mu przez głowę straszna myśl: może to ona jest ich katem? Lecz wyraz jej twarzy powiedział mu, że tak nie jest. Jonatan odetchnął z ulgą. Jej uroda rozświetlała celę bardziej niż światło salamander. Z bliska zobaczył, że dziewczyna miała delikatną skórę o barwie kryształków trzcinowego cukru, a jej źrenice przypominały źrenice małego ptaszka. Prawdę mówiąc, w tej wiecznej ciemności, która ich otaczała, dziewczyna już nieraz pojawiała się w jego myślach. Gdyby nie była wytworem jego popadającego w obłęd umysłu, byłaby wcielonym cudem. Jonatan wpatrywał się w nią oniemiały. Najdziwniejsze było to, że w jej zdumiewającej łagodności było coś twardego jak szkło – w jej spojrzeniu, ruchach i srebrzystym głosie. Było to przyjemne i przerażające zarazem. Najwyraźniej jednak była prawdziwa, bo zmarszczyła mały nosek, gdy poczuła smród Pazuzu.

– Wybacz mi fatalne maniery – zwróciła się do Jonatana głosem, który w jego uszach brzmiał słodko niczym pierwszy dzień letnich wakacji. – Przez to zamieszanie na placu nie miałam okazji się przedstawić. Jestem księżniczką Nin-Urmuz.

– Jakie piękne imię...

– Mów do mnie Nino.

– Wspaniałe maniery – chrypnął Pazuzu ze swego kąta. – Przyszłaś taki kawał drogi, żeby przeprosić?

– Nie przyszłam tu po to, żeby przeproszać. – Księżniczka uśmiechnęła się ponuro. – Przyszłam, bo... bo... Sama nie wiem, dlaczego przyszłam.

– Świetnie! Naprawdę zaczęliśmy się już nudzić. Może zostaniesz z nami, księżniczko? Mamy mnóstwo czasu do zabicia, zanim przyjdzie kat i zepsuje imprezę. Tylko się nie przestrasz, kiedy nagle tu wpadnie. Ma trochę gorsze maniery niż ty.

– Dlaczego musisz być taki niegrzeczny? – syknął Jonatan. – Nie widzisz, że jest nam życzliwa?

– No jasne, że jest. Nie przyniosłaś przypadkiem, boska księżniczko, naszego klucza?

– Nie mam klucza do waszej celi i nie mogę też pomóc wam uciec – wyjąkała Nino z zakłopotaną miną. – Przekupiłam strażników, żeby mnie wpuścili, ale czekają na mnie na zewnątrz.

– Cóż, to trochę rozczarowujące, ale nieważne. Przyniosłaś przynajmniej tryktraka, żeby nam to wynagrodzić?

– Zamknij się wreszcie, Pazuzu!

Nino się zasmuciła.

– Co zrobiłeś tamtym ludziom na placu? – zapytała Jonatana.

– Sam nie wiem.

– Wydawali się tacy szczęśliwi.

– Wiem. Ja też bardzo dobrze się czuję po tym, jak to zrobię. Jakbym czuł ich w sobie, jakbym był bardziej żywy. Ale nie mam pojęcia dlaczego. Czasem mnie to przeraża.

– Ja też chciałabym się dobrze czuć – westchnęła Nino.

Jonatan poczuł, jak jego serce się rozszerza i wypełnia je smutek, który emanował z jej delikatnej twarzy. Choć dopiero się poznali, miał wrażenie, jakby znał Nino od urodzenia. I chociaż to on miał się rozstać z życiem, zapragnął ją pogłaskać, uspokoić, przytulić i pocieszyć.

– Co się dzieje? – zapytał.

– To długa historia.

– Chętnie jej wysłucham.

Ponieważ mieli dużo czasu, Nino opowiedziała Jonatanowi swoją historię, która zaczęła się w dniu, gdy wezwano ją do świątyni i otrzymała od Nasera El-Dora pierwszą pigułkę. Jonatan słuchał, coraz bardziej zdumiony.

– Jak wyglądały te pigułki?

– Były w białej buteleczce z dziwnego tworzywa. Nigdy przedtem takiego nie widziałam.

– Coś było na niej napisane?

– Słowo w języku nieznanym w imperium. Ale udało mi się je odczytać, gdy odwiedziłam świat, z którego pochodziła.

– Pamiętasz je?

Nino zmarszczyła brwi.

– Zaczynało się jakoś od „para...”, „paramol...”, „paracem...”. Chyba „paracmol”.

Jonatan prawie podskoczył.

– To nie może być paracetamol! To jest lekarstwo, które ukradziono mojemu tacie!

Chciał krzyczeć, skakać i łomotać pięściami w żelazne drzwi. Wreszcie znalazł złodzieja! Co za żart losu, że rozwiązał zagadkę właśnie teraz, kiedy było już za późno.

– Dlaczego dali ci te lekarstwa? – zapytał księżniczkę. – Co chcą ci zrobić?

– Za trzy dni rozpoczną się uroczystości Święta Lata na placu Najwyższego Boga. Właśnie w tej chwili budują tam ogromną scenę, na którą wezwie mnie Naser El-Dor. Na scenie stanie almatoskop podłączony do ogromnych ekranów ustawionych wokół placu. Dziś rano Naser przechwalał się, jak dobrze wszystko zaplanował. Umieści mnie w almatoskopie i rzuci obrazy mojej duszy na ekrany, aby wszyscy mieszkańcy Babilonu mogli ją zobaczyć.

Jonatan wzdrygnął się na wspomnienie badań u doktora Nekroseptusa.

– To brzmi okropnie.

– To naruszy i skala moją duszę. Za trzy dni nie będzie mężczyzny, kobiety ani dziecka, którzy nie będą znali jej najskrytszych zakamarków. Moje sekrety zostaną ujawnione, a najbardziej intymne myśli staną się publiczną własnością. I po co to wszystko? Aby ich przekonać, żeby sięgnęli po nowe lekarstwo: AstroFix.

– Nie ma żadnego sposobu, żeby powstrzymać Nasera El-Dora?

– Gdyby moja dusza zboczyła z idealnego kursu, który on dla niej przygotował, i coś we mnie wybuchłoby i naruszyło równowagę, którą we mnie stworzył, być może straciłabym

wartość jako osiągnięcie medycyny. Ale teraz już jestem zbyt słaba, żeby przydarzyło mi się coś niespodziewanego.

– Skąd możesz wiedzieć?

Nino spuściła rzęsy.

– Nie mogę tego wiedzieć. Wyznać ci prawdę? Przyszłam tu z nadzieją, że mimo wszystko coś się wydarzy.

– Chodzi ci o... To ma jakiś związek ze mną?

– Tak, to ma związek z tobą.

– Jak to?

– Kiedy zobaczyłam cię na tamtym placu, poczułam... Nie wiem, jak ci to powiedzieć. Poczułam, że jeśli spojrzysz mi w oczy i powiesz, jak masz na imię, napełni mnie to radością.

Jonatan zaczerwienił się jak burak i ucieszył, że w celi było tak ciemno. Przed dwoma laty być może zwinąłby się w kłębek w kącie i zmarnował szansę na dalszą rozmowę. Ale teraz czuł nową pewność siebie, która zaskoczyła nawet jego samego.

– Nadal mogę to zrobić – odważył się powiedzieć.

– Za późno. AstroFix mnie zatruł. Płynie teraz w mojej krwi i mrozi ją, aż stanie się zimna jak krew jaszczurki.

Jonatan poczuł, że musi, po prostu musi pomóc Nino, która z każdą chwilą była mu coraz droższa.

– Moja mama też walczyła z lekarstwami, które jej dawali. Miała sekret, który pomagał jej ich pokonać. Raz wyjawiała mi go i kazała przysiąc, że nikomu go nie zdradzę. Może myślała, że jestem za mały, żeby to zrozumieć. Wydaje mi się, że to były jakieś przeciwciała, które sama wytworzyła.

Na twarzy Nino pojawił się wyraz wątpliwej nadziei.

– Może twoja mama mogłaby mi pomóc?

– Chciałbym. Ale ona jest za daleko stąd. Nawet nie ma jej w tym świecie.

Jonatan opowiedział Nino całą historię od początku. Oczy księżniczki zrobiły się okrągłe ze zdumienia. Pomyślał, że wyglądają jak dwie maleńkie filiżanki herbaty z miętą i miodem.

– A więc przybyłeś z tamtego świata! Mogłabym tam wrócić dzięki magii, gdybyśmy tylko mieli jakiś zbiornik wody i dość mocną soczewkę ciemności.

Jonatan nie zdążył zapytać, jak woda mogłaby pomóc i czym w ogóle jest soczewka ciemności, bo z zewnątrz dobiegł głos ciężkich kroków i zgrzyt ogromnej nienaoliwionej zbroi. Kroki zatrzymały się przed ich celą i ktoś załomotał jakby maczugą w żelazne drzwi. Po celi rozniosło się echo niczym w środku dzwonu, ogłuszając ich.

– Przyszli po nas! – pisnął Pazuzu, nagle tracąc resztki złości.

– Gdybym tylko mogła wam jakoś pomóc – westchnęła księżniczka.

Jonatan zrozumiał, że musi się z nią rozstać i się zasmucił. Po raz pierwszy spotkał kogoś, kogo polubił tak, że był gotów spędzić z tą osobą resztę życia. I właśnie teraz, w najgorszym możliwym momencie, skazano go na śmierć.

Kat się niecierpliwił.

– Szybciej tam! – zagrzmiał. – Nie będę czekał cały dzień.

– Jeszcze chwilę! – zawołała Nino.

– Musisz stąd wyjść, Wasza Wysokość, bo twoi przyjaciele są obiadem czarnych krokodyli, a moim pupilom już burczy w brzuchach.

Obiad krokodyli! To brzmiało jeszcze mniej przyjemnie, niż sobie wyobrażali. Księżniczka zbladła, a jej skóra zmieniła odcień z brązowego cukru na biały. Jonatan chciał ją ogrzać, rozśmieszyć, wziąć w ramiona i po raz pierwszy i ostatni przytulić. Nagle poczuł, że musi jej coś dać. Jakąś pamiątkę, która jej po nim zostanie. Ale nic nie miał. Złote monety i dary od uzdrowionych zabrali strażnicy, a mała harmonijka, na której grał, przepadła, zdeptana przez uciekający tłum. W rozpaczy wyrzucił kieszenie. Jedyłą rzeczą, jaka w nich została, był zakurzony czarny kamień, który zabrał z gabinetu Archiwistki. Nie był to prezent, na jaki liczył, ale nic innego nie miał. Wyciągnął kamień z kieszeni i podał go Nino.

– Weź – powiedział.

Nino otworzyła usta ze zdumienia. Bardzo ostrożnie wzięła od niego kamień, przyjrzała mu się ze wszystkich stron, a jej ust wyrwało się zdumione:

– Ach!

– Co się stało? – Jonatan myślał, że może mu podziękuje, ale nie spodziewał się tak emocjonalnej reakcji.

Nino splunęła na kamień i zaczęła go czyścić brzegiem jedwabnej peleryny. Ku zdumieniu Jonatana kamień zaczął pulsować i świecić ciemnym blaskiem, jakby przywróciła mu krążenie. Nino z nabożną czcią położyła skamielinę na jego dłoni.

– Czarny bursztyn kaszalota. Kto by uwierzył, w takim miejscu...

– Czarny bursztyn? – Jonatan nic z tego nie rozumiał.

– Skąd go masz?

– Ja... eee... Pożyczyłem go.

– Rozumiesz, co trzymasz w dłoni? Ten mały kamień to najmocniejsza soczewka, jaką widziałam w życiu. Jestem pewna, że to jedna z najlepszych soczewek na świecie, jeśli nie najlepsza.

– Myślałem, że to zwykły kamień.

– To na pewno nie jest zwykły kamień. Czarny bursztyn uwalniany jest z mózgów najstarszych i najmądrzejszych kaszalotów po ich śmierci. Te kaszaloty mają ogromne głowy i mogą zanurzyć się bardzo głęboko w morzu, nawet na tysiąc metrów. Ten kawałek, który trzymasz w dłoni, jest bardzo zwarty i stary. Pochodzi z mózgu kaszalota starego jak Matuzalem. Był tak mądry, że potrafił wytyczać drogi gwiazd i przewidzieć narodziny każdego dziecka na ziemi na sto lat w przód. Ta soczewka jest tak silna, że nawet nie musisz być czarownikiem, żeby nad nią panować. Jeśli weźmiesz ją do ręki i skupisz się na niej, gdy wskoczysz do wody, przejdiesz do swojego świata bez żadnego kłopotu.

– Ale gdzie teraz znajdę wodę?

– Sprawa załatwiona – wtrącił Pazuzu. – O ile mi wiadomo, mamy obiad nad basenem. Z krokodylami.

Jeśli Jonatan i Pazuzu pozwolili sobie na chwilę pocieszenia w związku z szansą na ocalenie, okazało się, że jeśli chcą dotrzeć do zbiornika krokodyli żywi, będą musieli bardzo się postarać. Kat związał im ręce i założył na ich głowy skórzane worki, które porządnie przewiązał sznurkiem, po czym zarzucił ich sobie na plecy. Gdy znosił ich na dół po, wydawało się, niekończących się schodach, wyjaśnił im przyjacielskim tonem, że aby dojść

do zbiornika krokodyli, trzeba pokonać żywy labirynt. Siły Otchłani żądały niekończących się ofiar, które miały zaspokoić ich apetyt. Nawet drobne przewinienia, takie jak kradzież jabłka czy odszczeknięcie policjantowi, uważano w Babilonie za przestępstwa, a ich sprawców należało poważnie ukarać. Ale Otchłani krew nie wystarczała. Aby zaspokoić pragnienie, potrzebowała o wiele bardziej pierwotnej substancji: strachu. Dlatego ceremonia egzekucji miała wyciągnąć nie tylko krew z żył skazanych, ale także ostatnią kroplę ślepego, mrocznego, gwałtownego przerażenia, które zmieniało ludzką duszę w wyjątkowy przysmak, pożądany przez mieszkańców głębin.

– Ech, dość już się nagadałem – oznajmił wesoło kat. – Powodzenia!

Zrzucił ich na ziemię, nie zdjęwszy worków z ich głów. Usłyszeli tylko echo jego oddalających się kroków i trzaśnięcie drzwi, które przypieczętowało ich los.

Jonatan przez dłuższą chwilę leżał w ciemności. Czuł swój pot i oddech w ciasnym worku. W końcu spróbował delikatnie się poruszyć i sprawdził, czy się nie połamał.

– Jak myślisz, co tu jest nie tak? – zapytał, zwracając się w stronę, gdzie, jak mu się wydawało, powinien być Pazuzu.

– Coś tu za cicho – odpowiedział mu stłumiony głos Pazuzu z drugiego worka.

– Cisza nie jest zła.

– Ale tu jest za cicho. Słyszę, jak burczy ci w brzuchu.

W tej samej chwili Jonatan poczuł, jak ziemia pod nim zadrżała. Na początku lekko, nie głośniejsz niż bulgotanie dobiegające z żołądka demona. Ale hałas narastał. Stopniowo przeszedł w głęboki, rytmiczny grzmot, który z chwili na chwilę był coraz bliżej.

– Słyszysz to?! – zawołał Jonatan do Pazuzu.

– Słyszę.

– To brzmi jak... jak...

– Jak ogromny chaps.

– Nie podoba mi się to. Nie podoba mi się pomysł, żeby coś takiego tu przyszło i znalazło nas leżących jak żółwie na skorupach.

– Nie mogę się z tobą nie zgodzić.

– Jak myślisz, ile czasu nam zostało?

– Mało! – odparł Pazuzu i obaj wrzasnęli ze strachu, gdy nagle dudnienie stało się głośnie jak dźwięk pociągu wyjeżdżającego z tunelu.

– Prędko – rzucił Jonatan. – Spróbuj się przesunąć za mnie i rozwiązać mi ręce.

– Ale gdzie ty jesteś? – Pytanie było niepotrzebne, bo w tej chwili demon wtoczył się na Jonatana i o mało go nie udusił.

– Przeturlaj się na drugą stronę! – jęknął Jonatan. – Daj ogon.

Oстрыm końcem demoniego ogona zaczął piłować sznur krępujący jego nadgarstki.

– Delikatnie, proszę.

Ale nie było czasu, żeby zwracać uwagę na szczegóły. Po chwili skupionego wysiłku, która wydawała się wiecznością, Jonatan przeciął sznur. Zdjął worek z głowy i uwolnił Pazuzu. Wstali i zobaczyli, że znajdują się w niskim podziemnym tunelu. Chwilę później odskoczyli do tyłu, gdy ujrzeli, co zbliża się z naprzeciwka. Jonatan nie był pewny, czy czy go nie mylą.

– Jak myślisz, co to jest?! – krzyknął do Pazuzu.

– Eee... Zębiska wielkości domu, które chcą się w nas wbić?

Demon miał rację. Tunelem zbliżała się do nich niezdarnymi skokami ogromna kłapiąca szczęka. Nie była dalej niż jakieś pięć, sześć metrów od nich. Jonatan zobaczył ociekające śliną żółte kły i spróchniałe zęby trzonowe. Szczęka parła naprzód, miażdżąc skały i ziemię. Gdy Jonatan przyjrzał się ścianom tunelu, zauważył wyraźne ślady zębów. Najwyraźniej tunel nie był tworem ludzkich rąk, lecz został wygryziony w ziemi. Teraz szczęka zmierzała w stronę jednego, jedyne go celu: byli nim oni.

– Uciekaj! – zawołał Jonatan do Pazuzu.

Demon nie potrzebował kolejnej zachęty. Ruszyli biegiem, rozglądając się w poszukiwaniu wyjścia ewakuacyjnego. Ale nie było tu żadnych drzwi. Na każdym skrzyżowaniu zęby jakoś odgadywały, dokąd pobiegli, i przegryzały drogę za nimi. Jedyne pocieszeniem było to, że szczęka poruszała się powoli. Nie mogli jednak uciekać w nieskończoność. Co będzie, gdy natknął się na przeszkodę, która nie pozwoli im pójść dalej?

Gdy ta myśl przyszła mu do głowy, Jonatan od razu tego pożałował. Wybiegli zza rogu i ujrzeni ścianę kilkadziesiąt metrów przed nimi. Przerażeni podeszli do niej. „To niemożliwe – pomyślał Jonatan. – Nasze życie nie może skończyć się ot tak, w brzuchu ziemi, w jakimś głupim tunelu”. W następnej chwili zobaczył, że kamienny tunel zmienił się w coś wilgotnego i żywego, pokrytego różowawą tkanką.

– Wpadliśmy do czyichś kiszek – stwierdził Pazuzu.

Ściana przed nimi została wessana do pofałdowanego otworu, który zwrócił się teraz w ich stronę obleśnymi ssącymi ruchami.

– Faj!

Tkwili między ssącym otworem a zbliżającą się kłapiącą szczęką. Jonatan gorączkowo szukał rozwiązania.

– Za tym otworem musi być żołądek, a tam jest mnóstwo miejsca – powiedział szybko.

Nie był pewien, czy rzeczywiście za kiszkami był żołądek, ale musiał jakoś zachęcić Pazuzu i siebie samego. Gdy rozmawiali, otwór rozszerzył się i mogli wczłapać się do środka.

– Prędko – rzucił Jonatan. – Wskakuj do środka, zanim dziura się zamknie!

Pazuzu wskoczył do otworu, a Jonatan za nim – w ostatniej chwili, bo zbliżająca się szczęka już zdjęła but z jego prawej stopy. Czołganie się przez otwór było niewyobrażalnie odrażające. Ciepłe, wilgotne ściany pokryły Jonatana śluzem i otoczyły odrażającą miękkością, jakby próbowały go wchłonać. Odpychał dłońmi ich fałdy, torując sobie drogę. O mało się nie udusił. Na końcu tunelu udało mu się dostrzec coś, co wyglądało jak szeroka, czerwona, pulsująca przestrzeń. Przeczłapał się do końca otworu i z ulgą wysunął na zewnątrz, plując i ocierając twarz. O mało nie wpadł do jeziora zielonego, kwaśnego, fermentującego płynu, nad którym unosił się rzadki dym. Na szczęście w ostatniej chwycił Pazuzu za ogon.

– Soki żołądkowe! – powiedział Jonatan.

Pazuzu zatrzymał się na płaskim kamieniu w zielonawym bajorze i stanął na palcach, gdy soki żołądkowe żarłocznie zaczęły podnosić się ku niemu.

– Teraz dokąd? – zapytał.

– Musi być jakieś wyjście.

W tej samej chwili z bajora wynurzył się rząd gładkich kamieni, przypominających te, po

których przekracza się górski strumień. Pazuzu od razu przeskoczył z kamienia, na którym stali, na następny.

– Rusz tyłek! – krzyknął do Jonatana. – Chodź tutaj, zanim twój kamień zatonie.

Przeskakiwali z kamienia na kamień, a chciwe soki żołądkowe pospiesznie zalewały i pochłaniały kamienie, które przed chwilą opuścili. Szybko znaleźli się na środku bajora. Jonatan mógłby przysiąc, że czerwone sklepienie z przypominającymi żebra łukami pulsuje nad ich głowami niczym żywy brzuch.

– Czegoś tu nie rozumiem. Anatomia Otchłani jest jakaś dziwna. W jaki sposób weszliśmy prosto do brzucha, nie przechodząc przez gardło?

– Dlaczego musiałeś o tym wspomnieć? – jęknął Pazuzu. – Nie słyszałeś o złym oku?

W chwili, gdy demon to powiedział, Jonatan zauważył, że kamienna droga prowadziła do miejsca, gdzie sklepienie zniżało się do łuku. Dźwięki soków żołądkowych spadających kaskadą z wysoka podpowiedziały im, że pod łukiem jest wodospad. Z łuku zwisał mięsisty, ciemnoróżowy dzwon, gruby jak pas Jonatana: był to jęczyzek.

– Nie idź tam! – ryknął Jonatan do Pazuzu. – To nie wygląda za dobrze.

– To dokąd mam pójść?

– Czuję, że to pułapka.

– Czuję, że masz rację.

Ale nie mogli się wycofać, bo kamienie za nimi już rozpuszczały się z sykiem w kwaśnym płynie. Teraz zostały im tylko trzy kamienie przed wodospadem. Jonatan nadal nie mógł pojąć, o co chodzi z nielogiczną budową tego miejsca. Niemożliwe, żeby istniało stworzenie o takim układzie trawiennym!

– Mam pomysł – zwrócił się do Pazuzu – ale najpierw muszę go trochę przemyśleć.

– Czemu nie? Mamy mnóstwo czasu.

Dwa kamienie.

– Kat twierdził, że Otchłani karmi się naszymi lękami. Skoro tak, na pewno czuje, czego się boimy.

– Niezły pomysł, powiedziałbym nawet, że filozoficzny. Nie myślałeś o tym, żeby napisać artykuł naukowy dla biblioteki w Niniwie?

Jeden kamień.

– Myślę, że to miejsce kształtuje się zgodnie z naszymi myślami. Kiedy mieliśmy worki na głowach, oznajmiłeś, że zbliżający się hałas brzmi jak gryzienie. A kiedy zdjęliśmy worki, okazało się, że to szczeka...

Pół kamienia.

Jonatanowi został tylko jeden but, a krople ze zbliżającego się wodospadu pryskały na niego z jadowitym sykiem. Próbował stać na lewej nodze i trzymać prawą stopę w samej skarpetce, bezbronną niczym ślimak bez muszli, jak najdalej od wodospadu. Ale uparcie rozwijał swój pomysł.

– A potem pomyślałem, że dotrzemy do ślepego zaułka. I właśnie w tamtej chwili naprawdę dotarliśmy do ślepego zaułka, który wyjaśniliśmy sobie jako wejście do żołądka. I tak dalej. Nie rozumiesz, Pazuzu? Wszystko, czego się boimy, ziszcza się w tym miejscu w chwili, gdy o tym pomyślimy.

– Jesteś bardzo mądrym chłopcem. Prawdziwym uczonym. Zgłosiłbym cię do tej waszej nagrody, o której tyle gadałeś. Jak ją tam zważ, Nagroda Bąbla? To był wielki zaszczyt

i przyjemność cię znać...

Pazuzu poślizgnął się na ostatnim kamieniu i w ostatnim skoku przed wodospadem złapał się zwisającego z łuku jęczyczka. Jonatan skoczył za demonem i chwycił jego kurzych skrzydełek, które po raz pierwszy od ich stworzenia na coś się przydały.

– Au! Boli! – pisnął demon.

– Nie rozumiesz? Ten świat czyta w naszych myślach. Stwarza siebie zgodnie z tym, co sobie wyobrażamy. Teraz spodziewamy się, że wpadniemy do wodospadu soków żołądkowych, które przerobią nas na papkę. Utoniemy w tym paskudztwie i przepadniemy na zawsze. Oczekujemy tego i właśnie dlatego to się wydarzy.

– Jak mam oczekiwać czegoś innego, gdy ten zielony wodospad chlupie mi pod nogami?

Jonatan poczuł, jak jego ręce powoli puszczały skrzydła Pazuzu.

– Nie musisz o niczym myśleć, Pazuzu. Tylko wyjmij z mojej kieszeni czarny kamień, którym księżniczka tak się podekscytowała, i daj mi go tu z przodu.

Pazuzu odwrócił się i wsunął swój wielozadaniowy ogon do kieszeni Jonatana.

– Pospiesz się, nie jestem taki silny jak ty.

– Przecież się spieszę – mruknął demon.

– Uważaj! Nie możemy go zgubić, bo sami będziemy zgubieni.

Pazuzu w końcu wyciągnął z kieszeni Jonatana bryłkę czarnego bursztynu i pomachał nią przed twarzą Jonatana, załawionego od kwaśnych wyziewów.

Jonatan wbił wzrok w soczewkę ciemności, dobrze pamiętając słowa księżniczki – przedmiot mógł skupić jego myśli. Ale myśleć musiał sam. Spróbował wyobrazić sobie, że zamiast zbiornika bulgoczącego kwasu pod nimi był zielony trawnik, pachnący i miękki, upstrzony stokrotkami, niezapominajkami i uroczymi motylkami. Jeśli się puszcza, spadną na ten trawnik. Ale skąd miał wiedzieć, że soczewka działa? I że jego teoria jest słuszna? Narastające wątpliwości w jego umyśle zamgliły obraz kwitnącego trawnika.

– Pazuzu – jęknął. – Nie mogę się skupić.

– To czas na eksperyment naukowy. Skacz!

Pazuzu puścił jęczyczek w gardle Otchłani.

Płynęli w powietrzu i spadali daleko, daleko w głąb ciemności.

Po czasie, który wydawał się przerażająco długi, Jonatan poczuł, jak jego stopy natrafiają na twardą ziemię. Bam! Spadli jeden na drugiego. Spadli nie na trawnik, na który liczyli, ale też nie do bajora kwaśnych soków trawiennych. Znaleźli się w podziemnej komnacie, ciemnej i cuchnącej.

– Ajć! – jęknął Pazuzu. – Schrzanilem sprawę. Akurat kiedy skoczyliśmy, przypomniałem sobie, że kat powiedział, że jeśli uratujemy się z tunelu, rzucą nas krokodylom. Nie da się uciec przed własną wyobraźnią, co?

Kilka kroków przed nimi znajdował się okrągły zbiornik. Pływające w nim ogromne czarne krokodyle kłapały paszczami z nieskrywaną radością. Ich ofiary wreszcie skończyły zabawę! Stwory wyglądały na przerażająco głodne. Ich ostre grzbiety przecinały wodę niczym okręty podwodne.

– Z jednych soków trawiennych do drugich – jęknął demon.

Na sztucznej wysepce pośrodku zbiornika zrobił się zamęt, kiedy jeden z odrażających gadów wyskoczył z wody i przejął wyspę, ze strasznym machnięciem ogona i kłapnięciem szczęki. Jonatanowi zakręciło się w głowie, gdy zobaczył, że potwór ma z dziesięć metrów

długości i jest szeroki jak niewielki samochód. Krokodyl mógł połknąć cały stos Jonatanów i Pazuzu, a nawet by nie beknął. Na wielkim czarnym łbie miał złoty znak. Koronę.

– Król krokodyli – gwizdnął Pazuzu. – Zawsze marzyłem, żeby spotkać celebrytę.

W głowie Jonatana rozbłysło zapomniane wspomnienie. Gdzie on wcześniej widział tego potwora? Krokodyl otworzył paszczę i ryknął. Głos przypominał dźwięk ogromnych fletów w trzewiach ziemi. Tak, już sobie przypomniął. To był krokodyl z płyty, którą doktor dał ich ojcu. Ten bandyta Szapiro przemycił siły Otchłani do ich domu. Ale Jonatan nie miał czasu zastanawiać się, co to oznaczało, bo król krokodyli zsunął się ze sztucznej wyspy i płynął w ich stronę, brutalnie odpychając wszystkie mniejsze krokodyle, które miały czelność liczyć na kawałek głównego dania, zanim on zdążył go skosztować.

– Szybko! – zawołał Jonatan do Pazuzu. – Gotowy?

Muszą zaufać soczewce, że szybko ich przeniesie. Nie dostaną drugiej szansy. Ale żeby wskoczyć do wody, potrzebowali dywersji. Jonatan zdjął but z lewej stopy – jedyny, jaki mu został – i mocno go ścisnął. W szkole nie uważano go za szczególnie dobrego miotacza, a teraz modlił się o udany rzut. Król krokodyli płynął do nich niczym okręt wojenny i tylko jego pysk wystawał nad wodą. Jonatan mógłby przysiąc, że ciekła mu ślina. Jeszcze chwila i znajdzie się za blisko.

– Teraz! – zawołał Pazuzu.

Jonatan cisnął butem w stronę łuku, najdalej jak mógł. Był tak przerażony, że uderzenia jego serca unosiły się poza jego ciałem niczym małe eksplozje. Ale podstęp się udał. Głupi gad dał się nabrać. Jego ogromne cielsko wynurzyło się z wody niczym torpeda i Jonatan zobaczył dolną szczękę, pokrytą luźną, bladożółtą skórą, gdy krokodyl otworzył paszczę, aby chwycić ofiarę. Nieszczęsny but został złapany. Wbił się w jeden z zębów krokodyla. W chwili, gdy krokodyl rzucił się do niego, Jonatan i Pazuzu wskoczyli do wody. Demon chwycił Jonatana swoimi szponami, a Jonatan ścisnął w dłoni kawałek czarnego bursztynu, jakby jego życie od tego zależało, i krzyknął ile sił w płucach:

– Do stawu w ogrodzie kliniki Cedry Libanu, gdzie leczy się moja mama!

Rozdział piętnasty

Pocałunki i głodne kwiaty

Nino miała się stawić u krawcowej na ostatnie przymiarki kreacji uszytej specjalnie na ceremonię. Tak bardzo nienawidziła tej sukni. Uciekła do ogrodu i schowała się w swoim ukochanym miejscu. Przynajmniej rośliny ją rozumiały. Lisia wierzba pieściła wąsami jej ramiona, żeby ją pocieszyć, a wstydliwe jaskry mieniły się i trzepotały swoje przyjazne powitanie. Zazdrościła drzewom i kwiatom. Nikt ich nie denerwował ani nie wyciskał z nich soków życia. Jej babcia, Astlik, żyła wśród nich i była szczęśliwa. Co zrobiłaby na jej miejscu? Nino zerwała ostry trujący pieprz z drzewa abisyńskiego i zmiażdżyła go w palcach. Jedno ziarenko pod językiem, a jej krew by spłonęła. Umarłaby od gorąca i potu. Ale może nawet to byłoby lepsze od tego, co czekało ją za dwa dni.

Z miejsca, gdzie stała, widziała plac Najwyższego Boga przed świątynią w głębi miasta. Odbywały się tam ostatnie przygotowania. Sylfy fruwały dookoła niczym kolorowe błyskawice, kończąc składanie almatoskopu przygotowanego specjalnie dla księżniczki. Ogromna maszyna wznosiła się ponad placem, a jej widok przyprawiał Nino o mdłości. Nie chciała na to patrzeć. Odwróciła się plecami i zaparło jej dech ze strachu, gdy zobaczyła zamaskowanego mężczyznę, który nagle pojawił się za nią jak owoc wydany przez ogród, zsunąwszy się ostrożnie po pniu bananowca. Nino otworzyła usta, aby zawołać o pomoc, lecz mężczyzna położył dłoń na jej ustach.

– Nie bój się – powiedział.

– Ach... Ktoś ty?

– To tylko ja.

Nino próbowała uspokoić łomoczące serce.

– Co ty tu robisz w dzień? To zbyt niebezpieczne.

– Przyszedłem po ciebie – rzekł Hilel.

– Po mnie?

– Chciałem cię zobaczyć.

Gdzieś daleko, jakby na linii horyzontu, poczuła delikatne pulsujące ciepło prześlizgujące się w jej żyłach. Hilel zsunął z głowy czarny kaptur i znów zdumiała się na widok jego twarzy, do której nawet po roku znajomości nie zdążyła się jeszcze przyzwyczaić.

– Nie mamy czasu, księżniczko. Ceremonia za dwa dni. Więż między nami mogłaby się rozwijać jeszcze długo, ale jeśli istnieje jakikolwiek sposób, aby ci pomóc, musimy go teraz wypróbować.

– Może już za późno. Boję się, że już po mnie.

– Nie poddawaj się. Powiedziałaś, że poczułaś coś do mnie.

Nino spuściła wzrok.

– Nie kłamałam.

– Jeśli tak, pozwól sobie pomóc. Muszę zobaczyć twoją twarz.

Cała zadrżała i mocno przycisnęła zasłonę do twarzy.

– Nie możesz mnie zobaczyć, Hilelu. Dobrze o tym wiesz.

– Muszę.

– Dlaczego to takie ważne?

– Jeśli cię nie zobaczę, nic się między nami nie wydarzy. Nie rozumiesz? Jak mogę ci przekazać swoje ciepło i roztopić cię, jeśli cię nie widzę?

Nino czuła, że jego obecność otacza jej zmysły mgłą. Oparła się o stare drzewo oliwne.

– Przecież wiesz, co mówią o klątwie. Nie pokonasz Nasera El-Dora i mojego ojca i nie przejmiesz władzy, jeśli...

– W tej chwili musimy ratować ciebie.

– Proszę, nie rób tego dla mnie.

– Cóż. Bardzo się boję, że robię to dla siebie. Przez ostatni rok stałaś mi się bardzo bliska.

Kiedy nie ma cię przy mnie, czuję niepokój, a gdy jestem przy tobie, jeszcze bardziej brakuje mi spokoju. Chcę cię widzieć, i to nieraz, i zajrzeć w oko cyklonu tego niepokoju. Jeśli twoje oczy stoją między mną a władzą nad imperium, może nigdy nie byłem jej wart i lepiej będzie, gdy dowiem się tego tu i teraz.

Nino pomyślała o jasnowłosym chłopcu, którego spotkała w więzieniu, i o tamtej wyjątkowej chwili, gdy zobaczyła go po raz pierwszy na placu. A co z nim? Jeśli nie zdarzył się jakiś cud, pewnie siedział teraz w brzuchu krokodyla. Poczowała się taka bezradna.

– Nie zgodzę się, żebyś narażał się dla mnie – oświadczyła. – Jesteś zbyt ważny dla przyszłości imperium.

– Mylisz się. Ty jesteś ode mnie ważniejsza.

– Dlaczego to mówisz?

– Bo jesteś duszą imperium. Jeśli pozwolę ci skamienieć i zamarznąć, nigdy nie przywrócimy tego wielkiego państwa do życia.

Nino oddychała ciężko. Bliskość jego ciała wpływała na nią jak biegun na igłę kompasu. Chwyła Hilela za rękę i poczuła ciepło jego skóry.

– Tak bardzo się boję.

– Nie bój się.

Zsunął zasłonę z jej twarzy. Nie protestowała. Odetchnął głęboko, a w jego szarych oczach pojawiło się zdumienie.

– Wiedziałem, że jesteś piękna, ale nie myślałem, że aż tak.

Wyciągnął rękę do jej twarzy i pogłaskał Nino po policzku. Poczowała, jakby przeszedł ją lekki prąd.

– Delikatna jak lisie futerko – zauważył. – Nigdy nie dotykałem niczego tak miłego.

Nie wiedząc, co robi, Nino wyciągnęła rękę do jego twarzy i poczuła przyjemną szorstkość jego skóry ponad wyraźnym zarysem policzka. Gdyby tylko miała większą jasność, co do niego czuła. Czy to możliwe, że mimo wszystko czekała na Hilela? Zamknęła oczy w oczekiwaniu.

Hilel, jakby czytając w jej myślach, zbliżył twarz do jej twarzy. Poczowała ciepłą aurę jego ust przy swoich ustach, a uczucie rozświetliło jej serce niczym błyskawica w ciemną noc. Lecz zanim błyskawica zdążyła wzniecić ogień, zza krzewów mirtu dobiegł głos Mimozy.

– Gdzie jesteś, Nin-Urmuz?

Nino otrząsnęła się z czaru i otworzyła oczy. Hilel jakby rozpląnął się w powietrzu, został po nim tylko szelest liści i kołyszące się pnącza. Mimoza biegła do niej ścieżką, wymachując rękami. Jej siwe włosy były rozczochrane, a głębokimi wąwozami policzków płynęły łzy.

– Nino, och, Nino.

Gdy dotarła do księżniczki, uklękła u jej stóp, próbując złapać oddech.

– Uspokój się, Mimoso. Co się dzieje?

Piastunka nie mogła powstrzymać płaczu.

– To gorsze, niż myślisz, moje dziecko.

– Co się stało?

– Twój ojciec...

– Coś mu się stało?

– Umarł – wykrztusiła Mimoso ze szlochaniem. – Przed godziną. W strasznych męczarniach.

Twarz mu spuchła i zrobił się fioletowy jak bakłazan, a potem zaczął charczeć i pluć czarną krwią.

– Trucizna – rzuciła poblądła Nino.

– Ćśś... cicho. Nie mów tak.

– Otruto go.

– Wyzionął ducha w ramionach Sarkitai.

– Kto mu to zrobił?

– Czy to ważne, moja księżniczko? Po co rzucać nieuzasadnione oskarżenia? Zamiast się złościć, powinnaś opłakiwać. Teraz jesteś sierotą, moje małe biedactwo.

Nino wyswobodziła się z ramion Mimosy.

– Nie jestem małą biedną sierotką. Jestem następczynią tronu. A teraz, zgodnie z prawem imperium, muszę zostać królową.

– Otóż to! – usłyszała głos z tyłu.

– Naser El-Dor!

– Zawsze do usług, Wasza Wysokość. Szukałem cię, aby złożyć wyrazy współczucia.

– Tak miło z pana strony.

Skinęła dłonią jak królowa, z nadzieją, że zwierzchnik satrapów sobie pójdzie i zostawi ją w spokoju. Ale Naser El-Dor stał na ścieżce z rękami skrzyżowanymi na piersi, bagnisty skrawek nocy na tle słonecznego ogrodu. Na jego śniadej, ostrej twarzy połyskiwało coś, co odczytała jako radość, lecz wyraźnie był tam też smutek. Za nim stali dwaj strażnicy o beznamiętnych minach. Nino zastanawiała się, czy tymi szczękami łupali orzechy. Pewnie mogliby rozłupać nawet kokosy.

– Możesz już odejść, babciu – powiedział El-Dor do Mimosy.

– Niech się pan nie waży tak odzywać do mojej piastunki! – Ostatnią rzeczą, na jaką Nino miała ochotę, było zostać sam na sam z Naserem El-Dorem.

Ale złąkniona, roztrzęsiona Mimoso dygnęła.

– Muszę wyprasować swoją czarną suknię. I te wszystkie dzieci... byłby straszny wstyd, gdyby miały brudne uszy, i jeszcze trzeba przygotować słodczyce na stypę...

Naser El-Dor cierpliwie czekał, aż opiekunka się oddali. Gdy zniknęła, mocno chwycił Nino za ramię i poprowadził ją między kwietne rabaty.

– Przykro mi z powodu twojego ojca.

– Czyżby?

– Nie mogłem zapobiec jego śmierci, ale przynajmniej mogłem zatroszczyć się o jego duszę. Modlitwy, jakie wypowiedziano wokół niego w ostatnich chwilach, ochronią ją i zapewnią, że odrodzi się w tej dynastii w innym wcieleniu.

Nino z niedowierzaniem wydeła usta.

– Jak wygodnie jest myśleć, że mój ojciec tak naprawdę nie umarł. Co za ulga dla nieczystego sumienia.

Naser El-Dor w ogóle nie dał po sobie poznać, że uraziła go ta jawna insynuacja. Zerwał białą lilię i wręczył ją Nino.

– Morderca potrzebuje motywu – zauważył.

– Jestem pewna, że pan go ma.

– Twoja pewność nie jest żadnym dowodem.

Nino westchnęła. Jeśli rzeczywiście dopuścił się tak haniebnego czynu, na pewno nie zostawił żadnych śladów.

– Osobiście wątpię w tę całą historię z powrotem i wędrówką dusz. Przez ostatnie wieki nie było wśród was nawet jednego jasnowidza, który widziałby, czyja dusza przed nim stoi i co przeszła.

– Mylisz się, moja śliczna. Powinnaś była to zrozumieć, gdy szłaś za mną do zbiornika krokodyli i widziałaś magię słów. Moja moc jest o wiele większa, niż ci się wydaje.

– To znaczy?

– To ja jestem jasnowidzem, którego szukasz. Widzę wewnętrzne wędrówki duszy, która stoi przede mną.

Nino nie wierzyła w ani jedno słowo. Kłamstwa służyły satrapom o wiele lepiej niż mistyczne moce.

– Skoro tak, czy będzie pan wiedział, w ciele którego dziecka wróci mój ojciec?

– Tak, gdy się narodzi.

– A może mi pan powiedzieć, kim jestem?

Naser El-Dor zatrzymał się i nagle znalazła się naprzeciw jego czarnych oczu jak zwykle świadoma głębokiej mądrości, która z nich emanowała.

– Twój ojciec był nikim w porównaniu z tobą, księżniczko. W tobie mieszka największa dusza ze wszystkich. Dusza samego Odmuela.

Nino upuściła lilię.

– Dlaczego mi to pan mówi?

– Bo to prawda.

– To kłamstwo.

– Dlaczego miałbym cię okłamywać?

Poczuła, jakby miała się udławić. To, co powiedział, było zarazem ohydne i pochlebne. A jeśli ma rację? Ale nikt nie mógł być jasnowidzem w tych czasach. Chyba że mieszkała w nim dusza Aszperboszeta. Czy to możliwe, że...?

– Za dwa dni wszyscy mieszkańcy Babilonu zbiorą się na obchody Święta Lata – powiedział Naser El-Dor. – Damy im największy prezent, o jaki mogliby poprosić. Po długich latach zwrócimy im duszę praojca w osobie nowej królowej.

– A co z Sarkitają i jej dzieckiem?

– To pionki na szachownicy. Mały nie będzie rządzić. Wykorzystałem Bapu i jego matkę, aby cię pognać.

Nino poczuła, że słowa te zapadają w jej świadomość i nagle wszystko układa się w jasny obraz.

– Teraz rozumiem. Przyproceedził pan ojcu Sarkitaję, abym była smutna i przygnębiona

i zapadła na plamy ciemności. Zrobił to pan, żeby dać mi swoje lekarstwo i mnie kontrolować.

– Zawsze byłaś bystra. Wielka dusza Odmuela nie mogłaby prosić o bardziej udane wcielenie.

Nino wyswobodziła się z jego uścisku i schowała pod gałęziami pieprzu. Ostatnią rzeczą, której chciała, było patrzeć mu w oczy. On jednak poszedł do niej. Poczwała w całym ciele dreszcz niepokoju.

– Jeszcze nie przekazałem ci najlepszych wieści, księżniczko. Szkoda, że nie byłaś u krawcowej. Czeka tam na ciebie niespodzianka. Na moje polecenie uszyto dla ciebie specjalną suknię z jedwabiu mądrych złotych jedwabników z wybrzeży Morza Żółtego. Wydałem majątek na karawanę strzeżoną przez żołnierzy, która przeprowiła się przez terytorium barbarzyńców i przywiozła tkaninę do imperium. Będiesz wyglądać przepięknie. Każde serce się rozpułynie, każde oko uroni łzę.

– Niech pan da tę suknię jakiejś słuźce. Ja jej nie potrzebuję.

– Mylisz się, moja księżniczko. Potrzebujesz jej na pewną radosną okazję.

– A z czego miałabym się cieszyć? Opłakuję śmierć ojca.

– Wiadomość o ślubie przyćmi żałobę.

– O jakim ślubie pan mówi?

– Uwielbiam twoją naiwność. Naprawdę się nie domyślasz?

– Czego się nie domyślałam?

– Że zostaniesz moją żoną.

Nino poczuła pieczenie, jakby ziarenko pieprzu utknęło w jej gardle. Rozkaszłała się.

– Co cię tak zaskoczyło? – odezwał się Naser El-Dor pieszczotliwym tonem. Jego połykające światło czarne źrenice, wąskie dyski inteligentnej ciemności, zbliżyły się do jej oczu. – Nie czujesz do mnie nawet odrobiny czułości?

– Nie sądzę.

– Skąd miałabyś wiedzieć? Przecież i tak nic do nikogo nie czujesz. – Nie mógł się już dłużej powstrzymać i roześmiał się drwiąco. – Twoje serce zmieniło się w kamień. Tak, kto jeśli nie ja może to wiedzieć. Czy choć raz pomyślałaś, że być może ze wszystkich mężczyzn wokół ciebie to właśnie ja budzę w tobie ogromną, nieświadomą namiętność?

– Nieprawda! – Nino poczuła na czole kropelki potu. A jeśli w jego słowach jest jakaś prawda? Szybko wypchnęła tę przerażającą możliwość ze swej świadomości. – Nienawidzę cię – rzuciła zdecydowanym tonem.

– Jaka szkoda. Bo ty mi się akurat podobasz. Może przesadą byłoby mówić o burzliwych uczuciach, ale byłbym gotów znosić cię jako moją żonę. Nasze małżeństwo byłoby niezłym układem. Zastanów się. Jedną z korzyści, na przykład, byłoby to, że zostałbym nowym królem imperium.

– Nie zostaniesz królem, dopóki żyję.

– Patrzcie! Moja słodka żonka już się kłóci z mężem! Przysięgam, że twoja dusza jest najbardziej upartą rzeczą, z jaką się spotkałem. Ale już niedługo. Mój ostatni cukierek zmieni cię w doskonałą, posłuszną żonę. – Wyciągnął z kieszeni białą buteleczkę i potrząsnął nią. Nino usłyszała ostatnią pigułkę, grzechoczącą w środku. Próbowwała wyrwać mu buteleczkę z ręki, ale ją odsunął. – Nie teraz. Musisz poczekać do jutra.

– Ty draniu!

– Tak, mnie też kończy się cierpliwość. Muszę wyznać, że nie mogę się już doczekać naszej ceremonii. Bo czym jest władza nad wielkim imperium babilońskim w porównaniu z życiem u twego boku, moja śliczna? Moje serce już nie może się doczekać szczęśliwych chwil, jakie spędzimy razem.

Nino splunęła mu w twarz. Naser El-Dor spokojnie wytarł jej ślinę. Chwycił ją za nadgarstki, a Nino poczuła, jak jej ciało zastyga, jakby wstrzyknięto jej jad. Jego śniada twarz zbliżyła się do jej twarzy, a wąskie, okrutne, ciemne usta drżały z pożądania, rozchylone niczym paszcza węża gotującego się do ataku. Z całych sił starała się odchylić głowę. Ale gdy już myślała, że nie ma ucieczki i czarny wąż ją dopadnie, coś spadło na głowę Nasera El-Dora z głośnym plaśnięciem. Ogromna zgniła figa rozplynęła się na czubku jego głowy, a jej lepkie soki skapywały do jego uszu, nosa i oczu.

– Przeklęty Samangelof! – zaklął satrapa. Puścił Nino i otarł oczy rękawem. – Na Asmodeusza i całą armię jego śmierdzących demonów!

– Bez przesady – odezwał się głos z kory drzewa figowego.

– Przygotuj się na śmierć, wstrętny demonie!

Hilel wysunął się z listowia i zeskoczył na ziemię.

– Jeszcze nie zostaliśmy sobie oficjalnie przedstawieni. Proszę wybaczyć brak manier.

Nino zauważyła ślad zaskoczenia na masce opanowania Nasera El-Dora.

– Czy to...?

– Hilel, we własnej osobie.

– To niemożliwe.

– A jednak.

– Jak ten śmieć się tu dostał? Zabierzcie go!

Strażnicy, którzy do tej chwili dyskretnie podążali za nimi niczym dwa głuchonieme posągi, wyciągnęli miecze i rzucili się w stronę figowca. Ale Hilel był szybszy. Chwycił pnącze, przeleciał między nimi i przeskoczył na następne drzewo. Na ich nieszczęście był to ogromny, stary pigwowiec, którego twarde jak kamień owoce posłużyły Hilelowi jako świetna amunicja. Podeszli do niego ostrożnie, próbując osłonić się przed bombardowaniem. Hilel trafiał w odsłonięte miejsca między częściami ich zbroi z irytującą celnością. Nino zachichotała.

Jeden ze strażników stanął na ramionach drugiego, żeby wspiać się na figowiec. Przytrzymując się pnia, zaczął walczyć z Hilelem. Spod ostrzy ich mieczy spadał na ziemię deszcz liści i gałązek. Nino przyglądała się z niepokojem przywódcy buntowników zepchniętemu teraz na koniec gałęzi. Ale gdy już była pewna, że Hilel spadnie i połamie sobie kości, on zeskoczył w gęstą, sprężystą rabatę pachnącego groszku, która przyjęła go łagodnie jak batut. Ogród, który wyczuł zażartą walkę, z radością współpracował z Hilelem. Nino ze zdumieniem przyglądała się ogromnemu tryskawcowi, którego owoce rozdeły się w ciągu kilku sekund do rozmiaru włochatych melonów. Owoce zaczęły odrywać się od ogonków z doskonałym zgraniem i strzelały jadowitym, zielonym śluzem prosto na twarze strażników. Kiedy ci już się pozbiali i próbowali kontynuować pościg, afrykański bananowiec nagle zadrżał i u stóp strażników spadł grad dojrzałych bananów, na których poślizgnęli się i przewrócili. Wybuchające trujące grzyby wyrastały szybko jeden za drugim, rozprzestrzeniając oślepiający fioletowy dym, który ostatecznie uniemożliwił strażnikom dalsze działanie.

– Ty drzewna małpo, nie uciekniesz mi! – zawołał Naser El-Dor.

Podniósł rękę i wypowiedział słowo, które dla Nino brzmiało jak kropla trucizny utwardzająca je w sylaby. Wszystkie drzewa i krzewy w promieniu dziesięciu metrów zwiędły i poczerniały w jednej chwili jakby dotknięte plagą. Hilel, który ukrywał się między nimi, został odsłonięty. Ale teraz ogród wpadł w furję. Wszystkie drzewa naraz wypuściły gęste listowie, a igły i wici zjeżyły się niczym sierść rozzłoszczonego zwierzęcia. Pęd arbuza zaczął szybko skręcać się i oplatać figowiec, wznosząc się nad głową Nasera El-Dora. Napompował wielki owoc i bez wahania zrzucił bombę prosto na głowę pretendenta do tronu. El-Dor zatoczył się jak pijany. Arbuz ochlapał mu głowę i pelerynę czerwonym sokiem, ale nie udało mu się przewrócić satrapy na ziemię. Chcąc odzyskać równowagę, Naser El-Dor chwycił najbliższy krzew bugenwilli i pokłuł się kolcami. Stado wróbli wzbiło się z krzewu i zaczęło krążyć nad jego głową, ćwierkając głośno i obsypując go parującymi odchodami. Ale Naser El-Dor przeklął je i ptaki spadły bez życia na ziemię zamarzniete jak kule gradu. Popędził za Hilelem, wyciągnął sztylet i rzucił nim.

Nino krzyknęła. Zobaczyła, że sztylet trafił Hilela w ramię, i modliła się, żeby ostrze nie było zatrute. Hilel potknął się i chwycił gałęzi. Naser El-Dor podszedł do niego i wyciągnął krótki miecz.

– To koniec – rzucił.

Hilel był ranny. Nino widziała plamę krwi rozlewającą się po jego koszuli i chciała pobiec mu na pomoc, ale dał jej znak, żeby się nie zbliżała. Ostatkiem sił przeczołgał się i schronił pod ogromną muchołówką, której mięsiste purpurowe kwiaty o ostrych zębach między kuszącymi wargami karmiły się drobnymi zwierzętami, które rzucali im ogrodnicy. Nino zauważyła, że paszcze kwiatów otwierają się, jakby poczuły świeżą krew rannego Hilela. Zadrżała.

Naser El-Dor przedzierał się do przywódcy buntowników pod sklepieniem krzewu.

– Nie wstawaj, proszę, nie obrażę się – powiedział aksamitnym głosem.

Uniósł miecz nad głowę Hilela, ale nie zdążył zadać ciosu, bo nagle zaatakowały go dziesiątki małych, wygłodniałych paszcz, które wgryzły się w jego ciało. Rozrywały na strzępy jego ubranie, drapały go po twarzy i wyrywały mu włosy. Nino widziała ślady ugryzień pojawiające się na jego ramionach, szyi i twarzy. Jaka wspaniała ironia! Jakby kwiaty oddawały jej przysługę i całowały Nasera El-Dora tak, jak on chciał pocałować ją. Jeden z kwiatów przywarł do jego nosa, a innemu udało się odgryźć i oderwać spory kawałek jego ucha. Naser El-Dor zawzięcie walczył, aby wyswobodzić się z uścisku krzewu. Tymczasem Hilel zebrał siły. Giętka gałąź wisterii opuściła się do niego i oplótła go w pasie. Wstał, z pomocą gałęzi przeskoczył przez mur i zniknął, zostawiając za sobą ciemny ślad krwi.

– Co tak stoisz i się na mnie gapisz? Zróbże coś! – wrzasnął Naser El-Dor do Nino.

Ale ona tylko się roześmiała.

– Przyszły władca imperium powinien wiedzieć, jak zapanować nad kilkoma kwiatami w swoim ogrodzie – zadrwiła i z rozkoszą powąchała różę.

Rozdział szesnasty

Wuj Noe

Jonatan i Pazuzu wystawili nosy z gąszczy wodnych hiacyntów porastających powierzchnię stawu wokół fontanny. Chowali się tam przez ostatnie godziny i przemarzli już do szpiku kości. Ale jeszcze nie mogli wyjść.

Jonatan spojrzął na ciężki, wyblakły betonowy budynek kliniki Cedry Libanu. Im dłużej mu się przyglądał, tym bardziej ponury mu się wydawał. Próby otoczenia go radosnym ogrodem były żałosne.

Pazuzu kichnął.

– Ile jeszcze mamy siedzieć w tej wannie?

– Trochę cierpliwości.

– Moje kości już nasiąkły wodą.

– Znam ich plan dnia. Kiedy tylko się ściemni, zbiorą chorych ze spaceru w ogrodzie i podadzą im herbatę i chleb z dżemem w jadalni.

– Herbatę i chleb z dżemem? Brzmi całkiem nieźle.

Jonatan starał się nie zwracać uwagi na narzekania demona. Skupił wzrok na oknie pokoju mamy i próbował wypatrzyć jakiś ruch za zaciągniętymi zasłonami. Ale nic nie zobaczył. „Oby tylko wszystko z nią było w porządku”, pomyślał. Wielkim błędem było zostawienie jej w tej instytucji. Ich ojciec powinien był wziąć to pod uwagę. Ale był zbyt zajęty tworzeniem swojego lekarstwa, które miało na pewno wyleczyć Tami. Jakie to smutne. Za ten błąd będą musieli zapłacić najwyższą cenę. Przez ostatnie dwa lata jego rodziną był głównie Pazuzu. Ale Jonatan ani na chwilę nie przestał wierzyć, że nadejdzie dzień, gdy on, Ela i rodzice znów będą razem, jak w tamtych dobrych czasach. Usiądą na kanapie w salonie domu Margolisów, będą podjadać popcorn, który ich ojciec przypalił, i oglądać głupi film w telewizji. Chciał zapomnieć o wszystkich trudnościach, torturach i rozczarowaniach, zapomnieć o cudownym darze, który dostał w Niniwie, i znów być beztrudnym dzieckiem w rodzinnym domu. Ale to było niemożliwe. Przez ostatnie dwa lata nauczył się, że nic, czego potrzebował, nie dzieje się dzięki cudowi, losowi czy szczęściu. Jeśli nie znajdzie rozwiązania – samo się nie znajdzie. A nie przybył tu, żeby polec na jakiejś głupocie.

– Zamoczyłeś twarz? – zapytał Pazuzu. – Masz mokre oczy.

– To nic.

Jonatan nie chciał przyjąć do wiadomości, że obraz, który widział w wyobraźni, już nigdy się nie urzeczywistni. Trzeba znaleźć sposób, aby wydostać stąd mamę. Przemycą ją przez żelazną bramę i znajdą dla niej kryjówkę. Na pewno na niego czeka. Już dwa lata się nie widzieli i na pewno mama odchodzi od zmysłów z tęsknoty i zmartwienia. Teraz pewnie leży w łóżku i zastanawia się, gdzie podziewają się jej dzieci.

Nagle światło w pokoju Tami się zapaliło, jakby usłyszała jego myśli.

– Widzisz? – zwrócił się do Pazuzu triumfalnym tonem. – Jest. Wydostaniemy ją stąd, a ona pokaże nam, jak wrócić, żeby pomóc księżniczce.

– Podoba ci się ta Nino, co? Z tymi wachlarzami rzęs i włosami w kolorze spalonej grzanki.

– Uratowała nas. Bez niej siedzielibyśmy teraz w brzuchu krokodyla.

– I dlatego my musimy ją teraz uratować?

– Czy demony nie mają choć odrobiny godności?

– Godność to luksus, którym mogą się cieszyć tylko żywi.

– Ale my wciąż żyjemy. Przynajmniej do powrotu do Babilonu.

Kiedy się ściemniło, wygramolili się z wody i pochyleni zakradli pod okno Tami. Jonatan rzucił kilka kamyczków, które z brzękiem odbiły się od szyby. Nie usłyszeli żadnej odpowiedzi.

– Dlaczego nie otwiera okna?

– Może śpi – zastanawiał się Pazuzu. – A może przywiązali ją do łóżka.

– Co za durny pomysł. Dlaczego mieliby przywiązać ją do łóżka? – Jonatan mimo wszystko się wzdrygnął. – Myślisz, że mógłbyś się wspiąć na drugie piętro?

Pazuzu chwycił się ściany pazurami i powoli podciągnął do góry. Jego czarny cień o czterech przywiedłych skrzydełkach na grzbiecie przypominał Jonatanowi wielkiego karalucha. Udało mu się podciągnąć do okien na pierwszym piętrze, zostawiając za sobą na ścianie mokry brudny ślad. W końcu dotarł do okna Tami i popchnął je. Jonatan usłyszał głośne „łup!”, gdy demon spadł na podłogę pokoju. Rozejrzał się, modląc się, aby nikogo nie było w pobliżu. Po chwili, która wydawała się wiecznością, czarna głowa demona wychyliła się spomiędzy białych zasłon.

– Nic jej nie jest? – szepnął Jonatan.

– Śpi.

Pazuzu związał kilka koców i zasłon i opuścił je do Jonatana.

– Przewiąż się tym w pasie, a ja cię wciągnę na górę.

W przeciwieństwie do eleganckiej sprawności, z jaką przeprowadza się takie rzeczy w filmach akcji, które oglądał Jonatan, wspinaczka na pierwsze piętro była niesłychanie trudna i nieraz bał się, że Pazuzu zwalnia uchwyt i prowizoryczna lina wymyka mu się z rąk.

– Jesteś gruby jak serdel – gderał demon.

Ale w końcu udało mu się wciągnąć go na parapet. Jonatan wpadł do pokoju jak worek ziemniaków. Na łóżku leżała pogrążona w głębokim śnie kobieta. Była zwinięta w kłębek, z twarzą ukrytą w ramionach. Jonatan zauważył, że jej włosy zmieniły się w dziki gąszcz i przytyła.

– Twoja mama chrapie – zauważył demon.

– To przez te lekarstwa.

Bał się ją nagle obudzić, żeby nie krzyknęła, więc wyciągnął pióro z poduszki i połaskotał ją pod pachą. Kobieta wymamrotała coś i lekko się poruszyła, ale nie odwróciła.

– Daj, ja to zrobię – zaproponował Pazuzu.

Zanim Jonatan zdążył go powstrzymać, demon ugryzł ją w paluch stopy.

– Pazuzu, nie!

Oszołomiona kobieta usiadła na łóżku, a włosy opadły na jej twarz niczym zasłona.

– Sio, wstrętne komary – odezwała się słabym głosem i podrapała w ugryziony palec.

Potem położyła się na plecach, a włosy rozsypały się wokół jej twarzy niczym wachlarz.

To nie była jego mama.

Jonatan był rozczarowany. Jeśli jego mamy nie było w tym pokoju, to gdzie była? Czy to możliwe, że przydarzyło jej się coś naprawdę poważnego?

– Co teraz? – zapytał demon.

– Poszukamy Szapiro. On na pewno coś wie.

Jonatan dobrze znał drogę do biura dyrektora kliniki. Z korytarza, w którym się ukrywali, obserwowali jego oświetlony gabinet. Mieli wielkie szczęście, że sekretarka z recepcji już wyszła. Zza dużego akwarium przy wejściu widzieli twarz dyrektora pochyloną nad papierami.

– Schowaj się za akwarium i zaczekaj na mnie – powiedział Jonatan do Pazuzu.

– Dlaczego?

– Może spanikować. Ludzie w moim świecie nie są przyzwyczajeni do demonów.

– Ich strata – mruknął Pazuzu.

Ale zrobił to, o co prosił Jonatan, i schował się za akwarium, skąd żarłocznym wzrokiem obserwował złote rybki. Jonatan przycesał włosy palcami, wyciągnął z ucha kawałek łądygi wodnego hiacynta i odważnie wszedł do gabinetu pana Szapiro.

– Dobry wieczór, panie Izajaszu – powiedział z pewnością w głosie, która zadziwiła nawet jego samego.

Szapiro podniósł głowę, zaskoczony, i zamrugnął za okularami. Z tymi swoimi krótkimi nogami i rękami jeszcze bardziej niż zwykle przypominał grubego, krótkowzrocznego jamnika. Powęszył w powietrzu.

– Chwileczkę, skądś cię znam...

– Jonatan Margolis.

– Wielki Boże! Mały Emanuela i Tami. Ależ się zmieniłeś! Stałeś się... stałeś się...

Jonatan nie miał ochoty słuchać, kim się stał. Usiadł na krześle naprzeciwko Szapiro, na krześle, na którym zwykle siadał jego ojciec.

– To nadal ja.

– Skąd ty się nagle wzięłeś? Ty i twoja siostra zniknęliście dwa lata temu, w gazetach pełno było o tym. Cały świat was szukał. Mówili, że was porwano.

– Teraz nie ma znaczenia, gdzie byliśmy. Chodzi o to, że szukam mamy.

– Tami.... – Szapiro zdjął okulary, a jego głos złagodniał. – Nasza śliczna, wrażliwa Tami... Miałem przecucie, że po nią wrócisz. Zawsze łączyła was szczególna więź. Raz skaleczyłeś się w palec w domu, a ona tutaj przez cały dzień płakała.

Jonatan poczuł, jak jego gardło się zaciska, i szybko przełknął ślinę. Tylko tego mu brakowało: żeby się rozpłakał. Wiedział, że Szapiro próbuje manipulować jego emocjami i zmienić go znów w dziecko, którym kiedyś był, żeby mógł odzyskać kontrolę nad sytuacją. Ale on nie zamierzał dać się oszołomić.

– Gdzie ona jest? Ostatni raz, kiedy pamiętam, była tutaj.

– Rozumiem twój żal... – Szapiro nadal pociągał za odsłonięte nici bólu.

– Nie przyszedłem tu, żeby rozmawiać o swoich uczuciach. Przyszedłem, żeby znaleźć mamę.

– Jonatanie – zaczął Szapiro. – Gdy to mówisz, serce mi się ściska. – Dla podkreślenia swoich słów przyłożył w teatralnym geście dłoń do koszuli. – Chcesz coś na uspokojenie?

– Nie – zirytował się Jonatan i poczuł, że jego cierpliwość się kończy. – Chcę faktów. Szapiro westchnął.

– Ach, ta dzisiejsza młodzież. Tacy nerwowi. Zamiast wariatkowa powinienem był stworzyć poprawczak.

– Dość! Gdzie jest moja mama?

– Przykro mi, że muszę ci przekazać tę wiadomość w taki sposób, ale sam o to prosiłeś. To niełatwa wiadomość. Nie ma jej. Odeszła rok temu.

Jonatana przeszył lodowaty dreszcz. To niemożliwe! Gdyby coś jej się stało, poczułby to w swoim ciele. Zauważył tik pod prawym okiem mężczyzny. Dyrektor kliniki się denerwował. Każda komórka ciała Jonatana mówiła mu, że Szapiro nie mówi mu prawdy.

– Kłamca!

Jonatan wstał i pochylił się do Szapiro. Nie wiedział, że jego ciało, teraz tak silne, było dla przeciwnika poważnym zagrożeniem. Ale dyrektor świetnie to czuł. Wsunął rękę pod blat biurka i czegoś tam szukał. Jonatan, który zauważył to kątem oka, natychmiast zrozumiał niebezpieczeństwo: przecież to był ośrodek dla psychicznie chorych! To jasne, że w gabinecie dyrektora był przycisk alarmowy. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał? Zanurkował pod biurko, próbując odepchnąć rękę Szapiro, ale dłoń dyrektora mocno nacisnęła dzwonek.

Jonatan skrzywił się w oczekiwaniu na ogłuszający hałas wypełniający korytarze. Spodziewał się, że po schodach wbiegnie dziesięciu potężnych sanitariuszy, którzy zawiną go w kaftan bezpieczeństwa i wrzucą do celi. Lecz nic takiego się nie stało. W budynku panowała cisza, taka sama jak wcześniej. Szapiro jeszcze raz nacisnął palcem guzik alarmu. I jeszcze raz.

– Szukasz czegoś?

W progu stał Pazuzu. Trzymał w pysku niewielką, na wpół przeżutą plastikową skrzynkę, z której zwisały przerwane kable elektryczne.

Dyrektor rozglądał się w panice, a z jego czoła spływały kropelki potu.

– Co mi zrobiłeś? Dałeś mi jakieś leki halucynogenne? Słyszę, że twój pies mówi.

– Nie jestem psem – obruszył się Pazuzu.

Dumnie zamachał żałosnymi skrzydełkami, co przedziwnie wpłynęło na kolor twarzy Szapiro, która nagle poszarzała.

– Mam wrażenie, że wie pan więcej, niż chce nam pan wyjawić – oznajmił Jonatan.

– Nic nie wiem – jęknął Szapiro.

– A co z muzyką czarnego krokodyla? Dwa lata temu dał pan mojemu tacie płytę, przez którą zdarzyły się różne dziwne rzeczy.

– O czym ty mówisz? Nic nie pamiętam.

– Znowu pan kłamie!

Za oknem gabinetu pojawiły się dwie pielęgniarki podczas rutynowego obchodu. Szły z drugiego końca korytarza i trajkotały. Szapiro zerwał się z krzesła i pobiegł do recepcji, wymachując rękami, aby przyciągnąć ich uwagę. Ale Pazuzu był szybszy. Rzucił się na dyrektora i mocno chwycił jego krocze. Szapiro padł na ziemię i krzyknąłby wniebogłosy, gdyby nie Jonatan, który przewidział to i szybko wepchnął mu do ust kulę zwiniętą z papieru, który wyciągnął z kosza. Pielęgniarki były coraz bliżej. Ich głosy słychać było za szybą, a zdesperowany Szapiro przewrócił oczami. Pazuzu, który nie zwolnił strategicznego

uścisku z miejsca między jego nogami, pomrukiwał cicho jak jakiś ludożerczy potwór.

Dopiero gdy pielęgniarki się oddaliły, Jonatan wyjął kulę z ust dyrektora.

– Jeśli spróbuje pan krzyknąć, to będzie pana koniec.

– Arrr... Chrr... Zabierz tego swojego rottweilera.

– Kto dał panu płytę z czarnym krokodylem?

– Zlituj się nade mną, nie zabijaj mnie. Mam żonę i dzieci w domu. Nie chciałem zrobić nic złego. Ona po prostu przysłała tutaj i wcisnęła mi tę płytę do ręki. Powiedziała, że pomoże twojemu tacie znaleźć natchnienie, i nie miałem żadnego powodu, by jej nie wierzyć...

– O kim pan mówi?

– Była taka władcza w tym wielkim, czarnym bmw z przyciemnionymi szybami. Nigdy jej nie widziałeś, więc nie masz pojęcia, jaka może być przerażająca z tymi rudymi włosami i twarzą, która wydaje się stworzona, by była słodka, ale nie jest. Sara Lispektor... Ach.

Jonatan był pewny, że słyszał ostatnio ten opis.

– Kto ją przysłał?

– Nie złość się na mnie. Byli wściekli, że ukradziono ich lekarstwo, a twojego taty już tam nie było i nie mógł obronić Tami. Nie mogłem się sprzeciwić. Są zbyt silni. Wszędzie mają wpływy. Nawet ten ośrodek, niby-rządowy, opiera się na ich datkach. Gdybym odmówił i nie podpisał aktu zgonu Tami, wykorzystaliby swoje kontakty w ministerstwie zdrowia i w dwa dni by mnie zwolniono.

– Ale kim są ci oni, do diabła?

Szapiro spuścił wzrok, jakby zawstydzony.

– Są z koncernu farmaceutycznego, w którym pracował twój tata. Hypocricom.

Hypocricom. Ogromna firma, która zaspokajała wszystkie potrzeby jego rodziny, czaiła się w zakamarkach świadomości Jonatana niczym ciemny cień już od jego dzieciństwa. Czy da sobie z nią radę? Tak łatwo byłoby osunąć się w rozpacz. Ale nie zamierzał tego zrobić. Pierwszą osobą, która przyszła mu do głowy jak krzepiąca gwiazda w ciemności, był wujek Noe. Doktor Noe Zippel, stary przyjaciel ich ojca. On także pracował w laboratoriach Hypocricomu i znał firmę od środka. Noe na pewno wiedział, gdzie szukać ich mamy.

Jonatan przypomniał sobie pewną zimową sobotę, kiedy zaprosili Noego na obiad. Noe zapukał do drzwi z doniczką świeżych fioletowych pierwiosnków. Uparł się, aby rycersko pocałować ich mamę w rękę. Tami stała w progu w fartuszku i dresie, zaśmiewała się i próbowała schować mokre ręce za plecami. Jonatan i Ela podejrzewali, że Noe kocha się w niej i nabijali się z niego za jego plecami. Ale jego uczucia do niej – jeśli były prawdziwe – teraz mogłyby się im przydać.

Przez całą noc razem z Pazuzu próbowali przemieścić się autostopem na południe. Jonatan był kiedyś w domu Noego, gdy miał dziewięć lat. Pamiętał gwarne centrum miasta, autobusy, kioski i kawiarnie. W sercu tego rozgardiaszu znajdowała się ładna, cicha aleja, wzdłuż której rosły dorodne figowce, a przy niej stał dom Noego. Jonatan pamiętał, że Noe zabrał go na dach i przechwalał się, że jest to odnowiony budynek w stylu Bauhausu o wartości architektonicznej i historycznej i że nie wyobraża sobie mieszkania w prostym, ordynarnym bloku. Dla Jonatana budynek był budynkiem i te rozróżnienia nic mu nie mówiły. Stwierdził, że to kolejne wariactwo dorosłych, kompletnie bezsensowne, które

jakoś później staje się bardzo ważne. Ale nic nie powiedział do wujka, który był bardzo dumny ze swojej posiadłości. Teraz byłby szczęśliwy, gdyby siedział w ciepłym, wygodnym mieszkaniu, a nie na zimnej drodze, przemoczony do suchej nitki, w dziurawych skarpetach i bez butów.

Autostop w towarzystwie demona był frustrujący. Samochody, które już zwolniły, przyspieszały znów, gdy kierowcy zauważyli włochatą, niezidentyfikowaną postać w światłach reflektorów. Pazuzu próbował przekonać Jonatana, aby użył soczewki ciemności i przenieśli się przez wodę, ale Jonatan się na to nie zgodził. Podróż wodą wiązała się z nieznanym niebezpieczeństwem. A poza tym sam proces nie był szczególnie przyjemny. Jak długo mogli, lepiej było poruszać się zwykłymi drogami. Jonatan poradził Pazuzu, aby schował się w przydrożnym rowie i w końcu udało im się zatrzymać cysterne, która wiozła mleko z gospodarstw na północy do podmiejskich rozlewni. Kierowca ciężarówki musiał do świtu znosić smród Pazuzu.

– Dla waszego dobra lepiej, żeby mi mleko nie skisło – mruknął, gdy dotarli do bramy mleczarni.

Jonatan i Pazuzu zeskoczyli po schodkach ciężarówki i szybko zniknęli w uliczkach terenu przemysłowego na obrzeżach miasta. Na ulicach było jeszcze pusto i po drodze spotkali tylko kilku urzędników i zaspanych sprzątaczy, którzy nawet nie przetarli oczu na widok demona. Bez kłopotu znaleźli aleję figową i dom. Weszli po schodach aż dotarli do stylowych metalowych drzwi z tabliczką: „Tu mieszka Noe Zippel i bardzo się z tego cieszy”. Ale gdy zadzwonili dzwonkiem, nie usłyszeli żadnej odpowiedzi. Jonatan przypomniał sobie, iż Noe kiedyś wspominał, że wczesnym rankiem wychodzi do ulubionej kawiarni na filiżankę espresso, by przeczytać dodatek kulturalny w gazecie przed pracą. Włamanie nie wchodziło w grę, ponieważ Noe zawsze bał się złodziei, inspektorów i urzędników skarbowych, więc mieszkanie było wyposażone w rozmaite wyszukane alarmy i nowoczesne systemy zabezpieczeń. Ostatnią rzeczą, której im brakowało, było ściągnięcie na siebie uwagi. Spędzili gorący, wyczerpujący dzień na ławce w parku, na której demon leżał przykryty gazetami jak bezdomny żebrak, i bawili się w chowanego z policjantem, który krążył wokół nich z kwaśną miną. Pazuzu bardzo się podekscytował wynalazkiem napoju w puszcze, a Jonatan musiał co jakiś czas patrolować kosze na śmieci i przynosić mu puste puszki, żeby mógł je pożuć i się uspokoić.

– Podoba mi się twój świat – oświadczył demon. – Uwielbiam jego zapach.

– Nie czuję nic oprócz smogu.

– Smog? Co za romantyczna nazwa dla perfum! Ten zapach przywołuje wspomnienia z domu mego ojca.

Zbliżał się wieczór i Jonatan zaczął się martwić, że zamiast wrócić do domu, Noe wyjdzie na noc. Pamiętał rozmowy wuja z ich ojcem, gdy Noe twierdził, że bywały kawaler z miasta powinien wieść beztroskie życie: z pracy prosto do osiedlowego baru na szklaneczkę piwa, lekka żartobliwa pogawędka z kilkoma przypadkowymi kobietami albo frywolną kelnerką, stamtąd prosto do ulubionego klubu na kolejnego drinka, a potem zapalić i słuchać muzyki do drugiej w nocy. Ale Jonatan nie miał czasu, żeby czekać na zakończenie tego modnego planu. Czas szybko uciekał. Przypomniał sobie, że Noe często się chwalił, że codziennie wpada do luksusowych delikatesów na lekką kolację. Postanowił, że powinni poczekać właśnie tam, aby na pewno się z nim nie minąć.

Przy wejściu do delikatesów powitał ich ochroniarz w wyprasowanym uniformie. Jego wykrywacz metalu zabuczał podejrzliwie, gdy zbliżył się do brzucha demona. Jonatan szybko podał Pazuzu pustą puszkę po napoju, którą trzymał. W końcu ochroniarz, z dziwną miną, pozwolił im wejść do środka. Jonatan pomógł demonowi wejść do wózka i od razu przykrył go stosem warzyw i główkami świeżej sałaty. Zaczął krążyć alejkami w poszukiwaniu Noego. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że jego wózek cięży niczym przyciągany magnesem do półek z wędlinami i zasysa długie łańcuchy kiełbasek. Poważne komplikacje pojawiły się, gdy Pazuzu postanowił połknąć całą puszkę tuńczyka i Jonatan musiał mocno walić go w plecy, żeby prostokątna puszka zeszła przełykiem demona. Modlił się, żeby Noe się pojawił, zanim zauważą ich kamery ochrony. Odetchnął z ulgą, gdy obok stoiska z pieczywem ujrzał mężczyznę średniego wzrostu o bystrym spojrzeniu, radosnej twarzy, błyszczących oczach i przerzedzonych włosach ułożonych z pomocą szczodrej porcji żelu. Mężczyzna miał na sobie czarną, dopasowaną koszulę z gęsto tkanej bawełny, podkreślającą jego wyrzeźbione na siłowni mięśnie, i kolorowe sportowe buty (Adidas retro – Noe był z nich strasznie dumny). Płynął za nim zapach drogiej wody po goleniu Dolce i Gabbana. Flirtował z młodą sprzedawczynią ze stoiska z pieczywem.

– Wujek Noe!

Jonatan ruszył biegiem w jego kierunku, wymachując rękami.

– Co? Kto to? Jonatan? A to ci dopiero!

Noe uściskał go serdecznie, otulając Jonatana falą wody kolońskiej, porzuciwszy bagietkę w rękach zaskoczony dziewczyny.

– Co ty tu robisz? I to w samych skarpetkach! Co to za niespodzianka? Gdzieś ty się podziewał? Odchodziliśmy od zmysłów ze zmartwienia!

– Wszystko ci opowiem, wujku. Ale nie tutaj.

Mieszkanie Noego Zippla było spełnieniem marzeń każdego chłopca. Pełno tam było gier komputerowych, kryminałów, starych płyt, plakatów z *Gwiezdnych Wojen* i wszystkich wersji *King Konga*... Pośrodku salonu, na niższym poziomie, stało jacuzzi, w którym pływała flota złożona z gumowych kaczuszek i wspaniałych modeli okrętów: „Złotej Łani” sir Francisa Drake’a i „Santa Marii” Kolumba. Miniaturowa kolejka elektryczna krążyła po torach po mieszkaniu, a podczas uroczystych okazji można było zawieźć nią do sypialni butelkę zimnego szampana i dwa kieliszki. Noe przygotował im wspaniałe ogromne tosty z ementalerem, pepperoni i rukolą. Jonatan skrzywił się na tę zieleninę. Gdy jedli, wujek sprawdził e-maile, które przekazała mu francuska pokojówka w białym fartuszkach, drobiąca w szpilkach po ekranie. Słodkim głosem nazywała go „Monsieur Zippel”.

Kiedy skończył, dał Jonatanowi parę sportowych butów, które zastąpiły te zgubione w żywym labiryncie. Potem wyjął cygaro z pudełka i poczęstował go.

– Palisz?

– Jeszcze nie – odparł zakłopotany Jonatan.

Noe wzruszył ramionami.

– Twój ojciec zawsze ze mną palił. – Podpalił cygaro pozłocaną zapalniczką z wizerunkiem iguany i zaciągnął się krótko jak prawdziwy koneser. – A teraz, skoro już się najadliście, opowiedzcie mi wszystko od początku.

Jonatan zaczął swą długą opowieść. Mijały kolejne godziny, Noe robił się coraz bardziej

poważny, a teraz chodził wzburzony w tę i z powrotem po dywanie.

– Niewiarygodne! – mruzczał w kółko.

Jonatan powtórzył, co Nino powiedziała mu w więzieniu o tym, co słyszała, gdy wkradła się do siedziby Hypocricomu. Ta część opowieści wstrząsnęła Noem.

– Kto by uwierzył? Słyszałem pogłoski o wczesnych eksperymentach Hypocricomu, ale nie wiedziałem, że to nadal się dzieje.

– O jakich eksperymentach?

– Wolałbym na razie nic nie mówić, bo może się mylę. Naprawdę mam nadzieję, że się mylę. Ale jeśli jednak mam rację, pewnie przetrzymują Tami w podziemnej części. – Skrzywił się ze smutkiem. – Nie, to straszne! Mam ciarki na samą myśl o tym.

Noe pracował w laboratoriach Hypocricomu w centrum miasta. Im więcej Jonatan dowiadywał się o tym przedsiębiorstwie, tym bardziej zdumiewały go rozmiary tej potwornej korporacji. Jako starszy badacz Noe mógł wejść wszędzie, także do budynków w kompleksie przemysłowym. Wyszedł do drugiego pokoju, przeprowadził kilka rozmów telefonicznych przyciszonym głosem i wrócił z miną wyrażającą zdecydowanie.

– Możesz na mnie liczyć, Jonatanie. Wszystkim się zajmiemy, ale będziemy mogli tam wejść dopiero jutro. Najlepiej późnym wieczorem, kiedy pracownicy skończą pracę i wyjdą.

– Jesteś pewny? Bardzo nam się spieszy.

– Spieszy mi się tak samo jak tobie.

– Pojutrze w imperium rozpoczną się obchody Święta Lata i Nino będzie musiała połączyć ostatnią pigułkę. Uratowała życie mnie i Pazuzu. Musimy jej pomóc!

– Mam nadzieję, że znajdziemy biedną Tami jak najszybciej, ale na pewno nie wcześniej niż jutro. Na razie powinniście odpocząć.

Noe pościelił mu na sofie w salonie, a Jonatan z lubością wyciągnął się na miękkich poduszkach. Od dwóch lat nie spał w czystej pościeli. Pazuzu zwinął się w kłębek na dywanie obok niego. Teraz poczuli w ciele ciężar doświadczeń ostatnich dni. Zmęczenie, z którym walczyli, w końcu ich pokonało. Noe puścił kojącą muzykę i zapalił małą lampkę, żeby nie przestraszyli się, gdyby nagle obudzili się w ciemności. Włożył szlafrok i chciał już pójść do sypialni na drugim poziomie, lecz gdy postawił stopę na schodku, Jonatan wystawił nos spod koca.

– Powiedz mi, wujku Noe...

– Tak?

– Czy mój tata żyje?

– Bałem się, że o to zapytasz. Można powiedzieć, że tak.

– Co masz na myśli?

– Nie martw się o niego, Jonatanie. On nie może opuścić szpitala. Nie myśl teraz o nim, bo i tak nic nie możesz dla niego zrobić.

– Dlaczego stworzył lekarstwo, które szkodzi ludziom?

– Zadajesz mi pytania, na które nie umiem odpowiedzieć. Twój tata nie wtajemniczał mnie w swoje naukowe projekty. Był geniuszem, ale nie mam pojęcia, co planował.

Jonatan zrozumiał, że już nic więcej od Noego nie wyciągnie. Zamknął oczy i po chwili zasnął snem ciężkim i głębokim jak sama Otchłań.

Rozdział siedemnasty

Sztylet Al-Namira

Rana po strzale sylfy nie chciała się goić. Ełę przewieziono w góry. Wiele dni spędziła w oszłomieniu, tracąc świadomość w omdleniach i snach, pomiędzy którymi widziała przebłyski twarzy pochylonych nad nią szamanów i Ahurmiany, która opiekowała się nią i zmuszała, by wypić przynajmniej kilka kropli wody. Udo nie zostało poważnie naruszone, lecz trucizna dotarła do wszystkich wnętrzości. Nawet gdy Ela wreszcie stanęła na nogi, wciąż czuła, jakby w jej żyłach płynęły okruchy szkła. Uparła się jednak, że jest całkiem zdrowa i może wrócić do Babilonu. Musiała to zrobić jak najszybciej, bo Hilel został tam sam. Osiodłała popielatego ogiera i zjechała z gór, przez całą drogę ściągając wodze, żeby oszczędzić wstrząsów swojemu osłabionemu ciału. Gdy tylko dotarła do miasta, pospieszyła do kryjówki nad rzeką, ale okazało się, że jest pusta. Ani śladu Hilela. Ela przestraszyła się, że stało się coś złego. Po prostu czuła to każdą komórką ciała. Ogarnął ją niepokój. Czy powinna tu zostać i czekać na jego powrót? Było to bardzo kuszące: przynajmniej mogłaby odpocząć po podróży. Ale nie. Musiała działać.

Od eksplozji w elektrowni podwojono liczbę królewskich strażników. W ostatnich dniach jeszcze więcej żołnierzy napłynęło do miasta, aby przetrząsnąć ulice przed wielką ceremonią, zatrzymać podejrzanych i poszukać ładunków wybuchowych. Ale mimo grożącego jej niebezpieczeństwa nie mogła zwlekać. Włożyła stary sweter i kapelusz z rondem częściowo zasłaniającym oczy, dzięki czemu wyglądała teraz jak biedny uczeń z prowincji. Znajomość uliczek miasta bardzo jej się teraz przydała. Ela poszła w stronę pałacu, a gdy dotarła do wąskiej uliczki u stóp muru otaczającego ogrody, ruszyła wzdłuż niego.

Serce podpowiadało jej, że Hilel jest w ogrodzie. Wiedziała, że poczuł gwałtowną potrzebę, aby spotkać się z Nino. Z goryczą pomyślała, że właśnie przez to, iż trzymano go z dala od kobiet, budziły w nim taką fascynację i ciekawość, jakie czuł teraz do księżniczki. Gdyby był przyzwyczajony do ich towarzystwa, być może Nino by go tak nie oczarowała, bo przecież każdy mądry widział, że ona nie odwzajemnia jego uczuć. Westchnęła. Tak bardzo pragnęła dać swojej armii sygnał do ataku na to przeklęte miasto. Miasto, które połknęło Hilela. Gdyby tylko dał jej wolną rękę do rozpoczęcia powstania!

Napięła się, usłyszawszy głosy po drugiej stronie muru. Zamarła i nasłuchiwała. Brzmiało to jak odgłosy walki. Żałowała, że nie mogła wskoczyć do środka. Ale mur był zbyt wysoki. Zobaczyła tylko podmuch zerwanych liści, jesienne czerwonych, które opadły na jej kapelusz i ramiona. Podniosła jeden z nich. Był poplamiony krwią.

Ela poczuła, jakby czyjaś ręka brutalnie ścisnęła jej gardło. Kopnęła mur i spróbowała się na niego wspiąć, ale nie mając się czego chwycić tylko pozdzierała palce i od razu spadła. Każdy mięsień i ścięgno jej ciała boleśnie wrywały się na pomoc Hilelowi. Co tam się działo!?

Zza rogu wyszli dwaj żołnierze, maszerujący ramie w ramie podczas rutynowego patrolu. Choć bardzo chciała zostać w pobliżu ogrodów, Ela wiedziała, że lepiej uniknąć spotkania

ze strażnikami. Stała już przy wejściu do uliczki, w której mogła się schować, gdy usłyszała szelest nad murem i ujrzała pnące wisterii, wyciągające się i opuszczające fioletowe grona po drugiej stronie. W końcu łagodnie położyło na kamiennej ulicy ogromne grono przypominające rannego człowieka.

– Hilel! – zawołała Ela z ulgą zmieszaną z przerażeniem.

Co oni mu zrobili? Wyglądał, jakby spuszczone z niego krew, był tak wycieńczony i blady.

– Stać! Kto tam jest?! – krzyknął jeden z żołnierzy, a jego towarzysz podniósł strzelbę i przeładował broń.

Ela nie traciła czasu. Podbiegła do Hilela i przeciągnęła go za sobą w gąszcz uliczek. Strażnicy ruszyli biegiem. Gdyby była sama, bez problemu uciekłyby przed żołnierzami, których ciężkie kroki odbijały się echem od ścian. Ale Hilel był słaby, a z jego ramienia lała się krew. Zwolniła i spojrzała na niego.

– Zaczekaj tu na mnie – szepnęła i wepchnęła go za stos śmieci.

Zaczekała, aż żołnierze wyjdą zza rogu i ją zauważą, a następnie ruszyła do przodu jako przynęta. Przeskakiwała nad płotami i pod sznurami z praniem, przewracała w biegu balie, straszyła gołębie i staruszki. Raz już myślała, że dotarła do ślepej uliczki, gdy nagle otworzyły się przed nią drzwi i pobiegła na dach, z którego przeskoczyła na dach obok i po rynnice zsunęła się znów na ulicę. Niedaleko rzeki, kiedy już myślała, że pozbyła się prześladowców i z ulgą otarła pot, dogonili ją.

Ze szklaną ścianą za plecami Ela wiedziała, że mogła tylko walczyć o życie. Dobrze pamiętała słowa Al-Namira, że napastnik zawsze ma przewagę. Jeśli masz przeciwko sobie więcej niż jednego wroga, najpierw trzeba wyeliminować najgroźniejszego. Odwróciła się i rzuciła na żołnierza trzymającego strzelbę. Wyciągnęła krótki miecz, który nosiła przy sobie, i wbiła mu go w środek tułowia. Zobaczyła, jak broń wylatuje łukiem z jego ręki i spada z brzękiem na kamienną ulicę. Z zaskoczoną miną żołnierz wyciągnął ręce ku swej czerwieniejącej piersi. Osunął się na kolana, a potem padł na twarz. Ela zamarła. Z głębi jej żołądka podniosła się fala szoku i mdłości. Chociaż całym sercem wierzyła w powstanie i wiedziała, że nie uda im się ono bez rozlewu krwi, po raz pierwszy zabiła człowieka. Nie była na to gotowa. Tak bardzo chciało jej się płakać. Nie mogła oderwać oczu od leżącego w błocie żołnierza i nie ruszyła się z miejsca nawet wtedy, gdy drugi strażnik podbiegł do leżącej na ziemi broni, podniósł ją i zaczął strzelać.

– Padnij! – krzyknął jakiś głos z tyłu i ktoś wepchnął Elę za uliczną latarnię.

Postać zniknęła między budynkami tylko po to, aby znów się wyłonić i zaatakować strzelającego żołnierza od tyłu. Ela ostatkiem sił podbiegła, wbiła miecz w zaskoczonego strażnika i przewróciła go na ziemię.

– Może jestem ranny, ale jeszcze nie martwy – oświadczył Hilel.

Chwilę później Ela osunęła się nieprzytomnie w jego ramiona.

Tego dnia rozpoczęła się dla Eli prawdziwa wojna. Do tej chwili mogła planować zagrania taktyczne i operacje, inspirować ludzi, aby działali mądrze i rozważnie, ale powstanie stało się dla niej prawdziwe dopiero w dniu, gdy własnymi rękami zabiła człowieka. Nigdy nie zapomni wyrazu twarzy bezimiennego żołnierza. Jeśli są samotne chwile, w których nagle się starzejemy – to była właśnie jedna z nich. Ale nie miała wyjścia. Groziło jej śmiertelne

niebezpieczeństwo – tak samo jak Hilelowi. Nie żałowała tego, co zrobiła, ale czuła fizyczny ból, tępy i paraliżujący, na myśl o tym, co nieuniknione. Uświadomiła sobie, jak kruche było życie ludzi, których kochała, i jak bardzo zagrożone. Zrozumiała, jak straszna jest wojna.

Kawałek ostrza Nasera El-Dora nadal tkwił w ramieniu Hilela. Ela wiedziała, że nie opatrzy rany w ruinach ich kryjówek. Potrzebowała lekarstw, bandażu, środka odkażającego, a zwłaszcza miejsca, gdzie będzie mógł odpocząć: musiała zabrać go z miasta jak najprędzej.

Poszła na targ bydła, gdzie udało jej się ukraść młodą wielbłądzicę. Na jej grzbiecie wywiozła Hilela z Babilonu do gospodarstwa zaufanych wieśniaków. Tam rozłożono dla nich na ziemi chodniki i maty pod baldachimem winorośli w sadzie, a Ela dostała miskę z gorącą wodą i czyste bandaże.

Zdjęła Hilelowi koszulę i wyjęła fragment ostrza z jego ramienia. Hilel jeszcze bardziej zbladł, ale ani razu się nie poskarżył.

– Rana się zagoi. Na twoje szczęście żadna główna żyła nie została uszkodzona, w przeciwnym razie wykrwawiłbyś się na śmierć.

– Znowu uratowałeś mi życie, Elasiu.

– A ty uratowałeś mnie nad rzeką.

– Chyba powinniśmy się siebie trzymać. – Hilel roześmiał się słabo.

– Mógłbym poświęcić całe życie ratowaniu ciebie. Zapewniasz mi dość pracy.

– Cóż, może byłem trochę nieodpowiedzialny.

Hilel opowiedział Eli, co się wydarzyło w wiszących ogrodach.

Kiedy skończył, zapadał zmierzch, a słońce wisiało jak złota morela między gałęziami drzew w sadzie. Twarz Eli poszarzała. Tak jak przeczuwała, wszystkiemu była winna księżniczka.

– Skoro nie można trzymać ciebie z dala od kłopotów, może należy trzymać kłopoty z dala od ciebie – powiedziała do Hilela.

– Co masz na myśli?

– Ach, nic, tak się tylko mówi.

Wieśniaczka przyniosła im na kolację kilka podpłomyków i soczystych daktyli na talerzu, a Ela rozpałała niewielkie ognisko i zaparzyła herbatę z dzikiej mięty. Okryła Hilela kocami i ułożyła wokół niego poduszki.

– Musisz się wyspać, żeby odzyskać siły.

Był tak osłabiony, że nie potrzebował zachęty. Zasnął od razu, a księżyc otulił cichy sad srebrnym jedwabistym szalem. Był to mały nocny raj. Lecz Ela nie mogła w nim zostać. Zarzuciła pelerynę na ramiona, dotknęła sztyletu Al-Namira pod cholewką buta i wyruszyła do Babilonu.

Unikanie królewskich strażników patrolujących teren wokół ogrodów przypominało skomplikowany taniec. Na szczęście Ela świetnie znała kroki. Tym razem nie mogła liczyć na pomoc ze środka. Żadna przyjazna gałąź się do niej nie wyciągnęła. Zaopatrzyła się wcześniej w zakończoną hakiem linę, którą przerzuciła przez mur. Zwinnie wspięła się po niej i teraz przemierzała ogród, którego zmienne ścieżki i sztuczki już znała. Wejście na

wieżę okazało się jeszcze trudniejsze i nadwreżyło każdy mięsień w jej ciele. W sercu dziękowała starożytnym budowniczym, którzy ozdobili budowlę sfinksami o ludzkich głowach, o które mogła zahaczyć linę. Starła się nie patrzeć w dół. Wydawało jej się, że wspina się już od wielu godzin. W końcu obolałymi ramionami wciągnęła się na balkon komnaty Nino.

Drzwi były otwarte. Jasne jedwabne zasłony zasłaniające wejście furkotały łagodnie na nocnym wietrze. Nagle ze środka pokoju dobiegł głuchy pomruk. Ela zamarła i schowała się, gotowa zaatakować i zabić każdego, kto jej zagrozi. Ciężkie aksamitne kroki zbliżyły się i spomiędzy zasłon wyłonił się Koresz, pies Nino. Uniesione wargi odsłaniały żółte kły, a z pyska kapą mu ślina, ale na widok Eli zaczął machać ogonem i podszedł, żeby polizać jej dłoń. Zawsze ją lubił. Ela podrapała wielkiego mastifa za uszami i delikatnie poklepała go po boku.

– Dobry piesek. Idź spać.

Koresz zwinął się na posłaniu, a Ela weszła do środka. Na widok wspaniałej komnaty Nino zaparło jej dech. Był to pokój, w którym można by przeżyć całe życie, wyłożony miękkimi fioletowymi perskimi dywanami i tapiseriami przedstawiającymi sceny myśliwskie, pełen skomplikowanych nakręcanych zabawek. Ela z pogardą uniosła brwi na widok kolekcji porcelanowych lalek. Pośrodku pokoju, na ogromnym łóżu z baldachimem, skąpanym w świetle księżyca, spała księżniczka, jak jedna z jej laleczek. Nocna koszula podkreślała jej urodę. We śnie wyglądała jak najspokojniejsza istota na świecie.

„Tu jesteś, duszo imperium. Wszyscy o ciebie walczą i są gotowi ryzykować życie, aby cię zdobyć, a ty jesteś taka spokojna i nieruchoma, taka nieosiągalna. Nikt tak naprawdę nie może do ciebie dotrzeć”.

Nino westchnęła przez sen, a Ela zagryzła wargę. Wyciągnęła sztylet Al-Namira i uniosła go nad szyją księżniczki. Ostrze było ciepłe i giętkie jak kończyzna jej ciała i zdawało się połykać światło gwiazd jak zakrzywiona kosa ciemności. „Nikt cię nie dostanie – pomyślała Ela. – Tak będzie lepiej i bardziej sprawiedliwie. Mogę to zrobić. Dziś rano zabiłam człowieka i ręka mi nie zdrzy”. Zobaczyła w wyobraźni ciepłą krew tryskającą z szyi Nino i wypełniło ją uczucie przyjemności i ulgi.

Zawahała się. Jej palce mocno zacisnęły się na sztylcie, ale ręka była nieruchoma, jakby uschła. „Na co czekasz?! – krzyknął głos z jej wnętrza. – W każdej chwili księżniczka może się obudzić albo znaleźć cię strażnicy. Masz szansę, by ocalić Hilela, zanim zatonie w swoim szaleństwie, a wraz z nim całe imperium”.

Ale jej mięśnie nie chciały działać. Lekki oddech Nino łagodnie poruszał kosmykiem włosów spoczywającym na jej policzku, a Ela wiedziała, że jeśli opuści sztylet, ruch ustanie. „Co jest ze mną? – powiedziała do siebie. – Za dużo myślę. Czy zapomniałam, czego uczył mnie Al-Namir?”.

Wiedziała, że jej osobiste uczucia są w to zamieszane i denerwowało ją to. „Nie jestem potworem – powiedziała sobie. – Nie robię tego dla siebie. Zawsze rezygnowałam z tego, co chciałam i co czułam. Nigdy nie robiłam niczego dla własnej korzyści. Jeśli zabiję Nino, Hilel znów będzie mój i tylko mój. To prawda, że jestem zazdrosna o księżniczkę i lepiej bym się czuła, gdyby zniknęła, ale przecież nie zabiłabym jej tylko z zazdrości. To by mnie czyniło krwiożerczą bestią. Cóż z tego, jeśli na tym skorzystam? Nie mogę pozwolić, żeby mi to zamieszało w głowie. Muszę pamiętać, że nawet jeśli wyjdzie mi to na dobre, jest też

korzystne dla powstania. A może...?”.

Od tych wszystkich myśli rozboleła ją głowa. Ela postanowiła odetchnąć świeżym powietrzem i ochłonać. Odpocznie kilka minut na balkonie, zbierze odwagę i wtedy wróci do komnaty, żeby zrobić to, co trzeba. Wymknęła się po cichu na zewnątrz i podeszła do balustrady, żeby spojrzeć na miasto, które księżyc już porzucił. Usłyszała za plecami jakiś hałas, ale nie zdążyła się odwrócić. Ciemna potężna postać zeskoczyła z dachu i zaatakowała ją od tyłu.

Ela broniła się najlepiej, jak mogła. Zza gradu ciosów zobaczyła, że napastnikiem był mężczyzna w czarnej pelerynie. Stoczyli krótką, zaciętą walkę. Ela gryzła i atakowała, starając się używać najwredniejszych sztuczek, jakie знаła. Próbowwała uderzyć w czułe miejsce i wykończyć przeciwnika. Ale on był od niej silniejszy i wyższy o głowę, a ponieważ był też od niej dwa razy cięższy, nie miała żadnych szans. Wyrwał jej sztylet z dłoni i uderzył pięścią w twarz. Zamroczyło ją, aż zobaczyła migoczące gwiazdy. Cios ze świstem wycisnął z jej płuc powietrze. Zatoczyła się, a napastnik przyparł ją do balustrady, lecz ku jej zdziwieniu nie wykorzystał jej słabości, żeby zrzucić ją na dół, tylko wyciągnął rękę i pomógł jej odzyskać równowagę.

– Tfu, jesteś dziki jak uliczny kot – powiedział i wypluł czarny ząb.

Był to dojrzały mężczyzna o srebrnych włosach. Miał mięsiste wargi i nos, i przekrwione oczy jak pijak.

– Kim jesteś? – zapytała, zadyszana.

– Kimś, kto wolałby, żeby na razie księżniczka została przy życiu.

– Nie wyglądasz mi na jej straż przyboczną.

– Straż przyboczną? – Mężczyzna uśmiechnął się, pokazując gnijące dziąsła i zęby czarne jak smoła. – Wydaje ci się, że strażnik zrobiłby dla niej to, co ja przed chwilą?

– Skąd się w ogóle wzięłeś?

– Chodź ze mną, to ci pokażę.

– Nie zabijesz mnie?

– Nawet o tym nie pomyślałem.

Karawana przemytników rozbiła obóz w biednej, zaniedbanej dzielnicy na obrzeżach miasta. Wozy o zaokrąglonych dachach przykrytych brezentem stały w kręgu, a pośrodku płonęło ognisko. Pomiedzy nimi pasły się kosmate, świetnie wyszkolone konie. Sami, który przez ostatnie dwa lata postarzał się w przyspieszonym tempie, przybrał sporo tłuszczu i mięśni i z beztroskiego młodzieńca zmienił się w dorosłego, władczygo mężczyznę. Teraz zagotował na ogniu czarną kawę przyprawioną kardamonem i rozlał ją do porcelanowych filiżanek.

– Wybacz. Jutro będziesz miał śliwę pod okiem. Ale nie mogłem ci wyrwać tego noża w delikatniejszy sposób.

– Mnie też jest przykro z powodu twojego zęba – odparła Ela.

– Ech, nieważne. Stan mojego uzębienia i tak nie powala.

Ela popijała aromatyczną kawę. Nadal była oszołomiona. Chociaż słyszała o przemytnikach, nigdy dotąd ich nie spotkała. Przyglądała się grupie mężczyzn, palących i pijących, wystrojonych jak pawie w brudne pstrokate stroje, i nieustannie uwijającym się kobietom o dłoniach, stopach i czołach ozdobionych szkarłatnymi zawijasami tatuaży

z henny. Miały smagłą skórę, duże, mięsiste nosy, szerokie usta, błyszczące oczy i gęste czarne włosy. Wszystkie żyły nieprzerwanie, słuchając jej opowieści.

– Jak trafiłeś za mną do pałacu? – zapytała.

Jej zdezorientowana mina rozbawiła Samiego.

– Przed nami, przemytnikami, trudno cokolwiek ukryć. Mamy oczy i uszy wszędzie i zawsze możemy kogoś przekupić, żeby przekazał nam najnowsze wieści.

– Po co?

– Cóż, to chyba jasne. Tacy jak my muszą być doskonale poinformowani, bo już dawno by nas złapali i rzucili krokodylom na pożarcie.

– Nigdy nie widziałem, żebyście nas śledzili.

– Ale widzieliśmy was. Pamiętasz drzwi, które otworzyły się i uratowały cię dziś rano, kiedy żołnierze cię gonili? To nie był fart. Ja stałem za tymi drzwiami.

– Chyba powinienem ci podziękować. Ale dlaczego nie pozwoliłeś mi zabić księżniczki?

– Aj, to byłby niemądry ruch z twojej strony.

– Jeśli nas śledzisz, na pewno wiesz, że Hilel spotyka się z księżniczką. Jeżeli dalej będą to ciągnąć, ona zrujnuje przyszłość nas wszystkich.

Sami roześmiał się w głos.

– Osobiście nigdy nie wierzyłem w to, że kobieta go zniszczy. Prawdziwy mężczyzna powinien umieć sobie radzić w takich sytuacjach. Zapytaj kogoś z tych, co siedzą wokół ogniska. Z całym szacunkiem, wiem, że to wasz przywódca, ale chyba należy mu się odrobina prywatności. Poza tym księżniczka jest dla nas ważna, bo pomaga naszemu dobremu przyjacielowi.

– Kim jest ten wasz przyjaciel?

– To młody chłopak, który kręci się ze swoim demonem i robi bałagan. Spotkaliśmy ich jakieś dwa lata temu, kiedy uciekali przed zidiociałym kapłanem uzdrowicielem w Nippur. Od tamtego czasu dzieciak bardzo się rozwinął. Kiedy ostatnio siedziałem na dachu w Babilonie i przyglądałem mu się, był prawdziwą atrakcją dla tłumów. Jak jakiś prorok. Ludzie nazywają go Wodzirejem Cieni. Kłopot w tym, że nie jest popularny wśród satrapów. Udało mi się go uratować przed sterowcem policyjnym. Wysadziłem im statek, ale była zabawa! Ale i tak go złapali. Tu pojawia się księżniczka. Nasi ludzie w więzieniu mówią, że uratowała go od egzekucji.

Ela słuchała opowieści Samiego z coraz większym zaciekawieniem, a po jej ciele zaczęły biegać mrówki adrenaliny.

– Jak wygląda ten chłopak? Mniej więcej czternaście lat, jasne włosy, wkurzające pomysły?

– Dzięki tym swoim pomysłom odniósł tu niebywały sukces. Teraz jest pewnie najbardziej popularnym człowiekiem w mieście.

– Ma na imię Jonatan?

– Właśnie tak.

– W takim razie to mój brat!

– Naprawdę? – Sami patrzył na nią z podziwem. – Niezła z was rodzinka, co?

Mrówki adrenaliny opadły serce Eli, jakby było ogromną kromką chleba.

– Jesteś pewien, że ocalał od śmierci?

– On i jego demon mieli wczoraj zostać obiadem krokodyli. Nasi informatorzy mówią, że

potwory są tak głodne, że o mało nie zżarły nóg kata!

– To gdzie oni są teraz?

– Tylko księżniczka to wie. I chyba tylko ona może ich stamtąd sprowadzić z powrotem.

Ela głęboko odetchnęła. Jakie to szczęście, że nie wbiła sztyletu w Nino!

– Powstanie musi się rozpocząć – oświadczyła. – Nie możemy go dłużej odwlekać.

Wszystkie nasze oddziały są gotowe do działania. Już prawie świta, dlatego zostało nam trochę ponad półtorej doby do Święta Lata. Musimy zaatakować plac Najwyższego Boga przed świątynią dokładnie w chwili rozpoczęcia ceremonii.

– Samobójczy plan, ale ciekawy.

– Staniecie po naszej stronie?

Sami zerknął na swoich ludzi wokół ogniska.

– Tak, będziemy walczyć u waszego boku. Rozmawialiśmy już o tym. Myśleliśmy, że unikniemy udziału w powstaniu, ale się myliliśmy. W takiej chwili nie można nie wziąć udziału w zabawie. Każda ręka jest potrzebna w wojnie z satrapami albo będziemy musieli znosić te pijawki na wieki.

– Miło mi to słyszeć.

– Przekażemy wiadomość karawanom przemytników podróżujących po imperium. Mam nadzieję, że zrobią, co będą mogli, tam, gdzie będą. Ale powinieneś wiedzieć, że wojna będzie trudna i długa. Pierwsza walka musi się zakończyć naszym zwycięstwem. Generał Aritrava ściągnęła do miasta swoją wielką armię, a świątynia Marduka będzie strzeżona jakby żelazną ścianą. Nasi informatorzy mówią, że generał sama będzie dowodzić wojskiem, a jeszcze nigdy nie przegrała żadnej bitwy.

– W takim razie przekona się, jak to jest – oświadczyła Ela.

Zerwała się na nogi. Nie miała ani chwili do stracenia. Słońce już prawie wstało. Czekał ją najbardziej pracowity dzień w jej życiu.

Rozdział osiemnasty

Podziemny aneks

Po kolacji złożonej z mleka czekoladowego i omletów, której nikt nie tknął, Noe zapakował wszystkich na skuter i wyruszyli do kompleksu badawczego Hypocricomu. Zimny wiatr uderzał w kask Jonatana, który, choć siedział pomiędzy Noem a Pazuzu, czuł się samotny i daleki od nich. Niepokój o mamę i o Nino mieszały się ze sobą, wypełniając jego myśli. Coś niedobrego miało się wydarzyć. Tylko co? Czuł, jak niejasny strach wypełnia jego płuca i wypycha z nich powietrze. Co by się stało, gdyby on i Ela nie ruszyli wtedy w pościg za złodziejem lekarstw? Czy dalej wiedliby swoje zwyczajne życie przy ulicy Pierwiosnka? Przeżyliby dwa zwykłe lata wypełnione lekcjami, wakacjami, telewizją, książkami i spotkaniami z przyjaciółmi? Może. Ale nie żałował tego, co się wydarzyło. Dzieciaki z jego klasy (które już dawno przestały być dziećmi) pewnie zajmowały się sportem, nowymi zespołami i randkami, a on musiał pomagać tak wielu ludziom swoim darem, który otrzymał w Niniwie. Ale za żadne pieniądze świata z nikim by się nie zamienił. I mimo grożącego mu niebezpieczeństwa nie byłby szczęśliwszy, gdyby spędzał ten czas na imprezie, paląc swojego pierwszego papierosa, przejmując się, że jakaś dziewczyna uśmiecha się do innego, a nie do niego. Siodełko skutera pędzącego przez mrok – z Noem przed nim i Pazuzu z tyłu przyciśniętym do jego pleców – na pewno było właściwym miejscem.

– Jesteśmy – oznajmił Noe.

Zwolnił przy ogrodzeniu oświetlonym reflektorami i pewnie pomachał swoim identyfikatorem przed nosem strażnika przy szlabanie. Weszli do środka.

Budynki koncernu Hypocricom Ltd. były oświetlone od dołu reflektorami zatopionymi w betonowej wylewce, co nadawało im upiorny wygląd majestatycznego pomnika. Ale na Noem ta przerażająca metafora nie robiła żadnego wrażenia. Zerknął w lusterko skutera i poprawił przygniecione kaskiem włosy.

– Za mną.

Weszli do przestronnego holu skąpanego we fluorescencyjnym blasku. Na drugim końcu, otoczona monitorami systemu ochrony, siedziała znudzona strażniczka. Żuła gumę i patrzyła na wujka Noego prowadzącego w jej stronę swoje małe stadko.

– Pomóc wam?

– Cześć, Siwan. – Głos Noego był teraz cieplejszy. – Co za niespodzianka! Co słyszeć? Jak miło cię tutaj zobaczyć!

Kobieta zamrugnęła.

– To ty, Noe? Nie poznałam cię. No proszę, jaka koszula. Jak mogłam nie poznać!

– Ile to już czasu minęło? – Noe dobrze się bawił. – Pół roku? Rok?

– Półtora roku, odkąd mnie tu przenieśli. Ale tu jest super w porównaniu z laboratoriami. Nikt mi nie zawraca głowy. Mogę tu siedzieć całą noc, odpocząć, zrobić sobie kawę, przeczytać gazetę, rozwiązać krzyżówkę. Co się zsywa z ludzkich części, na dwanaście liter, zaczyna się na „F”?

– Frankenstein – odpowiedział bez namysłu Noe.

– Świetnie. Bystrzacha. A ty jak tam, na górze?

– Jakoś leci. Słuchaj, przyprowadziłem bratanków... To znaczy bratanka i jego psa, żeby mu pokazać, gdzie pracuje wujek.

– To miłe. Szkoda, że nie wolno im wejść do środka.

– Nie wolno?

– Przykro mi, tylko personel.

Wuj Noe błagalnie wyjął usta.

– Oj, Siwan, daj spokój. Dzieciak przyjechał z za miasta. Dwie i pół godziny jechał autobusem. Co on sobie pomyśli, że jego wujek przerzuca papiery jak jakiś urzędnik w biurze?

– A co ja mam zrobić? Rozkaz to rozkaz.

Z drugiej strony blatu recepcji Noe delikatnie nadepnął na stopę Jonatana, który natychmiast zrozumiał znak.

– Ale wujku Noe! – zaczął narzekać dziecinnym głosem, najbardziej rozpieszczonym, na jaki mógł się zdobyć. – Przecież obiecałeś! Już wszystkim dzieciakom z klasy powiedziałem, że robicie takie superrzeczy w laboratoriach i że mi pokażesz. A teraz powiedzą, że jestem kłamczuchem i zmyślam.

– Nie można – powiedział surowym tonem Noe. – Słyszałeś, co powiedziała Siwan. Wracamy do domu.

Udali, że odwracają się do wyjścia, ale presja zadziałała. Twarz Siwan złagodniała.

– Dobra, niech wam będzie. Twój bratanek nie wygląda groźnie. Teraz nikogo tam nie ma. Tylko migiem.

Noe szybko popchnął Jonatana i Pazuzu w stronę szklanej windy, zanim Siwan mogła zmienić zdanie.

– Co za szczęście, że ją znasz – stwierdził Jonatan. – Gdyby nie ona, nie weszlibyśmy do środka.

– Szczęście? – prychnął pogardliwie Noe. – To nie ma nic wspólnego ze szczęściem. Najpierw włamałem się na stronę firmy ochroniarskiej i sprawdziłem grafik strażników. Siwan zawsze miała do mnie słabość.

Nacisnął przycisk piwnicy i zjechali na dół. W męskiej toalecie, gdzie nie było kamer ochrony, Noe wyciągnął z plecaka segregator.

– Przygotowałem wszystkie mapy i plany budynku. Nie dostaniemy się do podziemnego aneksu przez zwykłe bramki, bo są automatycznie zamykane na noc. Przejdziemy kanałami wentylacyjnymi. – Wyjął z plecaka śrubokręt i odkręcił śruby osłony wlotu do kanału. – Szybko, pospieszcie się. Najpierw Pazuzu, bo najlepiej widzi w ciemności.

Jonatan wcisnął się za demonem do wąskiego kanału. Zeszli po drabinie prowadzącej na sam dół, do nieznanego głębi, a potem długo czołgali się na kolanach przy bladym, błędzącym świetle latarek, przedzierając się przez labirynt krzyżujących się krętych tuneli. Powietrze w kanałach było ubogie w tlen, duszące, gorące, o metalicznym zapachu. Pot ściekał im z twarzy. Jonatan stracił czucie w łydkach i kolanach. Bał się, że już nigdy nie uda mu się wyprostować. Wydawało mu się, jakby czołgał się za Pazuzu od urodzenia i będzie się tak czołgał aż do śmierci. Ale w końcu szepnął do nich Noe:

– Stójcie. – Postukał palcami w ścianę kanału po lewej stronie. – Powinniśmy być teraz

po drugiej stronie ściany zamkniętego skrzydła.

Zdjął osłonę jednego z otworów, przełożył nogę i... wpadł w mrok.

Jonatan usłyszał metaliczny łoskot. Chwilę później z ciemności dobiegł straszny krzyk, pełen bólu, nieludzki, mrozący krew w żyłach.

– Wujku Noe, wszystko w porządku?

– Nic mi nie jest. – Przekleństwo po francusku zapewniło, że Noe potrafił trzymać styl nawet w tak rozpaczliwej sytuacji. – To nie ja krzyknąłem. Trochę źle obliczyłem wysokość, ale jesteśmy już całkiem blisko przejścia.

Jonatan i Pazuzu zeskoczyli za nim i znaleźli się na metalowej kładce. W świetle latarek przyjrzeni się miejscu, które Jonatanowi przypominało podwodne obserwatorium. Wokół nich wisiały zawieszane na łańcuchach akwaria, a w każdym znajdowało się ciemne wydłużone ciało wielkości małego rekina lub dużego psa morskiego rozmyte w rozproszonym świetle. Akwaria wisiały nad nimi i pod nimi na różnej wysokości. Jonatan pomyślał, że gdy sala jest oświetlona, musi to być imponujący widok. Ale skąd dochodził tamten krzyk?

– Gdzie jest światło? – zapytał. – Mapa nie mówi nic o świetle.

– Obawiam się, że nie ma tu żadnego porządnego oświetlenia, bo światło im przeszkadza – powiedział Noe.

– Komu przeszkadza?

Jonatan próbował świecić latarką na ciało w akwariu najbliżej niego. Ale promień nie mógł się przebić przez zielonkawą wodę i zobaczył tylko odbicie własnej twarzy w szkle.

– Znalazłem! – zawołał Pazuzu za ich plecami.

Chwilę później usłyszeli pstryknięcie i salę wypełniło miękkie fioletowo-zielonkawe światło jak blask zmięzchu. Jonatan, który przyciskał nos do szyby, krzyknął i o mało się nie przewrócił, kiedy okazało się, że zaledwie kilka centymetrów przed nim, w środku akwariu, znajdowała się twarz żywego, oddychającego człowieka, o otwartych oczach zasłoniętych błonami. Człowiek ten unosił się w zbiorniku jak embriion w wodach płodowych z przyczepionymi do ciała cienkimi rurkami.

– To są ludzie! – wrzasnął Jonatan. – I oni żyją!

– Tak – potwierdził Noe. – Niestety rzeczywiście żyją.

W jej samej chwili twarz człowieka w akwariu wykrzywiła się w grymasie przerażenia. Jakby wybudzony ze snu podciągnął się do góry, wystawił głowę z wody i krzyknął ile sił w płucach. Ten przerażający ryk brzmiał jak wołanie z głębi piekła. Jonatan się wzdrygnął.

– Co mu się stało? – Jonatan zaczął biegać między zbiornikami, oświetlając latarką twarze żywych trupów w wodzie, ale one prawie nie reagowały na jego obecność jakby pogrążone w głębokim śnie. Czy jego mama też tu była? – Nie mogę jej znaleźć, Noe.

– Obawiam się, że twojej mamy tu nie ma, Jonatanie.

– To gdzie jest?

– W wielkiej sali.

– A co jest w wielkiej sali?

Noe nie odpowiedział. Szli metalową kładką, która prowadziła ich między akwariami, aż dotarli do grubych żelaznych drzwi owalnych jak właz w łodzi podwodnej, z okrągłą klamką pośrodku. Jonatan chciał jak najszybciej ją przekręcić, ale Noe położył dłoń na jego ramieniu.

– Zanim tam wejdziemy, może lepiej wszystko ci opowiem, żebyś mógł zrozumieć to, co zobaczysz.

– Czy moja mama umarła?

– Nie umarła. Jak widzisz, ludzie w zbiornikach nie są martwi. Jeśli pozwolisz, chciałbym zacząć na długo przed twoim urodzeniem, w roku, w którym poznałem twoją mamę.

Noe zaczął swą opowieść.

– W latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku firma Hypocricom, która była wtedy bardzo mała i odważna, zaczęła eksperymentować z lekami zmieniającymi świadomość. Był to czas zimnej wojny między blokiem komunistycznym a Zachodem, a naukowcy poświęcali większość sił i umiejętności poszukiwaniu sposobów na szpiegowanie wroga. W tym też czasie sprawdzali techniki parapsychologiczne. Wierzyli, że ludzie, którzy posiadają rozwiniętą zdolność telepatii, mogą się łączyć z mózгами innych ludzi. Z dala od oczu społeczeństwa prowadzono w Hypocricomie eksperymenty na przestępcach skazanych na dożywocie lub śmierć. Idea była taka, żeby zmienić świadomość badanych telepatycznie na inną częstotliwość, częstotliwość wroga.

– Udało im się?

– Nie. Ale jak zaraz zrozumiesz, udało im się zrobić coś innego, o wiele ważniejszego. Naukowcy uzyskali przez syntezę szczególną substancję z organicznych molekuł kaktusów i grzybów, która sprawiała, że badani wchodzili do własnych wyjątkowych światów. Światów, z których nigdy nie wychodzili. W Hypocricomie uznano, że ich ludzkie króliki doświadczały oszalecia. Stworzyli farmę dla wariatów, po której setki ludzi wałęsały się jak lunatycy, wszyscy w odmiennych stanach świadomości, w dziwnych światach, cierpiący katusze umysłu i doświadczający strasznych koszmarów. Wielki przełom nastąpił, gdy naukowcy ku swemu zdziwieniu odkryli, że pewni ludzie mogli dzielić ten sam świat. Innymi słowy okazało się, że część światów nie była subiektywnymi światami duchowymi, lecz były to prawdziwe światy.

– Gdzie się znajdowały te prawdziwe światy?

– Nigdzie. Badani zostawali w swoich ciałach, dokładnie tam, gdzie byli wcześniej, przywiązani do łóżek albo wałęsający się po farmie. Ale ich świadomość przechodziła do innego świata. Dzięki badaniom nad setkami, tysiącami ludzi, naukowcom z Hypocricomu udało się przez lata sklasyfikować wiele takich światów, które były w rzeczywistości stanami świadomości. Nie można było do nich wejść fizycznie, ale wszystkie istnieją nie mniej niż to miejsce tutaj.

Jonatan pomyślał o świecie, w którym spędził ostatnie dwa lata.

– Czy imperium babilońskie jest stanem świadomości?

– Tak i nie. Wydaje mi się, że nie doceniasz idei świadomości. Świadomość jest nie mniej prawdziwa od metalowej kładki, na której stoisz. Materia świadomości i materia fizyczna to tylko różne częstotliwości tej samej energii. Naukowcy z Hypocricomu to zrozumieli i szukali sposobów, aby przenieść także ciała badanych do miejsc, do których dotarła już ich świadomość. Istnieją niezliczone światy, ale szczególną nadzieję wiązali z jednym, którego częstotliwość jest zbliżona do naszego, tak jak Mars jest planetą najbliższą Ziemi. To świat, do którego ty i Ela weszliście. Świat Babilonu.

– Udało im się do niego wejść?

– Tak, ale to nie było proste. W latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku odkryli, że

częstotliwość ciała fizycznego najłatwiej zmienić, gdy będzie ono bardzo zrelaksowane, zanurzone w zbiorniku wody, odizolowane od wszelkich wpływów otoczenia. Farmę wariatów zastąpiło podwodne akwarium, które widzisz tutaj. Potem, oczywiście, dodali ulepszenia i różne urządzenia. Była też muzyka. Muzyka ma potężny wpływ na świadomość i ciało.

– Mówiłem ci, że mój tata dostał od Szapiro dysk z przerażającą muzyką, z czarnym krokodylem na okładce?

– Przypuszczam, że ta muzyka miała ułatwić otwarcie przejścia. Ktoś chciał odwiedzić twojego ojca albo wysłać mu coś. A może przeciwnie. Może chcieli, żeby twój tata, który jest racjonalny i uparty, zapomniał się i obudził pewnego dnia w Babilonii.

– Mój tata wiedział o Babilonii?

– Nie mam pojęcia. Chociaż był jednym z czołowych badaczy Hypocricomu, pracował niezależnie. Tworzył lekarstwa i rozumiał tylko tę swoją czystą naukę.

– A jaki związek z tym wszystkim ma moja mama?

Noe westchnął.

– Właśnie o tym chciałem ci opowiedzieć. Poznałem twoją mamę dwadzieścia pięć lat temu. Spotkałem ją na trawniku przed uniwersytetem. To były lata osiemdziesiąte. Miała na sobie minispódniczkę i sportowe buty, a nad nimi kolorowe zrobione na drutach ocieplacze. Cóż, taka była moda. Jadła cytrynowy lodowy sorbet i była najpiękniejszą istotą, jaką widziałem w życiu. Miała mądre, słodkie oczy i długie włosy i naprawdę wierzyła, że świat może być lepszym i bardziej sprawiedliwym miejscem. Była genialną studentką lingwistyki. Może trochę podśmiewała się ze swoich zasuszonych profesorów, ale była pełna ciekawości i optymizmu. Tami usłyszała, że Hypocricom szuka ochotników do eksperymentalnych badań nad świadomością, a ponieważ trochę płacili, a ona była studentką bez grosza, postanowiła się zgłosić.

– Dlaczego jej nie powstrzymałeś?

– W tamtym czasie nic nie mogło powstrzymać Tami. Poza tym wtedy nie wiedziałem tego, o czym dziś ci opowiadam. Byłem przemądrzałym, trochę zagubionym studentem, który próbował podjąć decyzję, czy specjalizować się w psychofarmakologii czy neurofarmakologii, marzącym o tym, że pewnego dnia będzie miał niezłą posadę w wielkim koncernie farmaceutycznym.

– Co jej zrobili?

– Nigdy nie powiedziała mi dokładnie. Przypuszczam, że wstrzyknęli jej te swoje leki i zanurzyli w jednym ze zbiorników. Ale wtedy stało się jasne coś, czego nikt nigdy wcześniej nie zakładał: twoja mama miała niespotykaną wrażliwość. Przechodziła w stu procentach każdą próbę. Udało jej się przejść w świadomości nie tylko do świata Babilonii, lecz także do kolejnego miejsca, którego istnienie dopiero zaczęli podejrzewać. To miejsce miało tak delikatną częstotliwość świadomości, że oprócz niej nikomu nie udało się tego doświadczyć. Nie był to świat sam w sobie, ale coś, co znajduje się pomiędzy światami, otaczające je i łączące jak żywa tkanka. Z braku bardziej odpowiedniego terminu nazwano go „wodą między światami”.

– Wodą między światami?

– Tak. – Noe skrzywił się z irytacją, jakby nie podobało mu się to określenie. – Okazuje się, że w każdym świecie istnieją naukowcy albo mistycy czy sekretne urzędy, które wiedzą

o tym miejscu. W każdym świecie nazywają je inaczej. Na przykład w Babilonii nazywają je Otchłanią.

– Otchłanią? – Pazuzu napiął się, a jego ogon znieruchomiał. – Otchłań nie jest miłym miejscem, po którym powinna się kręcić twoja mama.

– Niestety to miejsce było naprawdę straszne dla Tami. Zaczęła cierpieć z powodu lęków i apokaliptycznych wizji. Okazało się, że woda między światami jest miejscem, z którego pochodzi zdolność prorokowania, ale też i koszmary. Twoja mama była tak wrażliwa, że po zakończeniu eksperymentów część niej nadal pozostała połączona z Otchłanią, jakby ta w niej została.

W tym czasie poznała twojego tatę, który był w mojej grupie na uczelni i się przyjaźniliśmy. Trochę byłem o niego zazdrosny, bo był jedynym studentem, od którego oczekiwano nawet więcej niż ode mnie. Z drugiej strony był tak skupiony na swoich badaniach, że pod wieloma względami zachowywał się jak dziecko. Nie rozumiał polityki wielkich koncernów takich jak Hypocricom, żadnych osiągnięć i siły, gotowych stratać wszystko po drodze. Emanuel i Tami poznali się na balu, który koncern Hypocricom wydał na cześć wszystkich młodych naukowców wcielonych w jego szeregi. Sam zabrałem Tami na tę imprezę. Emanuel był nią wprost oczarowany. Kiedy weszła do sali, odłożył przekąskę, którą trzymał, prosto do kieliszka z martini – które było wówczas bardzo modne – a kiedy do niego podeszła i zaczęła rozmowę, wyjął kanapkę z kieliszka, włożył do ust i zjadł bez mrugnięcia okiem. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Starał się uleczyć Tami z udręk jej duszy, które były mroczną stroną jej cudownej fali mózgowej i mądrości. Była dla niego całym światem. Przez lata udawało im się prowadzić normalne życie, ale kiedy zdarzyła się ta katastrofa, to był dla niej zbyt wielki cios.

– O jakiej katastrofie mówisz?

– O pojawieniu się nowej siły. Nikt nie wie, dlaczego się pojawiła, ale mówią, że była to wina Hypocricomu. Koncern zrozumiał, że woda między światami to miejsce najważniejsze i najbardziej fascynujące. Chcieli je zbadać, kierowani nadzieją, że ta częstotliwość będzie portalem do kolejnych światów. Postanowili przemieścić do wody między światami cały nuklearny okręt podwodny, który wyposażyli w specjalne urządzenia. Do tego czasu technologia transferowa znacznie się rozwinęła. Ale oczywiście ponieważ takiego eksperymentu nie można przeprowadzić w podziemnym kompleksie laboratoriów, wyruszyli na północ do miejsca niedaleko Cieśniny Beringa. Okrętowi naprawdę udało się opuścić częstotliwość naszego świata i zniknąć z ekranów sonaru. Problem w tym, że gdy dotarł do wody między światami, eksplodował. Jedyny fragment, który pozostał z okrętu, znajduje się siedzibie kierownictwa Hypocricomu. Eksplozja jądrowa w takim miejscu spowodowała coś strasznego. Przypuszczamy, że miała wpływ na wszystkie istniejące światy. Stworzyła istotę, której mocy do dziś nie znamy i nie wiemy, do czego jest zdolna. W Babilonii nazywają ją Lewiatanem.

– Lewiatanem!

– Tak, Lewiatanem. Przybył na świat mniej więcej wtedy, gdy się urodziłeś, dokładnie czternaście lat temu. Jego pojawienie się spowodowało gwałtowne pogorszenie stanu Tami. Naukowcom z Hypocricomu wydawało się – ja byłem już jednym z nich – że Tami była z nim połączona i mogła czuć jego ruchy w swoim ciele. Twoja mama jest naturalnym medium i ma zdolności prorocze. Pamiętam, jak przyjechałem was odwiedzić na ulicy

Pierwiosnka i zastałem ją siedzącą w fotelu na biegunach z tobą, małym pomarszczonym niemowlakiem w ramionach. Miała twarz wykrzywioną przerażeniem. Nawet jej miłość do ciebie nie mogła jej ocalić przed koszmarami.

– Co Lewiatan może jej zrobić?

– Nie wiemy. Tak jak ci powiedziałem wcześniej, jeszcze nie udało nam się ustalić, kim jest i jakie ma moce. Wiemy tylko, że w każdym świecie jego istota przybiera inną postać i inaczej się zachowuje. Wszystkie postaci Lewiatana łączy potężny wpływ na duszę, którą ogarnia poczucie braku wartości, nieistnienia i znikomości. Lewiatan jest świadomością pustki. Sprawia, że dusza poznaje własną skończoność i przez to wpada w depresję i czarną gorycz. Powoduje, że ludzie żyją z ciągłym poczuciem śmierci.

– W Babilonie nazywają to zjawisko „epidemią plam ciemności” – powiedział Jonatan. – Ale czytałem o niej w książkach Baala Markoda. To nie jest choroba.

– Zależy, jak definiujemy chorobę. Zgadza się, w pewnym sensie masz rację, Lewiatan nas nie okłamuje. Powoduje tylko, że silnie przeżywamy rzeczy, które być może powinniśmy traktować mniej poważnie. Lewiatan niszczy układ odpornościowy duszy i czyni ją bezbronną wobec całego mroku, na który w naturalnej sytuacji nie powinniśmy zwracać uwagi. Pod jego wpływem ludzie są skłonni do reagowania gwałtownymi napadami depresji, aktami autodestrukcji i agresji. Dlatego właśnie plamy ciemności są chorobą. AstroFix, którego stworzeniu poświęcił się twój tata, to ogromny postęp na tym polu. AstroFix nazywany jest też „zbroją duszy”. Może ją całkowicie uodpornić.

Kątem oka Jonatan zauważył okrągły zegar na ścianie. Była trzecia nad ranem.

– Za długo tu siedzimy, Noe. Gdzie jest moja mama?

– Tutaj. Przez ostatnią dobę, odkąd pojawiłeś się w moim domu, miałem okazję dość poważnie zorientować się, co i jak. Skorzystałem ze swoich kontaktów w firmie i poza nią, wykonałem parę telefonów, zebrałem informacje i pozbierałem wszystko do kupy. Zrozumiałem, że przez ostatni rok Hypocricom uzyskał wnioski potrzebne twojej mamie. Martwili się Lewiatanem. Twoja mama była ich najlepszym źródłem informacji, bo czuje w sobie wszystkie jego ruchy.

– Otwórz drzwi – poprosił Jonatan.

Noe przekręcił klamkę owalnych drzwi i weszli do dużej sali. Zapalili światło. W poprzednim pomieszczeniu było mnóstwo małych akwariów, a to wypełniał jeden ogromny zbiornik zawierający setki metrów sześciennych wody. Metalowa kładka w szklanym tunelu biegła wokół akwarium jak słomka do picia. W wodzie unosiło się wiele postaci w różnych pozycjach, o otwartych oczach zasłoniętych błonami nadającymi im dziwny, senny wygląd. Kiedy Jonatan podszedł bliżej, zobaczył, że wszystkie unoszące się w akwarium ciała łączyła ze sobą cienka złota sieć. Sieć pulsowała, jakby stworzona z naczyń krwionośnych przenoszących życiodajną substancję. Pośrodku, z rozluźnionymi rękami i włosami unoszącymi się w wodzie, znajdowała się Tami.

– Mamo! – zawołał Jonatan.

Jego serce zalała fala bólu i tęsknoty. Ale Tami nie dała żadnego znaku, że zauważyła syna. Przynajmniej nie umarła. Tętno na jej szyi pulsowało, a dłonie lekko się zaciskały, jakby o czymś śniła. Jej oczy patrzyły gdzie indziej, na coś dalekiego i nieistniejącego.

– Nie może cię usłyszeć – powiedział Noe.

– Boli ją?

– Bardzo możliwe, że cierpi psychicznie. Ludzka sieć ma za zadanie stabilizować jej świadomość, aby znajdowała się tam, gdzie powinna się znajdować, czyli na częstotliwości między światami. Częstotliwości Otchłani. Inni są od niej mniej wrażliwi. Nie mogą doświadczać Otchłani tak jak ona, ale ponieważ doświadczają jej przynajmniej częściowo, umacniają w niej pewność istnienia tej przestrzeni i uniemożliwiają jej świadomości wyjście na zewnątrz.

– Musimy ją stamtąd natychmiast wyciągnąć!

– Mam wielką nadzieję, że jeszcze nie postradła zmysłów – oznajmił Noe z poważną miną. – Ale to nie jest takie proste. Jeśli gwałtownie przerwiemy złotą sieć, możemy wywołać wstrząs. A poza tym uruchomimy alarm i za moment będą tu dziesiątki strażników.

– To co możemy zrobić?

– Jest tylko jedno rozwiązanie.

Noe i Jonatan wspięli się po drabinie do krawędzi zbiornika i zdjęli ubrania. Noe pomógł Jonatanowi włożyć maskę do nurkowania, założył mu na plecy parę butli z tlenem i sam ubrał się tak samo. Wskoczyli do wody o temperaturze zbliżonej do temperatury ciała. „Ostrożnie!”, pokazał Noe Jonatanowi, kiedy ten dotknął nogą jednej ze złotych nici i sprawił, że zadrżała. Cokolwiek się zdarzy – nie wolno im było gwałtownie przerwać naczyń, żeby nie uruchomić alarmu. Zanurkowali w dół, ostrożnie wybierając drogę w gąszczu unoszących się w wodzie ciał, i zbliżyli się do Tami. Jonatan dotarł do niej pierwszy. Dotknął jej ramienia i ucieszył się, gdy poczuł słabe ciepło i życie wciąż pulsujące w jej ciele. Na pewno też czuła jego dotyk. „Wydostaniemy cię z tego straszego miejsca – powiedział do niej w sercu. – Obiecuję ci, mamie. Wrócisz do życia. Jeszcze chwila i będziesz z nami na zewnątrz, wolna. Będziesz rozmawiać i się śmiać”.

Noe pojawił się po drugiej stronie Tami jak rekin w zielonkawej wodzie i wystraszył Jonatana. Dał mu znak, żeby zaczął. Robota była delikatna i ogromnie precyzyjna. Mieli ostrożnie odłączyć złote naczynia od ciała Tami, nic po nici, i od razu podłączyć je do ciała Jonatana. Palec za palec, staw za staw, kończyzna za kończyzną. Noe wyjaśnił Jonatanowi, że to jedyny sposób, aby nie uruchomić alarmu: trzeba natychmiast podłączyć sieć do ludzkiego ciała, które zastąpiłoby to odłączone od niej. Nie wolno im było pozostawić odłączonego nerwu na dłużej niż trzy sekundy, jeśli nie chcieli ryzykować poważnych konsekwencji. Jonatan czuł, że cały się poci, o ile można było się pocić na głębokości kilkunastu metrów. Czuł, jak nici przywierają do niego i natychmiast przebijają jego skórę, karmią jego krew tlenem i wysyłają szybkie wiadomości myśli, które skaczą po sieci. Zrozumiał, że grupa jest zaniepokojona i że rozumie, iż coś się dzieje. Ale świadomość unoszących się w wodzie ciał była w innym świecie i tamci mieli kłopot z ustaleniem przyczyny zakłócania ich odpoczynku. Próbował myśleć o spokojnych rzeczach i nie wzbudzać poruszenia w sieci. Ostatnią rzeczą, na którą miał ochotę, było to, by ktoś z grupy obudził się i wszczął alarm.

Plan był taki, że Noe pomoże jego mamie wyjść z akwarium, aby doszła do siebie na zewnątrz – co mogło potrwać całą godzinę, jeśli nie dłużej. Pewnie będzie powolna i oszołomiona oraz będzie potrzebowała filiżanki pobudzającej kawy. Kiedy już zrozumie, co dzieje się wokół niej i stanie na własnych nogach, Noe zaprowadzi ją do wyjścia. Kiedy

dotrą do głównego wyjścia, Noe zniszczy główną skrzynkę z bezpiecznikami budynku. W nagłej ciemności Jonatan odłączy się od sieci, wyskoczy ze zbiornika i szybko pobiegnie za nimi z Pazuzu.

Plan ten nie był idealny, ale był najlepszym rozwiązaniem. Jonatan nie wziął tylko pod uwagę dziwnego wrażenia, które stawało się tym silniejsze, im więcej nici złotej sieci przywierało do jego ciała. Nie wyobrażał sobie, że będzie musiał zająć miejsce mamy nie tylko fizycznie, ale także w jej świadomości i emocjach. Teraz zaczynał rozumieć przyczynę krzyków przerażenia, które słyszeli od czasu do czasu.

Jedna część niego dalej przyglądała się zręcznym palcom Noego i zniekształconemu pyskowi Pazuzu śledzącemu ich spoza zbiornika, druga zaś była coraz bardziej zasysana do wewnętrznego świata sieci. Była to rzeczywistość przerażająco mroczna. Jonatan był coraz bardziej przekonany, że świat, który widział, jest tylko żalostną iluzją jak tania scenografia. Prawdziwy, rzeczywisty był świat Otchłani, a każda złota nić przyczepiona do jego ciała tylko potwierdzała jej istnienie. W tym świecie nie było miłosierdzia, współczucia, łaski ani miłości. Te naiwne idee przesyływały się jak piasek przez palce. Rzeczywistość była czarną bagnistą pustką, która wysysała każdą możliwą iskrę nadziei. Jonatan zaczął rozumieć, że jego życie jest bezsensowne. Nikt go nie kochał, a wszystkie optymistyczne myśli, które go wypełniały, były tylko zepsutymi żalostnymi zabawkami, którymi się bawił, żeby zapomnieć o swoich uzasadnionych lękach.

Próbował walczyć ze zstępującą na niego ciemnością i trzymać się widoku mamy, która teraz była już wolna od większości nici, a jej usta wygięły się w odległym wschodzie uśmiechu. „To tylko plamy ciemności – pomyślał. – Wiem, że nie są prawdziwe ani szkodliwe. To tylko pewna część mojej świadomości, która tymczasowo przejmuje nade mną kontrolę. Nie muszę się jej opierać. Mogę jej pozwolić robić to, co chce, ale muszę pamiętać, że nie jest bardziej prawdziwa od tej drugiej części mnie, radosnej, kochającej, ufnej”.

Teraz już wszystkie nici były przytwierdzone do jego ciała, a jego mama była wolna. Noe dał mu znak uniesionym kciukiem, że im się udało. Zdjął butle z tlenem z pleców Jonatana i włożył rurę do ust Tami, która nie mogła już otrzymywać tlenu i pożywienia bezpośrednio z sieci. Jonatan zobaczył, jak Noe wyciąga jego mamę z wody na zewnątrz, dygoczącą i chwiejącą się. Wytarł ją ręcznikami, owinął kocem, a potem sam się wytarł i z powrotem ubrał.

Tami wydawała się zamroczona, ale przynajmniej wybudziła się ze swego snu, a to pocieszyło jego serce w otaczającej go ciemności. Noe ostrożnie sprowadził jego mamę po drabinie na metalową kładkę. Przeciągnął się, wyjął cygaro z kieszeni koszuli, odgryzł koniec i podpalił je. Jonatan przyglądał się jego ruchom ze środka akwarium. Woda działała jak szkło powiększające, a oczy Jonatana skupiły się na ulubionej zapalniczce wujka Noego z wizerunkiem poślacanej iguany. Przez wodę wyraźnie zobaczył, że wcale nie była to iguana. To był krokodyl.

Niemożliwe! Jonatan szeroko otworzył oczy ze zdumienia i zmartwienia. Noe zauważył jego spojrzenie. Przez chwilę bawił się zapalniczką w palcach, a potem przysunął ją do szyby, jakby czytał mu w myślach.

– Zgadza się, Jonatanie. Masz rację. Właściwie wiedziałeś przez cały czas. Ale ukrywałeś przed sobą to, co wiedziałeś, bo tak bardzo chciałeś mi wierzyć. Powinieneś był się domyślić, że porzuciłem czystą naukę. Zostawiłem to nieopłacalne zajęcie zdolniejszym ode

mnie, jak na przykład twój ojciec. Teraz jestem członkiem zarządu Hypocricomu. Wicedyrektorem koncernu do spraw badań i rozwoju. Byłem czwartą osobą w pokoju z Naserem El-Dorem, dyrektorem Gabrielem Ergmanem i wicedyrektor do spraw marketingu Sarą Lispektor, kiedy Nino zajrzała przez okno.

Stłumiony głos Noego dotarł przez wodę do uszu Jonatana. Pazuzu warknął i się zjeżył, po czym cofnął się, żeby się schować. Tami przecierała oczy, nie rozumiejąc, co się dzieje.

– Jakie to szczęście, że nie możesz mi odpowiedzieć, Jonatanie, bo nigdy nie mogłem znieść twojego wymądrzania. Dobrze, że masz usta pełne wody. Na pewno zadajesz sobie pytanie, dlaczego pomagałem ci aż do teraz i nie pozbyłem się ciebie od razu. Odpowiedź jest prosta. Nie zrobiłem tego dla ciebie, tylko dla Tami. Chyba już wiesz, co do niej czuję. Tak, ja też mam uczucia, a Tami jest dla mnie ważna. Ty i twoja siostra drwiliście ze mnie, że jestem w niej zakochany. Ale proszę: okazuje się, że to ja jestem bohaterem, który ratuje twoją mamę. Nie ty i na pewno nie twój ojciec.

Noe zatrzymał się, żeby zaciągnąć się dymem i wypuścił błękitnoszary obłok w stronę szyby akwarium.

– Nie przekazałeś mi nic, czego bym już nie wiedział, kiedy powiedziałaś mi, że Tami zabrali ludzie Hypocricomu. Od początku wiedziałem, że jest tutaj. Ale nie mogłem nic zrobić. Przez rok żyłem z tą wiedzą w rozpacz. Od dawna szukałem okazji, żeby uratować moją Tami od strasznego losu, jaki jej zgotowali. Ale nie mogłem ryzykować swojej pozycji w firmie. Nie mogłem ryzykować, że mnie złapią – to zrujnowałoby moją karierę, całe życie i przyszłość. A wtedy ty się pojawiłeś i zapewniłeś mi doskonałą przykrywkę. Teraz zamierzam opuścić budynek z twoją mamą, dokładnie tak, jak zaplanowaliśmy. Tyle że nie zniszczę skrzynki z bezpiecznikami. Nie będziesz miał ani chwili ciemności, żeby stąd uciec. Jeśli wykonasz gwałtowny ruch i przerwiesz nici, natychmiast zawyje alarm i złapią cię strażnicy, zanim będziesz miał szansę wyjść z wody. Ale ty tego nie zrobisz. Nie zanim opuścimy budynek. Bo gdybyś to zrobił, twoja mama zostanie złapana i natychmiast wsadzą ją z powrotem do akwarium. Z wielkiej miłości do swojej matki pozwolisz nam uciec. Co się stanie później, to już twoja sprawa. Najpóźniej jutro rano przyjdą pracownicy i znajdą cię złapanego jak ryba w sieć. Zbadają cię. Ale nawet jeśli będziesz miał jeszcze dość zdrowego umysłu, żeby im odpowiedzieć, nie wydasz mnie. Bo jeśli przyjdą do mojego mieszkania, znajdą tam twoją matkę. Krótko mówiąc, wszystkie ślady zostaną zatarte. Nie będą mogli nikogo winić, oprócz ciebie.

Jonatan czuł, jak osacza go ciemność. Kilka chwil wcześniej próbował przekonać siebie, że Otchłań jest tylko stanem jego świadomości i że świat jest lepszy niż to, co czuł w głębi serca. Teraz miał dowód, że jego obawy były uzasadnione. Rzeczywistość była o wiele straszniejsza, niż mu się wydawało.

– Dobranoc – powiedział Noe. – Miłej zabawy.

Położył dłoń na ramieniu Tami i w ostatnim kłębie dymu cygara zniknął w korytarzu, zostawiając Jonatana w wodzie, przywiązanego do sieci łączącej go z sercem ciemności.

Rozdział dziewiętnasty

Generał Aritrawa

Ela zeskoczyła z grzbietu popielatego ogiera. Wbiegła po zewnętrznych schodach ceglanego budynku w północno-wschodniej części Babilonu. Na płaskim dachu między sznurami powiewającego prania i stosami suszących się sprasowanych moreli i fig czekał już na nią Al-Namir, który przyglądał się przez lornetkę lokalnej świątyni tej dzielnicy. Budynek był o wiele mniejszy od głównego sanktuarium. Skrzydlate byki wyrzeźbione ze zwykłego wapienia połyskiwały między dachami.

– Wszystko gotowe? – zapytała Ela.

– Tak. A ulice opustoszały. Wszyscy poszli na ceremonię w centrum miasta.

Ela wzięła od niego lornetkę i zobaczyła swoich ludzi przebranych dla niepoznaki w cywilne ubrania i ustawionych na odpowiednich pozycjach na dachach.

– Skoro tak, zaczynamy.

– Wesołego Święta Lata! – powiedział Al-Namir.

Nacisnął dźwigenkę skrzynki, którą trzymał, a świątynia Marduka uniosła się kilka centymetrów w powietrze, po czym zapadła w obłoku ognia, pyłu i dymu. Eksplozja była tak potężna, że nawet z tej odległości uderzył ich podmuch, a na ich ubrania spadł deszcz gruzu i sadzy. Al-Namir się roześmiał.

– Niezłe fajerwerki, co?

– Połkną przynętę. Będą tu za parę minut.

Nadszedł ten najważniejszy dzień. Dzień wielkiej ceremonii. Wszystko starannie zaplanowano. Ela i Al-Namir z pomocą kilkudziesięciu zaufanych ludzi zakradli się na przedmieścia miasta. Mieli zrobić zamęt w północno-wschodniej dzielnicy i sprawić wrażenie, że oddziały buntowników atakują miasto od tamtej strony. Dzięki temu ściągną królewskie wojsko pod wodzą generała Aritrawy. W tym samym czasie rozpocznie się ceremonia na placu Najwyższego Boga w obecności setek tysięcy ludzi. Hilel, który ukrywa się niedaleko placu z wybranym oddziałem żołnierzy i przemytników Samiego, wskoczy na scenę i wyrwie księżniczkę z rąk Nasera El-Dora. Na pomoc przyjdzie Saran Isarow, który będzie czekał z oddziałami buntowników na wzgórzach na północy miasta.

Kilka godzin wcześniej, kiedy słońce wysłało swoje pierwsze promienie, które zaróżowiły babiloński smog, Ela, Hilel i Sami stali na jednym z balkonów nad placem i patrzyli na tłumy ludzi, które już tam napłynęły. Między dwoma mężczyznami Ela czuła się niska, ale równa im siłą. Hilel nadal miał zabandażowane ramię, lecz już doszedł do siebie. Tylko on mógł być pełen życia zaledwie dzień po takich obrażeniach. Znów był Hilelem, którego znała, kipiącym energią: człowiekiem, któremu tysiące ludzi powierzyło swój los i los całego państwa.

– Już czas – powiedział. – Miałeś rację, Elasio. Nie możemy dłużej odwlekać rozpoczęcia wojny. Módlmy się, aby w chwili, gdy rozpalimy płomień powstania, ogień ogarnął wszystkie prowincje, i by miliony ludzi do nas dołączyły.

Promienie świtu oświetliły jego szare oczy, a Ela spojrzała na jaśniejący horyzont

i zobaczyła gwiazdę poranną⁶ lśniąca między ciemnością a światłem.

– Szkoda, że jest nas tak mało – powiedziała. – Gdybyśmy tylko mieli jakieś wieści od wyprawy porucznika Tamdżalila!

– Gdyby Iramowi udało się znaleźć pomniejszych bogów w prowincjach, naprawdę mielibyśmy asa w rękawie. Ale nie wolno nam czekać na cud. Wykorzystamy to, że możemy ich zaskoczyć. To nasza szansa. Naszym celem jest uwolnienie księżniczki, przestraszenie satrapów, oszołomienie królewskiego wojska i pokazanie wszystkim obywatelom, że wielka wojna się rozpoczęła, a na ruinach starego imperium powstanie nowe, lepsze państwo.

– Wspaniałe słowa! – odezwał się Sami. Z ciemną skórą wyglądał jak posąg o szerokich barkach lśniący w promieniach słońca. – Jestem dumny, że stoję u twego boku w ten niezapomniany poranek. Nasza rada rodzin ustaliła jednogłośnie, że was poprzemy. Wszystkie rodziny przemytników będą walczyć u waszego boku. Na ogon dzikiego byka, naprawdę nie miałbym nic przeciwko temu, żeby nadzieć na ten miecz paru przemądrzałych kapłanów.

Wszyscy troje wymienili w milczeniu uścisk dłoni i rozdzielili się, spiesząc do swoich ludzi i misji. Ela czuła też to, co nie zostało powiedziane na głos: każdy z nich bał się o los pozostałych i miał nadzieję, że wieczorem tego dnia spotkają się znów – cali i zdrowi.

Al-Namir przerwał jej rozmyślenia, gdy szturchnął ją łokciem w żebra.

– Spójrz tam, Elasio. Tak jak się spodziewaliśmy. Idą prosto w pułapkę.

Między dachami domów zobaczyła srebrną lśniąca wstęgę zacierającą w ich stronę ulicami: zbroje królewskich żołnierzy.

– Chodź, Al-Namirze. Już czas.

Biegiem opuścili dach, wskoczyli na konie i pogalopowali nad brzeg strumienia, który oddzielał północno-wschodnią dzielnicę od centrum miasta. Strumień, jak wszystkie niewielkie rzeki, był przykryty szklaną osłoną, nad którą zbudowano most. Królewscy żołnierze właśnie weszli na most Tkaczy, który łączył dzielnicę z centrum miasta. Ciężka piechota w srebrno-czarnej stali dzierżyła strzelby. Zwiadowcy ostrożnie przeszukiwali most. Na przeciwległym brzegu, skąd rozciągał się widok na przeprawę przez rzekę, stała postać przypominająca ogromny posąg o nadludzkim wzroście. Siedziała na potwornym czarnym koniu, do którego boków, piersi i czoła przytwierdzono tarcze o śmiertelnych metalowych kolcach. Koń miał przekrwione oczy i nerwowo żuł wędzidło. Postać wstrzymywała konia żelazną ręką.

– Generał Aritrawa – wycedził Al-Namir i splunął. – Powiadają, że własnymi rękami zabiła setki ludzi. Mówią też, że jej dusza jest wcieleniem wojownika Nuspirata, drugiego syna Odmuela, który przekonał ojca do budowy Zigguratu Niebios. Jej dusza zawsze szukała kłopotów. Szkoda, że moje strzały nie mogą przebić jej zbroi i wysłać prosto do następnego wcielenia.

– Zostaw ją teraz. Mamy ważniejszą misję.

– Masz rację.

Zeszli do okopu, który wcześniej przygotowali, umocnionego workami z piaskiem.

– Żegnaj, królewska armio – powiedziała Ela.

Al-Namir uruchomił mechanizm ukryty w okopie i seria eksplozji wstrząsnęła filarami mostu. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem. Ładunki wybuchowe umieszczone pod filarami wybuchały jeden za drugim, obracając je w pył. Most Tkaczy runął, rozbijając

szklaną osłonę strumienia, zabierając ze sobą żołnierzy i broń.

– Nieźle – rzucił Al-Namir.

Królewskie oddziały ogarnął zamęt. Ela widziała, jak żołnierze rozbiegają się po brzegach strumienia jak mrówki i próbują ratować towarzyszy. Natychmiast wypełniło ją przytłaczające uczucie; czuła je poprzedniego dnia, kiedy zabiła żołnierza, który ją ścigał. Al-Namir zauważył jej reakcję. Potrząsnął jej ramieniem i spojrzał jej w oczy.

– Nie myśl o tym, Elasio.

– Wojna to straszna rzecz.

– Ja też się tak czułem o poranku mojej pierwszej bitwy, ale czasem gorzej jest nie walczyć.

– Może masz rację. Ale trudno mi nic nie czuć.

– To tylko dowód, że jesteś człowiekiem. Pewnego dnia będziesz wspaniałym dowódcą i mam nadzieję, że pod twoją władzą zapanuje pokój i sprawiedliwość.

Ela miała nadzieję, że Al-Namir wie, co mówi. Przynajmniej ton jego głosu był kojący. Zawsze był opoką, gdy wokół szalała burza, a od kiedy przestał ją podejrzewać i zaakceptował jej obecność u boku Hilela, czuła do niego coraz większą sympatię i wiedziała, że on też, na swój szorstki sposób, był wobec niej lojalny i broniłby jej tak samo jak swego ukochanego dowódcy.

Poruszenie na przeciwległym brzegu nie trwało długo. Aritrawa szybko odzyskała kontrolę nad swoją armią. Oddział saperów podszedł do rzeki i zaczął budować nad nią przenośny most, jednocześnie broniąc się przed deszczem strzał i pocisków snajperów buntowników na balkonach i dachach.

– Nie damy rady ich zatrzymać – zauważył Al-Namir. – Są od nas silniejsi i lepiej wyposażeni.

– Nie potrzebujemy ich zatrzymywać. Wręcz przeciwnie. Musimy tylko zwabić ich dalej na obrzeża miasta i odciągnąć od placu.

Plac Najwyższego Boga eksplodował brawami, wiwatami i gwizdami podekscytowania, które zagłuszyły wybuchy na przedmieściach. Setki tysięcy kwiatów wyrzucono w powietrze, kiedy procesja niosąca następczynię tronu przedzierała się przez tłum w stronę sceny zbudowanej u stóp świątyni.

– Niech żyje nowa królowa! – rozlegały się okrzyki.

Hilel owinięty peleryną zasłaniającą twarz przyglądał się spektaklowi wmieszany w tłum. Na dachach powiewały kolorowe flagi podkreślające odświętną atmosferę. Otwarto cały front świątyni i podekscytowany tłum mógł wyraźnie zobaczyć ołtarz Marduka i dwa potężne filary zwycięstwa, a w nich zabalsamowane demony. Z przodu sceny wznosił się almatoskop wielkości trzypiętrowego budynku, otoczony czujnymi sylfami.

Nie było tajemnicą, że zmarły król Baltazar nie był ulubieńcem ludu. Za jego panowania trwała brutalna walka z epidemią plam ciemności, a setki tysięcy ludzi wysłano do obozów kuracyjnych. Tłumy nie opłakiwały jego śmierci. Przeciwnie. Ogromny pokaz miłości wobec Nino był wynikiem nadziei na zmianę. Nadziei, że życie stanie się bardziej wolne, ludzkie i prostsze. „Naser El-Dor doskonale wiedział, co robi”, pomyślał Hilel. Podczas ceremonii zamierzał wycisnąć każdą kroplę miłości tłumów do księżniczki i ją wykorzystać.

– Patrzcie, wychodzi z lektyki! – rozległy się wołania dookoła. – Tam jest! Wchodzi na

scenę.

Walki z północno-wschodniej dzielnicy przenosiły się z domu do domu. Snajperzy buntowników zajęli dachy i powstrzymywali oddziały żołnierzy, którym udało się przejść przez rzekę po przenośnych mostach, które zbudowali. Żołnierze za to starali się otoczyć gniazda oporu i zniszczyć je. Nie wahali się wrzucać do podejrzanych domów bomb termobarowych, które wysysały powietrze i powodowały zapadnięcie budynków i zniszczenie wszystkiego w promieniu kilkudziesięciu metrów. Ale mieli niełatwe zadanie, bo w zabudowanej strefie, w ciasnych uliczkach biednej dzielnicy, przewagę miały lekkie, zwinne oddziały. Ela i Al-Namir walczyli ramię w ramię, biegali i przeskakiwali z dachu na dach. Stary doświadczony saper zrzucił laski demoniego dynamitu prosto w szeregi żołnierzy w dole, a Ela osłaniała go strzałami

– Jestem już na to za stary – mruknął Al-Namir i otarł pot ze spłaszczonego nosa porośniętą rudymi włosami ręką. – Powinienem siedzieć na swoim tarasie w górach i pozwolić młodemu zająć się robotą.

– Rzeczywiście, dyszysz jak stary pies. Ale na razie mamy przewagę. Spójrz na wzgórza za nami. Zbliża się Isarow ze swoim pułkiem.

I rzeczywiście, na zboczach wzgórz na północy zobaczyli kawalerię Isarowa. Żołnierze trzymali uniesione sztandary buntowników, czekając na znak, aby mogli wkroczyć do akcji.

– Aritrawa ucieszy się na widok swojego zaginionego oficera – powiedział Al-Namir. – Isarow nie musi korzystać z trików partyzanckich. Może walczyć z żołnierzami króla twarzą w twarz.

– To będzie dla niej miła niespodzianka – odparła Ela.

Ale w tej samej chwili oboje zamilkli i nastawili uszu. Coś się działo. Ziemia zadrżała i wstrząsnęła wszystkimi budynkami w okolicy, a z ich ścian odpadł tynk i płytki. Wszystkie szyby, które jeszcze były nietknięte, teraz popękały.

– Co się dzieje? – zastanawiała się Ela. – Trzęsienie ziemi?

– Nie, to nie trzęsienie ziemi.

Zza rogu ulicy wyłoniła się ogromna, napędzana parą maszyna. Była wielka jak lokomotywa i toczyła się na gąsienicach, plując z komina kłębam czarnego dymu.

– Wielki Boże, co to jest?

– To, czego się obawiałem. Czołg.

Czołg był obłożony metalowymi płytami pod napięciem elektrosylfidycznym. Wszystkie strzały, pociski i laski demoniego dynamitu, wystrzelone i wyrzucone w jego stronę, odbijały się od niego jak drobiny pyłu od skóry słonia. Był tak szeroki, że nie mieścił się w uliczce i, jadąc, zdierał warstwy ścian domów po bokach. Ela nie mogła zaprzeczyć, że wywarł druzgocące wrażenie na jej ludziach.

– Jak udało im się przemieścić tego potwora po pontonowych mostach? – zawołała.

– Aritrawa może wszystko. Nie zawahałaby się użyć tego czołgu przeciwko pchle.

Ela zobaczyła, jak Ratif i jeszcze jeden z ich ludzi, którzy stali na dachu jednego z pobliskich budynków, wkracza do akcji. Ratif trzymał na ramieniu wyrzutnię rakiet, a drugi buntownik ją ładował. Ratif skierował szeroki wylot w stronę czołgu i nacisnął spust. Rakietka z demoniego pyłu wystrzeliła z lufy z ogonem ognia, trafiła prosto w środek czołgu i wybuchła, otaczając pojazd grzybem błękitnych płynnych płomieni.

Ela westchnęła z ulgą.

– I po kłopotcie.

Ale w chwili, gdy płomienie osłabły, zobaczyli, że czołg nawet nie został draśnięty. Jego elektrosylfidyczna tarcza była nienaruszona. Lufa czołgu zwróciła się w stronę budynku, z którego wystrzelono raketę, a otwór głównego działa teraz wznosił się i opadał jak ślepa, szukająca czegoś trąba słonia.

– Uciekajcie! – krzyknęła Ela do Ratifa.

Nie czekał na jej ostrzeżenie. On i jego towarzysze już pobiegli do krawędzi dachu. Przeskoczyli na pobliską palmę, chwycili się jej i przeklęli jej ostre kolce, po czym spadli jak dojrzałe owoce na balkon sąsiedniego budynku w ostatniej chwili, bo czołg wystrzelił już pocisk, a budynek, na którego dachu stali przed chwilą, zmienił się w rzadką chmurę sadzy i płomieni.

Eksplozja wstrząsnęła Elą. Ale to, co zobaczyła potem, poruszyło ją o wiele bardziej.

– Celuje we wzgórze, prosto w oddziały Isarowa!

– To nie wygląda dobrze.

– Zmiecie ich. Musimy go powstrzymać.

Ela i saper wbiegli w uliczkę i schowali się w wejściu do jednego z domów. Czołg ociężale sunął w ich stronę. Był teraz w odległości tylko dwóch budynków od nich.

– Została mi tylko jedna laska demoniego dynamitu – powiedział Al-Namir. – Naszą jedyną szansą jest wrzucenie jej prosto do otworu nawigacyjnego czołgu pod działem. Ale żeby to zrobić, muszę podejść bardzo blisko.

– Potrzebujesz czegoś, co odwróci uwagę – stwierdziła Ela.

Kilka metrów przed czołgiem jechała konno generał Aritrawa, która prowadziła swojego potwora jak szczeniaka na smyczy. Z tej odległości Ela widziała każdy szczegół: ciemną pianę w pysku konia, ostrogi ociekające krwią, ogromne dłonie w stalowych rękawicach pewnie trzymające wodze bez najlżejszego drżenia.

– Ten koń nie wygląda mi szczególnie przyjaźnie – zauważyła.

– Nie jest.

– Nie zdziwiłabym się, gdyby był ludożercą.

– To bardzo możliwe.

– Gotowy?

– Tak – potwierdził Al-Namir. – Jestem gotowy.

Ela wyciągnęła miecz i czekała teraz, aż Aritrawa minie ich kryjówkę. Gdy tylko zobaczyła przednie kopyta konia, które pojawiły się przed nią, zebrała wszystkie siły i wyskoczyła. Chwyciła wodze konia dowódczyni i wbiła miecz w szparę między płytami jego zbroi, prosto między szczękę i gardło. Gdy przerażony koń stanął dęba, a wszystkie lufy królewskiej broni zwróciły się w stronę Eli, kątem oka zobaczyła, jak Al-Namir podbiega do czołgu i wrzuca laskę do otworu pod działem. Nie czekała na efekty. Szybko dała nura w najbliższą uliczkę i usłyszała za sobą potężną eksplozję, która powiedziała jej, że saperowi udało się wypełnić zadanie, a z czołgu nic nie zostało.

„Udało nam się!”, pomyślała Ela. Ale to nie był koniec jej kłopotów, które być może dopiero teraz się zaczęły, bo Gala Aritrawa, zdeterminowana i wściekła, ruszyła za nią. Ela usłyszała tętent kopyt plującego krwią konia Aritrawy. Generał popędzała go niecierpliwie, a kiedy zorientowała się, że nie ma już z niego pożytku, zeskoczyła z grzbietu zdychającego

zwierzęcia i ruszyła biegiem z niepojętą szybkością, biorąc po uwagę ciężar zbroi, którą miała na sobie. Ela dotknęła miecza wiszącego przy jej udzie, poplamionego już krwią konia, i zastanawiała się, czy będzie miała jakąkolwiek przewagę w walce twarzą w twarz. Nie, lepiej na to nie liczyć. Przełknie dumę, spróbuje uciec i zmęczyć Aritrawę.

Aritrawa w biegu zdjęła łuk, który miała zawieszony na plecach. Łuk był wyrzeźbiony z czegoś, co przypominało cios prehistorycznego mamuta. Ela pomyślała, że wygląda groźnie. Musi na niego uważać. Aritrawa naciągnęła cięciwę, a Ela zygzakiem zmieniła kierunek biegu, naprawdę w ostatniej chwili, bo tam, gdzie powinna być, uderzył piorun. Ostra eksplozja wypełniła jej płuca zimowym zapachem burzy z piorunami, spalonego drewna i deszczu. Aritrawa strzelała z łuku piorunami. Woń była dziwnie znajoma. Tak! Przecież to ten zapach wypełniał ich dom tamtej nocy, gdy skradziono lekarstwa. Ale nie miała czasu się nad tym zastanawiać. Zobaczyła schody wykute w zboczu wzgórza i zaczęła po nich wchodzić z nadzieją, że szczękaniem zbroi za nią ucichnie. Niestety kroki Aritrawy tylko się zbliżały.

– Ty śmierdzący mały buntowniku! – odezwała się Aritrawa głębokim głosem. – Na pewno ze strachu sikasz w spodnie.

Ela już czuła oddech Aritrawy na plecach i ostry zapach jej potu. Dotarła na szczyt wzgórza, skąd roztaczał się widok na Babilon. Uderzył ją oślepiający błękit nieba. Miejsce to w odległej przeszłości służyło do składania ofiar Mardukowi. Pośrodku stał prymitywny kamienny ołtarz sięgający jej do pasa. Z drugiego końca platforma kończyła się stromą przepaścią, u której stóp przycupnął Babilon niczym posłuszne, głodne zwierzę. Jediną drogą na dół były schody, po których właśnie weszła. Generał Aritrawa też to zauważyła. Spokojnie opuściła łuk i zablokowała drogę powrotną swoim ciałem.

– Znakomicie – rzuciła. – Nawet przygotowali nam ołtarz na ofiarę.

Rozprostowała umięśnione nogi i powoli zdjęła hełm. Ela zobaczyła wysypującą się spod niego gęstą grzywę włosów i wspaniałą, arogancką twarz, tak dobrze jej znaną. Zatkąło ją ze zdziwienia.

– Ciotka Rita!?

Wysoka kobieta w zbroi przyglądała się jej z zaciekawieniem i osłupieniem.

– Niemożliwe!

Ela poczuła, że cała trzęsie się ze złości.

– Ależ bardzo możliwe – oznajmiła. – Teraz wszystko rozumiem. Nigdy nie byłaś dla nas prawdziwą ciotką. A teraz się okazuje, że przybyłaś z tego świata. Naser El-Dor posłużył się tobą, ty bandytka. Ukradłaś lekarstwo i próbowałaś zabić tatę.

Zaskoczenie na twarzy Aritrawy zastąpił wyraz zimnego okrucieństwa.

– To naprawdę ty, moja słodka ptaszyno? Jestem taka wzruszona. Wybacz, że nie poznałam cię od razu. Ta krótka fryzura nie jest zbyt twarzowa.

– Nie jestem twoją słodką ptaszyną. Mam na imię Ela.

– Zawsze tylko sprawiałaś kłopoty, ty i twój brat. Prawie przekonaliście waszego ojca, żeby nie puścił tamtej muzyki. Co za szczęście, że was nie posłuchał. Muzyka otworzyła przejście do Otchłani i pomogła mi przeskoczyć do waszego świata. To nigdy nie było dla mnie łatwe. Ha! My, wojownicy, wywodzący się od Nuspirata, mamy ciężką duszę, gęstsza niż czarownicy Aszperboszeta, i to całe skakanie między światami nie jest w naszym stylu. A jednak weszłam do laboratorium przed duży zlew. Dopiero na końcu, kiedy musiałam

wrócić i wskoczyłam do wanny, miałam poczucie, że ktoś podczepił się pod moją magię. A teraz się okazuję, że to wy.

– Czas, żebyś zapłaciła za swoje zbrodnie.

Rita wybuchła głębokim śmiechem, który wydawał się dochodzić aż od palców jej stóp.

– I ty żądasz ode mnie zapłaty!? Chciałabym ci powiedzieć, że jesteś chyba trochę zbyt ambitna. Mogę cię zabić, zanim zdążysz policzyć do trzech.

– Tak ci się tylko wydaje, ciociu Rito.

– Muszę przyznać, że nigdy nie przepadałam za twoim ojcem. Mój przyrodni brat zawsze mnie denerwował. A ty odziedziczyłaś tę irytującą cechę, moja mała, urocza bratanico.

Wyciągnęła długi miecz, a Ela szybko schowała się za kamiennym ołtarzem.

– Twoje pstrokate majtki są szkaradne! – zawołała.

Rita uniosła miecz nad głową, a kiedy słońce błysnęło w jego ostrzu, wyglądała jak mściwa, pierwotna bogini.

– A ty zawsze robiłaś paskudną kawę.

– A twoje prezenty śmierdziały.

Rita odbiła się od ziemi długimi nogami i wskoczyła na ołtarz. Ela wyciągnęła krótki miecz, a gdy skrzyżowała go z mieczem dowódczyni, posypały się iskry. Walczyły wokół ołtarza. Ela wycofywała się krok po kroku, czując potężną siłę wyćwiczonych mięśni Rity.

– Moje bratanice muszą się nauczyć dziękować za prezenty, które dają im ich ciotki – rzekła Aritrawa.

Zamachnęła się i wytrąciła z dłoni Eli miecz, który wbił się w leżący na ziemi pień drzewa. Dowódczyni przycisnęła go stopą na znak zwycięstwa. Ale Ela skorzystała z metachronicznej sztuczki. Skoczyła na ułamek sekundy w przeszłość i wyrwała miecz spod nogi Rity. Rita natknęła się piętą na pustkę i się zachwiała.

– Oho, widzę, że uczyłaś się metachroniki – powiedziała dowódczyni, która szybko odzyskała równowagę. – Bardzo sprytnie z twojej strony. Ale czy uda ci się skoczyć w tył, żeby złapać swoją głowę, kiedy ci ją odetnę?

Ela uznała, że nie jest to odpowiedni moment na filozoficzne rozważania. Ale resztką jej lęku przed ciotką zniknęła. Zaatakowała Aritrawę z siłą, która zaskoczyła je obie, a ich miecze znów zwarły się z metalicznym brzękiem.

– Szkoda, że nie zabiłam twojego ojca – odezwała się zadyszana dowódczyni. – Poprosiłam ich o pozwolenie, taki mały osobisty bonus, ale się nie zgodzili. Nadal potrzebowali swojego genialnego doktora Margolisa. Pewnego dnia przestanie im być potrzebny, a wtedy... Ha!

– Nie wykręcisz się z tego – rzuciła Ela.

Zaatakowała Aritrawę zdecydowanym ciosem i drasnęła jej palce.

– Naprawdę już wystarczy. – Rita ze zdeglustowaną miną zdjęła stalową rękawicę. – Wiesz, jak bardzo dbam o dłonie. – Całym ciężarem naparła na Elę i wepchnęła ją na ołtarz, po czym przystawiła jej miecz do gardła. Ela czuła, że każdy mięsień jej ciała drży i jęczy z wysiłku, aby odeprzeć napastniczkę. – Pożegnaj się ładnie z ciocią – poradziła Rita. – Nie zapomnę przekazać pozdrowień twojemu bratu, kiedy go złapię. Ucieszy się, gdy usłyszy wieści od ciebie, zanim wbiję mu w kichy ten sam miecz, którym zabiłam ciebie.

Ela krzyknęła. Nikt nie przyjdzie jej na pomoc na wzgórze ofiarne. Wiedziała o tym. Nie zjawi się żadne cudowne ocalenie – ani Hilel, ani Al-Namir, ani jej brat, ani rodzice – nikt

nie przyjdzie jej na pomoc. Jej życie jest wyłącznie w jej rękach. Zebrała wszystkie siły, wyciągnęła z buta sztylet Al-Namira i wbiła go prosto w twarz ciotki Rity. Zaskoczona kobieta zdołała przesunąć miecz i odbić główną siłę ciosu, ale czubek zakrzywionego sztyletu wbił się prosto w jej lewe oko. Ela zobaczyła jakby w zwolnionym tempie, jak ostrze rozdziera brew, przecina przezroczystą rogówkę, zarysowuje delikatną tęczówkę i wbija się prosto w gałkę oczną, która wylewa się na policzek.

– Coś ty mi zrobiła, potworze? – pisnęła Aritrawa z niedowierzaniem, a ciepły strumień krwi trysnął na twarz Eli i ją też oślepił.

Rozdział dwudziesty

Krew Otchłani

Z wody Jonatan widział przyciśnięty do szyby pysk Pazuzu, który przyglądał mu się z zatroskaną miną. Demon schował się, kiedy Noe pokazał swoje prawdziwe oblicze, a teraz wyszedł z kryjówki. Jonatan chciał mu coś powiedzieć, lecz z jego ust wypłynęło tylko kilka mizernych baniek. Z nozdrzami rozplaszczonymi na szkle Pazuzu wyglądał szkaradnie. Ta brzydota pasowała do uczuć Jonatana i pulsującej rozpacz, którą sieć wtłaczała do jego żył. Świat pociemniał, a jego myśli zaczęły się zniekształcać. Czuł się jak ryba w akwarium. Wydawało mu się, że żarłoczny demon dziwnie na niego patrzy, bo chce go pożreć. Cud, że wcześniej tego nie zrobił. W końcu to demon z Otchłani. Ich przyjaźń była zwykłą grą, która miała go zwieść i uspić jego czujność. Teraz, gdy bezradnie unosił się w wodzie, demon mógł go wyłowić i ogryźć mięso z jego kości.

– Nic ci nie jest? – zapytał Pazuzu.

„Blup”.

– Bo nie wyglądasz za dobrze.

„Blup, blup”.

– Nie podoba mi się to akwarium.

„Blup, co ty powiesz?”.

– Twój wujek nie jest wcale taki fajny.

„Blup, to nie jest mój wujek”.

– Chyba mimo wszystko pójdę i przegryzę tę skrzynkę z bezpiecznikami.

„Blup, blup, blup! Nie rób tego! Uruchomisz alarm i złapią moją mamę!”.

Na szczęście Pazuzu zrozumiał zmartwioną minę Jonatana.

– Dobra, w porządku, uspokój się. Damy im jeszcze chwilę, żeby mogli uciec. Ale czas działa przeciwko nam. Robisz się szary, a na twoich oczach rośnie taka sama kretyńska błona jak u tych ludzkich kijanek. Jeśli będziemy za długo zwlekać, zamienisz się w żabę.

Oczy Jonatana podążały za ruchem wskazówek ściennego zegara. Czas jeszcze nigdy nie biegł tak wolno. Każda sekunda była biletem w jedną stronę do niewiadomego. Czy uda mu się ujść z życiem z tej wody? Czy nie zwariuje?

Pazuzu chodził w tę i powrotem po szklanym korytarzu.

– Moment! Dlaczego zachowujemy się jak głupki? Przecież nie potrzebujemy żadnej skrzynki z bezpiecznikami. Mam o wiele lepszy pomysł.

Jonatan przyglądał się Pazuzu, który wszedł po drabinie na górną platformę zbiornika. Nie widział dokładnie, co demon tam robił, ale wydawało mu się, że przetrząsa zostawione na brzegu ubrania. Plusk! Woda zabulgotała. Demon był w akwarium. Zanurkował i płynął do Jonatana, pomagając sobie napiętymi błonami pławnymi między palcami. Jonatan po raz pierwszy widział Pazuzu w wodzie i okazało się, że demon jest wspaniale przystosowany. Miliony maleńkich baniek przyczepiały się do jego futra i wąsów, które zasysały tlen jak skrzela.

Pazuzu podpłynął do Jonatana, aż znalazł się z nim twarzą w twarz, choć do góry

nogami. Utrzymawał się w miejscu drobnymi ruchami skrzydeł, które lepiej sprawdzały się jako narzędzie do wiosłowania niż do latania. Wyciągnął łapę, a Jonatan zobaczył, że trzyma w niej soczewkę z czarnego bursztynu, którą znalazł w kieszeni spodni chłopca. Woda napęliła soczewkę życiem. Rozszerzyła się i pulsowała niczym mały, drżący mózg o barwie lśniącego węgla. Jonatan czuł emanującą z niej moc, sklejącą na nowo okruchy jego popękanych myśli. Pazuzu otworzył pysk i z jego gardła wypłynęła ogromna bańka.

„Grrr”.

Jonatan zrozumiał. Trzeba użyć soczewki, żeby się stąd wydostać.

„Blup. Dokąd?”.

„Grrr. Rusz głową”.

„Ratunku, tonę – pomyślał Jonatan. – Nie uda mi się skupić, wszystko wokół mnie się rozmywa”.

Pazuzu chwycił go za rękę i niezbyt delikatnie wcisnął pazur w bliznę, która została po nacięciu kciuka, gdy zawarli przymierze krwi. Fizyczny ból sprowadził Jonatana znów do jego ciała. Spojrzał w oczy Pazuzu i dokładnie zobaczył miejsce, do którego muszą się udać.

„Grrr. Skup się na mnie i pomyśl o tym z całej siły”.

„Blup. Nie dam rady. Dotrzemy prosto do Otchłani i przepadniemy na wieczność”.

„Grrr. Dość już tych głupstw”.

„Blup. Nie mogę”.

„Grrr. Możesz. Teraz!”.

Złota sieć w ogromnym akwariu drgnęła. Skurczyła się i zadrżała niczym oszołomiony system, któremu nagle wyrwano mózg. Nie wiedząc jak, straciła swoje centralne ciało. Gdzie ono zniknęło? Przerwane końce złotych nici unosiły się w wodzie niczym głowy zdziwionych węży, a wszystkie alarmy w budynku rozdzwoniły się piskliwie. Ale strażnicy, którzy przybiegli do podziemnego aneksu, byli zdezorientowani i skołowani. Podziemny zbiornik był cały. Nie znaleźli w nim żadnego intruza, tylko przerwana sieć unosząca się w wodzie niczym pozostałości nierozwiązywalnej zagadki.

W tej samej chwili jacuzzi w mieszkaniu Noego Zippla zabulgotało i zakipiało. Zdziwione gumowe kaczki podskakiwały na wzburzonej powierzchni, a większa fala uderzyła w rufę „Santa Marii”, która kolejny raz zaczęła tonąć. Z wody wynurzyły się dwie zdyszane, plujące głowy: jedna ciemna i włochata, druga jasna o odstających uszach. Pazuzu wyciągnął Jonatana na zewnątrz, na łazienkową matę, i nacisnął na jego pierś, jakby próbował go reanimować.

– Żyjesz?

Zamiast odpowiedzi z ust Jonatana wystrzelił strumień wody.

– Na ogniste gatki Lilit, niech będą dzięki! – zawołał demon. – Już nie wierzyłem, że cię z tego wyrwę.

Jonatan kaszlnął i smarknął wodą z nosa, na wszelki wypadek.

– Chyba połknąłem cały zbiornik.

– Mało ci brakowało.

Minęło kilka minut, zanim doszedł do siebie. Tymczasem Pazuzu węszył dookoła.

– Jeszcze nie wrócili do domu. Ten idiota, Noe, pewnie pedałuje na tym swoim motorowerze. Jeśli tak chce zrobić wrażenie na twojej mamie, powinien trochę bardziej się

wysilić.

– Musimy się schować. Wytrzymaj matę. Nie mogą się dowiedzieć, że tu jesteśmy.

Usłyszeli windę, która zatrzymała się z piskiem na ich piętrze. Szybko schowali się w pierwszej kryjówce, która przyszła im do głowy – w przestronnej garderobie Noego – i zrobili to w samą porę. Uwięzieni pomiędzy rzędami wieszaków z koszulami od Armaniego, przykucnięci nad paradną defiladą skórzanych włoskich butów, widzieli przez szparę w przesuwanych lustrzanych drzwiach garderoby, jak otwierają się drzwi wejściowe i do mieszkania wchodzi mama Jonatana z rozczochranymi włosami, wsparta na ramieniu Noego. Chwiała się na nogach, jakby była pijana. Rozchichotana padła na sofę.

– Ale długa impreza – powiedziała. – Najdłuższa w moim życiu.

– Zawsze lubiłaś tańczyć – odparł Noe z czułością i podłożył jej pod głowę poduszkę.

– Nawet nie pamiętam, jak wyszłam z domu.

– To było bardzo dawno temu.

– Już rano. Która godzina?

– Wpół do ósmej.

– Dużo wypiałam?

– Oj, Tami, wypiałam o wiele więcej, niż możesz sobie wyobrazić. – Przyniósł z łazienki ręcznik, żeby wytrzeć jej włosy. – Ale i tak jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie. – Ukląkł i zaczął masować jej stopy.

– To miło z twojej strony, że tak mówisz. Przypomnij mi, jak ci na imię?

Noe pociągnął nosem i zdumiony Jonatan zobaczył łzy płynące po jego policzkach.

– Nie chciałem, żeby ci to zrobili, Tami. Uwierz mi, to nie była moja wina.

Położyła dłoń na jego głowie.

– Już, już, mój miły, nie płacz.

Noe położył głowę na jej kolanach i przycisnął jej dłonie do swojego czoła.

– Zgubiłeś coś? – zapytała z troską.

– Wszystko.

– Nie martw się, słoneczko, kupimy ci nowe.

Minęło kilka chwil, zanim Noe się pozbierał i wytarł nos.

– Jesteś jeszcze słaba. Wszystko miesza ci się w głowie. Powinnaś odpocząć i się przespać, żeby dojść do siebie. Położę cię do łóżka, a potem zejdem do piekarni i kupię nam świeże croissanty.

Podtrzymując Tami, pomógł jej dojść do sypialni. Potem znów zszedł na dolny poziom mieszkania, spryskał się odrobiną Dolce i Gabbana, powąchał pachy i z wahaniem zerknął w stronę garderoby. Jonatan i Pazuzu z przerażeniem wcisnęli się w kąt pokoiku, w którym nie było gdzie się schować. Ale Noe westchnął.

– No cóż. Plama potu nie jest zbrodnią.

Ku ich uldze wyszedł z mieszkania i zamknął za sobą drzwi.

Usłyszeli jego kroki oddalające się na schodach. Gdy tylko ucichły, pobiegli na górę do sypialni. Tami leżała na łóżku Noego pod ogromnym starym plakatem przedstawiającym statek „Enterprise” i jego dumny kurs przez ogromny kosmos. Mama Jonatana wyglądała przez okno.

– Co się stało z moim cyprysem? – powiedziała.

– Poznajesz mnie, mamo?

– Stąd widać tylko paskudne figowce. Zawsze nienawidziłam figowców. Wyglądają, jakby coś knuły.

– Mamo, to ja, twój syn, Jonatan. Popatrz mi w oczy.

– Jonatan? – Dotknęła jego ramienia, jakby była niewidoma i czytała tekst napisany brajlem. – Jonatan?

– Tak, to ja. Nie pamiętasz?

– Oczywiście, że pamiętam. Nie jestem jeszcze staruszką. – Pogłaskała go po głowie i się roześmiała. – Spójrz na siebie! Ale ci włosy urosły. A te barki! Stałeś się małym mężczyzną.

Jonatan chciał się do niej przytulić i chłonąć dotyk jej dłoni. Po doświadczeniu w akwariu czuł się jej bliższy niż kiedykolwiek. Zrozumiał odosobniony świat, w którym znajdowała się też część jej duszy. Ich niemalże telepatyczna więź nie zerwała się przez ostatnie dwa lata, a tylko wzmocniła. Ale teraz nie był małym dzieckiem, które jej potrzebowało, lecz przeciwnie, to ona potrzebowała jego. Co więcej, był pewny, że może jej pomóc. Ale nie mogli sobie pozwolić na to, by dalej się przytulać.

– Wstań, mamo. Musimy się stąd wydostać, natychmiast.

– Ale to łóżko jest takie przyjemne, a ten miły człowiek powiedział, że przyniesie mi coś pysznego na śniadanie.

– On wcale nie jest miły, mamo. Chodź, pospiesz się.

Razem z Pazuzu chwycili ją pod ręce, a ona oparła się na nich całym ciężarem. Jeszcze nie mogła się za szybko ruszać, więc musieli ją ciągnąć. Ledwo zdążyli się schować za zaparkowanym przed domem samochodem, gdy zobaczyli Noego maszerującego w stronę budynku. Niósł mnóstwo szeleszczących papierowych toreb. W lewej ręce trzymał kartonową tackę, a w niej dwa kubki kawy.

– Mamy nie więcej niż pięć minut, zanim tu wróci – powiedział Jonatan.

– Dokąd idziemy? – zapytała Tami.

– Do domu.

Ruszyli do ucieczki z Tami ubraną w powiewający szlafrok Noego, w jego wielkich kapciach na nogach. Siedzący w kawiarniach ludzie przyglądali im się ze zdumionymi minami. Dziewczyna zamiatająca chodnik przed cukiernią zderzyła się z Jonatanem i posłała za nim przekleństwo. Próbował ją w biegu przeprosić i o mało nie potknął się o smycz nerwowego pinczera, który od razu zaczął ujadać. Kiedy dotarli do skrzyżowania głównych ulic, usłyszeli za sobą terkot skutera.

– W prawo! – zawołał Jonatan. – Prędkiej!

– Jak dotrzemy do twojego domu?! – odkrzyknął do niego Pazuzu. – Myślałem, że jest na przedmieściach.

– Pociągiem!

Przebili się przez grupę biznesmenów w wyprasowanych koszulach i na czerwonym świetle przebiegli na drugą stronę ulicy między samochodami, podczas gdy skuter Noego musiał czekać. Słyszeli jego wściekłe okrzyki.

– Tami, zaczekaj na mnie!

Na ich szczęście ona go zignorowała. Byli już niedaleko wieżowców wznoszących się nad dworcem kolejowym. Zadyszani dobiegli do najbliższego biurowca. Ale strażnik przed wejściem kazał im się zatrzymać i uparł się, żeby ich przeszukać.

– Macie broń?

– W porządku – powtarzał w kółko Jonatan jak obłąkany – wszystko w porządku, jesteśmy w porządku.

Strażnik w ostatniej chwili dał się przekonać. Wpadli przez szklane drzwi i wbiegli na ruchome schody jadące do góry.

– To go zatrzyma – wyraził nadzieję Jonatan.

Ale wcale go nie zatrzymało. Skuter z zawrotną prędkością minął strażnika i wpadł na ruchome schody. Jonatan zobaczył czerwoną, wściekłą twarz Noego, który w tej chwili ani trochę nie przypominał wyrafinowanego miejskiego kawalera. Uciekali między sklepami pełnymi kupujących mimo wczesnej pory, a skuter pędził za nimi, wijąc się pomiędzy stoiskami ze słodyczami i telefonami komórkowymi a punktami loterii. W końcu zjechali ostatnimi schodami na peron, gdzie zobaczyli swój pociąg czekający na odjazd.

– Szybko, wsiadamy! – wrzasnął Jonatan.

Udało im się wcisnąć do wagonu przed samym zamknięciem drzwi i zobaczyli jeszcze, jak rozczarowany właściciel skutera zjeżdża po schodach, a potem zderza się ze stoiskiem z hot dogami i rozbryzguje musztardę i keczup we wszystkich kierunkach z całkowitym brakiem wyrafinowania.

Co za szczęście, że zapasowy klucz do domu nadal był tam, gdzie zawsze. Jonatan odetchnął z ulgą, kiedy znalazł go pod doniczką zdziczałych nasturcji. Przez dwa lata dom przy ulicy Pierwiosnka stał pusty. Jonatan bał się, że gdy do niego dotrą, okaże się, że dom został sprzedany albo zburzony. Ale on stał na swoim miejscu. Okna zabito deskami, zachłanny powój pokrył ściany i teraz budynek otaczała aura opuszczenia.

Klucz był trochę zardzewiały i utknął w zamku. Ale w końcu udało się go przekręcić. Weszli do środka. Jonatan wciągnął do płuc zapach pustki i przeszył go głęboki jak jaskinia dreszcz, jaki czuje się zwykle w miejscach, które nie nasiakają na co dzień energią żywych mieszkańców.

– Coś tu ciemno – stwierdził Pazuzu.

– Wyłączyli prąd.

– Jeśli dobrze pamiętam, w górnej szafce w kuchni są jakieś świece urodzinowe – powiedziała Tami.

Pościg działał cuda. Bieg zaróżowił jej policzki i zaczęła odzyskiwać okruchy pamięci.

Zapalili świece i usiedli przy stole w kuchni. Oparli się o siebie głowami. Gdyby ktoś obcy teraz wszedł, nie wiedziałby, czy to przyjęcie urodzinowe, czy seans spirytystyczny. Jonatan próbował przekazać mamie tylko to, co powinna wiedzieć, żeby jej nie mącić w głowie. Najważniejsza była Nino, więc opowiedział jej, że księżniczka została zmuszona do zażywania lekarstwa, które Emanuel stworzył dla niej.

– Nie zazdroszczę jej – rzekła Tami. – Próbowałam wytłumaczyć twojemu tacie, że ten AstroFix mnie nie wyleczy, ale on uważał, że tak mówię, bo mam depresję.

– Nie łapię. Dlaczego nie rozumiał, że lekarstwo może ci zaszkodzić?

– Nie mam pojęcia. Twój tata jest strasznie uparty. Jeśli wpadnie na jakiś pomysł, nie wybijesz mu go z głowy.

– Tata jest naukowcem – próbował bronić ojca Jonatan.

– Żeby się dowiedzieć, co mu się stało, musimy go znaleźć.

„Tak – pomyślał Jonatan. – Muszę się zobaczyć z tatą jak najszybciej. Ale przedtem muszę

się zająć Nino”.

– Myślisz, że jeszcze można pomóc księżniczce?

Tami odchyliła się, a światło świec rzucało teraz okrągłe cienie wokół jej oczu.

– Naprawdę chcesz jej pomóc?

– Niczego na świecie nie chcę bardziej.

– Przecież prawie jej nie znasz.

– Uratowała nam życie w więzieniu. Gdyby nie ona, rzuciliby nas na pożarcie krokodylom. Ale nie tylko o to chodzi. Jest w niej coś ważnego. Mogę ją sobie wyobrazić na tronie, jak niesie poddanym pokój i sprawiedliwość. Nie bez powodu nazywają ją „duszą imperium”. Z nią wszystko jest możliwe.

„A poza tym – pomyślał – tak cudownie pachnie, a gdy słyszę jej głos, czuję delikatne dreszcze... a jej oczy są najśodsze na świecie i ma w nich takie urocze punkciki jak w oczach małego ptaszka”.

Tami westchnęła.

– Ona ci się chyba naprawdę podoba.

– Dlaczego to takie ważne?

– Bo to niełatwy proces. Mam antidotum przeciwko lekarstwu, ale możliwe, że ostatecznie przyniesie ono więcej szkody i cierpienia niż korzyści.

– Jeśli jest choćby mała szansa, że może się udać, myślę, że Nino będzie zainteresowana.

Ze świeczkami w dłoniach zeszli do opuszczonego laboratorium Emanuela. Od tamtej nocy dwa lata wcześniej w piwnicy nic się nie zmieniło. Okruchy szkła, potłuczone naczynia i plamy wyschniętych mikstur nadal pokrywały podłogę. Jediną różnicą była gruba warstwa kurzu na wszystkim. Podejrzliwy pajak spojrział na Tami, która w jednej z szafek znalazła nietkniętą strzykawkę. Przewiązała lewe ramię paskiem tkaniny i wbiła igłę w żyłę. Jonatan jak zaczarowany patrzył na ciemnoczerwoną krew mamy wypełniającą strzykawkę. Gdy już napełniła ją do końca, Tami przelała ciepły płyn do fiolki i dodała kilka kropel przezroczystego roztworu.

– To czynnik rozrzedzający. Dzięki niemu moja krew nie skrzepnie i utrzyma się w płynnej formie.

– Co ty robisz, mammo?

– Potrzebne ci antidotum na AstroFix, a moja krew jest najsilniejszym antidotum, jakie istnieje. W końcu przez lata próbowali mnie leczyć tymi swoimi lekami i nic z tego.

– Ale dlaczego? Co takiego masz we krwi?

– Co w niej jest? – Tami roześmiała się słabo, a ciemne kręgi pod jej oczami się pogłębiły.

– W mojej krwi płynie Otchłań. I żadne ludzkie lekarstwo jej z tego nie uleczy.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Lot demonów

Przyszła kolej na występ grupy tanecznej z Karkemisz. Nino siedziała z tyłu sceny pod baldachimem ustawionym specjalnie dla niej i pośród tego całego zgiełku śmiertelnie się nudziła. Wcześniej przez dwie godziny wygłaszano błogosławieństwa. Profesorowie ze Szkoły Mowy i Myśli, przewodniczący Konsylium Satrapów i burmistrz miasta Babilon wchodzili na scenę i przyrzekali lojalność nowej królowej. W kwiecistych mowach spisanych na dziesiątkach stron życzyli królestwu obfitości i dobrobytu. Zebrani na placu ludzie, którzy czekali tam od świtu (a niektórzy nawet przez całą noc), wyciągnęli koszyki z jedzeniem i butelki z napojami. Całe rodziny jadły obiad w palącym słońcu. Rozpoczęła się artystyczna część ceremonii. Gruba, wąsata pieśniarka z Sydonu śpiewała potężnym głosem, od którego drżały szyby w okolicznych oknach. Potem musieli znosić dziecięcy chór z Lulahabadu, który wyćwierkiwał pieśni pochwalne ku czci Marduka. A teraz na scenę weszły tancerki z Karkemisz w ludowych strojach i przedstawiły długą, męczącą sztukę edukacyjną opowiadającą o dawnej walce między Mardukiem a demonami Otchłani.

Nino czuła się taka spragniona. Kątem oka widziała Nasera El-Dora, który stał za strzelcami. Zauważył, że mu się przygląda.

– Jeszcze odrobinę cierpliwości, Wasza Wysokość. Po tym tańcu już twoja kolej.

Może lepiej, że będzie miała to wszystko za sobą. Po dwudziestej czwartej pigułce przynajmniej nie będzie musiała dłużej tego znosić. Nowa Nino będzie odporna na ból i niepokój. Przynajmniej tego była pewna. Oparła podbródek na dłoni i czekała, kiedy skończy się piskliwa muzyka. Jedna z tancerek w idiotycznej masce smoka mającej symbolizować Tiamat robiła piruety w powietrzu, gdy druga, z doczepioną brodą, w zbroi i z połączoną kartonową tarczą, podeszła do smoka, wymachując beczelnie drewnianą włócznią: oto wielki bóg Marduk. Nino zastanawiała się, czy prawdziwa walka też była taka nudna. Tancerka odgrywająca Marduka miała właśnie zabić smoka pchnięciem włóczni, a potwór miał wyzionąć ducha w teatralnych konwulsjach. Ale gdy uniosła broń, powietrze przeszył ostry świst. Tancerka się cofnęła. Spojrzała na swoją tarczę, zaskoczona. Tkwiła w niej strzała. Prawdziwa strzała.

Uwaga rozkojarzonego tłumu skupiła się na scenie. Ludzie odłożyli jajka na twardo, ogórki i kiełbaski, przestali przeżuwać i przyglądali się spektaklowi.

– Spójrz tam! – powiedziała jakaś matka do rozspanego dziecka. – Robi się lepiej.

I naprawdę było lepiej. Po chwili, z doskonałą precyzją, przeciął powietrze lśniący stalowy topór. Rozłupał drewnianą włócznię Marduka i upadł na środku sceny, u stóp almatoskopu. Widzowie w pierwszych rzędach wstali i zaczęli klaskać.

– Jeszcze raz! Jeszcze raz!

Także ci w dalszych rzędach zaczęli się budzić.

– Poprawili swój występ – oznajmił ze znanstwem profesor Kserkses, który siedział po lewej stronie Nino. – Zatrudnili nowego, młodego choreografa, wschodzącą gwiazdę z Sodomy.

– Jest pan pewny?

– Oczywiście. – Kserkses wskazał na postać w pelerynie, stojącą na balkonie jednego z okolicznych domów. – Tam jest.

Ale to nie był nowy choreograf. Nino poznała go i wstała, podekscytowana. Postać podniosła łuk i pomachała do niej. Następna strzała niczym precyzyjna wiadomość strąciła stożkowaty kapelusz z czoła profesora Kserksesa, odsłaniając jego lśniąca łysinę. To mógł być tylko jeden człowiek. Hilel ben Szachar.

Jej znudzenie natychmiast zniknęło. Po chwili pojawiły się następne postacie na balkonach dookoła, a na scenę spadł grad strzał. Tancerki z Karkemisz rozbiegły się na wszystkie strony, zostawiając za sobą ślad z broni i kawałków malowanej zbroi. Hilel zadał w róg i z dachów zrzucono liny. W tłum zsunęli się wojownicy buntowników i przemytnicy, którzy zaczęli walczyć ze strażnikami, aby utworować sobie drogę do sceny. Tłum na placu wpadł w popłoch. Ludzie chwyтали potomstwo w jedną rękę, sandały w drugą i biegli szukać schronienia.

– Nie możecie odejść! – krzyknął Naser El-Dor. – Najważniejsza część jeszcze się nie zaczęła!

Ale tłum go nie słuchał. Nino się roześmiała. Nie wiedziała, że ludzie nie będą mogli tak łatwo opuścić placu.

Niedaleko stamtąd, na północny wschód od placu, z dachu wieży policyjnej przyglądała się wszystkiemu Aritrawa. Kapitan Kardżabul, dowódca babilońskiej policji, zerknął na nią z lękiem. Zdecydowanie nie była w najlepszej formie. Jej zbroja była pokryta kurzem i brudem, jakby generał tarzała się w pyle, a lewe oko miała zasłonięte zakrwawioną szmatą. Aritrawa wciąż była zadyszana po pędzie, w jakim pokonała drogę z północno-wschodniej dzielnicy. Kardżabul, niski, ciężki, lecz zwinny mężczyzna o gęstych czarnych włosach przypominających foczą sierść, udekorowany licznymi medalami za odwagę, zdążył już usłyszeć, że klacz dowódczyni zginęła z rąk wyjątkowo zuchwałego buntownika. Drogę tutaj pokonała na zwykłym koniu, którego zabrała jednemu ze swych oficerów. Nieszczęsne stworzenie teraz zdychało przed budynkiem, wykończone galopem, do którego zmusiła je Aritrawa, na dowód czego miało głębokie rany w bokach od ostróg jej butów.

– Jesteś pewna, że nie chcesz, żebym wezwał medyka, który opatrzyłby twoje oko, pani? – zapytał po raz trzeci Kardżabul.

– Głuchy jesteś? Przecież powiedziałam, że to teraz nieważne – odparła Aritrawa głębokim, zimnym głosem. – Wykonałeś rozkazy, które dałam ci dziś rano?

– Tak, tak, oczywiście. Wszystko jest przygotowane zgodnie z twoim rozkazem.

Aritrawa nie dała poznać, że jest zadowolona, ale Kardżabul zdążył się już do tego przyzwyczaić i nie oczekiwał pochwał. Zżerała go ciekawość, co sprawiło, że przewyciężył strach.

– Co się tam stało? Goniałś tego bezczelnego buntownika? Co mu zrobiłaś? Pokroiłaś go na kawałki?

Aritrawa warknęła. Nie zrobiła ani odrobiny wysiłku, aby zaspokoić ciekawość dowódcy jej policji.

– Ten, kto mnie zranił, słono za to zapłaci – oznajmiła, a Kardżabul poczuł, jak jego medale drżą na jego piersi niczym liście na wietrze.

Uświadomił sobie, że w żadnym wypadku nie chciałby się zamienić miejscami z człowiekiem, którego Aritrawa ścigała, by się zemścić.

Lecz generał była teraz skupiona na czymś zupełnie innym.

– Buntownicy myśleli, że nas zaskoczą – zaczęła. – Nie wiedzą, że ja też przygotowałam dla nich drobną niespodziankę.

Ze swojego miejsca na scenie Nino widziała, że wszyscy, którzy pobiegli w stronę małych uliczek, wracali stamtąd przerażeni. W powietrzu rozbrzmiał grzmot, a kamienne płyty placu Najwyższego Boga drżały i podskakiwały jak szalone. Z ulic prowadzących do placu wyjechał konwój parowych czołgów – niespodzianka Aritrawy. Ich kominy pluły gęstym dymem, czarnym i cuchnącym, który otoczył wszystko niczym lepki mur. Czołgi otoczyły plac z lufami wycelowanymi prosto w tłum. Między nimi maszerowali uzbrojeni żołnierze, którzy odstraszaali tych, którzy próbowali uciekać. Ludzie nie mieli wyjścia i musieli zawrócić.

Naser El-Dor też się przyglądał.

– Generał Aritrawa nigdy nie przestaje mnie zadziwiać. Prawdę mówią, że jest niepokonana. – Spojrzał na swoich ludzi. – Kontynuujemy ceremonię. Zabierzcie księżniczkę do almatoskopu.

Do Nino podeszło sześciu młodych kapłanów o ogolonych głowach.

– Wasza Wysokość, proszę pójść z nami.

Przywiązali ją do siedziska maszyny, a sylfy uniosły je w powietrze. Nino poczuła wiatr we włosach. Jej cienka ceremonialna suknia z jedwabiu mądrych jedwabników wyglądała, jakby uszyto ją z kawałków mieniącego się nocnego nieba. W tym stroju czuła się jak jedna z przezroczystych świetlnych ważek – pierwszych dusz – które zstąpiły z gwiazd w otwarte ramiona Odmuela. Widziała tłum, który wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany. Na dole, wśród widzów, zauważyła Hilela i jego ludzi walczących z żołnierzami. Hilel odpierał mieczem trzech naraz i udało mu się pokonać wszystkich. Lecz liczba żołnierzy króla przewyższała dziesięciokrotnie liczbę buntowników i choć ci dzielnie walczyli, ich postępy były powolne. Hilel próbował do niej podejść i ją uwolnić. Nino to wiedziała. W kąciku jej oka zebrała się przejrzysta, chłodna łza. Och, Hilelu! Tak bardzo pragnęła, aby ktoś ją uwolnił, ocalił od zimnej i przewidywalnej przyszłości. Ale wiedziała, że Hilel nie dotrze do niej na czas. Nie uda mu się chwycić jej za rękę i złapać, a ona spadnie, wirując jak liść na wietrze, na sam dół, w nieskończoność.

Naser El-Dor podniósł rękę, a sylfy zatrzymały koła almatoskopu, zostawiając Nino zawieszoną między niebem a ziemią. Przywódca satrapów wszedł na mównicę.

– Drodzy obywatele! Dziś kończy się jedna epoka, a zaczyna druga. Kończy się epoka lęku przed ciemnością, a rozpoczyna nowa epoka ładu i pokoju.

Uniósł ręce wysoko, jakby spodziewał się burzliwego aplauzu, ale z przerażonego tłumu dobiegły tylko słabe oklaski. Trudno się spontanicznie cieszyć, gdy w twoją stronę zwrócone są lufy czołgów.

Naser El-Dor podniósł rękę, nie okazując rozczarowania.

– Mieszkańcy Babilonu, przed wami największy cud ze wszystkich cudów świata: wasza nowa królowa.

Tym razem oklaski były odważniejsze. Ale to w ogóle nie schlebilo Nino. „Jaką jestem

królową? – pomyślała. – Dlaczego mnie kochają? I czy nadal będą mnie kochać, gdy zobaczą mnie zawieszoną w powietrzu jak marionetkę na sznurkach, którymi pociąga Naser El-Dor?”.

Tymczasem przywódca satrapów kontynuował swoją przemowę.

– Za kilka minut ujrzycie doskonałą duszę, która będzie wami rządzić przez najbliższe dziesięciolecia. Ta doskonałość została osiągnięta dzięki jednej rzeczy, a jest nią AstroFix, nowe lekarstwo, które i wy będziecie mogli otrzymać od waszych kapłanów uzdrowiceli już jutro rano. Macie wielkie szczęście. Za waszego życia stworzono najlepsze lekarstwo, które sprawi, że wasze życie będzie pewne i stabilne, wolne od wszelkich niebezpieczeństw.

Tym razem tłum odpowiedział szczerym entuzjazmem, a Nino zobaczyła, że ludzie na placu zapomnieli o czołgach i skupili się na dobrej nowinie. Chciała wierzgać nogami i machać rękami, ale jej kostki i łokcie były przywiązane.

Naser El-Dor znów podniósł rękę, a jego śniada skóra chłonęła promienie słońca bez jednego lśnienia czy kropli potu.

– Następczyni tronu zostanie oficjalnie koronowana na królową, a potem od razu odbędzie się ceremonia jej zaślubin ze mną. Tak, jestem najszczęśliwszym z ludzi. Księżniczka uczyniła mi ten zaszczyt i wybrała mnie na swego męża.

Nino czuła, że nie może już dłużej tego znieść i zamknęła oczy. Chciała być tysiące kilometrów od tego placu, galopować po spokojnych górach, z rozwianymi włosami, bosa, razem z dziką Astlik. Głos Nasera El-Dora zlał się z szumem wiatru, a ryk tłumy stał się w jej uszach stłumionym szeptem. Szept stawał się coraz cichszy i bardziej wewnętrzny i wydawało się jej, że dochodzi z głębokiej dali. Usłyszała w głowie, jak ktoś łagodnie woła jej imię. Ktoś, kto patrzył na nią zmartwionym wzrokiem i próbował podać jej rękę.

– Nino... – powiedział głos. – Nie zapomnij o mnie.

– Kim jesteś?

– Jasnowłosym jeźdźcem w ciemności. Nie poddawaj się. Trzymaj się mnie.

Jonatan stał na środku laboratorium ojca w piwnicy i trzymał w dłoni fiolkę z krwią swojej mamy.

– Musimy jak najszybciej wrócić do Babilonu – odezwał się do Pazuzu.

– Do tego potrzebna jest otwarta woda. Ale basen krokodyli w świątyni? Raczej nie.

– To byłby bardzo zły pomysł. – Jonatan się wzdrygnął.

– Potrzebna nam inna woda.

– Nie mamy czasu szukać.

– Będziemy musieli zaufać Otchłani, że wysadzi nas w najlepszym miejscu.

– Oszalałeś? Jeśli nie damy jej dokładnych wskazówek, może nas wyrzucić, gdzie tylko zechce, nawet w Eridu. A wtedy wiele dni zajmie nam dotarcie do Babilonu.

Pazuzu wskazał na kawałek czarnego bursztynu, który Jonatan trzymał w dłoni, i na fiolkę z krwią, którą trzymał w drugiej.

– Trzymasz właśnie dwie rzeczy, które mają magiczną moc pierwszej klasy. Użyj ich, mędrco.

– Ale jak?

Demon obwąchał dwa przedmioty, jakby się zastanawiał.

– Poproś uprzejmie Otchłań, żeby nam pomogła. Z tymi dwiema rzeczami nie będzie

mogła nas zignorować.

Sposób wydawał się niepewny i niebezpieczny. Jonatan chciał jednoznacznie odmówić. Ale jaki mieli inny, lepszy pomysł?

– Będziemy musieli zaryzykować. Szybko, chodź ze mną.

Wbiegli po schodach na piętro i napełnili wannę rdzawą, mętną wodą, która na szczęścia nadal płynęła z kranu. Jonatan nie miał czasu na obrzydzenie. Zanurzył bursztynową soczewkę w wodzie, aż zaczęła pulsować i podrygiwać jak ucieszona niemowlę. Potem otworzył fiolkę, którą trzymał w dłoni, i wlał do wanny kroplę krwi mamy. Efekt zaskoczył ich obu. Woda natychmiast się oczyściła i przybrała odcień kryształowego różu, przejrzystego i płomiennego.

– Dobry znak – stwierdził Pazuzu.

– Miejmy nadzieję. – Jonatan chwycił demona za łapę i razem wskoczyli do wanny. – Do Babilonu! – zawołał. – Gdziekolwiek w mieście, byle nie do basenu krokodyli.

Sierżant Mander Bosul z oddziału królewskich saperów stał na brzegu rzeki i ze smutkiem przyglądał się ruinom mostu prowadzącego do północno-wschodniej dzielnicy. Dawno nie widział takiego chaosu. Jako budowniczy w warunkach wojennych sierżant Mander miał alergię na nieporządek. W końcu zwycięstwo lub porażka w walce zależały od umiejętności zapanowania nad polem bitwy. A jak można było kontrolować pole bitwy, kiedy wszystko było w chaosie i ruinie?

Sierżant Mander dowodził oddziałem ludzi, którzy wzniesli tymczasowe przenośne mosty w miejsce mostu Tkaczy wysadzonego przez buntowników. Dzięki swej cudownej wydajności i pracowitości królewscy żołnierze znów mogli pokonywać rzekę w tę i z powrotem. Ale nie na tym polegał problem. Przeszkodą był brak szklanej pokrywy nad strumieniem, która została roztrzaskana w drobny mak. Cała dzielnica była narażona na brud, który mógł wyłonić się z wody. Na myśl o tym sierżant Mander poczuł, jak włosy na jego karku stają dęba. Przycisnął strzelbę do siebie. Modlił się, żeby ukończono odbudowę szklanej pokrywy, zanim dojdzie do jakiegoś poważnego incydentu. Lecz nagle woda u jego stóp zabulgotała, co sprawiło, że żołądek mu się wywrócił, a nadzieje prysły. Mander zobaczył dwie głowy wynurzające się z wody. Błoto i brud, które je oblepiały, sprawiały, że trudno było zobaczyć, kto to taki, ale Mander był pewien, że są to dwie istoty ciemności, niebezpieczne i straszne. Próbował podnieść strzelbę i wycelować do nich, ale ręce mu się trzęsły. A jeśli chybi, a one rzucą na niego zabójcze zaklęcie? Mander postanowił nie ryzykować – w końcu komu pomoże, jeśli zginie, zanim zdąży złożyć raport – i wezwać na miejsce oddział straży pod dowództwem kapitana Antarela, młodego oficera, wschodzącej gwiazdy i ulubieńca generała Aritrawy, uważanego za jej protegowanego. Mander ruszył biegiem do Antarela, który siedział prosto na kasztanowatym koniu o lśniącej sierści. Zerknął przez ramię i ku swemu przerażeniu zobaczył, że dwie istoty wychodzą z wody i ruszają za nim. Choć trudno mu było w to uwierzyć, wydawały się oszołomione. Czy dwa potężne anioły zagłady mogły być zdezorientowane?

– Dzień dobry! – zawołał do niego jeden z nich całkiem ludzkim głosem. – Jak stąd najszybciej dość do placu przed świątynią?

Mander wrzasnął ze strachu.

– Antarel! – krzyknął z daleka do kapitana.

Lecz zanim zdążył zwrócić na siebie uwagę oficera, ktoś podstawił mu nogę i Mander wyleciał w powietrze, przekoziółkował po błocie i teraz leżał jak długi na brzuchu. Czyżby magiczne moce tamtych dwóch pokonały dystans między nimi i chwyciły go za kostkę? Mander stwierdził, że w chwili takiej niepewności lepiej nie przyciągać uwagi. Zamknął oczy i udał, że stracił przytomność.

Ela czuła, jakby jej ciało przemielono przez maszynkę do mięsa. Była podrapana i posiniaczona, a na jej ciele nie było centymetra kwadratowego, który nie pulsował z bólu. Gdy wbiła nóż w oko ciotki, nie czekała na efekty. Po prostu zepchnęła z siebie wielkie ranne cielsko zdumionej Rity i zbiegła ile sił w nogach ze wzgórza, ocierając po drodze z twarzy krew przybranej ciotki.

– Wydaje ci się, że wystarczy wydłubać mi oko, żeby mnie pokonać? – usłyszała jeszcze za plecami zimny głos. – Moja ptaszyno, kiedy cię dorwę, pożałujesz, że się urodziłaś.

Ela zatkała uszy. Rita mogła sobie ją straszyć, ile chciała. Teraz ważne było tylko to, żeby dotrzeć do placu przed świątynią i dołączyć do Hilela. Lecz na obrzeżach dzielnicy północno--wschodniej panował chaos, a ulice były pełne gruzu i królewskich patroli, przez które musiała zmienić kurs i straciła cenny czas. Kiedy w końcu dotarła do północno-wschodniego strumienia rzeki, natrafiła na barierę. Most Tkaczy został wysadzony. Mogła przedostać się na drugą stronę strumienia do centrum Babilonu tylko po jednym z przenośnych mostów wzniesionych przez królewskich żołnierzy, lecz tych pilnowali strażnicy. Szła wzdłuż brzegu i rozglądała się, aż na swoje szczęście znalazła mały wojskowy ponton. Bez trudu obezwładniła żołnierza, który go pilnował, i przepłynęła na drugą stronę strumienia.

Gdy wyszła na brzeg, zauważyła coś dziwnego. Dwie ubłocone postacie wyszły z wody i podążały za żołnierzem, który biegł przed nimi. Postaci wydały jej się znajome. Zwłaszcza jedna z nich, która pod warstwą brudu wyglądała jak włochaty czteroskrzydły demon o węzowym ogonie. Pazuzu! Jeśli tak, drugą musiał być jej brat. Serce Eli zaczęło szaleńczo bić. Ruszyła biegiem w ich stronę i po drodze podcięła żołnierza, który próbował wezwać pomoc.

– Jonatan?! – zawołała.

– Ela, to ty?

– Znalazłam cię! Widzisz? Tak jak obiecałam.

Przytulili się, nie zwracając uwagi na błoto i zakrzepniętą krew.

– Strasznie za tobą tęskniłam – powiedziała Ela.

– Ja za tobą też – wyznał Jonatan.

– Jesteś jeszcze brzydszy niż kiedyś.

– Chyba ty.

Ale nie mieli czasu na rodzinne ceremonie. Na pobliskiej ulicy Ela znalazła porzucony powóz zaprzężony w parę żółtawoszarych długouchych dzikich osłów, które żuły cukinie ze stoiska z warzywami zniszczonego podczas strzelaniny. Był to lekki powóz przeznaczony dla jednej osoby, ale wcisnęli się do niego we trójkę.

– Opowiedzcie mi wszystko po drodze – poprosiła Ela.

Wzięła lejce i popędziła nerwowe zwierzęta w kierunku świątyni.

Kapitan Antarel usłyszał wołanie sierżanta Mandera Bosula, ale minęła minuta lub dwie, zanim zwrócił tam swego konia, bo wiedział, że Bosul nie będzie miał mu nic ważnego do powiedzenia. Na razie napawał się świadomością, że jego wspaniała kapitańska postać, dumnie wyprężona, dowodziła żołnierzami i spoglądała na rzekę. Kiedy w końcu się odwrócił, zdziwił się, ujrawszy Bosula wyciągniętego na ziemi twarzą w błocie i trzy postacie uciekające w stronę ulicy i wskakujące do powozu.

– Buntownicy! – krzyknął do swoich ludzi.

Wyciągnął miecz i ruszył galopem, a kasztanowata grzywa konia lśniła w słońcu. Lekki powóz pędził w szaleńczych podskokach ulicami, a Antarel przeklinał dzikie osły, którym nie straszna była żadna przeszkoda. Gnały przez najtrudniejsze miejsca, podczas gdy jego koń wahał się przed skokami przez stosy gruzu i trupów, przez co nie mógł złapać uciekinierów tak szybko, jak tego oczekiwał. Antarel kipiał ze złości.

– Szybciej! – zawołał do swoich żołnierzy, którzy jechali za nim.

Przecież kilku brudnych buntowników w wozie zaprzężonym w osły nie mogło ich prześcignąć. Musieli jak najszybciej ich zabić, zanim generał Aritrawa zobaczy tę hańbę.

Teraz galopowali szeroką aleją, na której drugim końcu widać było plac Najwyższego Boga otoczony czołgami i żołnierzami generał Aritrawy. „Tylko nie tam – modlił się Antarel. – Ona nie może zobaczyć naruszenia zasad bezpieczeństwa”. Uciekinierzy w powozie zauważyli barykadę i ku jego uldze skręcili ostro w lewo. Powożący dobrze znał małe uliczki prowadzące do świątyni. Co oni chcieli zrobić? Nagle Antarel zrozumiał: co za bezczelność! Chcieli dotrzeć do tylnej bramy świątyni, przedostać się przez środek budynku i dotrzeć do sceny, na której siedziała nowa królowa.

Popędził konia i pogalopował wąską uliczką znanym mu skrótem. Już on im pokaże! Zaczeka na nich za świątynią i udowodni Aritrawie, że jest oficerem, który najbardziej zasługuje na jej zaufanie i szacunek, a może nawet na awans! Antarel w samą porę dotarł do tylnej furty świątyni. Mały powóz zbliżał się tam w dzikich podskokach. Zobaczył w powozie jasną głowę chłopca i od razu poznał, że to ten, którego zwano Wodzirejem Cieni – groźny przestępca, który uciekł z więzienia w dniu planowanej egzekucji. Na pewno to on był najważniejszy z całej trójki. Weźmie go na cel.

Czuł w ręce przyjemny ciężar wypolerowanego miecza. Wprowadził konia między kolumny świątyni, żeby się schować. Chciał ich zaskoczyć. Tak jak przewidział, powóz zatrzymał się gwałtownie naprzeciw furty, a trzech podróżni zeskoczyli i potoczyli się po ziemi. Antarel oblizał usta i wyobraził sobie łoskot, który rozlegnie się, kiedy ścięta głowa chłopaka spadnie na ziemię. Wyłonił się spomiędzy kolumn, a jego koń stanął dęba i wyglądał teraz jak piękny posąg z brązu, lśniący w promieniach słońca. Uniósł miecz nad głową. Za chwilę zaatakuje bezbronного chłopca, który podniesie zdziwione oczy i zrozumie, że jego chwile są policzone.

Nagle usłyszał gwizd i poczuł uderzenie w pierś. Pomyślał, że pewnie jakiś chuligan rzucił w niego kamieniem i zignorował to. Już chciał podnieść miecz na chłopca, który wciąż stał w tym samym miejscu, gdy zakreśliło mu się w głowie. Poczuł gwałtowne osłabienie, a w ustach rdzawy smak krwi. Zanim zdążył zrozumieć, co się stało, spadł z konia, a gdy udało mu się poruszyć ręką, ujrzał wbity w pierś strzałę. Chwilę później już nie żył.

Jonatan zobaczył łucznika, który ocalił mu życie, zbliżającego się do nich biegiem, a z nim

niewielką grupę wojowników różnego wzrostu i odzienia, wśród nich Samiego; przemysłnik w ogóle nie przypominał chłopaka, którego zapamiętał, choć wciąż miał te same ciemne oczy o długich rzęsach. Te oczy nawet teraz wydawały się rozbawione.

– Hilel! – zawołała Ela do łuczniaka. – Co ty tu robisz?

– Nie udało nam się dojść do sceny od strony placu. Za dużo żołnierzy. Możemy spróbować tylko tędy. Chodźcie za mną. Szybko.

Wyważyli drzwi, uporali się z pojedynczymi kapłanami, którzy próbowali stawić im opór, i pobiegli przez wewnętrzne sale do otwartego na scenę frontu świątyni.

– Dzięki – rzucił zadyszany Jonatan w biegu do młodego mężczyzny, który, jak już wiedział, był przywódcą buntowników. – Właśnie uratowałeś mi życie.

– Proszę bardzo! Cała przyjemność po mojej stronie.

– To mój brat – przedstawiła Jonatana Ela, a w jej głosie słychać było nutę dumy. – Słyszałeś już o nim ode mnie, od dwóch lat go szukam.

Ale radość i uniesienie, które poczuli, natychmiast opadły, gdy weszli na scenę od tyłu. Jonatan zobaczył Namera El-Dora, który wchodził w przejście prowadzące na szczyt almatoskopu. Tam, na górze, kołysała się Nino naprzeciwko systemu ogromnych soczewek zwróconych prosto w jej oczy, bezbronna jak mucha uwięziona w pajęczynie. Namer El-Dor wyciągnął z rękawa buteleczkę z lekarstwem, które ukradł ich ojcu, i wyjął z niej ostatnią pigułkę.

– AstroFix – oznajmił i podniósł pigułkę, aby wszyscy zgromadzeni mogli ją zobaczyć.

Przez tłum przeszedł szmer zachwytu, a ludzie z szacunkiem skłonili głowy.

– Otwórz usta – usłyszał Jonatan słowa Namera El-Dora skierowane do Nino. – Nie masz wyjścia. Wszystko skończone.

Nino posłusznie otworzyła usta, a Namer El-Dor położył pigułkę na jej języku. Wszyscy mieszkańcy Babilonu z zapartym tchem patrzyli, jak pigułka powoli schodzi do jej gardła.

Hilel nie pozwolił, aby ten nieprzyjemny widok go powstrzymał.

– Naprzód!

Ich grupa wpadła na scenę i szturmem ruszyła na strażników. Jonatan usłyszał metaliczną pieśń szczękających mieczy i zobaczył siostrę, która walczyła z siłą, o jaką jej nie podejrzewał. Pazuzu zauważył odwróconą tarczę, którą upuścił jeden z żołnierzy, i schował się pod nią, aby przeczekać niebezpieczeństwo, i tylko jego nos wystawał na zewnątrz. Jonatan był skołowany i starał się unikać zbłąkanych ostrzy. Tymczasem dostrzegli go widzowie z dołu. Przez tłum przepłynęła fala ekscytacji i radości.

– Wodzirej Cieni! Spójrzcie, wrócił do nas! Nie mogą go nam odebrać. Niech żyje Wodzirej Cieni!

Jonatan czuł, jak ogarnia go dziecięca bezradność. Jakby ostatnie dwa lata się nie wydarzyły, nagle wydawało mu się, że ci wszyscy ludzie oczekujący od niego czegoś, co przerastało jego siły, widzą przerażonego małego chłopca, który nie mógł pomóc nawet sobie. Lecz gdy dotknął fiołki w swojej kieszeni, wróciła mu pewność siebie. Przypomniał sobie, co miał zrobić. Podbiegł do almatoskopu.

– Pomóż mi! – zawołał do Hilela.

Z miejsca, gdzie się znajdował, nie widział Namera El-Dora, który na niego patrzył. Twarz satrapy nienaturalnie poblądła. Mimo poruszenia dookoła starał się skupić wzrok na Jonatanie. Nikt z setek tysięcy ludzi na placu nie zauważył zmiany na twarzy jedyne

widzącego w imperium, jedyne go człowieka, który mógł zobaczyć rdzeń stojącej przed nim duszy. Kropla potu pojawiła się na skroni Nasera El-Dora i spłynęła po jego wydatnym policzku, jakby jego ciało w końcu poddało się i pozwoliło, aby woda wypłynęła ze środka na zewnątrz. Tylko Nino miała dość wyostrzone zmysły, aby zauważyć, co się działo, lecz w tej chwili była zajęta własnymi problemami.

Ale Naser El-Dor nie zamieszał stracić kontroli nad ceremonią. Wyciągnął z rękawa chustkę i otarł zbłąkaną kroplę potu.

– Zaczniście natychmiast – rozkazał sylfom, które uruchomiły urządzenie.

Ogromna maszyna zadrzała od energii elektrosylfidycznej, która odwróciła uwagę od dygotu przywódcy satrapów. Jej koła zębate kręciły się szybko, a kryształy i soczewki zwróciły w stronę przerażonej Nino. Ogromne ekrany zawieszane na ścianach okolicznych domów się zaświeciły. Almatoskop rzucał na nie obrazy duszy Nino powiększone do potwornych rozmiarów kinowych ekranów. Ela mimowolnie podniosła wzrok i spojrzała na duszę księżniczki wyświetloną na ekranach. Ujrzała zimny, czysty kalejdoskop przezroczyстых abstrakcyjnych i nieludzkich barw. Przeszył ją dreszcz. Jonatan też zobaczył to, co widziała siostra.

– Jeszcze nie jest za późno. Mogę jej pomóc. Ale muszę do niej dotrzeć jak najszybciej.

– Zaczynaj się wspinać, a ja cię osłonię – zarządził Hilel.

Jonatan ruszył w górę po schodach, drabinach i kładkach wiodących na szczyt almatoskopu. Ela walczyła przed nim, torując im drogę, a Hilel wymachiwał mieczem z tyłu. Sami i jego ludzie, wspierający ich z dołu, strzelali strzałami gazowymi w sylfy, które z furkotem spadały ze szczytu almatoskopu na scenę.

W końcu udało im się dotrzeć do kładki prowadzącej do związanej Nino, która była biała jak śnieg. Rzęsy jej zamkniętych oczu leżały na policzkach jak dwa czarne pióra. Wyglądała na nieprzytomną. Jonatan wyciągnął z kieszeni fiolkę z ciemnoczerwonym płynem, przezwyciężył instynktowny wewnętrzny opór i wlał płyn do ust księżniczki. Przez chwilę był przerażony. Co on zrobił? Ale wtedy księżniczka drgnęła i zaczęła się krztusić. Z jej ust wypływała różowawa piana. Ekrany wokół placu nadal podłączone do jej duszy gwałtownie zamigotały. Przyjemny dla oka strumień barw stał się ciemny i zwierzęcy. Pojawiły się w nim kształty, a Jonatan pomyślał, że wyglądają jak pierwsze żywe istoty próbujące wyjść z oceanu. Błotniste, przypominające ludzi postacie błagalnie wznosiły ramiona w duszy Nino i wołały do nieba.

Ten spektakl nie miał żadnego związku z piękną, nieruchomą twarzą nieprzytomnej księżniczki. Po długiej, pełnej napięcia chwili czarne pióra zatrzepotały i Nino otworzyła oczy.

– Budzi się – oznajmił Jonatan.

– Nie wiem, co zrobiłeś – rzekł Hilel – ale podziałało.

– Jak stąd zejdziemy? – zapytała rzeczowo Ela, bo pod nimi w stronę sceny płynęły dziesiątki żołnierzy, którzy otoczyli ją kłującym murem włóczni i mieczy.

– Spójrzcie tam! – zawołał Hilel.

Wszyscy czworo spojrzeli tam, gdzie pokazywał. Ponad almatoskopem zobaczyli wzgórze wokół Babilonu, które poruszały się jak morskie fale, czerniejące od wojowników. Tysiące wojowników płynęły do miasta i na plac, walcząc z królewskimi strażnikami i obeszładniając czołgi Aritrawy.

– Kto to? – zapytała Ela. – Są po naszej stronie?

– Mają wasze sztandary – rzucił Jonatan.

– To nie są oddziały Isarowa. Za dużo ich.

– Ekspedycja Tamdżalila – oświadczył Hilel. – Udało mu się wrócić z prowincji i ich sprowadzić. To pomniejsi bogowie.

– Tak!

Ela zauważyła wśród walczącego wojska wysokie postacie, tylko po części ludzkie, o dziwnych kończynach przypominających pnącza tropikalnych roślin, inne skrzydlate, jeszcze inne o szczękach prehistorycznych stworzeń, a także olbrzymy wyglądające jak zbitki mineralnych kryształów.

– Astlik – wychrypiała nagle Nino. – Moja babcia, matka mojej matki. Przybyła z gór, żeby mi pomóc.

– Zwycięstwo! – krzyknął Hilel. – Wygrywamy.

Nino nadal była przywiązana do almatoskopu, a ekrany wokół placu wyświetlały kolory emanujące z jej duszy. Wszyscy zebrani mogli zobaczyć obraz potężnej sześciorekłej Astlik, o piersi falującej i opadającej jak osuwająca się ziemia, w jej wojennym rydwanie, zgładzającej każdego, kto odważył się stanąć na jej drodze. W głębi duszy księżniczki widać było nie tylko to, co działo się na prawdziwym polu bitwy, lecz także jej ukryte lęki i nadzieje. A może była to kryjąca się w jej duszy tajemna wiedza dotycząca przyszłości? Wielkie ekrany były pełne budzących grozę i smutek scen ukazujących spalone, dymiące miasta, sznury uchodźców, wielkie bitwy w śnieżnych górskich przesmykach i nieznaną ziemię, i parady zwycięstwa z plądrowaniem i jeńcami wleczonymi za wozami.

Ludzie zgromadzeni na placu patrzyli na te obrazy z ponurymi minami, zastanawiając się, co ich czeka w nadchodzących latach. Hilel też je oglądał, zamyślony.

– Czy zwyciężymy? Czy uda nam się zbudować lepsze imperium?

Ale Nino tylko westchnęła i wzruszyła ramionami, bo mimo emanujących z niej wizji nie znała odpowiedzi.

– Zwyciężymy – powiedziała z nadzieją Ela.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy – rzekł Hilel.

– Razem – dodał Jonatan. – Ja też pomogę.

Ale w tej samej chwili Nino spojrzała na dwóch młodzieńców stojących po jej bokach. Wypełniła ją niezrozumiała burza uczuć. Koła almatoskopu znów zaczęły się obracać, a ogromne ekrany wokół placu się zaświeciły. Ela nie wierzyła własnym oczom. Ekrany wypełnił straszny, niemożliwy obraz: Hilel i Jonatan, obaj starsi, ranni, dzicy i obszarpani, doświadczeni i pełni wrogości, walczyli na śmierć i życie, szamotali się na stromym stoku czarnej, nieznannej ziemi.

– Co to jest!?! – wrzasnęła Ela na Nino. – Ty wstrętne wiedźmo, natychmiast przestań!

Ale Nino nie mogła tego zrobić. Nie wiedziała, jak zatrzymać strumień postaci płynący z głębi jej duszy, i tylko patrzyła z przerażeniem na ekrany.

Mieszkańcy Babilonu też widzieli ten spektakl. Wśród zebranych rozległ się paralizujący szmer:

– Hilel ben Szachar i Wodzirej Cieni. Spójrzcie, walczą ze sobą.

Ela patrzyła, jak Hilel i Jonatan staczają się po długim zboczach, ranni i posiniaczeni, po drodze rozrywając sobie skórę i wrywając włosy, lecz morderczy zew nie opuszczał ich

nawet na chwilę. Hilel dusił Jonatana, aż twarz tamtego zsiniała, a język spuchł, a Jonatan wbił sztylet w udo Hilela do białej kości.

– Dość! – krzyknęła Ela. – Dość, dość, dość, wystarczy!

Nino czuła, jak krew Otchłani, którą połknęła, miesza się z jej krwią, penetrując każdą czerwoną krwinkę. Niewidzialna zbroja lekarstwa rozprysła się, a jej dusza jakby chciała teraz wyskoczyć z niej w najbardziej pierwotnej, prymitywnej formie. Czy to, co wyświetlało się na ekranach, było obrazem walki, która toczyła się w jej uczuciach? Czy był to obraz jej najmroczniejszych lęków, czy też proroctwo przyszłości? Sama nie wiedziała. Lecz horror walki między dwoma mężczyznami, z których każdy mógł być oczekiwanym przez nią jasnym jeźdźcem, był nie do zniesienia. Musiała się uwolnić z tego przeklętego almatoskopu! Poruszyła się w swych więzach i poczuła, jak Otchłań wtłacza w jej żyły potężną, pierwotną moc.

– Rozetnij to nożem – zwróciła się do Hilela i poprosiła Jonatana, aby podał jej swoją soczewkę ciemności.

Spełnił jej prośbę, a ona spojrzała z czcią na czarny bursztyn i skupiła na nim ostry promień światła emanujący prosto z jej duszy. Każda kropla życia w niej była skoncentrowana w wysiłku, aby rozbić i roztrzaskać almatoskop. Do samotnej muzyki jej duszy dołączyła potężna orkiestra Otchłani tysiącrotnie wzmacniająca jej magię, działająca z radością niszczenia, jakiej Nino nigdy nie doświadczyła. To było tak, jakby Otchłań pragnęła tej magii nawet bardziej niż ona i użyła jej jako naczynia, którym popłynęła moc z głębin, aby zmienić ją w fizyczną rzeczywistość.

Almatoskop jęknął. Elektrosylfidyczny silnik rozpadł się w powodzi iskier, uwalniając w ostatnim tchnieniu biały grzyb dymu. Koła zębate, kryształki i soczewki rozprysły się na wszystkie strony, a ostatnie sylfy latały w kółko, zagubione i oszołomione, próbując chwycić fragmenty zniszczonej maszyny. Ekran wokół placu zamigotały i w końcu zgasły.

Koniec wizji, koszmarów i proroctw.

Ela odetchnęła z ulgą.

– Dzięki Bogu, to koniec.

– Coś ty zrobiła! – krzyknął Naser El-Dor z dołu. – Wszystko zniszczyłaś!

Ale czar Nino nie skończył się na zniszczeniu almatoskopu. Jego zasięg był o wiele większy. Nino zdała sobie z tego sprawę, gdy świątynia Marduka zadrżała. Grube ściany trzęsły się, jakby przeszywał je niewidzialny wiatr. Ludzie na placu też to zauważyli.

– Świątynia zaraz runie! – wołali i uciekali.

Kapłani, którzy byli w świątyni, wybiegli na zewnątrz i uciekali jak szczury z tonącego statku. Świątynia drżała od głębi jej starych piwnic po zdobione gzymsy. „Co ja narobiłam?”, pomyślała Nino.

Zobaczyła otwierającą się tuż pod nią szczelinę, w miejscu, w którym stał roztrzaskany almatoskop, zbliżającą się szybko do świątyni, prosto do ołtarza Marduka. Kilka metrów przed ołtarzem pęknięcie się rozszczepiło. Każda z dwóch nowych szczelin rozszerzyła się jak głowa rozżłoszczonego węża i uderzyła w środek jednego z filarów z demonami.

– Nie! – krzyknął Naser El-Dor. – Aritrawo, powstrzymaj ich!

Ale jego krzyki na nic się zdały. Jakby w zwolnionym tempie wszyscy zobaczyli, jak na szkle starych filarów pojawia się sieć cienkich rys. Pęknięcia wspinały się po filarach szybciej niż płomień. Dwa uwięzione w kolumnach demony westchnęły i otworzyły oczy,

czerwone i płonące. Na placu rozbrzmiewały ogłuszające krzyki. Szczeliny rozszerzały się błyskawicznie z dźwiękiem dzikiej radości, a demony strząsnęły skrzydła i przeciągnęły się z ulgą. Grube wzmocnione szkło pękło z hukiem nad ich plecami.

– Kryjcie się! – krzyknął Hilel.

Wszyscy czworo pochylili się i zasłonili twarze przed gradem okruchów szkła. Kiedy podnieśli głowy, zobaczyli, jak demony ostrożnie rozprostowują skrzydła. Ich ruchy były niezdarne jak u dzieci dopiero uczących się chodzić. Zamachały skrzydłami i z trudem uniosły się nad placem. Jonatan, Ela, Hilel i Nino poczuli potężny podmuch powietrza na twarzach. Demony okrążyły plac. Rozpiętość ich skrzydeł była tak duża, że rzucały cień na cały plac pełen tysięcy ludzi.

W nagłej ciemności wzeszedł księżyc, a każdy człowiek na placu mógł zobaczyć, jak kometa Neberu, bułat Marduka wiszący nad księżycem przez ostatni tysiąc lat, odrywa się od swego miejsca. Jej dotąd nieruchoma, zielono lśniąca głowa podniosła się i pociągnęła za sobą upiorny niebieskawy ogon, a w końcu zaczęła wycofywać się w kierunku zimnego, pierwotnego firmamentu, skąd przybyła, zostawiając za sobą słaby, bezbronny księżyc jak zaskoczona twarz dziecka.

Nino z przerażeniem przyglądała się temu wszystkiemu. Bała się, że demony, które uwolniła, zapragną natychmiastowej zemsty i zgładzą całe miasto i jego bezbronych mieszkańców. Ale demony tego nie zrobiły. Okrążyły plac jeszcze trzy razy, po czym wzbiły się w górę i ruszyły na południe w stronę ujścia rzek, w kierunku potężnych wrót Ormuzu. Zanim zniknęły im z oczu, jeden z nich odwrócił się i posłał pocałunek.

Nino wiedziała, że ten pocałunek przeznaczony był dla niej.

Powstanie się rozpoczęło.

Gdzieś daleko, w innym świecie, w pobliżu Cieśniny Beringa, w maszynowni wojkowego okrętu podwodnego prowadzącego cichą misję szpiegowską, która nikogo nie niepokoiła, rozbrzmiał alarm. Na ekranie sonaru pojawił się ciemny cień. Kapitan, który skończył już swoją zmianę i grał w karty, został wezwany do mostka. Usłyszał od technika, że przed nimi z płynnej ciemności, jakby znikąd, zmaterializował się nagle jakiś obiekt.

– Do diabła – powiedział kapitan. – To jest ogromne.

– To nie powinno się tu znaleźć.

– Co to może być?

– Sądząc po rozmiarze, to mógłby być „Titanic”, gdyby zatonął w tych wodach – próbował zażartować technik.

– To żyje? – dopytywał kapitan. – Czy to możliwe, że istnieje żywe stworzenie tych rozmiarów?

– Mało prawdopodobne.

– Może jakiś przerośnięty wieloryb albo coś takiego?

– Nic, co znałaby nauka.

Kapitan przysunął twarz do ekranu sonaru i z namysłem zabębnił po nim palcami.

– Jeśli nadal będzie się zbliżać, zderzy się z nami i nas zmiażdży. Albo po prostu nas połknie na przekąskę.

Teraz włączył się drugi technik odpowiedzialny za mikrofony, który siedział za nimi ze słuchawkami na uszach. Zdjął je i podał kapitanowi.

– Proszę posłuchać. To niesamowite.

Kapitan założył słuchawki i uważnie się wsłuchał.

– Wielki Boże, on jest szczęśliwy. Świątuje! Mógłbym przysiąc, że podśpiewuje sobie z radości.

¹ Biblia Tysiąclecia, Pallotinum, Warszawa–Poznań 2000.

² Hagai Dagan, *Ha-mitologia Ha-jehudit*, MAPA, Tel Awiw 2003. Tłumaczenie własne (Anna Klingofer).

³ Tłumaczenie Wojciech Michałowski (przyp. tłum.).

⁴ Gematria – system pozwalający na objaśnianie znaczenia tekstu (przede wszystkim Biblii hebrajskiej) na podstawie wartości liczbowej liter hebrajskiego alfabetu (przyp. tłum.).

⁵ Opera Tower, hebr. Migdal Ha-Opera – centrum handlowe w Tel Awiwie (przyp. tłum.).

⁶ Gwiazda poranna – hebr. Kochaw Haszachar, nawiązanie do przydomku Hilela – ben Szachar, „syn Jutrzenki”.

Przekład: Anna Klingofer
Redakcja: Jerzy Wachowski
Korekta: Anna Jagiełło, Barbara Cywińska

Projekt okładki: Illustration & design by CalderónSTUDIO
Adaptacja okładki: Krzysztof Rychter
Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-2242-3

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Marcin Kapusta / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow